[illegible]ZASÓW [illegible]

I POKOJU

[illegible] [illegible]ZIKOWSKI

K[illegible]ÓW

TADEUSZ UHMA

Z CZASÓW WALKI I POKOJU.

Kochanej Danusi od Tatusia i [illegible] w dzień Imienin [illegible] 1917 roku [illegible]

LEON IDZIKOWSKI.
KIJÓW. 1916.

DRUKARNIA POLSKA w KIJOWIE

Na zaraniu.

— Hej, hej!

— Hej, hej! —rozlegało się głośne, przeciągłe wołanie i biegło od drzewa do drzewa w las głęboki, w stary, wyniosły las. I powtarzały sobie to wezwanie buki i graby, a pogodne, wieczorne powietrze przenosiło je echem daleko, jak sobie tego życzył silny snać, choć stary mężczyzna, stojący opodal chaty swojej, znacznie od niego młodszej, a niezawodnie silniejszej.

Bo chata ta, stojąca na skraju moczarów, które aż tutaj rozciągały się od szerokiej rzeki, wstęgą znaczącej swą drogę, była tak prosta, tak niekunsztowna, jak i cała okolica tutejsza, porosła lasami starymi, poprzerywana moczarami i topielami z przed wieków. Nieociosane pnie drzew, położone w poprzek takich samych, jeno grubszych nieco pali, stanowiły ściany domostwa, a czarne, wycięte niezgrabnie otwory, były oknami, przez których pęcherze naciągnięte przedostawało się światło i powietrze. Nic dziwnego, że przez cały dzień otworem stały drzwi ciężkie chaty, za któremi widać było krzątającą się kobietę w pełni sił, w skórę zwierzęcą odzianą, podobnie, jak i mężczyzna.

— Graby, Graby! — powtórzył swój krzyk mężczyzna.

I wreszcie doczekał się. Jego czujne ucho złowiło daleki bardzo odgłos, odpowiedź na jego wezwanie.

— Idą matko — zwrócił się do kobiety i powolnym krokiem szedł ku drzwiom, rozglądając się wokół siebie, rzucając zadowolone spojrzenia na korony drzew wyniosłych, na te jasne promienie słońca, które resztkami sił przednocnych biegły

ku niemu od rzeki, w dali lśniącej, przedzierały się przez zieleń boru ciemnego.

Po lewej stronie domu leżało pole, wykarczowane rękami zapewne rodu tego, który w tych stronach osiadł i tutaj szmat ziemi dla siebie i swoich następców gotował. Żmudna była to praca. Ale zawsze w gromadzie wesoło im było.

Jako zwyczaj był dawny nazwę mieli swoją, Grabami ich zawsze wołano, może od owych drzew, które ich sadybę otoczyły, a może od barczystych, silnych ramion, któremi zdolni byli wyrywać drzewa i ziemię w ten sposób pod uprawę zdobywać. Nie dochodzili tego, czemu takie ich imię. Tak dziada zwali, tak zwał się ojciec i dzieci tosamo zachowały zawołanie, jak zachowały tensam charakter i podobne twarze.

Za chwilę na polanę przed dom wyłoniły się z lasu cztery postacie w kożuchy okryte, z dużemi łopatami w dłoni.

— Daleko bywałeś synu? — spytał najstarszego, który na nogę jedną utykał, wyprostować jej nie mogąc.

Był to mężczyzna może czterdziestoletni, śniady na twarzy, obrośnięty bardzo, prawie dziko, tylko włosy z głowy puklami mu spływały, nadając mu charakter dziwnie miękki, wraz z niebieskiemi oczyma, z których dobre serce znać było odrazu.

— Daleko bywalim ojcze — odparł, ocierając pot z czoła — jeść się chce okropnie. Ale, ale — przypomniał sobie i zwracając się do najmłoszego w tej gromadce, może 18, może 16-letniego chłopaka, rozkazał:

— Oddaj no babce, coć bogi upolować dały.

Dopiero teraz poskoczył młody chłopak, radośnie rzucił łopatę trzymaną i w pędach wbiegł na skraj lasu, gdzie zostawił swą zdobycz. Za chwilę przyniósł, przewiesiwszy sobie przez ramię, sarniuka dużego, którego cielsko wraz z chłopakiem podskakiwało.

— Ale mu wraziłem — chwalił się dziadkowi, pokazując strzałę, tkwiącą w lewej piersi zwierzęcia.

I dalej pobiegł do babki, która wkrótce przyzwała średniego wnuka, Kosmę, by pomógł uszczęśliwionemu Dobkowi skórę zedrzeć ze zwierzęcia i przyprawić je na wieczerzę.

Tymczasem zaś Bożywój Grab z ojcem swym rozmawiał, zdając mu sprawę z prac, przez dzień cały prowadzonych, opo-

wiadał o nowym kawałku pola, który lasom prastarym z synami wydarł, o budowie nowej chaty, ponieważ jego najstarszy Sławomir w dniach niedalekich własne założy ognisko.

Opowiadał to wszystko z pewną dumą w głosie, z dumą ojca, który synów ma silnych i do wielkiej pracy zdolnych.

— A jak tam twoja noga? — spytał ojciec.

— Dobrze — uderzył się Bożywój po nodze, którą mu niemcy w 962 r. uszkodzili, kiedy obecnie panujący książę Mieszko przeciw Geronowi wystąpił, by kraj przed zalewem niemieckim uchronić. A chociaż w wojnie został pobity, chociaż musiał przyjąć opiekę niemiecką i stać się lennikiem cesarstwa, przecież ocalił państwo, a przyjąwszy przez żonę swą, Czeszkę Dąbrówkę chrześcijaństwo, stanął w jednym prawie rzędzie z cesarzem i wytrącił mu z ręki tę broń, którą się on zawsze zasłaniał, że Polska w pogańskim błędzie trwa, że krzyż do niej niemieckie niosą hufce.

W tej walca brał udział Bożywój, jak na silnego, wolnego kmiecia przystało.

W tej walce pamiątkę dostał wieczystą — ale nie ustał w pracy.

I oto teraz, gdy skończyły się krwawe boje, pod dach swój wrócił rodzinny i z synami razem rolę uprawiał i ziarno siał i na polowanie chodził, by rodowi Grabów żywności dostarczyć i pola pracy.

Więc mógł spokojnie wejść pod dach domostwa rozległego, gdzie matka jego i jego żona wieczerzę im gotowały prostą — mleko i podpłomyk jęczmienny. Ponieważ zaś służbą wojenną zasłużył na to, pozwolił mu ojciec usiąść, jak to zwykle czynił, inni zaś, stojąc w milczeniu, pożywali to, co serdeczne ręce ich opiekunek przygotowały.

Potem zaś do snu układli się spokojnego wszyscy — mężczyźni i kobiety w chacie, synowie na dworze — jak zwykle w lecie.

I wkrótce cisza panowała nad osadą Grabów, jeno księżyc przyjaznem patrzył na nich okiem, jeno wiatr letni łagodnie do izby się wkradał, by spracowane ciała ochłodzić i krzepiący sen uprzyjemnić.

Cisza była wokół — cisza wszędzie w powstającej świeżo Polsce.

W Budziszynie.

— Prawda, Stojgniewie, powiodło się nam.

— A prawda. Znowu zwycięztwo.

— Niedawno Chrobację, potem Morawy i Czechy podbiliśmy, a teraz, hej, hej!

— Ale na wojowaniu zeszło nam czasu trochę.

I zamyślili się obaj staruszkowie, biali, jak ów śnieg, który wokół nich delikatną swą powłoką okrył budziszyńskie lasy, stare, bezdrożne lasy.

Od czasu do czasu silny wicher się zrywał i sypał prochem śnieżnym i obejmował przejmującem zimnem styczniowego dnia postaci obu starców.

Jeden z nich habit wówczas przyciskał silnie do siebie, jakby puklerz z niego chciał zrobić przeciwko mroźnemu zimnu.

Stojgniew zaś, o głowę wyższy od towarzysza, mimo lat podeszłych nie bał się chłodu, bo wilczą skórą nie zakrył swych piersi, jeno stał spokojnie, opierając rękę o głownię szabli.

Stojgniew i opat Tuni, dwaj najpoważniejsi doradzcy Bolesława Chrobrego, nie śpieszyli uciec do ciepłego ogniska, które o jakie dwieście kroków od nich rozniecili Bolesławowi wojownicy, znani ze swych okrucieństw i nieustraszonej odwagi Morawianie.

Widocznie czekali na coś, bo z pewną niecierpliwością podnosili od czasu do czasu głowy, wypatrując czegoś przed sobą.

— A może podejdziemy dalej? — zapytał Stojgniew.

— A pocóż? — zdziwił się opat.

— Widzicie, książę Bolko nie chce wyjść, ale my możemy. Zawsze, Niemcy jeszcze potężni.

— A wiecie wy, Stojgniewie — oburzył się opat Tuni — że, gdybyśmy okazali im względy, wychodząc naprzeciw, to oni zaraz staliby się twardszymi w warunkach pokojowych?

— E, pobici przecież, to będą słuchali.

— Nie znacie Niemców. Pamiętajcie, że pokój my proponujemy, nie oni. Mogliby myśleć, że sił nam braknie.

— Chyba tego nie pomyślą. Przecie niedawno oni prosili, przysyłali nawet dostojne poselstwo, dwóch arcybiskupów, mnóstwo książąt i grafów i wiecie, co się stało?

— No? — zaciekawił się Stojgniew.

— I książę Bolko powiedział, że ani kroku nie zrobi do nich, nawet przez swój most na Elbie nie przejdzie. Niech do niego przyjdą prosić.

— To pan dopiero — zamyślił się Stojgniew, któremu zaimponowała buta jego księcia.

— Taksamo teraz — ciągnął dalej opat — trzeba, aby poczuli, że są zwyciężeni i na naszej łasce.

— Zawsze jednak potrzeba... —zaczął Stojgniew, gdy przybiegł młody rycerz z doniesieniem.

— Idą.

Starcy spojrzeli na siebie z uśmiechem, a opat zwrócił się do Stojgniewa:

— Tylko nie bądź zanadto grzeczny.

— Nie bój się, nie bój — uspokoił go towarzysz i nie mógł dalej mówić, bo oto wysunął się oddział rycerzy, wśród którego jechali na koniach posłowie Henryka II do polskiego księcia Bolesława.

Byli to wszystko ludzie znaczni i mający wielkie zachowanie wśród Niemców, szczególnie zaś arcybiskup magdeburski, Gero i biskup halbersztadzki, Arnulf. Prócz nich znajdowali się w poselstwie graf Thiedryk, margraf Miśnji i graf Fryderyk.

Odziani byli odświętnie. Na szyjach biskupów błyszczały złote łańcuchy z wielkimi krzyżami, rycerze mieli futra, opięte zdobnemi klamrami, na głowach hełmy z podniesionemi przyłbicami.

Przywitawszy się milcząco z wysłannikami cesarza, Tuni

i Stojgniew poprowadzili ich już piechotą przez las, tutaj rzedniejący.

Wkrótce zobaczyli przed sobą miasto, dość licznie zabudowane, obwiedzione wedle zwyczaju rowem, ostrokołem i murami z kamienia

U bram, które natychmiast otworzono, zatrzymali się Tuni i Stojgniew i wprowadzili przed sobą posłów.

Niedługo już trwała podróż.

— Zatrzymajcie się, ja pójdę zapytać pana naszego — odezwał się opat, gdy doszli do jednego z domów, stojącego tuż koło bramy miejskiej.

Długo nie wracał, co niepokoiło i drażniło posłów, gdyż nie byli przyzwyczajeni do tego, by oni, niemal pierwsi dostojnicy cesarstwa, mieli stać na dworze i do tego w taki ostry, mroźny dzień.

— Jednak trzebaby to książątko nauczyć zwyczajów rycerskich — odezwał się hrabia Fryderyk do arcybiskupa.

— Co każecie, panie? — spytał, niby nie słysząc uwagi, Stojgniew i złożył w trąbkę dłoń koło ucha.

Miał zaś przy tem minę tak drwiącą, że Niemiec, bojąc się cokolwiek powiedzieć, odwrócił się w milczeniu.

Wreszcie otwarły się drzwi domu, przed którym stali i ukazał się w nich Tuni:

— Wejdźcie — zaprosił.

Przeszedłszy sień, znaleźli się w dużym pokoju o dwóch oknach, które w ten mroźny, śnieżny czas, znaczyły się tylko wgłębieniami w ścianie, jedyne zaś źródło światła stanowił kominek, jasno płonący, przy którym siedział mężczyzna, przyprószony już siwizną, od stóp do głowy uzbrojony: tylko opończa jego leżała niedbale rzucona pod ścianą.

Wygodnie rozsiadł się na pniaku sciętym, który stanowił krzesło, na rozstawionych kolanach oparł łokcie i bystremi oczyma wpatrywał się w twarze przybyłych.

Gdy światło padło na Niemców, powstał.

— A, znajomych witam w naszym domu — ozwał się, nadając swemu głębokiemu głosowi ton uprzejmy.

Przybyli skłonili się nizko.

— Tusząc, że macie dość wojowania ze mną, posłałem do was z gotowością zawarcia pokoju.

Milczenie odpowiedziało mu.

Czekał chwilę, a widząc po minach Niemców, że buta i pycha ich mówić im nie pozwala, spytał:

— A może nie chcecie pokoju?

Poruszył się żywo arcybiskup Gero i podszedłszy krok, rozpoczął:

— Wojny nie zaczynaliśmy i nie pragniemy, jakkolwiek dość jesteśmy silni, by pokonać tych, którzy przeciw nam powstają. Pomnij, książę, że ojciec twój hołd składał naszemu cesarzowi i ty także, jako lennik, bywałeś u nas. Wobec tego powinniśmy nie przychodzić do ciebie...

— Więc dlaczego przychodzicie? — przerwał Bolesław.

— Przychodzimy, by łaskę ci okazać naszą, by...

I znowu przerwał mu Bolesław, wybuchając śmiechem serdecznym, a za nim opat Tuni i Stojgniew.

Kiedy zaś przestał się śmiać, zwrócił się do zmieszanego Gerona, uspokajając go:

— Mów, mów dalej, tylko nie śmiesz nas łaską waszą, bo ci opowiem, czem zdobyłem tę łaskę.

Gero rozgniewanym tonem odpowiedział:

— Nie chcesz słuchać moich słów, to sam powiedz, po co nas tu wzywałeś.

— Tak, to dobrze, to co innego. Widzisz, arcybiskupie, lepiej spokojnie rozmawiać i o tem, o czem powinniśmy, bo inaczej nigdy nie załatwimy tego, co nam na sercu leży.

— Więc mówcie, panie — poprosił Gero.

— Ponieważ wiem — zaczął Bolesław — że macie dość już wojowania ze mną, bo to czternaście lat prawie ciągnie się ta nasza wojna, więc chcę wam dać pokój. Wy zostawcie mi te ziemie, które zawojowałem, bo to mi się słusznie należy, a dla utrwalenia pokoju między nami dacie mi za żonę Odę, córkę margrafa Ekiharda. Jeżeli się zgodzicie na to, w takim razie odejdę spokojnie tam, gdzie mnie sprawy wzywają.

Rycerze niemieccy zaczęli żywo między sobą rozprawiać, a chociaż po cichu mówili, dorozumiał się Bolesław i jego doradzcy, że Niemcy są zaskoczeni tymi warunkami pokoju.

I rzeczywiście tak było.

— Morawy możemy wam ustąpić — mówił, skończywszy ze swoimi, arcybiskup Gero — ale Łużyc nie ustąpimy nigdy.

— Jakto, nawet ziemię milzieńską chcecie wziąć — biadał biskup Arnulf — tę ziemię niemiecką oddawna. Tego nie możecie żądać od nas, panie.

— A gdzie jesteście teraz? — spytał nagle Bolesław.

— W Budziszynie, wiadoma rzecz — zdziwił się Gero.

— Więc jeżeli tutaj doszedłem, jeżeli tutaj układam się z wami o pokój, to widzicie chyba że mam prawo domagać się przyłączenia tej ziemi do mojego państwa. Nadarmo krwi nie wylewałem.

— Nie możemy tyle oddać—wtrącił się margraf Herman,

— Po co wam żony, książę — perswadował znów Gero — siwe włosy już macie, a jeszcze chcecie sie żenić.

— To nie wasza sprawa, czy jestem młody, czy stary. Chcę wiedzieć, czy szczerze pragniecie pokoju i od żadnego z moich warunków nie odstąpię.

— Wolna wola — rzucił graf Frydryk.

— Więc? — spytał Bolesław.

— Zostańmy w wojnie — z błyskiem wrogim wykrztusił tensam.

— Ha, ha — zaśmiał się Bolesław — wy mnie chcecie straszyć. Dobrze. Więcej nie mówmy.

— A teraz zapraszam was na ucztę — zmienił wyraz twarzy Bolesław i klasnąwszy w dłonie, kazał przynieść potrawy.

Jakoż wkrótce zasiedli przy dużym stole dębowym i jedli duże połcie mięsiwa, sięgając po nie do mis, które dymiły przed nimi. Milczeli wszyscy, chociaż piwo zjawiło się owsiane i miód potem, wyrabiany przez bartników łużyckich, znacznie gorszy od wielkopolskiego, ale dla Niemców bardzo smaczny.

Po uczcie powstał pierwszy Gero, a odmówiwszy modlitwę, zwrócił się do Bolesława:

— Jak będzie z pokojem?

— O tem nie mówimy. Nie chcieliście przecież — uśmiechnął się polski książę.

— My chcemy, tylko wy, książę, jesteście nieubłagany i bardzo żądny krwi.

— Nie z moich ust padło słowo, byśmy wojnę dalej prowadzili, a z waszych.

— Więc co będzie?

— Wojna — odparł twardo Bolesław.

Niemcy spojrzeli po sobie, potem usunęli się w kąt izby i po chwili podeszli do Bolesława.

— Niechaj będzie, jak chcecie — powoli przemówił Gero.

Bolesław nie okazał radości; podniósł się tylko z siedzenia i jednem słowem zgodził się:

— Dobrze.

Zaraz też arcybiskup Gero zdjął z szyi łańcuch, a wziąwszy w ręce krzyż złoty, umieszczony na nim, położył dwa palce na jednem ramieniu i mówił.

— W imieniu cesarza naszego, Henryka, przysięgamy, jako od dziś pokój nastanie między Polakami a Niemcami. Ślubujemy pozostawić przy Polsce zawojowane świeżo kraje, Morawy, Łużyce i ziemię Milzieńską. Tak dla naszej, jakoteż dla chwały polskiego księcia Bolesława, przyrzekamy oddać mu w w małżeństwo Odę, córkę margrafa Ekiharda. Tak nam dopomóż Boże, który to widzisz i słyszysz.

Po nim Bolesław położył palce na krzyżu i także przysięgę złożył:

— Śiubuję, jako od dziś pokój zachowywać będę z cesarzem niemieckim i jego krajów nie będę najeżdżał. Tak mi Panie Boże dopomóż.

Wszyscy milczeli w skupieniu, wiedząc, że wielkiej chwili byli świadkami.

A Stojgniew czuł, że to godzina, w której jego ojczyzna i jego książę ukochany wyzwala się z pod przygniatającej przemocy niemieckiej.

Ostatnie słowa.

U łoża umierającego króla się zebrali. Blada twarz chorego, niespokojnie rzucającego się co chwilę, była niekiedy podobna do pożółkłej twarzy trupa. Jego duże oczy rzucały spojrzenie to na Bolka, swego najstarszego syna, który za plecami macochy, Ryksy, stanął, to przesuwała się po szatach książąt kościoła, którzy w ten groźny dla Polski czas zjechali się do łoża chorego króla.

Dwaj duchowni, wyniośli, niebardzo starzy, stali obok siebie, przy oknie, które słaby blask przepuszczało przez swą skórzaną powłokę.

Jeden z nich, czarny jak węgiel, nosił na sobie krzyż złoty, opatrzony łańcuszkiem, na którym zawieszona była drobniutka, złota korona.

Był to Bossuta Śreniawa, arcybiskup gnieźnieński, naczelnik kościoła w Polsce.

Pierwszy on z Polaków dostąpił tego zaszczytu, by objąć najwyższą godność duchowną w Polsce. Bo chociaż już od r. 1000 istniało arcybiskupstwo w Gnieźnie, dopiero teraz dostało się ono w ręce Polaka.

Stał teraz obok Włocha, Luciljusza, biskupa Smogorzewskiego ze Śląska, i bawił się machinalnie zwisającą u krzyża małą koroną, którą wraz z krzyżem i łańcuchem złotym otrzymał w spuściźnie po porzedniku swoim, Hipolicie, arcybiskupie gnieźnieńskim. Zmarły arcybiskup nadzwyczaj szanował i cenił ten łańcuch, który przywdział na nadzwyczajną uroczystość, na koronację Bolesława Chrobrego w r. 1025.

A oto teraz syn króla Chrobrego, Mieszko II, który zaledwo dziesięć lat panowania przed kilku dniami skończył, le-

ży w niemocy, od czasu do czasu ludzi wokół siebie nie poznając.

Posmutniała szlachetna twarz Bossuty, bo ciągle słyszał o klęskach na Polskę spadających, najbardziej od Niemca, który zachodnie łupił granice, a teraz znowu biskup Luciljusz opowiadał mu, że wahał się, czy wyjechać do chorego króla, ponieważ wieść się rozniosła, że Czech także na polską chce nastąpić granicę.

— Możliwe to — mówił Bossuta — Czech z Niemcem zawsze był blisko, wojowali przeciw naszemu królowi Bolkowi, więc i teraz pewnie z dwóch stron razem chcą napaść.

— Mnie dziwi jednak — rzekł Luciljus — że nie wmiesza się w te sprawy Ojciec św. Przecież i Polska i Niemcy temu samemu Bogu służą, dlaczegóż mają się zwalczać, zamiast na pogany ciągnąć, albo dolę ludu swego ulepszać.

— Przewrotny jest ten świat — szeptem powiedział Bossuta i spuścił wzrok ku ziemi.

— O czem rozprawiacie? — spytał—podchodząc do nich biskup poznański, Paulin, również, jak i Luciljus, Włoch, a najstarszy wiekiem pośród polskich biskupów i najdłużej w Polsce siedzący tak, że dobrze już władał językiem nowej swej ojczyzny.

— Myślimy o umierającym — szeptem odpowiedział mu Bossuta, ale po łacinie tak, by rozumiał Luciljus.

— Ciężkie miał życie — pokiwał siwą głową Paulinus. A już najcięższe chyba, że własny brat Węgrów mu na kraj sprowadził.

— I nic z tego nie miał. Bo Słowaczyznę z częścią Moraw dostał syn węgierskiego króla, św. Szczepana, nie zaś on.

— To był początek nieszczęść — prawił Bossuta. A po Węgrach Jarosław ruski napadł i zabrał Grody Czerwieńskie, a wcześniej jeszcze bo w 1029 r. Konrad, cesarz niemiecki i Brzetysław czeski wydarli całe Morawy.

— Można od tego i rozchorować się i rozum stracić — biadał Luciljus.

— I domowe życie nie najlepszym mu było przyjacielem— ciągnął dalej. Dużo wam złego zrobili Niemcy — zwrócił się do Bossuty.

— Myślicie o naszej królowej — zrozumiał Bossuta.

— O niej właśnie. Patrzcie, jak pilnuje chorego, bojąc się widocznie o jego ostatnią wolę.

W tej samej chwili poruszył się chory na łóżku i podniósł się trochę.

Zaraz przyskoczył biskup krakowski Rachelinus, który stale u wezgłowia królewskiego siedział i podłożywszy rękę pod główę królewską spytał:

— Co rozkażecie, panie?

Mieszko poruszył ustami, lecz nie mógł przemówić i niemocnie opadł znowu na łoże.

Wtedy Ryksa podeszła do stojących pod oknem i podnosząc swą piękną jeszcze głowę spytała:

— Czy można sprowadzić mojego dworzanina, Zygfryda, on na chorobach się zna i może ulży choremu?

— Widzieliście — odparł Bossuta — jak wasz małżonek był niezadowolonym, gdyście raz wprowadzili tego człowieka.

— Ale przecie teraz on bardzo chory? — starała się bronić Ryksa, — a cóż pomoże mu ta wiedźma — wskazała w ciemny kąt izby, gdzie z trudem można było dojrzeć kobietę młodszą od Ryksy, o długich warkoczach lśniących, patrzącą dużemi oczyma na łoże chorego.

W tej chwili Mieszko ruszył ręką w stronę tego kąta, jakby przyzywał kogo.

Dobrówka porwała się na równe nogi i przyskoczyła do króla, a ciche łzy ciekły jej po młodej jeszcze twarzy.

— Co chcesz, co chcesz? — pytała gorączkowo. On zaś ręką pogładził jej twarz i nic nie mówił, tylko oczyma zdawał się prosić.

Zrozumiała go Dobrówka i skinieniem przywołała syna swego Mieszka.

W tej chwili przyskoczyła i Ryksa, prowadząc za rękę Kazimierza, młodego, najwyżej 20-to letniego swego syna, o bujnych, jasnych kędziorach.

Wszyscy obecni rzucili się do łóżka, wiedzieli bowiem, że gwałtowna Ryksa, która do najwyższego stopnia nie lubiła Dobrówki, gotowa nawet w obliczu śmierci wywołać jedną z tych okropnych scen, trujących życie Mieszkowi.

— Ostańcie się, pani — przemówił groźnie Bossuta, chwytając Ryksę za ramię.

— To jego prawowity następca — syknęła Ryksa — potrząsając ręką syna, który niedobrze rozumiał, o co tu idzie spór, a może nie zgadzał się z matką.

— Zrobi, jak chce. Bóg rozsądzi — poważnie odpowiedział arcybiskup.

Dziwne to było. Wszyscy biskupi, jakkolwiek wiedzieli, że ślubną żoną Mieszka II jest Ryksa, że prawym synem jest Kazimierz, mimo wszystko darzyli dziwną sympatją cichą Dobrówkę, która sama usuwała się w cień, jakkolwiek pierwsza obdarzyła Mieszka synem, Bolkiem.

I teraz z przestrachem obejrzała się na siebie, i już chciała się cofnąć, lecz między nią a Ryksą stanął arcybiskup Bossuta i rzekł:

— Ostańcie przy królu. On chce was widzieć i chce widać z wami mówić.

W tej chwili odezwał się Mieszko:

— Pić.

Biskup Rachelinus podał mu kubek, potem na życzenie króla podłożył mu skórę niedźwiedzią pod głowę i plecy tak, że Mieszko siedział prawie wygodnie oparty o rękę biskupa i skórę zwierzęcą.

— Czas mi odejść — szepnął.

— Może znów od rzeczy będzie mówił — szepnął Luciljus do biskupa płockiego, Albina.

— Czas odejść — powtórzył Mieszko.

— Może wyzdrowiejecie — szepnęła Dobrówka.

Ale on nie zważając na jej łagodne słowa ciągnął dalej, ciężko oddechając:

— Wielkopolskę i Śląsk, tobie ostawię Bolku — pilnuj go Dobrówko, niech dobry wyrośnie.

Ona zaś pochyliła się do ręki Mieszka i płacząc, całowała ją. Król przerwał zaczęte słowo i patrzył na nią zupełnie przytomnie, patrzył długo, jakby dobrze chciał sobie zapamiętać jej obraz.

Nagle podniósł głowę:

— Tobie, Kazimierzu, — zwrócił się do młodszego syna — resztę państwa ostawuję. A jako niedoświadczonym jesteś, więc ci opiekuna wybiorę dobrego.

Powiódł okiem po zebranych i zwrócił się do biskupa Rachelina:

— Wy dzierżycie biskupi stolec krakowski, biskupi tron w tej dzielnicy, gdzie Kazimierz panować będzie. Dzierżcie więc i opiekę nad nim.

Pot wystąpił na czoło chorego, snać zmęczył się bardzo mówieniem.

Wtedy Ryksa, przystępując do łoża, przypomniała, dopominając się równocześnie:

— Ale nad Bolkiem także władzę sprawować będzie Kazimierz.

W tej chwili ożywiła się twarz chorego, znowu podniósł się i ręką wyciągnął przed siebie, która natychmiast bezwładnie opadła, a pierś chorego podnosić się jęła niereguralnie, przyspieszenie.

Wreszcie głos się wydobył:

— Tylko ty nie mieszaj się pośród nich.

I znowu milczenie zapadło, przerywane szlochaniem Dobrówki.

Dopiero przyjąwszy trochę napoju, mówił Mieszko:

— Ciężką ostawiam wam pracę, syny moje. Ale nadewszystko ciężkiem będzie wasze życie, gdy, jak ja z bratem, wojować z sobą będziecie. Uproście Boga — tu zwrócił się do duchownych — niechaj da im to światło, które ja dziś czuję, że z walki ich wrogi najcięższe pożytek mieć będą, im zaś ból pozostanie, klęska i śmierć ciężka.

Twarz chorego wykrzywiła się strasznie, zdało się, już oddechać przestaje, już, już kona.

Powoli wyrównywały się rysy, ginął wyraz przestrachu, a pogoda jakaś rozsiewała się na tej twarzy suchej, a żółtej.

Otworzył oczy przymknięte i rozmodlony patrzył w górę.

Nagle podniósł się i uśmiechnięty, szeptem prawie powiedział:

— Kaziku, Bolku! w miłowaniu żyjcie, a w zgodzie, w zgodzie!

I znowu opadł, a wyraz pogody, wyraz modlitewny pozostał na zawsze na jego wargach rozwartych, na jego twarzy schorowanej.

Tak — przestał oddechać.

A tam — na dworze ciemno było i strasznie.

Burza rodziła się ciężka.

A tam — na granicach państwa strasznie było i ciężko.

Ze wszech stron wróg się gotował, by kawałkami rwać kraj, któremu nie stało króla, nie stało ojca.

Wszędzie burza wstawała okropna, która pożarami znaczyć się miała, która miała zabrać Polsce dziesiątki lat szczęścia i dobra, owoce starań Mieczysława I. i Bolka Chrobrego.

W ostępach.

Ryk wstrząsnął powietrzem, aż liście drzew zadrżały, aż zdziwił się bór prastary, słysząc go i szeptem pytał się sąsiadów, co się stało, co było przyczyną tego głosu nieznanego drzewom.

— Ale dostał, ale dostał — rozległo się radosne wołanie.

Nad cielskiem ogromnego dzika stał młody, najwyżej ośmnastoletni chłopak, z trudem wyciągając głęboko wbity oszczep,

Cała twarz śmiała mu się radością wielką, a jego płowe włosy, podnoszone podmuchem wiatru drażniły go, muskając po szyi, to znów opadając na czoło wyniosłe.

— No, no — dziwił się starszy trochę od niego młodzieniec, który usłyszawszy radosne wołanie przybiegł tutaj.

Stali chwilę jeszcze, podziwiając ogrom zwierza, wreszcie młody zatroskał się:

— Co zrobimy z nim teraz?

— Oj, Szczeku, Szczeku — zaśmiał się drugi. Umiałeś ubić takiego zwierza, a teraz nie wiesz, co zrobić?

I poklepał po ramieniu młodego.

Byli to dwaj bracia, którzy z rodem całym wywędrowali ze Śląska na Mazowsze, by w jego głębokich borach skryć się przed groźnemi wojskami Czechów i Niemców. Był to czas, gdy Polska, po śmierci Mieszka II tonęła w morzu krwi, zalana zewsząd wrogami. Już nie tylko Niemiec, nie tylko Czesi i Rusini, ale nawet Duńczycy napadli na pograniczne ziemie Polski i grabili, a palili, a niszczyli wszystko.

Więc mnóstwo ludzi uciekało z domostw swych, zostawiając je na łaskę losu, byle tylko życie zachować i dzieci swoje.

Kiedy więc do osady, noszącej od rodu, tam mieszkającego miano Gecz, przyszła wieść, że Czesi, którzy już Gniezno zajęli i katedrę splądrowali, każą całym opolom przesiedlać się do Czech, wtedy część rodu postanowiła uciekać na Mazowsze.

Starszy syn, Imisław, zastępował ojca młodszemu rodzeństwu, siostrom Bronce, Dobrogniewie, Wandzie i bratu Szczekowi, był też opiekunem starej matki, którą nadewszystko miłował i cenił wedle starej ojców cnoty.

Chociaż więc niewiele starszy od Szczeka, doznawał poszanowania, jakby ojcem był rodziny i wszelkie jego życzenie uważano za rozkaz, któremu sprzeciwić się i oprzeć nie wolno.

I teraz stał obok brata, ciesząc się z jego zręczności i siły, ciesząc się nawet z jego zakłopotania.

— Więc cóż będzie? — spytał z uśmiechem.

— Pomóż mi zaciągnąć go do naszych — prosił Szczek pokornie.

— Ja ci co innego poradzę. Odrąbmy tylne nogi i zanieśmy matce. Reszty i tak nie będziemy jedli, bo dzięki Bogu jeść co mamy, a jeśli zechcesz, to przyciągniemy do ogniska wszystko.

Tak też zrobili jak radził Imisław.

Za chwilę, wesoło wykrzykując, doszli do miejsca, gdzie przy rozpalonem ognisku siedziały cztery kokiety, piekąc ryby, Imisławowy zapewne łup.

— Dobrze, że idziecie, ucieszyła się matka. Jadło gotowe, czeka na was. Gdyby tak owsa trochę, upiekłabym wam placek, ale na to poczekacie, aż czasy będą spokojniejsze i do domu wrócimy naszego.

— Oj, żeby to prędko przyszło — niepewnym głosem dorzuciła najstarsza Bronka.

— Przyjdzie, gdy Bóg da — uczyła ją wiary matka.

— Tak długo już biedujemy — skarżyła się Wanda, mająca najwyżej 12 lat, ale patrząca bystremi, czarnemi oczyma, które pamiętały niejeden straszny obraz z tych czasów.

— Nie narzekaj, nie narzekaj — upominała ją matka. Pamiętasz obraz tej wsi spalonej, nie pomnę jak się ona zwała i rozwalony kościół i trup księdza przed nim. Nasz los lepszy. Uszliśmy razem, jesteśmy wszyscy, to może Bóg i nadal opiekować się nami będzie.

— Czy to prawda, mamo, — pytała Dobrogniewa — że w całej Polsce zniesione kościoły, a sąsiedzi nasi znowu bogi leśne czczą, jak za pogańskich czasów?

— Prawda, dziecko. I prawda, że nieprzyjaciele ze wszystkich stron na Polskę napadli, bo niema komu rządzić nami. Prawowity następca króla Mieszka gdzieś wśród Niemców, w klasztorze mówią, zamknięty, a lud podburzony spalił kościoły i pozabijał kapłanów.

— To Bóg może nas wszystkich ukarać za to.

— Już karze — zawyrokował Szczek, który spokojnie pod drzewem usiadł i wpatrywał się w matkę zasmuconą.

— A ja słyszałem — odezwał się Imisław — że właśnie syn naszego króla, Kazimierz, już do Polski się zbliża, aby na ojcowym tronie zasiąść i pokój sprowadzić i pokarać tych, którzy ognie wzniecali i mord szerzyli wokoło. Oj popłynie jeszcze krwi dużo, ale to już za karę.

— Jak my już dawno z domu wyszli? — pytała Bronka.

— Bardzo dawno, córko, nie pamiętam, ile to już lat będzie. Powiedz, Imisławie — zwróciła się do najstarszego.

— Już 5 lat minęło. Wanda jeszcze małą była dziewczynką, o taką — i pokazał ręką. A kiedy narzekała, że zmęczyła się, wtedy brałem ją na ręce — ot tak — tu chwycił siostrę — i niosłem ją, aż nieraz usnęła mi na rękach.

— No, ja już duża jestem — protestowała Wanda, ale objęła go za szyję rękami i przytuliła twarz do jego twarzy.

— I tak uciekaliśmy — opowiadał dalej Imisław i począł biedz wśród drzew.

— Poczekaj — krzyknęła Wanda — mamę zostawiliśmy— i zdawało się, że jest przerażona, jakby to rzeczywiście była jedna z tych strasznych chwil, gdy wśród płonących siół skradali się lasami.

On zaś z uśmiechem zawrócił i do matki pobiegł, która oboje ich rękami objęła i całując obie głowy mówiła:

— Byliśmy szczęśliwi i da Bóg będziemy jeszcze, u siebie, pod własnym dachem i we własnej chacie.

— Będziemy, matko — uradował się Szczek i podbiegłszy, ręce jej pocałunkami okrywał, a potem do sióstr pod drzewem siedzących poskoczył, by z niemi się pieścić, by i im radość się udzieliła i ta nadzieja i wiara, że wrócą lepsze czasy, dobre czasy.

Na nową siedzibę.

Na święto wielkie biją dzwony, świątecznie biją, uroczyście. A dźwięk ich donośny od budującej się świątyni, jeszcze niedokończonej biegnie polami nad Odrę szeroko rozlaną i po falach jej płynie na daleki zachód, roznosi wieści po całym, wielkim Śląsku.

A wewnątrz brzmi świątynia śpiewem, jarzy się mnóstwo świec, a kadzidła woń wydostaje się aż na podwórzec rozległy, gdzie tłumy ludu stoją z odkrytemi głowami i żarliwie i serdecznie się modlą.

— To już u nas będzie biskup?

— Odtąd we Wrocławiu biskupstwo? — idą szepty wśród ludu — a potem kiwnięcie głową sąsiada i znowu żarliwa modlitwa.

Nagle, jakby wiatr powiał — pochyliły się głowy i z szumem zachybotał się tłum, na kolana padając.

Cisza zrobiła się wielka, tylko lekki dźwięk dzwonka doleciał z wnętrza kościoła. Pochyliły się głowy kmieci, pochyliły się głowy kobiet, przybrane we włosy u dziewcząt, strojne w białe czepki u kobiet.

I szept modlitwy szedł cichy, szept pobożnej, cichej modlitwy.

A nad wszystkiem radość unosi się wielka, czuć ją w powietrzu, wyczytać ją można w obliczu każdem, w biciu się w piersi, w ruchu każdym prawie.

Modlą się — i radują zarazem, biją się w piersi — a uciecha w nich wre i wesele nadmierne.

Wtem szmer się robi, rośnie coraz bardziej, lud porywa się z kolan, na dwie rozstępując się strony, w dwa mury zbite, ściśnione zmienia się. Po jednej stronie mężczyźni — po drugiej jedna przy drugiej, gęsto stoją kobiety.

Szmer rośnie, w gwar się przemienia powoli, przez chwilę wrzawa się zrywa, a potem cichnie, cichnie, jeno usta się wszystkich ruszają, bezwiednie wyraz jeden powtarzając:

— Król — król.

I orszak się zjawia wspaniały u drzwi świątyni.

I nie wiesz, czy większy blask bije od strojnych szat rycerzy, czy taka światłość się rodzi od złotych łańcuchów książąt kościoła, czy też ten blask z lic wszystkich się rozchodzi, z twarzy jaśniejących słonecznem rozradowaniem, wiosennem weselem.

I w tej chwili łamie się tłum, szlochanie słychać i cisną się wszyscy do niego i szatę jego całują i kolana jego ściskają, wołając w nieziemskiej radości:

— Pan nasz, pan nasz, król!

On zaś stoi wysmukły wśród nich, wśród tłumu kornie schylonych głów, z brodą długą, na piersi spływającą, z odkrytą głową o bujnych kędziorach i tuli chylące się głowy i pieści je ręką królewską.

— Dzieci, dzieci — szeptają jego wargi—korale.

I powoli płynie wśród tłumu, każdemu przystąpić pozwala i serdecznie się do nich uśmiecha, przez łzy na radośnie płaczących spogląda.

Za nim zaś orszak się sunie wspaniały: biskupi w szatach pontyfikalnych z pastorałem każdy, prałaci i kanonicy w fjoletach kosztownych, rycerze w stal zakuci, a wszyscy weseli, wszyscy rozradowani.

Doszli tak tłumem na miejsce, gdzie stoły zastawiono długie, a służba misy roznosi dymiące, a beczki wytacza z winem.

Opierał się Stefan, arcybiskup gnieźnieński, lecz król Kazimierz rozkazał:

— Niech lud ze mną zje ucztę, niech będzie blizko mnie raz w życiu.

I tak się stało.

Na uroczystość przeniesienia stolicy biskupiej z Byczyny do Wrocławia ucztę wyprawiono dla ludu całego.

Pod gołem niebem zasiedli przy stołach dostojnicy państwa i kościoła, a dalej szary tłum kmieci z Wrocławia i okolicy.

Kiedy zaś nalano wina w kielichy, powstał arcybiskup gnieźnieński Stefan, który jedyny z wyższych duchownych pochodził z polskiej rodziny, więc po polsku umiał mówić i tak rozpoczął:

— Święto dzisiejsze, to nie tylko święto kościoła, ale i tej polskiej naszej ziemicy. Po dniach klęski i walk okropnych, po latach głodu i niebezpieczeństw wszelakich, tyś nam królu sprowadził chwile wytchnienia i dałeś nam zakosztować dobrej doli. Tę oto krainę, Śląsk, odebrałeś Czechom, na Mazowszu własną ręką wypędzałeś wrogów Polski i wrogów kościoła i zmusiłeś buntowniczego Masława, który chciał Mazowsze od Polski oderwać, precz wyjść z granic państwa twojego. Lecz po latach krwawych zmagań nie ustałeś w trudzie, a pragnąc przywrócić dobrobyt i odbudować zburzone świątynie pracy się oddałeś, za którą nikt z nas godnie podziękować ci nie zdoła. My, słudzy Kościoła Bożego, jeno tyle przyrzec ci możemy: w modłach naszych błagać będziemy Pana nad Pany, by ci zbożną twą pracę jak najdłużej pozwolił uprawiać, a gdziekolwiek nam służbę przeznaczysz ze wszystkich sił naszych i ze wszystkiej mocy starać się będziemy, by rozkazaniom twoim i rozkazaniom Bożym służyć.

Zakończył arcybiskup gnieźnieński, a zaraz wstał biskup wrocławski, Hieronim, który jako Włoch po łacinie tylko mógł tutaj mówić.

— Ja — mówił — dzięki tobie królu Kazimierzu, słusznie Odnowicielem zwany, dzisiaj gospodarzem tu jestem, gospodarzem świątyni tej nowej i pasterzem ludu tego, który po chwili zapomnienia do wiary się świętej nawraca i znowu Bogu prawdziwemu chce służyć. A jako wiem, iż pragniesz, by lud ten czuł twoją ojcowską opiekę, tak dzisiaj ślubuję ci, że po dzień każdy pamiętać będę, jakom tu postawiony, by wiary w Boga uczyć i czci dla ciebie. Dałeś mi, panie, wspaniałą siedzibę

i uposażyłeś ją wedle twej królewskiej hojności, więc służyć ci będę jako pragniesz i służyć temu ludowi, który kochasz.

Kiedy zaś wstał król, cisza się stała wielka, a lud kołem się zbliżył do tego wyższego stołu, bo wiedział, że król i dla nich coś powie i tak, by i oni zrozumieli.

— Przybyłem do ziemi ojców moich, zroszonej krwią bratobójczą, zniszczonej walką wewnętrzną i napadami sąsiadów. Ale najgorsza rana to były zburzone kościoły, to był zburzony porządek tego państwa. Lecz polski nasz lud chyba zapomniał się, chyba nie wiedział, co czyni. Bo patrzcie — jak radośnie z nami się cieszy z wzniesienia świątyni polskiej — bo widziałem, jako z klasztorów przezemnie stawianych, jako z kościołów, które z gruzów podnoszę, cieszy się i raduje. Więc pragnie on słowa Bożego, więc pragnie wiary i tej nauki którą kościół mu niesie. Nie wierzcie tym którzy mówią, że lud ten niedobry, nieufny. Jeno wy miejcie dla niego dobre serce, jeno wy go kochajcie, a uczcie, a wychowujcie i żyjcie z nim. I tego wam wszystkim i tobie, biskupie Hieronimie życzę, byś się zżył z tą owczarnią twoją i dobrym, a nadewszystko kochającym był dla niej pasterzem, bo wtedy miłość zakwitnie w sercach waszych i dobro nastanie w tej ziemicy mojej. Wy zaś— tu zwrócił się do ludu — zwracajcie się do swych pasterzy, bo wiedzcie, że i Bóg i ja tutaj ich stanowię, by wam w doli ulżyć i by wam lepsze stworzyć czasy. Co oby rychło, oby jaknajlepiej się stało. Tak wam życzę wszystkim, jako ojciec, gdy córce gody weselne wyprawuje. Żyjcie w szczęściu a w jedności i zgodzie prawdziwej.

I wzruszony król, zwracając się do rzeszy ludu, wychyli kielich.

Oni zaś ku niemu znowu przypadli i całowali kolana jego i szaty jego królewskie.

I było święto wielkie i radość ogromna, jakiej dawno, dawno nie znała śląska, krwią ociekająca ziemica.

A na świecie cisza panowała, jakby nawet ptaki, nawet wiatr jesienny zatrzymał się, by to wszystko słyszeć, by jednego nie uronić słowa.

Smiały król.

— Mikołaju! Byłeś w Proszowicach?
— Byłem.
— Co przywiozłeś?
— Pan rychło wrócą.
— Co? — zerwała się pani na Zemboczynie, kobieta może trzydziestoletnia, piękna, jak kwiat polny, rozkwitły w słońcu wiosennem.
— Naprawdę? — pytała z niedowierzaniem.
— Tak mówią — tłumaczył się sługa.
— Opowiedz no wszystko, opowiedz. Zosiu, Marjo — zawołała głośno, podniecona.

Na wołanie to przybiegło dwoje dziewcząt, jedna do drugiej bardzo podobna, jakby bliźniętami były.

— Co się stało — pytały zaciekawione.
— Może Jan przyjedzie, cieszcie się ze mną.
— Skąd wiesz?
— Mikołaj opowie.
— Nie krzycz tak, jeszcze nic nie wiemy.

Ochłonęła na chwilę pani Margareta, którą musiała wzruszyć ta wiadomość.

W 1074 r. w zapusty wyszła za mąż za Jana z Zemboczyna, a w niespełna pół roku rozkaz króla Bolka, Śmiałym zwanego, powołał młodego męża pod broń. I oto już trzeci rok oczekuje jego powrotu i oczekuje napróżno,

Więc kiedy dzisiaj dostała wieść, że może nadeszła owa

upragniona chwila, nie posiada się z radości i nie może wprost zapanować nad wzruszeniem, które jej piersi rozpiera.

— Janek wróci, Janek wróci — woła w niej serce każdym ruchem swoim, wołają wszystkie nerwy i żyła i każda krwi kropla.

— No mów — rozkazała Zofja.

— Mówią w Proszowicach, że arcybiskup krakowski, Stanisław ze Szczepanowa, wysłał do króla z żądaniem, by wrócił z wojskiem. Bo to — powiadają — strach, żeby król ciągle i ciągle wojował. Odkąd wdział koronę, a będzie temu ze dwadzieścia roków, wciąż jeno krew leje, a leje, bije wrogów i bije, zajmuje coraz nowe miasta i nie widać nijakiego końca tego wojowania.

— Tak-ci jest. Dzielny jest nasz król, ale nam z tem ciężko.

— Ba — zżymał się stary Mikołaj — i narodowi ciężko. Bezeceństwa się dzieją okropne, ale co to panienkom o tem rozpowiadać.

— A cóż król na to?

— Król, wiadomo król. Jak chce, tak zrobi. Jemu się nie sprzykrzyło, to może i dalej zechce wojować.

— A cóż mówiłeś? — zasmuciła się pani Margareta.

— Jakże mam skończyć, kiedy mi wciąż przerywają — gniewał się dalej Mikołaj, który widać miał wielkie zachowanie w tym domu, skoro mu wolno było tak zrzędzić.

— No mów — zawołały razem wszystkie siostry, a Zofja skuliła się do ziemi, jakby w ten sposób chciała się obronić przed chęcią przerywania staremu.

— Co król na to, niewiadomo. Ale do Krakowa już dużo przyjechało wojowników, którzy nie mogli usiedzieć już gdzieś w Kijowie i na Wołyniu, daleko od żon i dziecisków. Więc ci, nie czekając na królewskie pozwolenie, uciekli poprostu i są już w domu, a tam straszne rzeczy. Ale to nie dla was.

— Boże, Boże, żeby on wrócił — modliła się młoda żona, podniecona nadzieją.

— — — — — — — —

Ranek już wstał świeży, chłodny, rzeźwiący.

Trzy postacie niewieście klęczały, modląc się głośno, gdy wtem usłyszały cwał konia.

Margareta, zapominając o modlitwie, szybko podniosła się z klęczek i poprawiwszy suknię, szła do drzwi, które nagle otwarły się, pchnięte silną dłonią i stanął w nich młody mężczyzna, wyższy o głowę od Margarety.

— Janek — krzyknęła żona i w tej chwili zawisła na jego szyi, łkając radośnie.

On zaś pieścił ją pocałunkami i głaskał po twarzy i w oczy patrzył, podnosił ją do góry, jak dziecko, nie posiadając się z radości.

Wtem spojrzał na Zofję i trochę oprzytomniał.

— A, panie siostry — zawołał i stawiając na ziemi żonę, przywitał się z należną uprzejmością z siostrami żony.

— Szwagrze kochany — witały go serdecznie — tak długo czekałyśmy wszystkie.

— Wojna nie matka — westchnął — i mnie tam było niewesoło. Ciągle spodziewałem się: jutro, jutro, a to jutro nie przychodziło.

I znów podbiegł do żony i znowu pieścili się, jak dzieci — serdecznie.

Margareta pierwsza ochłonęła.

— Śniadanie — zawołała i wybiegła, lecz za chwilę wróciła znowu.

— Nie gniewaj się, nie przygotuję wszystkiego sama, ale muszę na ciebie napatrzeć się, mój ty — a resztę oczyma dopowiedziała rozradowana.

— Dlaczego ten król niedobry tak was trzymał długo? — pytała odąwszy usta.

— Nie narzekaj na króla — bronił Jan — wojnę nie zawsze można rychło skończyć, szczególnie taką wojnę.

— Dużo zdobyliście?

— Pewnie że dużo. Całą ziemicę wschodnią wraz z grodem jej stołecznym. Gdybyś ty widziała te zapasy nasze, a król sam tak się rzucał w boju, zupełnie nie pamiętając o swojej osobie. To jest wojownik dopiero.

— Toś ty nie tęsknił do mnie?

— Tęskniłem dobro ty moje, ale przecie nie rozerwiesz

się. I widzisz, doczekałem się przecie tego szczęsnego dnia, że jestem z tobą i jestem za pozwoleniem królewskiem. Inni zaś będą jeszcze odpowiadali za ucieczkę, toć przecież oni jakby uciekli z pola walki.

— Kto?

— Ano ci, którzy bez pozwolenia wrócili do domu.

— A dużo takich?

— Oj dużo. Król tak się gniewał.

— A on straszny, jak się gniewa?

— Och! — wykrzyknął Jan i zapatrzył się, jakby sobie przypomniał jeden z tych przykładów srogości króla.

— Gdy łaskawy, to wszystko z nim zrobisz, ale jak się rozgniewa — biada temu, na czyją głowę jego gniew spadnie.

— Bogu dzięki, że na twoją nie spadnie — przytuliła się do niego Margareta i tak trwali w uścisku, rozradowani sobą, nie żałujący już chwil rozłąki.

— A słyszałaś, co działo się w domach wojowników pod ich nieobecność? — spytał, gdy Zofja i Marja wyszły z pokoju, chcąc młodym zostawić swobodę.

— Słyszałam — spuściła oczy — ale tylko od Mikołaja, bo przez dwa lata nie wychodziłam krokiem z domu, chyba do kościoła i z powrotem.

— Jakto?—spojrzał zdziwiony. — Nigdzie nie byłaś? Nawet na zakupach w Proszowicach?

— Nie.

— I u matki swej nie byłaś?

— Nie.

— Patrzył przez chwilę na nią, potem wstał i powoli, powoli ukląkł przed nią i objąwszy ją za kolana, trwał w cichej, bezsłownej podzięce.

Ona zaś ręce na włosach mu złożyła i wargami spoczęła na nich radosna, szczęśliwa nad wyraz.

Pasowanie na rycerza.

Smutnie zakończył się ten dzień dla księcia polskiego, Władysława Hermana. Pragnął synowi swojemu, Bolkowi, gody wyprawić rycerskie, zaprosił gości wielu, możnych panów i książąt zagranicznych — aż oto zamiast uczty radosnej, smutek pozostał.

Młody, piętnastoletni syn, na wieść o napadzie Prusaków, wyrzekł się nawet oznak rycerskich, a pobiegł bronić zamku Santok, na granicy Polski i ziemi, zamieszkałej przez buntowniczych prusaków.

Ciężkim krokiem szedł Władysław, podpierając się kosturem, a obok niego kroczył Mściwój, który, po wypędzeniu Sieciecha, zajął miejsce przyjaciela Władysławowego.

— Tak i 19 lat temu, gdy w r. 1081 przyjąłem na siebie obowiązek rządzenia tą ziemią, chmurnie patrzyło na mnie słońce i zimnem przyjął mnie ten świat. I tak zostało.

— Ej, książę — pocieszał go Mściwój — przecież zrobiliście w życiu niejedno dobre, a smutków i zmartwień tak dużo nie mieliście,

— Jakto? — przystanął Władysław — a ciągła walka z własnymi synami, a pozbawienie mnie prawdziwego przyjaciela Sieciecha, małe to zmartwienie, mała zgryzota? I jeszcze, żeby to kto inny zgotował, ale własne dzieci, ale Zbyszko i Bolko, których tak ukochałem.

— Przecież Sieciech zdradę knuł przeciw wam.

— E, nie powiadaj — rozgniewał się Władysław — wyszukaliście to, aby mnie pognębić.

Taki był rozżalony, że wprost mówić z nim nie było można. A na twarzy widoczne były ślady ciężkiego życia i wielu strapień. Zmarszczki ją pokryły, a siwizna, mimo 57 lat życia dopiero, pobieliła zupełnie jego głowę, wąsy tylko zostawiając rudawe i brodę miejscami jeno białą.

Doszli już w milczeniu na szczyt wzgórza, skąd cudowny roztaczał się widok na Wisłę niebieską, która wodami swemi otoczyła wzgórze z zamkiem książęcym, na pola rozległe i w dali czerniejące lasy z staremi drzewami, z starymi dębami.

Książę patrzył przed siebie, a wtem chmury rozdarły się i wypłynęło jasne, prześliczne i gorące słońce południa.

— A widzicie, słońce przyszło — ucieszył się Mściwój.

Książę podniósł oczy i uśmiechnął się. Przypomniały mu się boje rycerskie z Pomorzanami i Prusakami, przypomniało mu się odebranie zbrojną ręką Wrocławia, zagarniętego przez Czechów i pod wpływem tych wspomnień poweselał trochę.

— Robiłem, co mogłem, a nie wszystko źle.

— Mówiłem wam, że dużo dobrego robiliście. A w ciężkie czasy chwyciliście rządy w ręce, w bardzo ciężkie.

I znowu zamilkli, przytłoczeni smutkiem.

Mściwój kilka razy otwierał usta, ale widocznie nie śmiał mówić o tem.

— Co się z nim stało? — raczej do siebie powiedział Władysław.

— Mieliście jakie wiadomości? — spytał Mściwój.

— Nie, żadnych nie było.

— Wiecie, książę — zdecydował się wreszcie Mściwój — mnie się jednak zdaje, że tego król Bolko nie zrobił.

— Czego? — zbudził się z zadumy Władysław.

— No, wiecie czego. On nie zabił biskupa krakowskiego, św. Stanisława.

Władysław Herman popatrzył na starca ze zdziwieniem i nic nie odrzekł.

— Porywczy był król — ciągnął dalej — ale tego przecie nie zrobił, aby własną rękę na świętego męża i biskupa podnieść.

— Dałby Bóg, aby tak było — zgodził się Władysław.

— Ciężkie to były dni — opowiadał cicho. — Wszyscy krzyczeli: zabójca, zabójca, na niego chcieli wysłać katów, a ja w tem wszystkiem i ust otworzyć nie śmiałem. Przecież bratem był moim.

— Straszny dopust boży.

— I nie wiem odtąd, czy żyję, czy może w nędzy gdzieś ginie, czy może Bóg już go uspokoił i pozwolił mu przed sobą na sąd stanąć.

Oparł się o mur kamienny i w fale Wisły patrzył, myśli ze sobą tylko snując.

— Chodźcie, książę do zamku, tam goście są — przypomniał Mściwój.

— Bawi ich tam biskup — tłumaczył się — ale zresztą pójdźmy. Może w gronie licznem będzie nam weselej i swobodniej.

I poszli na zamek.

— — — — — — — — — — — — — —

— Zwycięztwo — zwycięztwo — woła ciżba ludu, tłocząc się w stronę zamku książącego, dokąd dążył Bolesław młody w otoczeniu rycerzy, prowadząc za sobą łupy zdobyte, a dalej setki powiązanych łykami Prusaków.

Okrzyki wywabiły z komnat starego księcia i duchownych i gości zagranicznych i wielmożów, którzy na zamku płockim się zebrali.

Władysław Herman, nie posiadając się z radości, podbiegł do Bolka, który zeskoczył z konia, a ukląknąwszy przed ojcem, witał go, pokornie w rękę całując.

A już słudzy Bolkowi znosili przed Władysława łupy bogate, wspaniałe zbroje, makaty strojne, mnogie naczynia — wszystko z obozu pruskiego.

— No chodź, chodź, umyj się, bo na uroczystość pójdziesz zaraz.

Podniósł się Bolko z klęczek, a jego wykrzywione cd urodzenia usta rozchyliły się w uśmiechu.

Dopiero teraz przypomniał sobie, iż szata jego krwią okryta, że krople posoki wrogów i jego na twarzy niezmyte czerwieniły się okropnie.

Jakoż za chwilę do kościoła udali się wszyscy, a tymczasem przed katedrą umieszczono krzesło, na kilku stopniach i rozścielono na nich świeżo zdobyte dywany.

Po nabożeństwie wysypał się naprzód lud, a potem tłum zbrojnych mężów, wreszcie na końcu samym wyszli: biskup Filip, od roku w katedrze płockiej rządzący i Marcin, arcybiskup gnieźnieński, prowadząc między sobą Władysława Hermana, dalej za nim postępowali goście dostojni, od kilku dni czekający na ową uroczystość, na którą ich tutaj zaproszono.

Władysław wstąpił na tron i usiadł w nim.

Zaraz też przywołał Bolka.

Chłopak, rozpromieniony od uczucia szczęścia, rozumiejąc ten zaszczyt, jaki go spotykał, śmiało ruszył ku ojcu, któremu w tej chwili Mściwój podał miecz, na złotym pasie zawieszony i złote, oddawna gotowe ostrogi.

Bolko ukląkł na jedno kolano i mając głowę do góry wzniesioną, powtarzał słowa rycerskiej przysięgi, głosem równym, śmiałym:

— Ja, Bolko, przysięgam w obliczu Boga, Kościoła i was, przezacni rycerze, jako odtąd wiernym pozostanę przykazaniom religii naszej, posłusznym Kościołowi i memu władzcy. Ślubuję walczyć z niewiernymi, służyć wszelkiemi siłami królowi memu i ojczyźnie, roztaczać opiekę nad wdowami i sierotami. A gdybym tego nie spełnił, niechaj mnie sądzi Bóg i wy, przezacni rycerze. Tak mi Panie Boże dopomóż—amen.

W tej chwili uderzył go Władysław w twarz, mówiąc:

— Przyjmij ten ostatni w życiu twem policzek i pierwsze rycerskie uderzenie.

Tu spuścił na jego ramię miecz trzymany, a kazawszy mu powstać, przypasał do jego boku miecz na złotym pasie, a na buty wetknął złote ostrogi.

Wtedy ucałował go z obu stron na znak, że uważa go za równego sobie i jako takiego wita.

Następnie każdy rycerz witał się z młodziutkim rycerzem, tymczasem zaś Władysław, kazał przystępować innym młodzieńcom, którzy wraz z Bolkiem na wyprawie byli i za od-

znaczenia w rzemiośle rycerskiem, obecnie dostępowali tego najwyższego dla nich zaszczytu.

Po uroczystości zaś ucztę wyprawiono wspaniałą i gonitwy rycerskie i zabawy, w których piętnastoletni rycerz zyskiwał sobie ciągłe pochwały.

Tak zaczął się żmudny w przyszłości, rycerski żywot Bolesława Krzywoustego.



Katedra arcybiskupia w Gnieźnie.
(Arcybiskupstwo założone w r. 1000 przez Bolesława Chrobrego).

W Głogowie.

— Mamo, dlaczego taki gwałt w mieście? — pytała o-śmioletnia Regina, córka mieszczanina głogowskiego, Emeryka.

— Bo wojna jest, dziecko — odpowiedziała matka, krzątając się się dalej przy ogniu, na którym ustawiła niedawno wraz z mężem duży kocioł wody.

— A dlaczego wojna jest? — pytało dalej dziecko.

— Bo Niemcy chcą zabrać Śląsk dla siebie.

— A Głogów, to nie Śląsk? — rozumowała dziewczynka, wodząc oczyma za matką.

— To kawałek Śląska.

— Aha, więc i nas chcą zabrać?

— Tak.

— A dlaczego nas król nie broni?

Lecz nie odpowiedziała jej matka, ponieważ w tej chwili otworzyły się drzwi i weszło trzech mężów.

— Gotów? — spytał jeden.

— Zaraz będzie — odparła kobieta.

A Regina już chwyciła ojca za rękę i powtórzyła ostatnie pytanie:

— Dlaczego nas król nie broni?

— Bo król Bolesław daleko, na Pomorzu. Ale przyjdzie, nie bój się, przyjdzie.

— Ja się nie boję — przytuliła główkę do kolan ojca — tylko chcę wiedzieć.

Wtem otwarły się drzwi i gość jakiś, nie wchodząc do środka, zawołał:

— Emeryku, chodźcie zaraz.

Gdy wojna się toczy, nie można się pytać o wszystko, tylko robić trzeba. Więc Emeryk wyszedł, kazawszy poczekać na siebie.

Dawno zagotowała się woda w kotle, którą miano wylać z murów miasta na oblegających Niemców, Regina zaznajomiła się już z oboma towarzyszami ojca, synami dwóch znacznych mieszczan, a Emeryk nie wracał.

Po godzinie dopiero zjawił się, a blady był bardzo i wzruszony.

— Co się stało? — spytała spokojnie żona.

Ciężko usiadł na ławie i po chwili opowiadał:

— Przysłał cesarz Henryk V. posła od siebie, wyprawił go do nas, byśmy miasto poddali.

— I cóż wy? — przeraziła się żona.

— Poprosiliśmy o pięć dni zawieszenia broni. Cesarz zgodził się, ale pod strasznym warunkiem.

— No?

— Kazał dać dzieci najznaczniejszych mieszczan na potwierdzenie, że po 5 dniach, jeżeli nie przyjdzie nasz król, oddamy mu miasto.

Cisza zaległa, jak, gdy w domu ktoś kona, jak kiedy czuje się zbliżanie śmierci, zbliżanie się ostatniego tchnienia kogoś bardzo drogiego.

— Dacie? — zmienionym głosem pytała matka.

— Bić się nie można, mur w 3 miejscach wyłamany. Musimy naprawić go.

— — — — — — — — — — — — — — —

W obozie niemieckim rycerze otoczyli gromadkę zalęknionych bardzo dzieci, nie rozumiejących prawie, dlaczego tutaj je rodzice posłali.

Dwoje było najstarszych wśród tej gromadki: Regina, córka Emerykowa i dziesięcioletni Konrad, syn wójta głogowskiego, Ottona z nad Renu. Reszta, to były maleństwa 6 — 7-letnie, a nawet mała czteroletnia Aldona, która chwyciła za rękę

imienniczkę swą, prawie dwa razy od niej starszą, Aldonę, córkę Wszebora.

Regina, pamiętając niedawną rozmową w domu, pocieszała płaczące dzieci:

— Nie bójcie się, przyjdzie król Bolesław, on nas nie pozwoli zabrać.

Lecz dzieci, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, płakały dalej, przerażone tylu groźnemi, obcemi sobie postaciami.

W gronie zaś rycerzy żartowano sobie z dzieci i śmiano się z ich przestrachu, dwóch zaś, najbliżej stojących żołdaków, straszyło je, zbliżając do nich twarze groźnie wykrzywione.

Wtem roztrącił żołnierzy młody Winrych i przedostawszy się do dwóch dowcipnisiów, chwycił ich za ręce, a obróciwszy na miejscu, wyrzucił za koło stojących.

— Co to jest? Co to jest? — oburzali się zaczepieni.

— Nauka, abyście dzieciom nie dokuczali.

— My ci damy, nauczycielu nieproszony — grozili opiekunowi małych zakładników.

— Znalazł się — szemrali ciągle.

Winrych, jako że był gwałtownym z natury, poskoczył do nich.

— Chcecie jeszcze, chcecie?

I niezawodnie polałaby się krew, gdyby towarzysze nie rozdzielili zwaśnionych.

I pod opieką Winrycha zostawały odtąd dzieci, bezpieczne przynajmniej od przykrych dowcipów barbarzyńskich żołdaków.

Piątego dnia odwołano Winrycha od dzieci, bo przyszedł rozkaz co do nich.

Poprowadzono dzieci tam, gdzie bitwa toczyć się miała już wkrótce.

I przywiązano je do oblężniczych machin, na które skierować się miały pociski obrońców Głogowa, nie chcących złamać wiary swemu prawowitemu władzcy.

A dzieci w niemej rozpaczy spoglądały na mury Głogowa, rozpoznając może twarze ojców swoich, którzy teraz mieli do wyboru — nie bronić się dalej — albo przeciw własnym swoim dzieciom wysłać śmierć niosące pociski.

Nawet szyderczy śmiech na wargach niemieckich zamarł,

gdy nagle krzyk dał się słyszeć — krzyk rozpaczy ojców, a tam, za szeregami krzyk trwogi niezwykłej.

I nagle z murów rzucili się Głogowianie i w walkę się wdali straszliwą, wydzierając gołemi rękami oręż zbrojnym Niemcom. Porwali się szałem potężni i szałem silniejsi od Niemców, bardziej hartowni, niźli stal, która ich zwierzęce serca okryła.

Ale hałas z tyłu rośnie, zbliża się i nagle bucha okrzyk rozpaczny:

— Bolko, Bolko!

A okrzyk ten chórem najcudniejszym wydał się Głogowianom, stał się dla nich, jako gra organów przecudna w dzień świąteczny, uroczysty, słońca pełen i radości.

I z hańbą, w rozsypce, uciekli Niemcy wraz z cesarzem swoim, Henrykiem.

Bolko zaś Krzywousty, uradowany, że na czas jeszcze zdążył przybyć, opatrzywszy załogę miasta i posiliwszy się trochę, ruszył w ślad za Niemcami, którzy chcieli zmylić pogoń, rozpuszczając wieść, że pod Kraków dążą.

I znów pod murami Wrocławia, stolicy księstwa Śląskiego zmierzyły się polskie wojska z Niemcami, którzy na pomoc sobie przyzwali i Czechów i Morawian i Lutyków zdradnych.

Lecz, w chwili, gdy hufiec polski ruszał do ataku, gdy pochyliły się już rycerskie postacie na koniach, krzyk rozszedł się, przypomnienie.

— Bić dzieciobójców!

I wichr gwałtowny, wpadłszy w suszą zniszczone łany zbożne, nie zrobi większego spustoszenia, jak owo, które polskie szeregi i polskie niosły szablice, druzgocąc w proch potęgę cesarza.

On zaś, po chwilowym oporze, owinął się opończą i rzuciwszy nawet miecz, uciekał śpiesznie, uciekał haniebnie.

A trupy niemieckich rycerzy, niepochowane, bo rycerstwo uciekających goniło, psom zostały na ucztę, psom na pożarcie.

I od tego, dla niemców strasznego roku 1109 „Psiem polem“ zwie się równina, pod Wrocławiem rozległa.

Związana z nią pamięć haniebnej ucieczki cesarza niemieckiego, Henryka V; jego wojska niemal całego, związana z nią klęska okropna Niemców i jeszcze większa hańba.

Bo wszyscy wierzyli, że to nie ludzie, nie Polacy, a Bóg sam karzącą dłonią starł wojskową potęgę tych, którzy ani dzieci głogowskich, ani miłości rodzicielskiej, w serca ludzkie od Boga wlanej, nie zdolni byli uszanować.

Tak za okrucieństwo straszne — hańbę tylko zyskali i klęskę na „Psiem polu“.

Przeciw braciom.

— Panowie rada — mówił Władysław, najstarszy syn Bolesława Krzywoustego do biskupów i baronów, których zwołał na zamek krakowski w 1142 roku — nijak mi nie przystoi tak małą rządzić dzielnicą, jaką mi ojciec przeznaczył. Mnie Śląsko z tą krakowską ziemią i Pomorzem nie wystarcza. Muszę mieć całe państwo, jako je miał mój ojciec Bolesław Krzywousty, mój dziad Władysław Herman i pradziadowie moi. Nuże więc, radźcie, czy podoba wam się mój zamysł, by bracia mnie oddali swoje dzielnice, ja zaś im dam wyposażenie, a jeśli nie chcą, niechaj za granicami Polski fortuny szukają.

Skończył Władysław i powiódł okiem po zebranych, którzy milczeli, nie śmieli nawet oczu podnieść na tego, który zwierzchnikiem był ustanowiony nad całą Polską i nad wszystkimi braćmi i ich dzielnicami.

— Mówcie szczerze — zachęcał wielki książe.

— Rada rzecz trudna — odezwał się jeden z wojowników Niechaj wpierw bracia wasi powiedzą, co o tem myślą.

Rozległy się oklaski na znak, że obecni popierają myśl mowcy.

Nie długo też czekano na sąd braci.

Mieszko, jakkolwiek młodszy od Bolesława, Kędzierzawym zwanego, ponieważ zawsze był porywczym i nie umiał nad sobą panować, zaraz począł mówić:

— Brat nasz i książę chce nam poprostu odebrać panowanie A po co jest mu to potrzebne? Czy nie wystarczą mu jego dzielnice, a ma ich więcej, niż każdy z nas. Przecie Bolko

ma tylko Mazowsze, ja dzierżę Wielką Polską, a Henryk zaledwo Sandomierz. Więc chyba nam się krzywda dzieje, a najbardziej najmłodszemu z nas wszystkich, Kazimierzowi. Ale brat Władysław nie zważa na to, jego nie obchodzi ile kto ma, jeno mówi nam tutaj, byśmy ze swoich księstw ustąpili, a jemu oddali rządy. Wiem-ci ja, iże nie jego jest to wola i on się z tem nie kryje. Jest-ci tutaj ta, która oną niezgodę w nas zasiać chce. Jest i nie wstydzi się nawet tu przychodzić, choć nieprzystojną jest rzeczą niewieście między mężów przychodzić i do rady się wtrącać.

Pomruk rozszedł się po sali, bo chociaż nie lubiano Krystyny, żony Władysławą, a córki cesarza niemieckiego, przecież nie wolno było Mieszkowi występować przeciw żonie brata i to brata starszego, mającego nad nim władzę.

Zaraz też porwał się z miejsca Władysław i z ogniem w oczach ciskać począł w Mieszka:

— Tylko ty mi zamilknij, bo przebóg, co złego ci zrobię, ty odrodku, ty poganinie! Nad tobą mnie ojciec postawił i tak czynić będziesz, jako ja zechcę, albo precz mi z państwa i z ziemi.

Zanosiło się na burzę, która zapewne nie na słowach byłaby się skończyła, gdyby nie powaga zebrania, na którem było przecież wielu najmożniejszych, było 7 biskupów i wielu wyższych duchownych.

Zaraz też biskup krakowski podniósł rękę, a ponieważ po polsku słabo mówił, więc często wtrącając wyrazy łacińskie, uspokajał braci.

— Nie wolno wam powstawać przeciw sobie, ani w gniew wpadać, bo jest to przeciw Chrystusowym przykazaniom. Wyrzeknijcie, co sądzicie o sprawie, my zaś potem swoje głosy dodamy.

Spokojniej więc toczyły się dalej obrady.

— Mnie — mówił Bolesław Kędzierzawy — nie pytajcie lepiej o zdanie. Nie mogę ja się zgodzić na odjęcie mi władzy wszelkiej i dzielnicy mojej, którą w spadku po ojcu i na jego wyraźne życzenie otrzymałem. Nie dziwuję się ja Mieszkowi, iże tak rozgorzał, bo i z was każdy oburzyłby się, gdyby mu jego ojcowiznę zabrać chciano, gdyby go wypędzono

z własnego domu. Ja nie zgodzę się na to, co brat Władysław chce zrobić, bo to na szkodę nam wszystkim.

Wówczas księżna Krystyna zapragnęła swoje zdanie wypowiedzieć.

— Nie po to mnie ojciec mój, cesarz całego państwa niemieckiego, Władysławowi za żonę oddał, bym niedostatek znosić miała. Wyszłam za mąż za tego, który nad Polską miał panować, nie nad Śląskiem, Krakowem i Pomorzem. O dzieciach muszę pamiętać, a cóż im zostawię. Zresztą i Polska wtedy będzie potężna, gdy jedną będzie miała głowę, nie tyle.

Milczenie zapadło po jej przemówieniu, tylko szepty słychać było. To ci, którzy nie śmieli głośno się przeciwić, po cichu dzielili się swemi myślami z sąsiadem jednym i drugim.

Wreszcie Piotr z Danji, pan na Skrzynnie, człowiek ogromnej tuszy i nadzwyczaj odważny odezwał się w te słowa:

— Nie będę ja się wadził, ani z W. Księciem, ani z jego małżonką, jeno to powiem, iż, gdyby ktoś chciał mi to odebrać, co moje, nigdybym nie oddał, a jeszcze potrafiłbym nauczyć, że po cudze ręki wyciągać nie można. Tak ja sądzę.

Zaraz też odparł arcybiskup gnieźnieński:

— A ja wam przypomnę niedawne lata, gdy Zbigniew przeciw Krzywoustemu czynił, co na pożytek Polsce nie wyszło, bo wojska obce na nas sprowadzał ten polski książę, a wszystko tylko dlatego, iż chciał obok Bolesława Krzywoustego panować. I tego ja się też boję, że jeżeli będzie kilku panów nad jednem państwem, nie będzie zgody.

— A ja się nie zgodzę oddać mego księstwa — gniewnie rzucił Mieszko.

— I ja nie — poparł go Bolesław Kędzierzawy.

— Ja także — przyłączył się do nich Henryk.

— W takim razie — powstał zaczerwieniony z gniewu Władysław — inną drogą będę szukał sobie sprawiedliwości i spełnienia moich zamysłów. To wam jeno zapowiadam, iż od dzisiaj nie ustanę w staraniach, by dzielnice, które do mnie należeć pow nny, pod moją wróciły władzę. A czy się to mojim braciom podobać będzie, czy nie, nie obchodzi mnie ta sprawa. I dobro państwa, nad którem postawił mnie ojciec i dobro moje tego wymaga, tak więc będę czynił.

— A ojciec mój — drażniła Krystyna — pomocy ci nie odmówi z pewnością.

Żachnął się na to Wszebor, wojewoda sandomierski.

— Jeno wy, księżno, nie groźcie nam cesarzem, bo nie ulękniem się tego. Miała już Polska nieraz z cesarzami waszymi sprawy i cało z nich wyszła. Da Bóg, wyjdzie i teraz.

I rozchodzić się poczęli niepogodzeni.

A w powietrzu czuć było wojnę, wznieconą tem, że kilku władzców miała Polska po śmierci Bolesława Krzywoustego.

Pod Kryszkowem.

Złupiwszy kraj cały, zburzywszy Wrocław i Poznań, posunął się cesarz niemiecki Frydryk Rudobrody jesienią r. 1158 aż pod Kryszków.

Dobrze, zdawałoby się, szła mu wyprawa, jedna osada polska za drugą szła z dymem, a gród za grodem zdobywał, aż dotarł niemal do środka Polski.

Zdaje się ma tę Polskę zdobytą, ma ją w swojem ręku, mógłby Władysławowi nie tylko odebrany przez braci Śląsk oddać, ale obdarzyć go nawet Wielkopolską.

A przecież smutne jest cesarskie oblicze.

Podparł głowę, już siwiejącą widocznie i tępym wzrokiem patrzy na ognisko w namiocie jego rozniecone. Pachołek wyszedł natychmiast, gdy tylko cesarz z towarzyszem wszedł i teraz siedzą obaj, milcząc jak zaklęci.

Władysław, książę czeski, który sprzągł się z cesarzem, nie śmiał długo przemówić pierwszy, wreszcie nie mogąc już znieść tego ponurego milczenia, zapytał nieśmiało:

— Dlaczego, cesarzu, tacy smutni jesteście?

— Nie jestem smutny — starał się uśmiechnąć Fryderyk— jeno tej wojny mam już dosyć.

— Zaraza w obozie.

Cesarz podniósł na niego oczy, patrzył chwilę w milczeniu, jakby go badał i zdecydował się:

— Tobie mogę wszystko powiedzieć. Zaraza jest i głód jest także. Wprawdzie jestem dotąd zwycięscą, ale jeśli dłużej potrwa wojna, będę musiał cofać się, będę musiał uciekać.

Rozumiesz ty, co to znaczy dla mnie, po tylu zwycięztwach, po tylu tryumfach, ja cesarz Niemiec będę uciekał — i to przed kim — przed tymi trzema książątkami polskimi.

Porwał się z pnia, który mu krzeszło zastępował, i rozrzucał w podnieceniu głownie ogniska.

Po chwili ciągnął dalej:

— Przyszedł do mnie ów Władysław, kiedy go bracia wypędzili z Krakowa i ze Śląska. Klękał przedemną, błagając o pomoc, o ukaranie jego młodych braci, którzy po nim Bolesława Kędzierzawego na stolcu wielkoksiążęcym w Krakowie posadzili. Natychmiast pomocy dać nie mogłem. Tyś próbował niedawno, a teraz? Teraz ja potężnie nastąpiłem na karki polskie, ale co będzie dalej, co będzie jeśli Piastowicze nie upokorzą się natychmiast?

Tylko drzewo syczeniem odpowiadało mu, tylko płomień strzelając w górę zdawał się z nim współczuć.

— A może jabym spróbował? — spytał Władysław.

— Czego? — zaciekawił się Fryderyk.

— Pójdę do nich do obozu — mówił szybko Władysław i nakłonię ich, by do ciebie, panie, przybyli, o pokój prosząc. Wiem, że i z nimi nie najlepiej, byle im tylko okazać, żeście gotowi pokój zawrzeć, niezawodnie przybędą i z radością przyjmą wasze warunki.

Przez cały czas jego przemowy Fryderyk patrzył w twarz Władysława, a powoli zmieniała się jego twarz, powoli schodziła chmura, która się na cesarskiem rozsiadła czole.

— Tyś mój prawdziwy przyjaciel — odezwał się serdecznie Fryderyk. Idź do nich, idź, a warunki, jakie ułożysz, będą moje. Tylko pamiętaj, że ja o tem nie wiem i pamiętaj, że cesarzem jestem i zwycięscą Polaków.

— — — — — — — — — — — — — —

W kilka dni potem wśród grania trąb i warczenia bębnów wprowadzono do obozu cesarza Fryderyka Rudobrodego książąt polskich Bolesława, Mieczysława i Henryka.

Na tronie naprędce sporządzonym zasiadł Fryderyk, mając po prawej ręce Władysława czeskiego, po lewej Władysława, wygnanego wielkiego księcia krakowskiego i księcia śląskiego.

Ponadto zebrali się w namiocie cesarskim co przedniejsi wodzowie niemieccy.

Bolesław, jako wielki książę zabrał głos, stojąc przed siedzącym Fryderykiem:

— Gdybyś baczniej, miłościwy cesarzu, rozważyć chciał sprawę naszą i sprawę brata naszego, Władysława, dla którego przywrócenia wojnę nam wydałeś, nie podnosiłbyś przeciw nam oręża, ponieważ poznałbyś, że słuszność za nami i że godzi się nam obrona raczej, niźli prześladowanie. Przekonani jesteśmy, że ani tobie, ani żadnemu z twoich nie zda się niesprawiedliwą ta kara wygnania, którą brat nasz Władysław ponosi. On bowiem ten cios wszystkim trzem braciom swoim gotował. A lubo niesłusznie ojczyznę naszą tylu klęskami nawiedzasz, my przecie do obozu twego przychodzim, aby odpowiedzieć ci na wszystkie zarzuty i skargi brata naszego Władysława i z jakich przyczyn wojna obecna się toczy.

Fryderyk odpowiedział:

— Wzruszeni tak długą niedolą brata waszego, Władysława, nad którym mimo prośby nasze i naszego poprzednika, Konrada nie chcieliście się zmiłować, zabraliśmy się do obecnej wojny, która chociaż wielkie za sobą pociągnęła nakłady, tyle przecież mamy w sobie wspaniałości, że chętnie wam przebaczymy, jeżeli brat wasz, Władysław, księstwa swoje w zupełności odzyska.

— Jak to rozumiecie, cesarzu? — spytał Bolesław.

— Oddajcie Władysławowi te dzielnice, które mu ojciec oddał, a oprócz tego spełnijcie to, czego ja od was zażądam.

— A czego wy, cesarzu, zażądacie?

— Najpierw na tamto odpowiedzcie. Muszę bowiem wiedzieć, czy jest w was wola spełnić moje życzenia.

— Jest w nas wola — odparł z dumą Bolesław — spełnić to, co dla dobra ojczyzny naszej jest konieczne. I dlatego, wiedząc, jak bardzo ciężkie klęski przynosi pożoga wojny, pragniemy ją zakończyć. Lecz skończymy ją tylko wtedy, gdy warunki twoje, miłościwy cesarzu, nie będą zbyt ciężkie, byśmy ratując się z jednego nieszczęścia nie wpadli w inne, może cięższe.

Zmarszczył brwi Fryderyk, lecz widocznie przypomniał sobie ciężkie położenie własne, bo spokojnym tonem i z godnością odpowiedział:

— Nie myślę ja obelżywych wam podawać warunków, lecz chcę by sprawiedliwości stało się zadość. Ojciec wasz Władysława naznaczył naczelnym księciem, oddając mu tron krakowski, który do najstarszego w waszym rodzie ma należeć. Ja więc, stając w obronie Władysława nie za nim tylko walczę, ale też za uszanowaniem woli rodzica waszego, którą podeptaliście. I co gorsza wypędziliście nawet brata waszego z tej dzielnicy, która jemu jedynie przeznaczoną została i zagarnęliście ją na swoją własność. Na to zaś nigdy nie pozwolę.

Mieszko przez cały czas przemowy Fryderyka targał brodę i już usta otwierał, aby przerwać cesarzowi, ale Henryk, który ciągle wzrok trzymał w niego utkwiony, chwycił go za ramię, a chociaż ten żachnął się, przecież cesarz mógł spokojnie dokończyć mowę.

Kiedy zaś cisza zaległa, Mieszko przerwał ją gwałtownie.

— To chyba nigdy się nie pogodzimy, cesarzu i nadal wojować będziemy, bo ty nie masz prawa nam rozkazować, ani uczyć nas, co nam robić należy.

— Jak trzeba, to cesarz was nauczy — odrzekł Władysław, który dziwnie był spokojnym, chociaż dawniej gwałtownością dorównywał Mieszkowi.

— Czy i wy zaczniecie grozić? — zwrócił się Władysław czeski do Bolesława.

— Grozić nie myślę — płynęły spokojnie słowa Bolesława, to wam jeno powiem, że baronowie nasi i książęta kościoła mnie powierzyli tron wielkoksiążęcy i tego zrzec mi się nie wolno. Mogę jeno zgodzić się na oddanie Władysławowi Śląska, bo ten rzeczywiście do niego i jego potomków winien należeć. Ale więcej ustępstw od nas nie dostaniecie, cesarzu, więcej dać nie możemy.

— A cóż twoi bracia na to? — spytał Fryderyk, gładząc dla zakrycia uśmiechu rudą swą brodę.

— Bracia — spojrzał Bolesław na Mieszka i Henryka — zgodzą się ze mną.

— No — może i Władysław się zgodzi dla pokoju i szczęścia waszego państwa.

Tu zwrócił się Fryderyk do Władysława i po cichu coś mu przekładał, jak gdyby chciał go nakłonić, aby nie utrudniał pogodzenia się cesarza z Polską.

Wreszcie zwrócił się do książąt polskich:

— Więc będzie pokój między nami, gdy mi zaprzysięgniecie, że Władysławowi zwrócony będzie Śląsk, to pierwszy warunek, a drugi, że przyślecie mi na wojnę, którą z Medjolanem wiodę i wieść będę 300 kopijników. To są warunki, które przyjąć musicie, jeśli rzeczywiście pragniecie dobra waszego kraju.

Trzej bracia porozmawiali chwilę ze sobą, poczem Bolesław uroczystym rzekł głosem:

— Spełnimy te warunki, jeśli ty, cesarzu, wyprowadzisz z naszych granic twoje wojska, krzywdy już nikomu nie czyniąc, nikogo nie grabiąc i nie niszcząc.

— Więc niechaj będzie pokój — zawołał Fryderyk.

I zaraz stół kazał wnieść i mięsiwo i napoje.

Podczas uczty zaś, gdy przy piwie rozwiązały się języki wszystkich, cesarz, siedzący obok Bolesława i śmiejący się niekiedy wesoło, rzekł:

— Aby zaś związek ten nasz, w dniu dzisiejszym zawarty trwałe miał podstawy i na dłuższe przeciągnął się lata, dam wam jeszcze jeden dowód mojej życzliwości ku wam, której wy niejednokrotnie potrzebować będziecie. Synowicę moją, Adelajdę, dam w małżeństwo Mieszkowi i przyzwoite wiano, jak przystało dziecku cesarskiego domu.

Ucieszyli się z tego książęta polscy, gdyż rzeczywiście niemały to był zaszczyt spokrewnić się z najpotężniejszym monarchą świata i do jego należeć rodziny.

Cesarz zaś uradował się także, gdyż pragnął podbić i serca i siły Polaków, którzy wiele mogli mu zaszkodzić szczególnie wtedy, gdy on na południu we Włoszech będzie zajęty wojną.

Tylko Henryk jeden czuł, że jest w tem wszystkiem coś przykrego, jest przecież dowód, że cesarz niemiecki warunki dyktuje, że Niemiec raczy być dla Polski łaskawym.

Zrzucenie z tronu.

Rojno i gwarno było u biskupa krakowskiego Gedeona w jeden z letnich dni r. 1177. Zeszli się tam co najprzedniejsi rycerze, wezwani przez biskupa, który wraz z panami, a nawet z urzędnikami wielkiego księcia krakowskiego, narzekał oddawna na srogość i złe rządy Mieszka Starego.

— Jakże to — mówił biskup — przeciw zmarłemu w. księciu Bolkowi mógł Mieszko bunt podnosić, mógł radzić, byśmy go z tronu zrzucili wtedy, gdy on wiary świętej bronił, przeciw Prusakom walcząc. Pamiętacie zapewne ową chwilę, właśnie 10 lat temu, gdy już, już mieliśmy za poduszczeniem Mieszka obrać Kazimierza na wielkoksiążęcą stolicę i tylko dzięki temu książęciu nie popełniliśmy takiej niesprawiedliwości. On zaś Mieszko od czterech lat zaledwo tron dzierży wielkoksiążęcy, a ile już zbrodni spełnił, ile nam dokuczył.

— Prawda to — mówił Stefan, wojewoda krakowski — musimy sobie otwarcie powiedzieć, iż pan nasz nie pożytek, a szkodę przynosi państwu całemu, niesprawiedliwość czyni, a sieje bezprawia i zgorszenie. Dawno już mówiłem, że nic się nam nie ostało, jeno precz wygnać Mieszka, a innemu powierzyć rządy.

— Tem ci łatwiej nam ową rzecz przeprowadzić — przemówił siwy Rusław z Sulejowa — że teraz nie będziem się wahali, komu pieczę nad państwem polecić.

Rusław należał do najbogatszych, a zarazem najsławniejszych rycerzów, więc słuchano go pilnie, szanując i jego wiek i doświadczenie i szeroko znaną mądrość.

— Byłem ja wówczas — ciągnął dalej — gdy Mieszko przeciw Bolesławowi czynił — i wtedy to nas najbardziej niepokoiło, że nie wiedzieliśmy, azali Henryka wybrać, czy Kazimierza. Dzisiaj nie będziem tej walki staczali. Henryk poległ śmiercią w walce onej z Prusakami, a dzielnicę jego Sandomierską odziedziczył Kazimierz. Jemu więc tylko głosy nasze oddać możemy, jako po Mieszku najstarszemu z Piastów. On zaś z pewnością sprawiedliwym będzie i nie dopuści się żadnych krzywd i żadnych gwałtów.

Na wspomnienie krzywd podniosły się znowu liczne głosy.

Więc Piotr z Szczepanowa narzekał:

— Kiedy moją ludność niewolną przeniosłem z Dąbrowy do Szczepanowa i tam mi piękną trzodę wypasała, dowiedział się o tem Mieszko i bezprawnie co najpiękniejsze sztuki sobie kazał dać, za karę rzekomo, iż od niego pozwolenia nie wziąłem na zajęcie Szczepanowa, choć ono po dziadu moim, Szczepanie w naszych pozostaje rękach.

— I mnie się tosamo zdarzyło—ozwał się Ścibor Leszczyc— jakbyśmy mało danin składali księciu.

— Ile zaś ja poniosłem szkody — żalił się Sobiesław Gryf — przez mennicę książęcą. Co przyniosę kupcom pieniądze, mówią mi, że niedobre. „Te blaszki“ prawią „oddajcie swojemu księciu, bo na całym świecie nikt ich nie przyjmie“.

— O, dodał biskup Gedeon — gdybyście słyszeli, jak pospólstwo mizerne płacze nad monetą naszą, dopiero znalibyście ogrom krzywd, wyrządzonych nam przez Mieszka. Kiedy zaś niedolę od ojczyzny odwrócić chcieliśmy, za upomnienia nasze tak sprawiedliwe, uczciwe, a konieczne, pogroził nam wyrok monarchy, jakby za winę obrażonego majestatu, surową kaźnią. Nam, biskupowi krakowskiemu, książęciu Kościoła św. pogroził Mieszko Stary kaźnią! I jeżeli wcześnie sobie nie poradzim, czekają nas rozliczne męczeństwa, a tak my, którzy drugich wybawić chcieliśmy z ucisku, sami pod jego brzemieniem upadniem. Nie tylko więc o ojczyzny losy, ale i o własne starać się mamy ocalenie, i baczyć jak najtroskliwiej, a zabiegać, aby z sprawą publiczną i osobista nie upadła. W tak wielkiem dla ojczyzny i dla nas niebezpieczeństwie, mniemam, że należy strącić tego tyrana, a na jego miejsce lepszego władzcę posadzić.

— A jeśli się nam nie powiedzie? — spytał Otto Dołęga.

— Trzeba tak działać, aby się powiodło — uspokajał go Stefan, wojewoda krakowski. Przedewszystkiem spieszyć się należy, by nas Mieszko nie ubiegł. Skorzystamy z tej chwili, kiedy Mieszko objeżdża Wielką Polskę i Pomorze, zdzierając pewnie i łupiąc ludność ubogą i rycerstwo przez swoich urzędników, jako zwykle to czyni. Gdy zaś powróci do Krakowa, zastanie tam już karę za swe nieprawości, zastanie nowego a niechybnie lepszego dla nas i dla ojczyzny władzcę.

— Więc postanawiajmy—ozwały się głosy.

— Postanawiać, a rychło — przytwierdzili inni.

Niedługo już trwały obrady.

Zgodni w tem byli wszyscy, że dla buty i gwałtowności, dla niesprawedliwości i zdzierstw nie można dłużej znosić Mieszka Starego na tronie, że trzeba mu odebrać zwierzchnictwo nad Polską, którego godnie sprawować nie umie. Sprawa zaś jego następcy była bardzo łatwą. Wiedzieli wszyscy, że według testamentu Bolesława Krzywoustego najstarszemu w rodzie książęcym należy się zwierzchnictwo nad wszystkiemi dzielnicami i wyłączne rządy w dzielnicy krakowskiej i pomorskiej. Że zaś Mieszka usuwali od tronu, jako niezdolnego do tej odpowiedzialnej placówki, więc nie brali go zupełnie w rachubę. W ten sposób najstarszym zostawał Kazimierz, którego wszyscy oddawna lubili za jego przystępność, i za dobroć serca. Odkąd zaś rządził dzielnicą Sandomierską, po śmierci brata Henryka, mnóstwem pochwał obsypywano go, jako księcia nie tylko sprawiedliwego w rządzeniu, ale też gospodarnego, umiejącego krzątać się około dobrobytu swych poddanych i tworzyć ten dobrobyt.

Postanowiono rówież, aby biskup Gedeon wraz z wojewodą Stefanem i tymi, których sobie wedle upodobania dobiorą, wyjechali jak najspieszniej do Sandomierza, gdzie stale przebywał Kazimierz i siłą wymowy swojej nakłonili go, by posłuchał onej woli narodu.

— Pojedziem — kończył zgromadzenie biskup Gedeon — wy zaś módlcie się, byśmy w Sandomierzu wszystko, co potrzebne zdziałali i byśmy nowego pana na szczęście dla ojczyzny i dla nas wszystkich bez trudności na wielkoksiążęcym posadzili stolcu.

I rozchodzić się poczęli, nie czując wcale, że rokosz podnoszą i bunt sieją w sercach ludności Polski, która nie znała zrzucania panującego z tronu.

Ale już zaczęły się czasy upadku, czasy rozstroju wewnątrz państwa.

Wypędzenie Władysława, zrzucenie Mieszka Starego, to pierwsze zwiastuny upadku władzy naczelnej, a wzrostu potęgi możnowładztwa.

W Łęczycy.

Jasno, cudnie i słonecznie było na świecie.

Powietrze świeże, majowe przesycone było zapachem łęgów i łąk kwietnych, które od Łęczycy wzdłuż całej ciągnęły się Bzury, szerzyły się nad Nerem, zamieniając wszędzie kraj w kobierzec przecudny, tkany w tysiączne barwy różnymi odcieniami trawy pachnącej, mnóstwem kwiecia i roślin pastewnych.

A wokół Łęczycy rozłożyły się tysiące maków szkarłatnych, żółtych jaskrów i bladziuchnych niezapominajek, tworząc tęczę przecudną, znak nadziei w lepszą po burzy przyszłość i wiary w życie mimo nawałnic.

I ten lud, który zebrał się tłumnie w małem jeszcze miasteczku, a raczej poza jego murami w r. 1180 taksamo barwne przybrał stroje, taksamo radosny miał wygląd, taksamo pogodę niósł w sobie, jak owe łąki nadrzeczne, jak owe łęgi nadbrzeżne.

Ciżba podobna jest do roju pszczół, ucieszonych słońcem wiosennem, wierzących, że lipy zakwitną, że dadzą miodu moc, żywności moc.

Gwarno i ludno pod Łęczycą.

— Cości oni tam uradzą? pyta jeden drugiego, a chociaż odpowiedzi nie słucha i nie słys y, uśmiecha się do siebie pytający, uśmiecha się pytany, jak ludzie wiary pełni i radości.

O! Bo wierzą oni w swojego wielkiego księcia.

— Ten nam zmarnieć nie da.

— Krzywdy usunie.

— Starunek o nas mieć będzie.

— Przed złymi uchroni.

I tak sypią się pochwały na głowę Kazimierza Sprawiedliwego, a pod tym hymnem chylą się trawy, lekko chwieją się wątłe źdźbła, jakby w milczeniu przytwierdzały tym słowom.

A z tym szczebiotem ludu łączy się rozkoszny gwar ptactwa, jakby i ono chciało coś mówić o dobroci panującego nad Polską księcia.

I wszystko cieszy się i raduje i wszystko kąpie się w cieple słońca dobrego i wszystko wierzy i ufa.

— Idą — idą — słychać powtarzane z ust do ust.

— Idą — cichaj.

I coraz ciszej szepcą usta, coraz bardziej zbija się gromadka, coraz ciaśniejsze robi się koło, milkną gwary niedawno tak głośne, zamykają się usta rozbawione, a tłum powoli rusza się, jako one kłosy wiatrem majowym głaskane, jako ruń zbóż dojrzewających.

Podnoszą się na palcach dalsze szeregi, by dobrze widzieć dziesiątki osób w poważnym pochodzie zbliżających się do tego miejsca, gdzie lud tłumnie się zebrał, gdzie czeka radosnej wieści.

Przybył tutaj bez czyjegokolwiek rozkazu—sam własnym popędem gnany, własną ciekawością.

Dawno już słuchy chodziły, że panowie i biskupi na rozkaz Kazimierza Sprawiedliwego zjechali się do Łęczycy, by prawa stanowić, by bezprawia usunąć, które bardzo zakradły się do Polski, czyniąc krzywdę przedewszystkiem wiejskiemu ludowi.

I oto dzisiaj, wezwani przez kilku Łęczycan, przybyli wszyscy prawie z wiosek okolicznych, by na własne uszy usłyszeć wieści radosne i roznieść je potem po całej Polsce, po wszystkich naszych rubieżach.

Nikt im nie mówił, że prawa o nich się stanowi.

Nikt nie zapewniał, że zniesiony będzie ucisk straszny.

Nikt nie zapowiadał poprawy doli i losu.

A przecież zakołatały dziwnie serca polskich chłopów, a w duszy głos się ozwał niewątpliwy: to dla nas.

I oto są tutaj.

Zamienili się w słuch, wyciągnęli się, jak struny, jakgdyby w ten sposób lepiej usłyszeć można, zapatrzyli się wszyscy w szkarłatny płaszcz wielkoksiążęcy i we fjolety biskupie—ale nie widzą ich, jeno czekają, co im powiedzą te prawa, jakie dadzą im szczęsne nowiny, jakie dobre zmiany.

Na czele szedł poważny, wyniosły, słodko, dobrze uśmiechnięty Kazimierz, z odkrytą głową, na której skroniach lśniły już jasne, srebrne włosy.

A tuż przy nim w poważnych, uroczystych szatach Zdzisław, arcybiskup Gnieźnieński, Gedeon biskup krakowski, Żyrosław wrocławski, Onolf włocławski, Cherubin poznański, Lupus płocki, Konrad kamieniecki i Gaudenty, który aż z Lubuszy tutaj przybył.

A dalej szli świeccy panowie, mając wśród siebie najznakomitszych z całej Polski, a przedewszystkiem książąt Ottona poznańskiego, Bolesława wrocławskiego i Leszka mazowieckiego.

W końcu wreszcie szła ćma cała rycerstwa, które tutaj zjechało z najrozmaitszych stron Polski i z Krakowa i Poznania i Gniezna i Sandomierza i z całego szeregu grodów i okolic.

A wszystko odświętnie przybrane we wspaniałych błyszczących zbroicach, w bogatych a pięknych deljach i szubach.

A wszyscy głowy odkryli, jak na procesji w dzień święta, jak, kiedy wokół kościoła idą wszyscy, modląc się w skupieniu i pieśni spiewając nabożne.

Wtem cisza zrobiła się taka, że serc bicie słychać było, niespokojnych oczekiwaniem serc.

Wystąpił naprzód arcybiskup Gnieźnieński i zwracając się twarzą do ludu rozpoczął:

— Podobało się panu naszemu miłościwemu Wielkiemu księciu krakowskiemu, księciu sandomierskiemu i pomorskiemu zwołać nas wszystkich dla narady nad prawami, jakie w Polsce całej odtąd obowiązywać mają i obowiązywać będą. Postanowił pan nasz miłościwy, by sprawiedliwość w Polsce panowała, którą źli ludzie nieraz wspak przeinaczają, krzywdę tem czyniąc społeczności całej, tak ludowi wiejskiemu, jak nieraz i rycerstwu i możnym stanom. Troską więc o dobro nas wszystkich i państwa całego powodowani, stanowimy i mieć chcemy:

Ktokolwiek przemocą, lub innym jakim sposobem zabierałby kmieciom i włościanom, bądźto zboże, bądź inną własność, albo zabierać je kazał, niech podpadnie klątwie.

Ktoby, jadąc w posyłce dla publicznej lub osobistej potrzeby, wyjąwszy gońców z doniesieniem o grożącym krajowi napadzie nieprzyjaciół, porywał komu bydlę, lub sprzężaj na podwody, albo je porywać kazał, niech podpadnie klątwie.

Ktoby majątki biskupie, lub po innych osobach duchownych spadłe zabierał, przywłaszczał sobie, albo rozrywał, chociażby sam mężem był znakomitym i królewską, książęcą lub inną jakąkolwiek zaszczycał się dostojnością, niech podpadnie klątwie.

Ktoby łupieżcę bóbr biskupich przed zwróceniem zaboru przyjmował u siebie, albo odpuszczał winę wydziercom bez należytego z ich strony zadośćuczynienia, ten jako uczestnik i współwinny świętokradztwa, który dla osobistej próżności i korzyści pop'era czyn świętokradzki, niech podpadnie klątwie.

— Amen — ozwał się książę Kazimierz.

— Amen — odparło rycerstwo i biskupi.

— Amen—zawołał lud zebrany, a z ust jego popłynęły natychmiast słowa podzięki i radości.

I kłonił się do stóp swojego księcia wielkiego i kłonił się do s'óp książąt kościoła i panów świeckich i dziękował im za te prawa, które lepszą zapowiadały mu dolę i bronić przyrzekały przed grabieżą i rabunkiem.

A na to wszystko patrzyło słońce złote i stało w górze oczarowane — i stało olśnione widokiem tej sprawiedliwości na ziemi, widokiem tego siania dobrych, zbawiennych, ożywczych ziarn.

I cieszyło się wraz z ludem całym i ze wszystkimi, którzy w tem święcie udział brali.

I moc promieni złotych zesłało na ziemię i na tych stojących przed n'em twórców prawa, jakby całować ich chciało w podzięce serdecznej, radosnej.

Mocarny książę.

Na dwór wielkiego księcia Kazimierza Sprawiedliwego przybył w dzień kończącej się zimy.

Twarz Włodzimierza wychudła, blada, pokryta czarnym włosem, zdradzała wielki niepokój, gdy do bramy zamkowej kołatał.

Opowiedziawszy się strażom, został wpuszczony na dziedziniec zamkowy i za przewodem starego sługi wszedł pod dach, do którego z takim niepokojem, a również z taką tęsknotą podążał.

— Czy książę wstał już?—spytał starego sługę.

— Napewno wstał—wejdźcie i wskazał drzwi dębowe, które natychmiast uchyliły się, wpuszczając przybysza.

— Do księcia—rozkazał Włodzimierz.

Rycerz, który przy drzwiach stał, straż trzymając, zmierzył jgo od stóp do głów zimnym, stalowym wzrokiem i nie ruszając się z miejsca—spytał:

— Kto jesteście?

— Włodzimierz, książę halicki — brzmiała dumna odpowiedź.

Rycerz puścił Włodzimierza naprzód i wskazał mu drzwi na lewo, które ten zaraz otworzył i znalazł się w jednej izbie, o trzech oknach, wychodzących na dziedziniec zamkowy. Na ścianach wisiały tarcze i zbroje dawne i nowe, świecące, lśniły blaskiem świeżości krótkie miecze i długie, zgrabne dzidy i oszczepy.

— Poczekajcie—rzekł rycerz i ręką zaprosił Włodzimierza, by usiadł na ławie, która pod całą ścianą się ciągnęła, sam zaś poszedł do następnej izby, gdzie wkrótce zginęły jego kroki.

Włodzimierz zbliżył się do okna.

Stanęła mu w pamięci cała przeszłość jego, pełna burz i walk, pełna niebezpieczeństw i wojen, z których pczątkowo zwycięsko wychodził. Dopiero, gdy w rodzinnej walce, podniesionej przeciw bratu Mścisławowi, temu przyszedł na pomoc wielki książę krakowski, odwróciło się od Włodzimierza szczęście, zgasła jego gwiazda.

I pozbawiony halickiego tronu, pozbawiony współudziału w rządach tułał się, na Węgrzech przeważnie czas spędzając i służąc królowi Beli. Lecz daremna była służba. Król Węgier dla siebie i swego rodu zabrał jego ojcowskie dziedzictwo.

I oto teraz staje on, dzielny, wojowniczy książę ruski, staje pokornie przed władzcą Polski, któremu tyle przecież zawinił, tyle razy kraj jego watahami swemi złupił — a przecież przyszedł tutaj, skąd ścigają go wyroki karzące, tutaj, gdzie zdawałoby się śmierć grozi mu każdej chwili.

Targa się jego junacka dusza, niepokój go ogarnia, gdy pomyśli, jak przyjmie go ten, przeciw któremu całe prawie życie wojował.

Chwilami żalem wybucha i wolałby daleko być od krakowskiego zamku. Bo i po co przyszedł? On, dumny książę pokornie łaski błagać będzie?

Przypomniał sobie chwile pobytu swego w Budzie.

Tam Węgrzy patrzyli na niego z dumą, a on przecież to znosił, przecież musiał wycierpieć. Przypomniał sobie, jak Belę o pomoc prosił, jak błagał go, by mu ojcowskie dziedzictwo przywrócił.

Krew nabiegła mu do twarzy na ostatnie wspomnienie.

Bela wojskami swemi i wojskami Włodzimierza zdobył Halicz. Krew swoją oddawał Włodzimierz, rzucał się w najniebezpieczniejsze miejsca walki—i odtrącono go potem, kazano służyć Andrzejowi, którego Bela jako syna swego na tron halicki naznaczył.

Ile cierpień przeszedł wówczas Włodzimierz, ile męki serdecznej przebyć musiał!

Wtem usłyszał głos:

— Pójdźcie książę!

Drgnął Włodzimierz, bo w pierwszej chwili zdawało mu się, że nienawistny Bela się zjawił, by mu urągać, jak niedawno jeszcze urągał.

Ale zobaczył przed sobą jasne, niebieskie oczy, pogodną, długą twarz i rozchylające się czerwone wargi, okryte bujnym zarostem.

— Jestem, czego chcecie?—mówił łagodnie Kazimierz.

Włodzimierz przeniesiony nagle z czarnych swych myśli do tego obrazu łagodności i pokoju milczał chwilę, patrząc jak w tęczę w polskiego księcia.

Wtem cichym głosem, on dumny książę ruski pokornie błagał:

— Odpuść mi błąd mój i przestępstwo moje, bądź miłościwym, a będziesz miał we mnie sługę i przyjaciela, jakiego równego nie znajdziesz. Daj mi winy moje zmazać i wynagrodzić to, co minęło.

Słowa te mówił, kolana wielkiego księcia obejmując, gdy Kazimierz do niego podbiegł i za głowę go serdecznie objął.

— Wstań, wstań Włodzimierzu, wstań!

I również wzruszony nie mógł więcej mówić, aż Mikołaj, wojewoda krakowski, który wraz z W. księciem tu przyszedł, poradził:

— Przejdźcie, książę, do dalszych komnat, tam pogawędźcie ze sobą i da Bóg, pogodzicie się napewno.

I tak zrobili.

W komnacie książęcej usiedli we trójkę, a służba podała im żywność, jak przystało w ranny czas, mleka gąsiory i chleba pachnącego bochen.

— Więc chcesz Andrzeja wypędzić?—pytał Kazimierz.

— Przecież nijak mi żyć na świecie jasnym, jeśli on tam będzie, a ja poniewierać się muszę po świecie.

— Prawdę mówi—wtrącił Mikołaj— komu sądzone panować, winien mieć swoje księstwo, inaczej zmarnieje i przepadnie.

— Mówię wam — spowiadał się Włodzimierz — miejsca sobie znaleść nie mogę. Zawiniłem wobec was, książę i godzien jestem, byście mi głowę z karku zdjęli, ale teraz widzę mój błąd, a taki już jestem, że chociaż wiem, iżeście gniewni na mnie, iżeście wyrok wydali przeciw mnie, jednak chciałem tu być i jeślibym pomocy przeciw Andrzejowi i Beli nie uzyskał, pragnąłem przynajmniej wam powiedzieć, iże przeszłości żałuję.

— Nie martwcie się, nie martwcie — uspokajał go Kazimierz. Nie dał nam Bóg twardego serca, byśmy urazę wiecznie chować mieli, a wyście mi bliżsi, niż książęta węgierscy, więc pomoc dostaniecie.

Pochylił się Włodzimierz do ręki książęcej, lecz Kazimierz objął go i serdecznie w twarz ucałował.

— Tak i być winno—chwalił Mikołaj! Toż Bela i przeciw wam, wielki książę, zawinił, bo Mścisława zamordował haniebnie trucizną mu posławszy przez swoich zbirów. Niechajże dosięgnie go kara.

— Ale ja nie ruszę zaraz, bo tutaj mnie sprawy trzymają i Mieszko Stary wichrzy przeciw mnie.

Zasępiło się pogodne przed chwilą oblicze Kazimierza i utonął w myślach cały.

Przerwał milczenie Mikołaj:

— Pozwólcie mnie, miłościwy książę, ruszyć wraz z Włodzimierzem. Wojowałem ja z wami w r. 1182, dobywając Halicza, więc może i rok 1188 nie będzie dla mnie gorszy.

— Tak będzie najlepiej—ucieszył się Kazimierz. Nie chciałem ja wam, wojewodo, takiego dawać rozkazu, bo i wiek wasz już nie najmłodszy i mnie tutaj je teście bardzo potrzebni, ale skoro sami ochotę okazujecie, tak nic innego mi nie zostaje, jak tylko rycerzów wam przydać najprzedniejszych i o błogosławieństwo Boga prosić dla was i dla tej nowej wyprawy.

— Jeno radzę wam, wielki książę—mówił znów Mikołaj — gotujcie nowe zastępy, bo Bela potężny, mścić się zechce na was i na Polsce całej.

— Potężny on, to prawda — uśmiechnął się Kazimierz — ale i my nie najsłabsi.

— I ja przyjdę wam, z pomocą — mówił uradowany Włodzimierz, a wtedy chyba będę już mógł, dzięki dobroci waszej i łasce.

I znowu dziękować począł, aż Kazimierz roześmiany bronić się musiał i powtarzał:

— Toć swemu pomagam, swemu.

Mistrz Wincenty.

W pokoju swym, pełnym pergaminowych kart, z których jedne zwinięte stały przy stole, inne rozłożone na nim czerniły się świeżem pismem, siedział zadumany mistrz Wincenty Kadłubek z Karwowa herbu Róża, biskup krakowski, znany w całym prawie świecie chrześcijańskim z nauki i cnoty. Szlachetną twarz oparł na dłoni i wzrokiem poleciał w dal, poprzez podwórze wawelskiego zamku, poza brzegi Wisły, hen w pola dalekie.

Nie może jakoś pracować pasterz krakowski.

Myśl jego, zawsze szybka, dzisiaj leniwie pracuje i zamiast trzymać się obranej drogi, wciąż wraca do czego innego, wciąż niepokoi biskupa.

Wstał wreszcie i podszedł do dębowego krzyża, który ogromny wisiał w kącie, oparłszy oba ramiona o przyległe ściany.

Pochylił się kornie i w klęczącej postawie długo, żarliwie się modlił.

— Tak zrobię—wyrzekł do siebie, powstając z klęczek.

Chodził jakiś czas po izbie, potem klasnął w dłonie.

Zjawił się młody chłopak, uczeń szkoły katedralnej, jeden z kilku, którzy przy biskupie mieszkali, otrzymując od niego żywność i ubranie za dobre postępy w nauce.

— Przyzwij mi—zwrócił się do niego biskup — kanonika Iwona. Znajdziesz go na zamku.

— On mnie zastąpi — mówił biskup chodząc po izbie. Ja zaś spocznę wreszcie.

I usiadł ciężko w krześle, jak człowiek bardzo zmęczony, bardzo wyczerpany.

Po długiej chwili wszedł do izby trzydziestokilkoletni kapłan i duże swe myślące, czarne oczy zwrócił na biskupa, ucałowawszy jego rękę i pierścień.

Iwon Odrowąż był powiernikiem Kadłubka i przyjacielem prawie, chociaż ze względu na różnicę wieku zachowywał wobec biskupa zawsze starszym należną cześć

I teraz, gdy biskup kazał mu usiąść, nie odważył się natychmiast spełnić rozkazu, dopiero na powtórne zaproszenie, zastosował się do woli zwierzchnika.

— Wezwałem cię na ważną naradę — rozpoczął biskup. Starym się czuję i niezdolnym dźwigać dłużej brzemię obowiązków, jakie wkłada na mnie stanowisko biskupa krakowskiego , biskupa zwierzchniej dzielnicy Polski.

— Wy, stary?—zdziwił się szczerze Iwon.

— Ja, stary—podniósł głowę Kadłubek. Stary nie lat przeżytych szeregiem, a mnóstwem tych ciężkich walk, tylu zmagań się z przeciwnościami, przez które przeszedłem.

— Toż wszyscy przez nie przechodzim.

— O nie—zaprzeczył biskup. Tyś pewnie w szkołach był jeszcze, w Paryżu, kiedy ja stamtąd wróciwszy, patrzyłem na walkę Mieszka Starego przeciw Kazimierzowi Sprawiedliwemu, a po jego śmierci przeciw Leszkowi Białemu. Tyś nie widział tych łez, padających z oczu żon, których mężowie wzajemnie się nad Mozgawą w r. 1198 pomordowali. Straszny to był rok. Chyba na całym świecie chrześcijańskim nie znano i oby nigdy nie poznano takiej bratobójczej, takiej krwawej bitwy. Potem rządziła nami kobieta, Helena, matka Leszka Białego, który nad z Rusinami halickimi zwycięztwo otrzymał. I znowu w chwili, gdy Ruś przeciw nam powstała Mieszko Stary podniósł swoje pretensje i od Heleny rządy odebrał, by je znów przez Mikołaja, wojewodę krakowskiego stracić i znów od Heleny odebrać. Lecz niedługo cieszył się stolcem wielkoksiążęcym. W r. 1202 powołał go Bóg do swojej chwały, a wtedy miał otrzymać tron Leszek Biały, lecz zażądano od niego, by odprawił od siebie swego sandomierskiego wojewodę, Goworka.

— Wtedy byłem już tutaj—przerwał Iwon.

— Byłeś czas niedługi, by znowu wyjechać do ksiąg i nauk drogich. Ja zaś patrzyłem na rządy Władysława Laskonogiego, którego po r. 1205, gdy pod Zawichostem zwyciężył Leszek książąt ruskich, odstąpili wszyscy, a tron wielkoksiążęcy oddali Leszkowi. Lecz na nic nie przydały się zwycięskie walki Leszka. Halicz zabrali Węgrzy dla Kolomana, syna króla Andrzeja, z czego potem nowa była wojna, gdyż Polacy i Węgrzy musieli siłą pokonywać Rusinów zbuntowanych, którzy wojska polskie i węgierskie pobili. Ciężkie to były czasy, tem cięższe, że tylu namnożyło się książąt, iż już zliczyć nie mogłeś ich wszystkich. Na Kujawach kilku, na Śląsku tosamo, osobny książę lubelski, inny na Pomorzu, a ciągłe walki, z których najkrwawsze były na Śląsku i na Mazowszu.

— Ale przecież Polska była jeszcze wtedy i jest dzisiaj—pocieszał biskupa Iwo.

— To nazwa tylko została—twierdził Kadłubek. Przecież do tego doszło, że kraj może książę sprzedać, jak stało się z ziemią lubelską, dzisiaj domowi Brandenburgów za pieniądze przynależną. A ja, biskup zwierzchniego Krakowa nic na to poradzić nie mogłem, jeno patrzyłem jak w niwecz szło dzieło pierwszych naszych królów, jak w pogardę popadał tron wielkoksiążęcy, o który ciągłe trwały walki, coraz bardziej zmniejszając powagę wielkiego księcia.

— Ale przecież ona jeszcze zupełnie nie upadła, przecież można ją jeszcze podnieść, by całemu zaświeciła światu.

— Nie pragnąłbym już świata całego zadziwiać ową powagą, ale żeby przynajmniej Polska cała ją czciła, żeby szanowała osobę wielkiego księcia. Toż popatrz na takie Śląsko, tam na dworze książęcym już po polsku prawie się nie mówi, a zwyczaj i mowa z Niemiec tam przyszły. W Rusi halickiej żadnego nie mamy znaczenia, a książęta zamiast o potędze Polski myśleć o domach swoich tylko przemyśliwają i o swojem własnem znaczeniu.

— To tylko teraz tak źle—pocieszał kanonik — przecież, gdy miną te lata, gdy zagoją się rany i ustaną walki, wróci dawna potęga i książęta dzielnicowi będą słuchali zwierzchnika swego w Krakowie. Ja wierzę w to mocno i wierzę, że wy, biskupie, wiele do tego się przyczynicie.

— Młody jesteś, nie napatrzyłeś się tyle, co ja. Czyż myślisz, że nie robiłem starań? Ale gdzie tam — książęta słuchać nie myślą i coraz gorzej wszystko się składa.

Milczeli chwilę, trzymając oczy w ziemię utkwione, jakby nie śmieli na siebie spojrzeć, jakby się bali straszną prawdę wyczytać.

— A przecież—przerwał ciszę Iwo Odrowąż—przecież pobożność mieszka w tych książętach. Zakony zakładają, przez które rośnie oświata, wyposażają kościoły, a niechaj trochę potrwa praca zbożna duchownych, wnet zmieni się wszystko na lepsze.

— Bogu dzięki—uśmiechnął się Kadłubek — że ty w to wierzysz. Godnie mnie zastąpisz, a może nawet zrobisz to, czego ja nie mogłem.

— W czem ja was zastąpię?—przeraził się Iwo.

— W mojej służbie.

— W jakiej?—pytał kanonik, a twarz jego wyrażała niepokój i przestrach wielki.

— Nie bój się—uśmiechnął się Kadłubek—starczy ci sił, a ochotę musisz znaleść. Moja służba tutaj już skończona. Nie czuję sił w sobie i wiem, że nic nie poradzę na to, co bardzo mnie boli, co mi duszę i serce targa.

— Powiedzcie biskupie wyraźnie—błagał Iwo.

— Wyraźnie mówię, zastąpisz mnie w mojej biskupiej służbie i spełniać ją będziesz ze wszystkich sił swoich, jak możesz najlepiej.

— Ja?—przeraził się Iwo.

— Ty — z mocą odparł biskup. Ja więcej dla narodu i kościoła zdziałam zamknięty w murach jakiego klasztoru, niżli to miejsce zajmując, gdzie nie moich sił potrzeba. Ty masz w sobie wiarę, że lepiej będzie. Ja już jej nie mam i nie odzyskam.

— Ależ ja młody jestem, za młody na to stanowisko.

— Gdym ja obejmował rządy biskupie nie byłem od ciebie starszym.

— Ale ja wpływu nie mam na książąt.

— A ja mam?

Gdy Iwo nie przerywał milczenia, ciągnął dalej biskup.

— Pojedziesz do Rzymu do najwyższego pasterza naszego prosić, by mi pozwolił do klasztoru zamknąć się na resztę lat moich. I będziesz prosił, by pozwolił ciebie na mojego następcę namaścić.

— Ja za słaby jestem — jęknął prawie Iwo.

— Tyś dość mocny — sprzeciwił się tamten — masz przedewszystkiem wiarę w powodzenie twojej pracy, a to najważniejsze, to najważniejsze!

— Biskupie — błagał już — nie każcie mi tego robić, ostańcie się jeszcze, spopróbujcie, da Bóg potoczy się wszystko lepiej i wasze starania wydadzą dobre owoce.

— Nie, synu — położył rękę na jego ramieniu — mnie inna praca przeznaczona i inne życie. Schronię się do klasztoru Jędrzejowskiego, do świętego zakonu Cystersów i pomagać im będę w szkołach, które mają przy swoich siedzibach. Wiesz że mnie z książkami najlepiej i przy tej pracy mogę być jeszcze pożytecznym.

— To i ja z wami. Przecież i ja książki kocham i nieraz razem z wami pracowałem i dobrze nam było.

— Ale ty masz jeszcze siły na taką służbę, jaka tutaj cię czeka, a jakiej ja podołać nie mogę.

— Ale woli mi braknie, by ją przejąć, by ją spełniać.

Biskup spojrzał na Iwona, zmarszczył brwi na chwilę, a potem głosem poważnym ciągnął:

— Ja ci zaś rozkazuję schylić barki pod to brzemię i przyjąć je na siebie. Rozumiesz?

Iwo nie odrzekł ni słowa, tylko rękę biskupią ucałował w pokorze, jak przystało podwładnemu.

— Więc co każecie?—spytał zmienionym głosem.

— Słyszałeś, co każę, weźmiesz ze sobą kanonika Jacka i udasz się do papieża naszego, Honorjusza III. Tam powtórzysz mu to, co ode mnie słyszałeś i wrócisz tutaj służyć i pracować. A wówczas ja spokojnie odetchnę i spokojnie na nową pójdę pracę, zostawiając tobie one dzieła poważne, których spełnić nie mogłem Dobrze?

— Skoro każecie, będę posłusznym.

— Idź synu—po ojcowsku gładził bujne włosy kapłana, idź w pokoju i służ kościołowi świętemu, służ tej ziemi nie-

szczęsnej w coraz drobniejsze rwącej się kawały i spełń to, by jaśniej stało się w Polsce, by lepsze nastały tu czasy.

Kiedy zaś u drzwi już byli, dodał mu:

— Jeśli ci kiedy będzie ciężko, przyjedziesz do mnie, a serce moje, jak zawsze będzie otwarte dla ciebie i zawsze gorące.

Kwiatek.

Wśród ogromnych lasów bukowych świeciło kilkanaście pustych wykarczowanych polan, a na nich bieliły się ociosonymi palami podparte proste, kmiece chaty.

Przestronne były one, jak zwykle w owych czasach, obliczone na lat wiele i pokoleń wiele.

Przy jednej chacie, na wzniesieniu ponad innemi zbudowanej, stał człowiek w sile wieku, rozmawiając z kilkoma innymi, zapewne sąsiadami, a może krewnymi z chat najbliższych.

— Mnie nie nowina podróżować — mówił, potrząsając bujną czupryną — daleko bywałem i w zdrowiu przyszedłem tutaj. Skoro więc trzeba i was zabiorę ze sobą i pójdziem, gdzie lepiej będzie.

— A nie boicie się w podróż puszczać, złapią was i z powrotem tutaj przywiodą.

— Ty mi głupstw nie opowiadaj — oburzył się ten, którego Kwiatkiem zwano. — Kmieciem jestem wolnym, nie z niewolnych pochodzę chłopów i przejść mi na inne pola wolno. I tak zrobię, bo tutaj za blizko książęcego dworu i zbyt łatwo przez to postradać plony i bydło.

— Dziwno mi — ozwał się inny, Wnukiem zwany, który po dziadku swym Piroszu odziedziczył duży kawał lasu i kawał pola do tego z niemałą pasieką — dziwno mi, dlaczego nam, wolnym kmieciom mogą tak rycerze zabierać nasze plony, a książę nawet sprawiedliwości uczynić nie chce.

— Chcieć, to chce — bronił nieobecnego Kwiatek — ale teraz takie nastały czasy, że zdzierżeć trudno. Pójdziesz do księcia do Wrocławia, powie Henryk Brodaty tak, a druga strona uda się na Kraków i tam od księcia Leszka inny dostanie wyrok, albo na Mazowsze do Konrada pójdzie i znów co innego wychodzi.

— To wy nie wiecie — wtrącił się do rozmowy trzeci kmieć — że książę Leszek nie żyje.

Cała gromada zbiła się około mówiącego.

— Jakże, opowiadaj!

— Co wam opowiem? Mówią, że Świętopełk Pomorski napadł na Leszka w łaźni i zabił go. Wiem to, bo byłem na dworze naszego księcia Henryka Brodacza. Opowiadali tam szeroko, jako to w Gąsawie i nasz pan mógł postradać w życie, a szczęśliwym trafunkiem zdrów i cały wrócił do nas.

— A kiedy to było? — spytał Kwiatek.

— O zdaje się przed 2 laty w r. 1227.

— Tyli kawał czasu, a my nic nie wiedzieli.

— A cóż, Kwiatek był chory, a z nas żaden z panami pogadać nie umie, bo tu same obce są.

— Ale to teraz jeszcze gorzej będzie — opowiadał dalej poprzedni — bo i Władysław Laskonogi i Odonicz i Konrad mazowiecki no i nasz śląski Henryk pewno zechce Kraków zdobyć.

— Oj doloż ty, dolo — narzekali wszyscy.

— Więc tem bardziej radzę wam — mówił Kwiatek, zróbcie prędko to, co mówię. Mam już upatrzony kawał ziemi nad Oławą rzeką, wśród lasów wrocławskich, tam usiądziem i będziem dalej uprawiali ziemię, jak dotąd.

— I zwierza tam moc znajdziecie — dodał Wnuk.

— I ty z nami pójdziesz — zawyrokował Kwiatek.

— Ja tu wolę zostać.

— Nie ty rozkażesz. Żyje jeszcze syn starego Głąba, on w rodzie naszym ma władzę, tak więc zrobisz, jak on każe.

— Ojciec przeciw mnie nie postanowi.

— Ej bracie, bracie — upominał Kwiatek — tobie on ojcem i mnie, taksamo przeciw tobie nie postanowi i przeciw mnie. A nie chcesz iść stąd, idź powiedz mu, poproś pokornie za kolana go objąwszy, niech ci tutaj ostawać się pozwoli.

— Jak postanowi, byśmy szli, to nie pozwoli — smucił się Wnuk.

— To idź poproś go o to, o co ci idzie — i uśmiechnął się z lekka, bo chociaż o poważnej myślał sprawie, przecież uśmiechnął się, widząc zakłopotanie brata.

— Chcesz się żenić — wtrącił sąsiad — powiedz ojcu po prostu, a nie odmówi. Mało nam wszystkim ludzi, toć nie poskąpi ci ani miejsca w chacie, ani dobytku dla żony.

— Tak i ja ci radzę — mówił Kwiatek — póki jeszcze ostajemy tutaj, zrób to, bo w ostatniej chwili nie pozwoli ci ojciec na ożenek, a pójść stąd z nami musisz.

— To już postanowione?

— Już. Wczoraj zebraliśmy się wszyscy starsi i żeniaci — zgodziliśmy się, że ród nasz z Głąbkowic wyjdzie.

— A cóż książę?

— Książe? Nierolnym pewnie nie pozwoliłby, nam musiał. Tylko narzas[1]) będziemy dawali większy, ale za to będziemy mieli okolice, gdzie i zwierzyny w lasach dużo, bo pod Wrocławiem ogromne ciągną się lasy i pastwiska dobre.

— To dobrze nam tam będzie?

— A pewno, że dobrze, tylko ty swoje wszystko zrób.

Wnuk podrapał się w głowę z zakłopotaniem i spojrzał na starszego brata.

— Czego chcesz, powiedz — ośmielał go. Gdy jednak ten milczał dalej, spytał:

— Pójść poprosić ojca?

— Oj to, to — ucieszył się Wnuk. Tyś starszy, w radzie opola zasiadasz, boś już z żoną i dziećmi, a ja nijakiego nie mam znaczenia.

— No to mów odrazu. Pójdę i poproszę.

— Jak tak, to już wygrałem.

---

[1]) W owym czasie ludność wolna była obowiązana tylko w razie ruszania na wojnę dawać podatki. Ludność zaś niewolna składała je zawsze. Narzas — nierogacizna, czasza — miód, poradlne, powołowe — podatek od gruntu. Nadto niewolni składali usługi, n. p. podwoda — dostarczenie koni dla urzędników książęcych, przewód — transportowanie rzeczy publicznych. Stan był to obowiązek podejmowania i utrzymywania księcia i jego dworów podczas objazdów po kraju.

— Nie ciesz się wprzód, pogroził palcem Kwiatek — ale przytem śmiał się, bo wiedział, że jego słowo, jako człowieka, który dużo podróżował i dużo widział, wielkie ma znaczenie u ojców.

A znaczenie jego na całym obszarze opola było znane, nie tylko w jego rodzie ono urosło, a daleko poza jego granice wyszło, kilka objąwszy rodów, wsi kilka rozległych, które na obszarze tego opola żyły.

Więc cieszył się Wnuk i z czcią całując rękę starszego brata, dziękował mu:

— Twojego Szczyta małego nauczę za to z łuku strzelać i na zwierza polować.

Ten zaś spojrzał na niego dobrotliwie, jak ojciec na syna swego dobrego.

Późny żal.

Dawno już zaszło słońce, ciemno było na dworze, burza jesienna zrywać się poczynała, wicher wprzód, jak zapowiedź wysyłając, a księcia Konrada jeszcze nie było.

Żona jego, Agafja, siedziała w izbie, przed kominkiem czekając na męża, u nóg jej zaś tulił się najmłodszy syn, dziwne dziecko, jak mówiła, Ziemowit.

I naprawdę był on dziwnym. Ojciec jego gwałtowny, porywczy, z kruczym nosem i czarnemi, jak węgle oczyma, widział w najmłodszym synu wierny obraz Agafji, z przed dawnych, dawnych lat.

— Tyś tak wyglądała, gdym cię brał tutaj — mówił w rzadkich chwilach dobrego humoru, gdy do domu z polowania, albo z jakiej wyprawy wojennej powrócił.

Ona zaś z rozrzewnieniem patrzyła wtedy na syna, całując jego lniane włosy, podnosząc ku sobie jasne, niebieskie oczy, pieszcząc wargami jago bieluchną twarz.

Teraz zaś siedzi zadumana i nieświadomie głaska loki Ziemowita, już prawie dziesięcioletniego chłopaka, który wieczorem po nauce i ćwiczeniach przybiegał zawsze do matki i rozmawiał z nią godzinami długiemi.

— Kto to był ten ksiądz?—pyta teraz i ciekawie zagląda w smutne oczy matki.

— Z Rzymu przyjechał, z daleka, od papieża.

— A co przywiózł?

— Nie wiem, synu—odpowiada matka, a myślami daleko gdzieś musiała wybiec.

Ziemowit zauważył smutek matki, nie wiedząc zaś, co jest przyczyną, spuścił głowę, wygodnie ułożył ją na kolanach matki i myślał, co też tak matkę jego zasmucić mogło, co zraniło jej serce.

Lecz napróżno myślał.

W dziecięcej jego głowie lęgły się różne przypuszczenia, aż wreszcie obrał najkrótszą drogę.

— Co ci jest, matko?—spytał poważnie.

To zbudziło Agafję.

Porwała chłopca na ręce i całując go serdecznie skarżyła się, jak powiernikowi najpewniejszemu:

— Tak mnie coś męczy w sercu, czuję, że burza jakaś będzie, a nie wiem jaka.

— Może dzisiaj w nocy już będzie? — spytało dziecko naiwnie.

— I ta pewnie będzie—westchnęła ciężko i znowu w pocałunkach szukała ukojenia.

Wszedł do pokoju stary człowiek, a widocznie ważne zajmował na dworze księcia mazowieckiego stanowisko, bo nie pytając księżny, przysunął sobie krzesło do kominka i ciężko na niem usiadł.

Był to człowiek, jak zwykle—Mazurzy, rosły, tęgi, jako dębczaki leśne, a jego białe krzaczaste brwi, czyniły go nad wyraz groźnym.

— Nie wiecie, Wojciechu—spytała księżna — co w owem piśmie papieskiem?

— Czekam ci na księcia, by mi powiedział. Ksiądz mnie nic nie chce mówić, a może i niemowa, bo dotąd ani jednego nie wyrzekł u nas słowa.

— Taki mnie niepokój ogarnia, nie wiem, co to będzie — powtórzyła staremu skargę.

— Burza—wtrącił Ziemowit.

— Cicho mały—ofuknął go Wojciech, ale w jego głosie więcej było radości, niż gniewu.

Popatrzył chwilę na dziecko, a potem, jakby do siebie rzekł:

— Może i będzie burza.

— Więc nic nie wiecie?

— Nic—lakonicznie odparł starzec.

Wojciech, który był jeszcze piastunem Konrada Mazowieckiego, nim jeszcze ten, jako syn Kazimierza Sprawiedliwego otrzymał Mazowsze i Kujawy w swoje władanie, zdobył sobie na dworze mir powszechny i szacunek. Nawet gwałtowny Konrad słuchał go dość często, jeśli zaś w gniew wpadł książę, nikt nie ośmielił się do niego zbliżyć, prócz starego Wojciecha.

Długo milczeli wszyscy.

A za oknami z pęcherzy huczał wicher jesienny, który nieraz drzewa z korzeniami wyrywał i pokotem kładł lasy całe, bory całe.

— Czuwajcie nad księciem—przerwała milczenie księżna i serdecznym wzrokiem poparła prośbę.

Wtem ruch dał się słyszeć daleki i w chwilę potem wszedł Konrad, cały wodą ociekający.

— Ale polowałem dzisiaj — uśmiechnął się, śmiech rodząc pogodny na twarzach obecnych.

Zbliżył się do kominka i nie witając się z nikim, ze zdziwieniem zawołał.

— Ziemowit, ty tutaj jeszcze, a spać.

— Jesteś w domu, czekaliśmy z wieczerzą—usprawiedliwiała matka ulubieńca.

Mimo ulewy, która musiała dać się we znaki Konradowi, w dobrym był on humorze i teraz nie rozgniewał się, a spytał:

— A co robią Bolek i Kazik?

— Zmęczyli się dzisiaj cwiczeniami rycerskiemi i jak tylko z opatem wrócili, legli spać.

— Niech śpią—uśmiechnął się Konrad—a my na wieczerzę, by też rychło spać się ułożyć.

— Ale, ale—zawołał Wojciech.

— Co takiego—zatrzymał się w pół drogi Konrad.

— Jest do was, książę, poseł z Rzymu.

— Od papieża?—zadziwił się Konrad.

— Tak.

— E—machnął ręką książę—naprzód zjedzmy. Na potem poselstwa.

Więc stosownie do rozkazu poszli na wieczerzę, do której też zaproszono i księdza, posłańca rzymskiego.

Ten wszedłszy na salę z nadzwyczajną pokorą skłonił się księciu, witając go po łacinie.

Taksamo odpowiedział książę, a zaprosiwszy skinienieniem ręki do stołu, jeść począł, nie zważając zupełnie na dostojnego gościa.

Dopiero zaspokoiwszy pierwszy głód, spytał:

— Jaką nowinę przynosicie księże?

— Wdzięczność Chrystusowego Namiestnika.

— Mnie, za co?—spytał zdziwiony Konrad.

— Za dobroć waszą, panie, za wasze religijne uczucie, za starania i przychylność dla Zakonu Marji, który tutaj sami sprowadziliście i taką pieczą go otaczacie, ceniąc znaczenie i wartość rycerzy Marji.

— Tak, sprowadziłem Krzyżaków, a skoro sprowadziłem ich dla siebie, to już muszę się starać o nich—zgodził się Konrad. Ale dlaczego to teraz papież wysyła was do mnie i teraz mi dziękuje w pięć lat po ich sprowadzeniu?—zaniepokoił się Konrad.

Zamilkli na chwilę, lecz odtąd już jeść nie mógł książę z dawną swobodą, wreszcie zwrócił się do księdza:

— Dajcie mi ten list.

Poseł powstał szybko z ławy, wyciągnął z za piersi worek skórzany, w którym złożona była tabliczka, w niej zaś pergamin papieski.

— Czytajcie—rozkazał Konrad.

Monotonnie płynęły słowa łacińskiego listu:

— Grzegorz IX. Z woli Boskiej papież rzymski, bratu w Chrystusie, Konradowi, księciu na Mazowszu i Kujawach pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

Z prawdziwą serca naszego radością dowiedzieliśmy się od Hermana z domu Salza, mistrza Zakonu Krzyżackiego, ze książę na Mazowszu i Kujawach za zgodą żony swojej Agafji i synów Bolesława, Kazimierza i Ziemowita, nadał zakonowi Krzyżaków na własność po wieczne czasy, bez żadnych zastrzeżeń lub obowiązków, Ziemię Chełmińską, tak jak ona rozciąga się pomiędzy Wisłą i rzekami Drwęcą i Mokrą, oraz wszystko,

cokolwiek Zakon zdobędzie na Prusakach. Szczególną zaś radością przejęła nasze serce wieść, że książę na Mazowszu i Kujawach nie żąda za to żadnych świadczeń i powinności ze strony zakonu, prócz obrony przed Prusakami, dopóki ci na wiarę Chrystusową nie będą nawróceni.

A jako nam, pasterzom rzymskim, polecił Chrystus czuwać nad trzodą kościoła i kazał cieszyć się z jego radości, a smucić z klęsk, tak teraz serce nasze przepełnione najwyższem szczęściem z powodu szczodrobliwości waszej i gorliwości we wierze.

Modląc się do Boga o opiekę nad wami i domem waszym, prosimy, byście nadal opiekę swą roztaczali nad zakonem, którego dobra my na własność stolicy apostolskiej przejmujemy, oddając je przytem Zakonowi N. Marji P. i to, co z czasem zdobędą na Prusakach".

Skończył czytanie ksiądz i podniósł głowę, by jeszcze coś dodać, lecz słowa uwięzły mu w gardle.

Pochylony nad nim i papierem Konrad do trupa był podobnym, tak zbladł teraz, a jego sępia twarz tyle dzikości miała w sobie, że wszyscy od stołu się porwali, nie wiedząc, co mu się stało, bojąc się, co będzie.

Zrozumiał wszystko Wojciech.

Podszedł do Konrada, chciał go wziąść pod rękę, lecz ten szarpnął się gwałtownie i zwracając się do księdza, rozkazał lodowatym głosem:

— Czytaj jeszcze raz:

Ksiądz spojrzał zdziwiony, lecz przeraziwszy się wyrazu twarzy księcia, rozwinął znów papier i czytał powtórnie swym monotonnym, miarowym głosem.

Kiedy zaś doszedł do miejsca, gdzie wymienione były jego podarki o ziemiach dla Krzyżaków, zaczął się śmiać straszliwie, Konrad aż struchleli wszyscy, lecz nikt z miejsca ruszyć się nie śmiał.

— Dość?—spytał ksiądz, jak zawsze po łacinie.

— Dość, dość — krzyknął strasznie Konrad i stekiem obelg obsypał Bogu ducha winnego posła, który na szczęście nie rozumiał tych wyrazów.

Konrad zaś w bezsilnym gniewie rzucił się na ławę i zwracając się do Wojciecha, wołał:

— Widzisz ty? Papież mojemi ziemiami się rozporządza, nadaje je na wieczne posiadanie Krzyżakom, jako ziemie stolicy apostolskiej. Słyszałeś to?

— Słyszałem—potwierdził Wojciech. — Papież także mówi, że dowiedział się o tem od Henryka von Salza.

— Tak, tak—złościł się Konrad — ten to pies niewierny, którego w 1226 roku przysłali mi tutaj. I jam no ugościł, pozwoliłem mu rycerzów, ile chce sprowadzić, dałem im ziemi kawał pod uprawę i na gospodarkę, a ten odwdzięcza mi się teraz w jaki sposób?! O ty, gadzino wstrętna—porwał się Konrad i biegł do drzwi, lecz opamiętawszy się, zawrócił:

— Dam ja mu—pogroził.

Nastało milczenie, które grzmoty burzy przerywały, coraz bardziej rosnącej, coraz głośniejsze, jakby niebo samo znieść nie mogło takiego ogromu wiarołomstwa i przewrotności, jakby ono gromami swymi dosięgnąć chciało tych ludzi fałszu i kłamstwa najgorszego.

Duchowny zaś poseł nie wiedział, co to się stało, dlaczego owa bulla dziękczynna taki gniew księcia możnego wywołała. I siedział milczący, nie rozumiejąc ani słowa burzliwych okrzyków książęcych, nie mogąc pojąć, co wokół niego się działo.

Konrad zaś nie myślał się uspokoić, nie zajmował się gościem, z którym on jeden mógł się rozmówić, chociaż niedobrze władał łaciną.

I nie dowiedział się papieski poseł, co stało się na dworze mazowieckiego księcia, jak nie dały się już naprawić błędy Konrada, dobrze osidlonego przez zakon krzyżacki, schwytanego jak ryba w niewód, przez niemieckich lisów w klasztornych kapturach.



Murza tatarski.

(Rys. J. Stemler).

Bitwa.

— Co to za lud, co za lud? — pytali górnicy Goldberga, rozłożywszy się obozem pod Lignicą, gdzie całe zebrało się rycerstwo chrześcijańskie, by dać odpór mongolskiej nawale z początkiem roku 1241.

— Idźcie spytać krakowskich Polaków — poradził inny — oni więcej wiedzą o tym ludzie, bo bliżej są Rusi.

— A Ruś skąd wie? — spytał trzeci.

— Ruś już zniszczona, widziała ich.

— Spytajmy, spytajmy — dopraszali się — to nie do wiary, co opowiadają o nich.

— Mówią, że mają głowę potwora strasznego, z rogami, na które, jak na spisę w bitwie nabijają ludzi.

— Mówią, że z oczu im płomień gorejący bucha.

— Mówią, że po dwóch, trzech zrośniętych razem chadza i z kilku stron naraz mogą się bronić i z kilku naraz razić.

— Straszni, straszni.

Takie słuchy i inne chodziły o nieznanych Mongołach, Tatarami także zwanych.

A tymczasem w zamku lignickim trwała narada.

Zwyciężyło zdanie, by ze względu na dużą ilość zebranego rycerstwa nie chronić się w zamku.

— Bo i gdzież pomieścicie owych 30.000 rycerzy, którzy i z Polski całej i z Niemiec naciągnęli, by nieprzyjaciela precz stąd odegnać Choćbyście żywności mieli dosyć, nie pomieścicie ich tu wszystkich.

I to była prawda.

Więc już na dziedzińcu zamkowym podzielono role.

Młody Henryk Pobożny, książę śląski i opiekun po ojcu swym Bolesława Wstydliwego, wielkiego księcia krakowskiego, dzierżył naczelne dowództwo, jako pan tej ziemi, na której krwawe zapasy miały się rozegrać.

— Wam — mówił do Bolesława, Dypoldowego syna, margrabiego morawskiego — pierwsze wyznaczę stanowisko, byście ze swymi mocnymi, ale mało wyćwiczonymi górnikami pierwszy dali odpór. Zaraz zaś z wami pójdzie Sulisław, syn wojewody krakowskiego z Wielkopolanami i z krakowskiem rycerstwem.

— Dobrze — zgodził się Sulisław, ale pamiętajcie, że trzeba w odwodzie dosyć zostawić rycerzy, bo Tatarów chmura będzie, jako to w bitwie z moim ojcem widzieliśmy.

Mógł zaś Sulisław dużo mówić o sposobie walczenia z Tatarami, gdyż wraz z ojcem walczył z nimi pod wsią Turskiem i walczył szczęśliwie. Wprawdzie ranami okryty wrócił do domu, jednak wrócił wraz z bratem, Włodzimierzem, wojewodą krakowskim, jako zwycięzcą.

Niestety — w krótki czas potem, zanim Sulisław mógł z łoża się podnieść, brat starszy drugi raz musiał iść przeciw Tatarom i już z pod Chmielnika nie wrócił.

I oto teraz stanął Sulisław pod Lignicą, aby za brata się zemścić i chrześcijańskim pobratymcom dopomóc.

Stosownie do jego rady pozostałe wojsko podzielił Henryk na 3 hufce, pod wodzą Mieczysława, księcia Raciborskiego i opolskiego, Poppona von Ostern z Krzyżakami. Na czele piątego z Polaków śląskich i innych, stanął sam Henryk.

— Jeszcze trochę na wrogów poczekamy — mówił z pewną dumą Poppo von Ostern, zbliżając się do Henryka Pobożnego.

— Nie dufajcie tak — uczył go Mieczysław, książę Raciborski. Nagle się zjawiają ci nieprzyjaciele i niewiadomo kiedy ku nam przyjdą.

I jakby dla potwierdzienia jego słów nadbiegł na koniu goniec, a zobaczywszy Henryka, zawołał:

— Już idą, już płoną osady.

Nie było czasu, ani ochoty na naradę przed bitwą. Rycerstwo chrześcijańskie ogarnięte było takim zapałem, taką chęcią zmierzenia się w polu z nieznanym wrogiem, że gdyby nie karność wojskowa, natychmiast, bez porządku byłoby biegło we wskazanym kierunku, byleby jak najprędzej bić się i, jak wierzyli, zwyciężyć.

Wstrzymały się więc inne oddziały, a tylko dwa pierwsze runęły z pagórków lignickich, na ogromną równinę, ocienioną lasami, z pod których wysuwały się szybko nieprzeliczone szeregi małych koni, z dziwnemi postaciami na grzbiecie, niewidocznemi prawie zdala, tak dokładnie przylegali do siebie jeździec i koń.

Wtem, jakby wiatr podniósł łan burzanów na łące, podnieśli się i—w tej chwili ciemno zrobiło się na chwilę.

To Tatarzy gradem strzał witali, pędzących ku nim rycerzów polskich i niemieckich.

Lecz nie wstrzyma wichru pędzącego trawa, nie wstrzyma wody spadającej dym.

Starły się z sobą szeregi, aż jęk poszedł po śląskich borach, a w sercach patrzącego w górze Henryka i polskich książąt odwaga rosła i duma się rodziła, gdy widzieli wielkoludów krakowskich przeciw tej szarańczy drobnej walczących.

Tam zaś, od lasu, wciąż chmura spadała za chmurą, jakby Bóg niewidzialny na szeregi polskie piaskiem sypał i za karę jakąś wyrywał z pośród szeregów coraz nowe ofjary, coraz nowych, martwych rycerzów.

Lecz szeregi nie chwieją się. Przeciwnie. Nawet górnicy z Goldbergu, choć nieznający rzemiosła wojennego, ściskają się coraz bardziej, ścieśniają szeregi, ilekroć tysiące strzał tatarskich zmniejszą ich liczbę.

Lecz z najdalszych krańców czarnego boru nowe wysuwają się watahy, z początku ledwo suną naprzód, a w miarę gdy przybliżają się, zacinają konie i wysławszy przed sobą grad pocisków, i schowani za karki końskie przed polskimi grotami, pędzą już, jak huragan, tratując trawę, wyrzucając piasek z pod kopyt końskich.

Pracują szablice z zapałem, z grzmotem biją młoty, a okrzyki rycerstwa i chropowate głosy tłuszczy, aż pod zamek

lignicki dochodzą, gdzie Henryk naradza się gorączkowo z młodym Sulisławem, nie wiedząc, czy starczy mu sił na zwalczenie wroga, którego siły nie zna, którego sposobu walki nie doświadczył.

Wtem okrzyk się rozległ.

— Bjegajcie, biegajcie!

Zadrżał Henryk, zadrżał i Sulisław.

— Co znaczy ten krzyk?

Lecz więcej rozpaczy słychać w ich głosie, niż przestrachu.

Patrzą na równinę, a tam resztki już tylko dwóch hufców słaby opór stawiają Tatarom, część zaś cofa się w nieładzie i nieporządku, ucieka raczej do głównego polskiego obozu.

— Co robić? — trwoży się Henryk.

Wtem Sulisław w swoje ręce ujął dowództwo.

— Wasz oddział bierzcie.

I zwrócił się do swoich.

— Naprzód.

I złączyły się oba hufce.

A w pierwszym ich szeregu szedł kwiat rycerstwa polskiego. Więc obok Henryka Pobożnego i Sulisława, brata wojewody krakowskiego, szli tam ramię przy ramieniu, Klemens, wojewoda Głogowski, Konrad Konradowicz, Klemens z Pełcznicy Stefan z Wierzbny z synem swym Jędrzejem i Tomasz syn Piotrka i Piotr Kaza i dziesiątki innych w dalszych, zwartych szeregach.

Nieznane przed nimi leżało pole, nieznane niebezpieczeństwo, nieznany ogrom wroga.

A przecież śmiało szli naprzód, od czasu do czasu jeno zachęcając się nawzajem pobożnymi okrzykami, jakby sobie uprzytomnić chcieli, że niczem jest życie na ziemi i że sławą jest śmierć na polu bitwy.

I jak wulkan nagle wyrzuca ziemię i pęka jej skorupa daleko wokół otworu, tak owe dwie chorągwie, spadłszy nagle na karki Tatarów, wyrzuciły w górę pierwsze szeregi na kopje je nadziawszy, aż połamały się szyki najbliższe od strachu, czy też istotnej siły natarcia.

A stary wojewoda Głogowski, wysunąwszy się naprzód wraz z Sulisławem i Henrykiem zniszczenie sieje wokoło i nie

zważając na wiek swój, jakby mu sił nagle przybyło tnie na wszystkie strony, a rąbie okrutnie.

Dwaj zaś rycerze polscy, ojciec i syn Stefan z Wierzbny i Jędrzej, mając szable z najlepszego kruszcu, kosili wprost szeregi tatarskie, które przed nimi cofać się poczęły, zapomniawszy o łukach i kołczanach, jeno straszny wrzask podnieśli ordyńcy i tył podawać poczęli.

W wyrwę zaś w ten sposób stworzoną cisnęły się szeregi polskie, rozszerzając ją coraz bardziej, siejąc wszędzie zniszczenie, śmierć bezlitosną.

I wkrótce okryci w skórę Tatarzy tył podali i w popłochu cofali się ku lasom, gdzie resztę towarzyszów zostawili.

Lecz trudno uciekać tam, gdzie masa ciał ludzkich zaległa drogę. A przed nimi dziesiątki tysięcy ordyńców stały, strzałami od czasu do czasu wspierając swoich, bo do boju wręcz stawać nie mogli dla braku miejsca.

I o nich oparci Tatarzy z pierwszych hufców ginęli marnie, nie broniąc się prawie, takie ich przerażenie objęło, taki przestrach przed rycerstwem.

Wtem nowy ukazał się huf.

Rozstąpiły się watahy tatarskie, piszczałkami jak wiatru podmuchem zegnane i głosem strasznym:

— Batu, Batu!

To sam chan tatarski, widząc padających żołnierzy, widząc, że zwycięztwo na polską chyli się stronę, porwał się ze swoją doborową watahą.

Lecz z rycerzami miał on sprawę.

Na chwilę cisza się zrobiła, a potem gwałtem wybuchła, jęków tysiącem, stękania koni żałosnem wyciem i strasznymi, piekielnymi głosami Tatarów.

Od lewego zaś skrzydła nowy zbliżył się huf, a chociaż Konrad Konradowicz z Klemensem, Głogowskim wojewodą zwrócili się zaraz przeciw wrogom z częścią chrześcijańskiego rycerstwa, przecież załamał się front bojowy i upaść musiał duch.

Wtedy zaś w straceńców zmienili się ci, którzy nie chroniąc się, jak ostatni hufiec Mieczysława, księcia Raciborskiego

i opolskiego, do zamku w Lignicy, pozostali tutaj, by śmiercią swą ocalenie chrześcijaństwa okupić.

Henryk zaś, otoczony czterema rycerzami, walczył ciągle, walczył wytrwale.

Kazano mu uciekać, by resztę dzielnicy zasłonił i nową zgotował obronę — nie chciał i dalej walczył.

Gdy jednak strasznie topnieć poczęły szeregi polskie Sulisław, położywszy rękę na wodze jego konia, zawrócił, każąc odprowadzić księcia Klemensowi, wojewodzie Głogowskiemu, który straciwszy swoich ludzi znowu tutaj się znalazł, i Konradowi synowi Konrada i Janowi synowi Iwana.

Nie było zaś czasu wiele, bo oto Tatarzy, podnosząc swą jedyną chorągiew, kupić się poczęli koło nich, poznając po lśniących zbrojach, że tutaj najpotężniejsi walczą rycerze.

Lecz jak kilka odyńców ni psów zgrai się nie przeraża, ni wilków zgłodniałych, tak owi rycerze, chociaż śmierć widzieli przed sobą, odważnie stawali ścierając każdego, który ośmielił się zbliżyć do nich nieostrożnie.

Wtem jęk się wydarł z polskich piersi.

Ale Henryk nie zginął. Upadł tylko wraz z koniem i w tej chwili rzucili się ordyńcy, wierząc, że oto koniec jego nadszedł.

I nie prędzej padają kłosy na łanie zbożowym, jak najbliższe padły szeregi tatarskie, nagle na pięciu rycerzy się rzucające, tak nagle i tak strasznie raziły ich miecze Sulisława, Konrada i Klemensa.

Jan zaś podał nowego konia księciu, a sam pieszo począł się bronić, gdy konie odniosły daleko polskich rycerzów, broniących dalej śląskiego księcia.

I jak mrówki szybko wdzierają się na kopiec mrowiska, tak zaraz ćma pokryła Jana syna Iwana, księcia ruskiego, który na polach Lignicy złożył krew swą młodą w obronie chrześcijaństwa i polskiej dzielnicy.

A słońce, które cały dzień znojnie świeciło, chylić się poczęło ku zachodowi, kładąc czerwone blaski na czerwoną ziemię.

Wtem przed resztkami wojsk polskich, w promieniach krwawego słońca zjawiła się chorągiew Batu chana.

Na jej zaś szczycie ociekała resztką stygnącej krwi młoda, piękna twarz Henryka Pobożnego.

Z nim razem i Sulisław poległ i Konrad i Klemens i wszyscy, którzy przy nim stali i z nim walczyli.

Aż przerażone schowało się słońce, posyłając czarną, kwietniową noc, porę tańców mocy piekielnych, na ucztę i biesiadę mongolskim hordom.

Przywileje Krakowa.

W zamku swoim, w pobliżu wsi Kopernji, przyjmował Bolesław Wstydliwy, wielki książę krakowski, w połowie r. 1257 ważnych gości.

Nie w izbie zasiedli, gdzie w upalny dzień byłoby zbyt gorąco, a pod lipą na ławie zwyczajnej, gdzie przy każdym z rozkazu księżny Kingi, a za radą matki Bolesława Grzymisławy, postawiono gąsior doskonałego miodu, takiego, jaki tylko w Polsce umiano pędzić.

— Dobrze mówicie—ciągnął dalszy ciąg rozmowy Bolesław—ale zbyt dużo przywilejów dać wam nie mogę. Miasta zakładać będziemy teraz ciągle, a gdybym wam dał, nie miałbym spokoju z innemi.

— Ale pamiętajcie, wielki książę—tłumaczył Jakób, sędzia z Nissy—że Kraków nie to, co każde miasto. Tam przecie siedziba wielkiego księcia, tam najważniejsze sprawy są załatwiane.

— Przecież w Krakowie—dodał Gedko Stilwojt — odbyła się i koronacja wasza, tam są grodów waszych wszystkie skarby, więc przystoi, by Kraków bardziej, niż inne miasta, został wyposażony.

— W każdym razie—mówił Ditmar Wolk—możemy i my coś zrobić. Dajcie nam, książę, większe prawa, a my za to krótsze lata wolnizny będziem mieli. Inni najczęściej przez 10 lat nie płacą podatków, my nie będziem tylko sześć. Dobrze? — spytał, zwracając się nie do Bolesława, a do dwóch innych.

— Jeszcze nie znamy przywilejów—bronił się Gedko, gdy te poznamy, pomówimy o latach wolnizny.

— Więc idźmy po kolei — zaproponował Jakób sędzia z Nissy, który widocznie omawiał wszystkie prawne sprawy i projektował układ między wielkim księciem, a ludnością, mającą zaludnić Kraków.

— No dobrze, mówmy—zgodził się Bolesław.

— Otóż my—zaczął Jakób—na wyznaczonym placu wybudujemy domy, do których drzewa dostaniemy z lasów waszych. Dobrze?

— Drzewa możecie sobie wziąść—pozwolił książę.

— Miasto podzielimy na ulice, zrobimy rynek, jak to zresztą zawsze. Wybudowane domostwa zajmą ludzie, których sprowadzimy, a za prawo wieczystego używania dworzyszcz będą wam płacili, jak to już umówiliśmy pół funta srebra według tej wagi niemieckiej, która w czasie płacenia będzie używana.

— Tego to ja się boję—przerwał Bolesław. Może będzie jaka marna waga, wtedy ja stracę.

— Waga nie może być marna—oburzył się Ditmar Wolk — w handlu nie można sobie pozwalać na różne wagi, na zmianę wag. A my przecież kupcami będziem.

Bolesław spojrzał na niego, jakby chciał wybadać Niemca, ale widocznie uspokoił go wyraz twarzy, więc zwróciwszy się do Jakóba, pytał:

— I co jeszcze?

— Książę wybuduje nam kramy na płótno, dla przekupniów i inne, a my będziemy z nich płacili księciu czynsz wedle ugody. Pięć szóstych części czynszu dla księcia, jedną dla wójta.

— Co dla wójta, to zostawcie mnie, ja sam oznaczę — oburzył się Bolesław.

Niemiec zbył milczeniem życzenie Bolesława i ciągnął dalej:

— Książę da nam za miastem dom, w którym będzie ludność rżnęła bydło. Jak mówiliśmy, prosimy księcia o wieś Rybitwy bez jezior i pola między miastem Prądnikiem, a wsią Krowodrzą, abyśmy to mieli na pług i na pastwiska.

— A Wisłę dać wam?—spytał wielki książę krakowski.

— No pewnie—odezwał się Jakób.

— Dobrze — dam wam Wisłę z obu brzegami od Zwierzyńca aż po klasztor mogilnicki, dla łapania ryb przez wszystkich. Wójtom zaś pozwolę budować młyny, ale z tym warunkiem, że zboże na nasz użytek i naszego dworu, będą mełli w pobliżu miasta, nie dalej jak trzy mile.

— A gdyby ktoś chciał młyn postawić?

— Powiedziałem, że wójt może.

— My jednak prosim, aby i inni mogli.

— Myślałem o tem, ale pozwolę tylko w każdym wypadku osobno razem z wójtem, a ponadto będę żądał opłaty pół grzywny od każdego koła.

— Oj to dużo—stęknął Ditmar.

— Nie narzekajcie—upomniał go książę.

' widocznie zgodził się, że nie jest to zbyt dużo, bo umilkł natychmiast.

— Czego jeszcze chcecie—pytał Bolesław.

— Jeszcze to, na co się pewnie zgodzicie, jako znający nasze magdeburskie prawo. Otóż prosimy o prawo rządzenia się sobą, wybierania ławników, którzy będą sądzili pod przewodnictwem wójta naszego. Zawarujcie nam to, książę, że nie ustanowicie nam żadnego, ani ziemskiego, ani specjalnego wójta, którыby nas krępował i nami rządził.

— Możemy wam na to poradzić, chociaż w ten sposób zrzekamy się swego prawa nad wami. Jednak od tego nie odstąpię, że jeśliby zdarzyła się sprawa ważniejsza, wymagająca dłuższego i poważnego dochodzenia, albo sam będę przy tem, albo kogoś do was poślę.

— A jak ten zechce nami rządzić? — obawiał się Jakób.

— Nie zechce, bo nie dam mu na to prawa, jeno na tę sprawę sądową, czy na kilka.

— To dobrze—zgodzili się wszyscy.

— No, a teraz ja wam powiem, co jeszcze chcę dać, albo wziąść dla siebie. Chcemy więc, by mincarze, których w Krakowie osadzicie, księdzu Prandocie, naszemu biskupowi krakowskiemu i jego następcom składali w całości, bez naszych osobnych starań, dziesięcinę z monety, aby też wszyscy poddawali się karom przez niego nakładanym za opóźnianie

tej opłaty, lub zatrzymywanie jej zupełne Tego żądamy koniecznie.

— To dla kościoła—a co jeszcze?—spytali.

— Tego też żądamy, że jeśli mieszczanin krakowski będzie miał sprawę przeciw Polakowi, niech dochodzi prawa przed sądem polskim, gdy zaś w zamian Polak będzie się prawował z mieszczaninem, będzie obowiązany wnosić skargę nie do kogo innego, jak do wójta.

— Dobrze—zgodzili się odrazu.

— Tąksamo nie wolno wam przypisywać do miasta na mieszczanina ani wolnego, ani niewolnego Polaka, który dotąd mieszkał na wsi.

— Dlaczego nie chcecie tego, książę?—zadziwił się Ditmar.

— Bo wtedy opustoszałyby nasze wsi, a tego nie życzymy sobie.

— Teraz zaś powiem wam o tem, co daję. Więc, jak życzycie, zrzekamy się wykonywania swego prawa książęcego nad ludnością i miastem Krakowem, prócz wypadków nadzwyczaj ważnych. Dajemy wam 6 lat wolnizny dla wszystkich, a potem niech wójt bierze jedną szóstą część czynszów dla siebie i swoich następców, reszta zaś przypadnie nam. Kramy rzeźnicze, szewskie i piekarskie, jak również każdy szósty dom w mieście nadajemy dziedzicznie wójtom z szczególnej naszej łaski. Wójtowie będę mogli po wsze czasy bez opłat i ceł przewozić swoje towary i przechodzić przez całe nasze państwo i księstwo.

— Pozwólcie też przechodzić i innym mieszczanom. My kupcy, trzeba nam na pierwsze lata przynajmniej większego dochodu.

— Ej, za dużo chcecie—uśmiechnął się Bolesław.

— Przyznajcie jednak, książę, że nam ciężko będzie w pierwszych latach gospodarki, wśród obcych ludzi.

— No, no—zgodził się książę—niech będzie 10 lat wolnych podróży dla wszystkich.

— Dziękujemy—pokłonili się wszyscy trzej.

— Poczekajcie, jeszcze nie koniec naszych łask. Nadajemy wójtom 4 młyny na rzece Krowodrzy, gdyby zaś inne młyny bez czyjej szkody chcieli postawić, niechaj nam płacą od każdego koła corocznie wiardunek obiegowej monety. A sta-

nowimy to dlatego, iż wójt stawiący nowy młyn, musiałby mieć dość na to pieniędzy i duże dochody. Słuszna więc, by swemu księciu i panu haracz za to opłacał. Damy też wójtom 30 łanów frankońskich na własność dziedziczną, wolną od wszelkich opłat i usług, wogóle od wszelkiego prawa książęcego i wszystkich czynszów.

— No, to wójt będzie bogaty ogromnie — ucieszył się Gedko Stilwojt, który spodziewał się wójtowstwo otrzymać.

— Niech będzie. Niech wie, że w stolicy naszej będzie wójtem—cieszył się wraz z nimi Bolesław.

— Jeszcze zaś—ciągnął dalej—na użytek całego miasta po wszystkie czasy oddamy wam las, zwany Facimiech, który ciągnie się ponad Wisłą w górę od miasta. To jest wszystko, co wam dać i od was wziąść chcemy. Dobrze wam z tem, czy jeszcze co macie?

Ale Niemcy rozanielone mieli twarze, taka szczodrobliwość spotkała ich na dworze księcia polskiego. Nic więc już nie mówili, jeszcze tylko naznaczyli dzień 9 czerwca, w którym mieli przyjść i wobec świadków napisany dokument przeczytać, i z rąk wielkiego księcia odebrać.

Odchodzili więc uradowani nadzwyczajnie, mówiąc do siebie:

— Ale w tej Polsce warto żyć, warto żyć.

I rozpoczęła się robota kolonizacyjna, zaczęło się tworzenie i zakładanie miast, które choć z początku niemieckie, miały potem przejąć się miłością do nowej ojczyzny i nowej matki.



Krzyżak w stroju zakonnym.

(Rys. J. Stemler).

Na pomoc.

Przez obszary rodzajnej ziemi, dość już gęsto zaludnionej, przez lasy prastare, tysiącami drzew dumnie piętrzące się w górę w czasie skwaru lipcowych dni i chłodnych, miłych nocy, pędził Leszek Czarny, następca Bolesława Wstydliwego na tronie wielkoksiążęcym od Krakowa samego aż pod Lublin, który, jak donieśli mu gońcy, jęczał od okrutnego napadu Prusaków pogańskich i Jadźwingów.

Nie mógł Leszek zostawić bez pomocy ziem swoich, więc zebrawszy jak najprędzej rycerstwa trzy hufce pod wodzą Warsza, kasztelana krakowskiego, Janusza, wojewody sandomierskiego i Piotra, wojewody krakowskiego, wyruszył, a raczej pognał, by już nie ratować swych poddanych, ale mscić się za nich, mścić wrogów okrucieństwo straszne.

Skwarno było na dworze i słońce paliło, jak zwyczajnie w lipcu, prawie nad głowami jadących wojsk stanąwszy, a taki żar sypało z góry w promieniach swych złotych, że nawet oddychać było trudno.

Więc Warsz podjechał do księcia i spytał:

Może damy odpocznienie ludziom i koniom, gdy do owego lasu dojedziem.

— A dobrze, dobrze—zgodził się Leszek i zaraz rozkazy wydać kazał, kiedy zaś do lasu dojechali swego konia rozkulbaczyć polecił giermkowi, sam zaś do Warsza ruszył, dokąd też zaraz przyszli co przedniejsi z orszaku księcia i inni wodzowie.

— Dobrze, żeście przypomnieli o wypoczynku — zwrócił się Leszek do Warsza—bo ja do cna zapamniałem o tem.

— Zapamiętujecie się, książę—rzekł Paweł, biskup krakowski, który nie zważając na godność swą biskupią wraz z księciem ruszył na pogan. A ból rady żadnej wam nie da, a przeciwnie odebrać może. Łzami nie poradzisz na krwawe klęski. Przyjedziem na miejsce, gdzie wrogowie będą, wtedy znajdziecie, książę, godną chwilę wylania żalu i dowodnego okazania go tym, którzy są jego przyczyną.

— Tak, tak—przytwierdzał Piotr, wojewoda krakowski — gdy spotkamy Jadźwingów, damy im naukę, gdzie mają zdobyczy szukać.

— Ukarać trzeba strasznie to plemię wraże — zapalił się Spytek, krewny sławnego biskupa z rodu Odrowążów. Bo to poszanowania z nikąd się nie nauczą i tyle już razy ziemie nasze złupili, jeno łzy a zgliszcza zostawiając. Ale już teraz chyba koniec im będzie.

— Będziem bili, gdy będziem mogli — poważnie przemówił stary Warsz, który z łagodnym, pobłażliwym uśmiechem słuchał gorących słów Spytka.

— A dlaczego nie będziem mogli? — porywczo spytał tamten.

— Jak już uciekli, to przecież ich nie nabijesz.

— To myślę—prawił nieprzejednany rycerz — że będziem ich gonili. Jabym na skraj świata gnał, a nie darowałbym ani jednego domu spalonego, ani jednej ofjary niewinnej.

— Młodzi jesteście—zawyrokował Warsz.

W milczeniu patrzyli wszyscy na młodego Spytka, który stał przed nimi z rumieńcem krwawym na twarzy, lecz nie spuszczał głowy, a dumnie ją podniósłszy, wzrok posłał przed siebie, jakby już szukał wroga, już go gonił.

— Spytek dobrze mówi—ozwały się słowa czyjeś — czas zemstę ponieść w szeregi Jadźwingów.

— Coś strasznego—zmienił temat rozmowy Leszek, słusznie Czarnym zwany, bo przy smagłej cerze i czarnych włosach i brwiach krzaczastych i oczach raczej za jakiegoś wschodniego człowieka mógł być uważany, nie za dziecię polskiej krainy. Coś strasznego—powtórzył w zamyśleniu, mamy zaledwo rok 1288, to znaczy trzeci rok od śmierci stryja Bolesła-

wa i mojego po nim wstąpienia na tron, a ciągle walki muszę staczać, ciągłe boje.

— Prawda, prawda—potakiwał Warsz.

— Życie tak każe, co zrobić—pocieszał biskup.

— Byleby wszystkie takie były walki, jak pierwsza za waszych rządów i ta—szepnął Spytek.

— Co mówisz? — zdziwił się Leszek.

Spytek pokraśniał znowu, lecz nie śmiał powtórzyć zarzutu, który mimowoli z ust mu się wymknął.

Ale już zrozumiał go Leszek, a ponieważ był panem łaskawym, Spytka zaś Odrowąża szczególnie lubił, zaczął się tłumaczyć.

— Źle sądzisz, Spytku. Jam nie był winien tej drugiej mojej wojnie. Podjąłem ją, by brata uwolnić z niewoli, do której w zdradziecki sposób schwytał go Henryk Probus, książę mazowiecki. Nie moja w tem wina, że on taki podstępny i zdradliwy. I gdyby nie ta wojna pewnie do dziś jęczałby w więzieniu brat mój Przemysław, książę wielkopolski.

Spuścił głowę wielki książę, bo widocznie czuł, że niewiele dobrego dla państwa rodzą te ciągłe wojny domowe między księstwami i tak już dość osłabionemi.

— To prawda — zaczął po chwili — piękniejsza była wojna z Lwem, księciem ruskim, ale i ta była nieunikniona.

— Jednak teraz za Jadźwingami pogonimy? — prosił Spytek.

— Wierz mi—zwrócił się do niego wielki książę—jeśliby tylko o mnie chodziło, to natychmiast gnałbym i mściłbym się strasznie. Widziałem ja zgliszcza po Jadźwingach, widziałem ślady ich gospodarki i obym nigdy już ich nie oglądał.

— A jeśli pogonimy, zwycięztwo będzie przy nas—ozwał się jakiś młody głos.

I tak potoczyła się rozmowa, chwilami bolesna wspomnieniami przeszłych klęsk, to znowu drgała w niej nuta nadziei i wiary w rychłe, a ostateczne zwycięztwo.

Kiedy zaś słońce kładło ostatnie swe promienie ukośne na ziemi, znowu pobudka zagrała i znowu, jak dni poprzednich,

wsiadać poczęło rycerstwo, by przez resztę wieczoru i przez noc całą ciągnąć szybkim pochodem na miejsce, gdzie Jadźwingowie swoją twardą postawili stopę.

Jechano znowu w spokoju, a blady księżyc, jakby pragnął ich wieść, szybował w górze powoli i majestatyczną swą twarz na nich zwracał, lejąc światła strugi, rozpraszając ciemności, które drogę mogły utrudnić.

I tak jechali spokojnie, do cieniów nocy podobni, uśpieni snem słońca i milczeniem ptaków, aż nad ranem trawy zroszone ujrzeli, lśniące budzącem się słońcem i skraj długiego lasu lubelskiej ziemi, przez który noc całą przeprawiali się.

Wszystkim raźniej zrobiło się na duszy, gdyż według zdania przewodników, ostatni to miał być las, a tam już osada miała ich powitać, miała im odkryć wreszcie tę zagadkę, która przez całą męczyła ich drogę, czy wróg zupełnie zniszczył osadę, czy też może zdołano obronić się przed nim.

Gdy jednak zjeżdżać poczęły pierwsze szeregi z małego wzniesienia, szept cichy poszedł, który powoli w pomruk się zmieniał groźny, w okrzyk grozy i oburzenia

Nie trzeba było pytać.

Na całej przestrzeni, jak długa i szeroka, snuł się jeszcze obłok kurzawy dymnej, a swąd spalenizny rozchodził się aż pod las.

Rycerstwo bez pytania w cwał popędziło konie i za niedługą chwilę otoczono zgliszcza z pośród których nikt nie wyszedł, żaden głos żywy się nie odezwał, mimo krzyków, mimo nawoływań.

Stanęli wszyscy, a książę Leszek twarz sobie zasłonił rękoma, by nie patrzyć na owe domostwa zburzone, na owe rozciągnięte trupy, które wśród murów tu i ówdzie się walały, na pogrzeb czekając uczciwy.

Nagle podniósł głowę Leszek, podniósł się w strzemionach, a wiatr podnosił jego włosy krucze, a wydymał jego płaszcz na jednem ramieniu wiszący, czyniąc go ogromnym, potężnym, przez błyski w oczach i głos jak grzmot mocny, do bohaterów greckich podobnym.

— Na bój! -krzyknął i pognał konia przed siebie, a za nim całe rycerstwo okrzykiem radosnym wybuchło, już teraz tryumfalnymi głosami śpiewając sobie pobudkę i słowa zachęty bojowej.

I stało się jak pragnął Spytek.

Nie na skraj świata lecieć musieli, bo Jadźwingowie, objuczeni zdobyczą, upojeni zwycięztwem i mnóstwem łupów bogatych, nie odeszli zbyt daleko, a jako dzicy, nie znający sztuki wojowania, nie rozstawili straży wokół obozu.

Polskie zaś rycerstwo nie starało się nawet zachować milczenia, ale na widok obrośniętych twarzy Jadźwingów, wśród których dojrzeli też bielszych Prusaków, jeszcze bardziej przyśpieszyło kroku i wpadło na biwakujących wrogów, jako trąba powietrzna w piaski pustyni się zanurza, burząc wszystko, tratując, niszcząc.

Jadźwingowie chwytać dopiero zaczęli za broń, lecz jak zwykle dzicy ludzie, gdy ujrzą, że ktoś nad nimi góruje odwagą, tracą natychmiast ducha, tak i oni, nawet mieczów do góry nie podnosili, nawet spis nie nastawiali na spadających jak burza nieprzyjaciół, a ginęli masami, a marli, a krew dawali swoją.

Rzeź zaś wszczęła się straszna, gdy uwolniono zabranych świeżo w niewolę lubelskich Polaków, którzy do stada dzikich bestji podobni, rzucali się teraz w dziesięciu na jednego z pogan i rwali go w kawałki, że nawet ostatniego okrzyku wydać nie miał czasu.

Strasznie mszczono się za zgliszcza, strasznie karano za napad niespodziewany.

Nauczanie ludu.

— Cieszcie się, cieszcie się — wołał kmieć Wład, wbiegając do izby, gdzie bawił się siedmioletni Stach z maleńką swą siostrzyczką Hanką.

— Ciesz się mały — zawołał ojciec i podniósłszy w górę chłopaka całował go silnie.

Staszek nie rozumiał wprawdzie, dlaczego ojciec każe mu się cieszyć, ale zarażony tym śmiechem rozchylił swe karminowe wargi i srebrnym głosem radował serce ojca.

W tej chwili weszła do chaty Jadwiga, a widząc taką pogodę na twarzy męża i syna, sama uśmiechać się poczęła, pytając:

— Czegoż tak się cieszycie?

— A opowiem ci, kobieto, a ciesz się i ty z nami, bo to dla całej wsi naszej radość i dla wszystkich kmieci wolnych i niewolnych, dla wszystkich wsi, które na prawie polskiem są, czy niemieckiem.

— Ale gadaj, co się stało? — pytała niecierpliwa.

— Czytał nam ksiądz na kazaniu — opowiadał z zachwytem Wład — cudowną rzecz. Nasz arcybiskup Gnieźnieński, Jakób Świnka, posłał do wszystkich księży rozkazanie, żeby szkoły księża zakładali przy kościołach i klasztorach i żeby uczyli w nich wszystkich, którzy przy parafji mieszkają. Tak się chłopy cieszą teraz, a radość taka we wsi, aż hej!

I dumnie spojrzał na kobietę.

A jakby na potwierdzenie jego słów, dały się słyszeć głosy radosne na drodze, która niedaleko od domostwa prze-

chodziła, szeroką murawą się znacząc, pociętą śladami kół, wydeptaną w kilka ścieżek.

— Władzie, dobrze wam? — ozwało się wołanie.

— A juści. Pójdźcie-no tutaj.

I gromada mężczyzn i dzieci wsypała się na podwórko, podskakując wesoło, jakby to jakie święto ludowe było, które wśród tańców i śmiechów się święci.

Zaraz też Stach, syn Włada poskoczył do rówieśników swoich, a starzy skupili się razem i gawędę poczęli długą, a przyjemną.

— Dlaczego wy się tak cieszycie? — pytała Jadwiga, podając im na misie mleko i placek żytni — kazał arcybiskup uczyć, no i co? — będą księża uczyli, ale co wam z tego przyjdzie — nie rozumiem.

— Oj, Jaguś, Jaguś — litował się Wład, przecie łatwo zrozumieć, że nie dla siebie się cieszymy, a dla dzieci naszych. Żeby to zresztą nie były dzieci wolnych kmieci, ale przecie w wolnym stanie zrodzone, powinny wolnym dorównywać. W każdej zaś wolnej rodzinie powinien znajdować się choćby jeden człowiek, umiejący sztukę czytania i pisania.

— A co waszym dzieciom przyjdzie z tego?

— O dużo — odparł siwy kmieć. Nauczą nas, jak przenieść osadę z książęcego prawa na niemieckie, a to najważniejsza może rzecz.

— Słyszałem — dorzucił młody gospodarz Walek, że wsi na prawie niemieckiem od usług są wolne i prawie na własność ziemię mają.

— Może i takie są — mówił Wład — ale to pewne, że nie mają, jak my, połowy żniw oddawać księciu, a tylko pieniądze mu dają i to po kilku latach, bo z początku są wolne od podatku.

— Oj to wygoda duża — ozwały się głosy w gromadzie i zaraz potworzyły się grupki, gdyż sąsiad z sąsiadem chciał się jak najrychlej podzielić swą myślą.

— Ale jeszcze i inna rzecz jest z tej nauki — rzucił Wład. Które dziecko będzie zdolniejsze, może na księdza pójść i pomyślcie sobie, co to za radość będzie, gdy syn naszej wsi przyjedzie kiedyś w sukni kapłańskiej i wszyscy od naj-

starszego do dziecka całować będą z czcią jego poświęcaną rękę.

Spojrzeli z niedowierzaniem na Włada.

— Ej, gdzieżby tam z takiej szkółki księdza wychowali. Toć ksiądz po łacinie musi mówić — oponował jeden ze starszych.

Wtem ruch się zrobił wśród dzieci.

Obejrzeli się starsi i zobaczyli księdza, który we wrotach stojąc witał się z gromadką młodych dzieciaków. Wyglądał w tej chwili, jak kokosz, wśród piskląt swoich stojąca.

Zaraz też pobiegła do niego gromada i witali się, a Wład nieśmiało przystąpił i prosił:

— Honor to dla moich progów, ale gdy ksiądz już tutaj stanęli w bramie, nie godzi się nogą własną nie wstąpić na moją ziemię.

Nie długo dał się zapraszać proboszcz, a do chaty zaraz iść nie chciał wobec upalnego dnia, jeno w cieniu drzew z gospodarzami stanął i z nimi dalej wiódł rozmowę.

Widząc zaś nieme prośby parafjan, gdy cały czas o niczem, jak o nakazie księdza arcybiskupa Świnki nie było mowy spytał:

— A może jeszcze raz wam przeczytać?

Do nóg mu się kornie pochylili i z radością słuchali jego dźwięcznych słów:

„Stanowimy, by wszyscy księża w czasie Mszy Wierzę w Boga Ojca i Ojcze nasz i Zdrowaś Marjo po odśpiewaniu symbolu wykładali wiernym po polsku w miejsce kazania i aby im święta zapowiadali.

A gdy się znajdą odpowiednio biegli, niech wykładają Ewangelję, zachęcając wiernych do wykonywania dobrych uczynków, do unikania grzechów, do pełnienia służby bożej lub przynajmniej do odwiedzania Ciała Pańskiego. Niech przed podniesieniem uderzą w dzwon, aby się ludzie schodzili, i niech się potem modlą za pana, Ojca św. i za wszystkie stopnie Kościoła, za królów i książąt, za pokój i szczęście ziemi, za wszystko co wszystkim lub każdemu z osobna na dobre wyjść może, w szczególności zaś dobrodziejów i patronów, a wogóle za żywych i zmarłych, tam pogrzebanych.

Nakazujemy dla zachowania i rozwoju języka polskiego przy każdym kościele katedralnym lub zakonnym, jakoteż i innych miejscach, aby tacy tylko stanowieni byli kierownicy szkół, którzy dobrze umieją po polsku i mogliby chłopcom objaśniać wszystko po polsku [1]).

Także stanowimy i silnie nakazujemy zachowywać, aby nikt nie dostawał probostwa, połączonego z pasterstwem dusz, ktoby nie znał mowy kraju i nie był w kraju urodzonym.

— No — kończył ksiądz — i jeszcze nie pozwala ksiądz arcybiskup do klasztorów przyjmować samych nie Polaków, a który zakon takby czynił, odbierać mu posiadane z nadań dobra. Cieszcie się więc, bo szkoły mieć będziecie i dzieci wasze nie będą, jak dotąd, ciemne.

— Oj to dla nas dobre, dobre — cieszyli się kmiecie.

— Pójdziesz do szkoły Stachu? — zapytał ksiądz, biorąc na rękę Stacha, którego jednak zaraz na ziemię postawił, chwaląc:

— Ciężki chłopak.

— A Bogu dzięki rośnie, ale do nauki chętny będzie, bo już teraz widzę, że rozumne z niego dziecko i doczekam się pociechy.

— Wład chce księdza mieć z niego — zdradził jeden z kmieci.

Kmieć zaczerwienił się, jak złapany na złym uczynku, ale ksiądz dobrym wzrokiem spojrzał na niego i rzekł:

— Dobrze, Władzie, chowajcie syna, a może mnie tutaj zastąpi, gdy mi czas przyjdzie gdzieindziej.

Ludzie w zdziwieniu słuchali księdza, on zaś kładąc rękę na ramieniu Włada, ciągnął:

— Potrzeba Polsce wielu księży swoich, wielu ludzi światłych. Tych trzeba nam przygotować, a trzeba nie tylko mieć tych, którzy chcą uczyć, ale i tych, którzy będą chcieli uczyć się. Nie tylko księży dobrych wychowamy, ale i wójtów miejskich, i wiejskich sołtysów i urzędników książęcych. Im zaś

---

[1]) Chociaż jest to rok 1285 — prawie koniec XIII wieku, jednak niewielu było wtedy księży Polaków, gdyż niewiele było polskich szkół początkowych, a żadnej wyższej. Dlatego bardzo często ksiądz w Polsce nie umiał wcale po polsku.

więcej będzie ludzi światłych, różne rzeczy rozumiejących, tem pewniej lepsze przyjdą czasy dla Polski. O, bo teraz ciężkie jest nasze położenie i w ciężkich terminach nasza ojczyzna miła, na kilkadziesiąt rozerwana części, które miast się spajać, coraz bardziej się rwą. Daj Bóg, by nowe nastały czasy i lepsza dola.

Koronacja.

A głośno biją dzwony, a mocno biją serca.

Tłum ludu zebrał się przed gnieźnieńską świątynią, na miejscu, gdzie przed trzema wiekami pogańskie czczono bogi, gdzie teraz od lat szeregu pierwsza w Polsce całej stanęła świątnica, siedziba najwyższych książąt kościoła.

Wokoło świątyni zaprzęgi stanęły szeregiem długim, zaprzęgi paniąt wielkopolskich, a dalej koni pokulbaczonych mnóstwo wielkie, aż gwar się podnosił od rozmów pacholąt, od rżenia i niezrozumiałej gwary zwierzęcej.

A wewnątrz lśni cały kościół od słońca promieni, łamiących się w blasku świec rozlicznych, od zbroic jasnych, które tuż obok ołtarza głównej nawy stanęły, od rzędów zakonnej braci, w bardziej jednolitych szatach, niż owe pstre i purpurowe, szkarłatem i szafranem się mieniące ubiory kleru świeckiego, który szeregiem długim aż do drzwi katedry się ciągnie.

Dalej zaś od granicy nawy głównej i presbyterjum począwszy, aż po środek kościoła gęstą zbili się gromadą rycerze rozmaici, jak rozmaite były ich szaty, to w pasy różnokolorowe, to w kropki i kwiaty upstrzone, to znowu łagodne błękitem jednej połowy sukni, a drażniące oko jasną zielenią drugiej.

Tuż koło nich stanęły dzieci ze szkoły katedralnej, w długich sukniach, to znowu w dziewczęcych prawie, okrągłych

płaszczach, a dalej mieszczaństwo gnieźnieńskie i lud kmiecy na dwie podzielony części, jedna jaskrawa zawojami na głowach, inna jaśniejąca koszulami z płótna, wpół przewiązanemi.

A najwspanialszy był widok tuż przy ołtarzu wielkim, oświeconym rzęsiście, wprost gorejącym.

Na stopniach ołtarza klęczał książę Przemysław, któremu udało się dzielnicę pradziadów swoich złączyć i nad całą Wielkopolską ująć władzę.

W stallach zaś zasiedli biskupi, przed którymi dyjakonowie ich pastorały trzymali bogate, nad głowy ludu, jak drogowskazy wzniesione.

Więc siedział tam biskup poznański Jan Gerbisz, modlił się wrocławski pasterz Jan Romka i płocki Gustaw i z dalekiej ziemi lubuskiej przybyły Konrad.

Rozległ się dzwonek.

I cały kościół pochylił się nagle przed majestatem poczynającej się Ofiary, cały kościół skłonił głowę przed wychodzącą Mszą św. i tym, który ją miał odprawiać, najprzewielebniejszym ojcem Jakóbem Świnką, arcybiskupem gnieźnieńskim, władzcą całej polskiej metropolji kościelnej.

W ów dzień uroczysty, świetlny, ciepły, sam arcybiskup na kazalnicę wstąpił.

Kiedy zaś zwykłą naukę wypowiedział, dostosowaną do święta męczenników Pawła i Jana, w te przemówił słowa:

— Pełne są przykładów żywoty Świętych Pańskich, pełną jest wskazań najlepszych nauka Chrystusowa. Kiedy więc dana wam jest możność czerpania z tej skarbnicy świętej, pamiętajcie nie o sobie jeno, a o tych tysiącach poddanych waszych, którzy w ducha pokorze na opiekę waszą czekają. Za chwilę z mocy Stolicą Apostolską mi nadanej namażę was, dotąd książę, na króla polskiego. Namażę was w tej świątyni, w której pierwsza korona na głowę państwowego przewodnika włożoną została, w której owo przeznaczenie królewskie i godność z ziemskich najwyższą po raz pierwszy w r. 1025 nasz Bolesław Chrobry otrzymał. 270 lat upłynęło od tej chwili. A jaka dzisiejsza Polska inna od tamtej, jak bardziej nieszczęsna i klęskami skołatana.

Zanim więc na swej głowie koronę poczujecie, przypomnieć wam muszę z mego obowiązku pasterskiego, jako pod ciężkie obowiązki schylić musicie barki wasze i przedewszystkiem owo rozdarcie ziem naszych usunąć, które już tyle i tak strasznych sprowadziło na nas klęsk.

Niechaj Bóg w swem miłosierdziu niewyczerpany w swej dobroci dla nas grzesznych niezrównany, da wam, książę, i tę moc duszy i niech wam da takie wypadki szczęśliwe, byście to, co było wspólne, a dziś rozerwane we krwi bratniej i wrogiej tonie, w jedną złączyli całość i w jedno wielkie i potężne państwo.

Byście moc w sobie mieli, niech wam da Pan, zachowania w całości połączonych granic. Że zaś wielka jest pracy moc przed wami, my, stan duchowny polski, przyrzekamy wam wobec Boga i ludzi, wobec Królowej Anielskiej i Niebios, że słowo Boże po całej siać będziemy prowincji naszej, by rosła z tego chwała kościoła i pożytek stwarzanej przez was w dniu dzisiejszym potężnej nawy, która niechaj się sławą przodków napełni i blaskiem jasnym na świat cały zajaśnieje. Niechaj Pan czuwa nad wami i nad Królestwem Polski.

I ukląkł arcybiskup Świnka, z nim zaś cały kościół na kolana runął.

I słyszałeś tylko szept modlitw.

I słyszałeś tylko grzmot uderzeń w piersi.

A przez różowe szkła kościoła zaświeciło nagle słońce i promieniem jasnym przedarłszy się, zatrzymało przy wielkim ołtarzu, potem zaś wydłużał się jasny krąg, jakby połączyć chciał ową głowę koronowaną ze wszystkim ludem, kornie klęczącym, jakgdyby z niebios miał nakazane ciepłem ramieniem objąć i pobłogosławić króla, rycerstwo, duchowieństwo i lud wiejski.

I ciepło było dnia onego, ciepło nie tylko tym czerwcowym dniem, nie tylko słońcem jasnem, ale ciepło rozlało się w duszach wszystkich, bo wierzyli, że koronacja Przemysława na króla polskiego, to początek odrodzenia państwa. Nawet prostaczy lud czuł, że nowe idzie światło, nowe życie i czasy lepsze, nowe.

A szły one przez równoczesne jednoczenie, chociażby w rękach obcego Wacława czeskiego, szły przez jednoczenie drobnych dzielnic przez Władysława Łokietka.

Więc dobrze i pogodnie robiło się w duszy, bo ku sobie zbliżały się rozdarte części, na dobre, wspólne życie.

Ucieczka.

— Zimno mi—skarżyło się pacholę dwunastoletnie, może nawet młodsze.

— Chodźcie prędzej — przynaglało, skacząc po głazach i skałach, bujnie trawami porosłych.

— Zimno — powtórzyło znowu.

— Mnie w duszy zimno, to gorzej — odparł towarzysz, wzrostem niewiele wyższy od swego młodego przewodnika, który niecierpliwie biegł prawie naprzód znaną sobie widocznie okolicą, wynajdując ledwo dostrzegalne ścieżki, omijając rozpadliny skalne i przepaści.

Nie słyszało skargi towarzysza pacholę młode. Jego dziecięcy umysł nie byłby pojął całego ogromu skargi w tych kilku słowach wydzierającej się z głębi zbolałej duszy.

A towarzysz z twarzą pooraną zmarszczkami, z wyżółkłą skórą na skroniach, które za wczesny szron siwizny okrył, otulił się w opończę i szedł, nie patrząc przed siebie, a spuszczoną trzymając głowę, w myślach zupełnie zatopiony.

Nad ich zaś głowami zbierały się chmury czarne, ciężkie jako ołów. I jastrzębie z kwileniem zataczały koła i wicher się zrywał, gwałtownemi, krótkiemi uderzeniami atakując skały, drzewa i krzewy przydrożne.

— Trzeba będzie spocząć—szepnął chłopak, gdy pierwsza błyskawica rozdarła powietrze.

— Po co?—spytał starszy.

— Popatrzcie, co się dzieje.

I rzeczywiście dobra była rada. Nad nimi tuż prawie nad głowami zwisała czarna, groźna chmura, zapowiedź gradowej burzy.

— I to przeciw mnie—szepnął starszy.

W tej chwili zamajaczyła postać przed nimi.

— Ojciec idą!—krzyknęło radośnie dziecko.

I towarzysz jego ucieszył się.

— Jak dobrze, że przyszedłeś, Wojsławie, ciężko mi strasznie.

— Będzie lepiej.

— Oj nie wierzę już. W Nowym Sączu pewnie są już zbirowie Ulricha Bozkowica, a on bardziej zdaje się zawzięty na mnie, niż sam Wacław czeski.

— Widzieliście się ze swoimi?—zmienił rozmowę Wojsław.

— Nie mam swoich—smutnie odparł tamten.

Wtem grom upadł niedaleko, aż jasność powstała przerażająca na chwilę, a skały echem podawały sobie przeciągłem jego długi, przeraźliwy huk.

— Chodźcie ojcze—przynaglało dziecko.

Stary rozglądać się począł po okolicy, poszedł przodem przed nimi, zapowiadając:

— Znam tutaj jaskinię, schronimy się.

Za chwilę z tryumfem wprowadził ich do ciemnej izby, nie kutej przez ludzi w skale, powstałej przez rozpadnięcie się piaskowca górskiego, który u dołu dał ludziom ten przytułek skromny, na sążeń wysoki, u szczytu coraz węższy. Otwór skały wyglądał jak trójkąt, a nad nim wyżej leżał duży i jednolity głaz, na którym sosny rosły i brzozy, korzeniami obejmując i krusząc swą podstawę.

— Jak tutaj ciepło—ucieszyło się dziecko.

— Coście wy tacy smutni?—zagadnął Wojsław.

Chwilę nie otrzymywał odpowiedzi, wreszcie posłyszał grobowy, złamany głos:

— Trzeba znów uciekać.

— Po co, królu?

Tamten zerwał się.

— Nie mów tak!

— Dlaczego?

— Posłyszą jeszcze i tobie będzie bieda i mnie.

— Nie bójcie się—uspokajał Wojsław—tutaj nikt was nie zdradzi, skały jeno wokoło i drzewa ukochane i my — sami swoi, wszyscy wasi. Pamiętacie, gdyście z Kujaw przeciw Wacławowi wyprawę czynili, to zaraz siła ludu stąd się sypnęło, gdy tylko wieść się rozeszła, że król Łokietek potrzebuje pomocy. To samo i teraz jest.

— Oj, nie to samo—szepnął król.

— Czy wiesz Wojsławie, — mówił oddychając ciężko — że w mojej ziemi Krakowskiej, w mojem dziedzictwie sandomierskiem, ba nawet w Kujawach, odstąpili mnie moi? Może i wy mnie odstąpicie—skończył prawie szeptem.

— Oj nie opowiadajcie tego, królu — prosił Wojsław. — Nas od sprawiedliwości nie odwiodą. Wasze to dziedzictwo i wyście tutaj panem. Da Bóg, odzyskacie i państwo Przemysławowe, jako was on w Wielkiej Polsce naznaczył swoim następcą, zanim jeszcze zabili go niecni margrabiowie brandeburscy, odzyskacie także swoje Kujawy i ziemię sieradzką i krakowską, i sandomierską i lubelską, która znowu od Rusinów do Polski przyszła. Wszystko odzyskacie królu.

— Już mi się wierzyć nie chce. Wiesz, Wojsławie, — mówił Łokietek głosem trochę pełniejszym, — kiedy przyszedłem koło Sącza do jednego z moich stronników, ten udał, że mnie nie poznaje. Dobrze, że jeszcze mnie nie wydał czeskim i niemieckim szpiegom, których moc kręci się tutaj.

— Tutaj ani jeden — uśmiechnął się Wojsław. — Tutaj szczery lud mieszka, więc nawet nie szukają, bo to i niebezpiecznie — nachylił się do ucha królewskiego przy ostatnich słowach.

— Radbym się wam odwdzięczyć za to serce wasze.

— Odwdzięczycie sie królu, gdy wam dobrze będzie. Oj, żeby to skończyły się już frasunki.

— Daj Boże, daj Boże, chociaż nie widzę ich końca.

— Co myślicie zrobić teraz?

— Teraz, widzisz, nie mogę tutaj zostać. Szukają mnie w Krakowskiem i Sandomierskiem Mikołaj książę opawski i Ulrych Bozkowic, na Kujawach czuwa Tasza z Wiszemburka, w Wielkopolsce Frycz. Wszyscy oni z rozkazu Wacława rządy sprawują, a właściwie mnie szukają. Stronnicy moi albo milczą przerażeni, albo przeszli na stronę króla czeskiego, którego biskup krakowski wspiera, a nawet koronę polską wdział na skronie jego.

— To weźcie pomoc z zagranicy—radził Wojsław.

— Ba, Niemcy daliby chętnie, byle tylko kawał Polski zabrać sobie przytem. Tego ja nie dopuszczę. Lepiej mi się poniewierać jeszcze, niż odwiecznego wroga na kraj sprowadzać i klęskę szerzyć.

Wojsław nic nie mówiąc, schylił się do kolan Władysława i pokornie je objął.

Król zaś ręką objął go za szyję i nic nie mówili do siebie przez chwilę, połączeni tym ogromem miłości dla ziemi swojej i swojej ojczyzny.

— Więc co zrobicie?—pytał znowu Wojsław.

— Trzeba na Węgry mi ruszyć. Schronię się do wojewody Amadeja i tam czekać będę chwili, gdy tutaj będę mógł wrócić i panowanie odzyskać.

— Daj Bóg jak najprędzej i daj Bóg nad całą Polską.

I miały jeszcze przejść dwa lata oczekiwań.

Dopiero po śmierci Wacława II czeskiego w r. 1305 zaświtała chwila, z której skorzystał Łokietek, aby na ziemię ojców swoich wrócić.

A chociaż Wacław III czeski; syn poprzedniego, koronował się znowu na króla polskiego, przecież niedługie było jego panowanie i w r. 1306 cała Polska wróciła do prawego władzcy, potomka Piastów, krew z krwi tej ziemi i kość z jej kości.

Zaczęły się nowe lata, zaczęło się gojenie tych długich

a ciężkich ran, jakie zadały sobie nawzajem dzielnice przez ten półtorawiekowy okres podziałów i wzajemnych walk.

Jeno Śląsk nie wrócił do Polski—już nigdy.

Jeno Mazowsze trzymało się na uboczu — jeszcze długo.

Ale lepiej się dziać poczęło na polskiej ziemi i świtało życie polskiego państwa.

Oblężenie Świecia w r. 1310.

Późną nocą kwietniową r. 1310 posuwał się orszak jeźdźców brzegiem Wisły od Tczewa na Pomorzu w południowym kierunku.

Księżyc skrył się poza chmurami wiosennemi, zostawiając wyłączne panowanie na ziemi chłodnym wiatrom, które od Wisły szły, mgłę leniwą za sobą ciągnąc, ciężką kwietniową mgłę, która do ziemi przylegała zwilżonej, gdzieniegdzie nawet w moczary rozmiękłej, zrzadka trawą pokrytej.

W orszaku ożywienie panowało mimo ponurej, chłodnej nocy.

— To zdrajcy dopiero — mówił Kazimierz, który z rozkazu Łokietka dowodził załogą twierdzy Tczewa — ja do nich, jak do chrześcijańskich rycerzy poszedłem, was w spokoju zostawiwszy, a oni...

Gniew odebrał mu głos, a może żal.

Bo miał czego żałować. Dziesiątki najlepszych wojowników wysiekli mu Krzyżacy, znienacka na zamek napadłszy w czasie, gdy książę Kazimierz z bratem Przemysławem i pierwszymi wodzami układał się o warunki w obozie krzyżackim.

— Co za przewrotność — narzekał. Ja wracam do was, najlepszej myśli będąc — a tutaj, na murach naszego zamku krzyżackie powiewają chorągwie.

— Zdradą walczą oni — od zdrady winni zginąć — rzucił jeden z rycerzy.

— Takiego się nie dosięgnie.

— On z djabłem w zmowie, to i co mu zrobisz.

— Nie mówcie tak — bronił ich Przemysław — krzyż noszą na płaszczu, nie mogą więc być z djabłem w zmowie, ani z żadną mocą nieczystą.

— Ej, już mi się także nie chce wierzyć w ich świętość — ozwał się Kazimierz — toż przecie dzicy ludzie umieją wiary dochować. Mogli mi byli powiedzieć, będziem się bili — ale oni nie, zgodzili się 4 tygodnie czekać na odpowiedź króla — a tutaj w tej samej chwili walkę staczali o mój zamek!

— Bóg ich pokarze.

— Oby rychło, oby rychło — modlił się Kazimierz, niepocieszony po stracie tej placówki, którą mu krewniak Łokietek z zupełną powierzył ufnością i z takim spokojem wielkim.

Wtem zamajaczyło przed nimi wzniesienie jakieś, ledwo dostrzegalne w tumanach opadającej mgły, znaczące się czarnymi, niewyraźnymi konturami.

— Już pewnie zamek — ozwał się głos z szeregu.

— Co, już Świecie? — zdziwił się Kazimierz.

— Bogu dzięki — cieszył się Przemysław. Przecie już szarzeje, mogliśmy dojechać.

— Daj Bóg tutaj się obronić — szepnął stary Wojsław a za nim wszyscy pozdejmowali czapki, i hełmy i chwilę trwal w modlitwie głębokiej.

— Zatrąbić — rzucił rozkaz Kazimierz.

Rozległ się głos wśród ciszy nocnej, a wkrótce zawtórował mu drugi, odpowiedź z murów, na których czuwano, jak należało.

— Nie śpią — ucieszył się Wojsław.

— Może wkrótce nie będą mogli — dorzucił Bogusz, nieszczęśliwy wódz Gdańska.

Coraz wyraźniej wysuwały się budowle zamkowe, coraz lepiej znać było mury grube, skaliste i okop silny, do którego właśnie zbliżali się.

Sam Bogumił, zostawiony jako dowódzca zamku, wyszedł, aby sprawdzić, kto tak późno przybywa do zamku. Zaraz też wpuszczono przybyłych i rozlokowano ich po izbach zamkowych.

Kazimierz zaś z Bogumiłem i kilku rycerzami załogi świecieńskiej ruszył na oględziny murów.

— Trzeba się przygotować, bo Krzyżacy jutro już mogą być tutaj.

Bogumił zbyt dobrze znał zwyczaje wojenne i losy wojny, aby mógł nie dorozumieć się, co znaczy to przybycie obu książąt, dowódców Tczewa, w czasie wojny z Krzyżakami. Jednak nie pytał o szczegóły, spodziewając się, że książę i tak mu opowie.

Jednak milczał na razie.

Orli swój wzrok skierował na mury warowni, oglądał wieże, które nad okolicą górowały, dotykał flanków, jakby nie dowierzał oczom.

Stanął przy narożnej baszcie, która spoglądała na szeroko rozlane wody.

Z tej strony wyglądał zamek, jak cypel z morza wystający, z trzech stron oblany wodą, która — zdawało się z daleka — groziła mu zatopieniem, zalaniem.

On zaś stał dumny, czuwając nad brzegami Wisły i Czarnej, strażując od dawna pomyślnie.

— Stąd nas nie wezmą — odezwał się Kazimierz.

— Nigdy — potwierdził dowódzca.

I znowu milczeli.

Przed nimi zaś wstawać poczęło słońce złote iskry sypiąc w Wisłę błękitną i wzburzone fale Czarnej, aż zdawało się, że to woda zagotowała się w swych głębinach i na wierzch wyrzuca złoto rozlane, gorące.

Jarzyć się poczęło powietrze, a mgła, jakgdyby przeraziła się tej mocy swiatła, znikać poczęła, uciekać precz, jeno gdzieś w dali widać było jej ostatnie straże, ostatnie ślady.

— Słyszeliście o Gdańsku? — spytał Kazimierz.

— Nie, ale domyślam się.

Znów milczenie.

— Wzięty — twierdził Bogumił.

— Ale jak!

— Co się stało? — przeraził się stary wódz.

— Szczegółów ja wam nie opowiem, pytajcie innych. Ale to pewne, że Krzyżacy w nielitościwy sposób wymordowali ludność bezbronną.

— Straszne.

— Mówią, że najmniej dziesięć tysięcy padło trupem. I to mordowali dzieci, kobiety, starców, mężczyzn, przez cały dzień do późnej nocy, na ulicach, przy kościołach, do domów wpadali.

— Straszne — powtórzył Bogumił.

— I to są zakonnicy — z ironją mówił Kazimierz.

Przejęci zgrozą milczeli, patrząc w złotą wodę i tam szukając ucieczki przed tymi strasznymi obrazami, jakie rodzić się musiały pod wpływem podobnych wieści i takich opowiadań.

Wrócili na dziedziniec, ale cały czas ani słowa więcej nie zamienili.

Kazimierz poszedł na pokoje, odpocząć trochę po trudach nocnej podróży, ochłonąć z wrażeń tylu, może usnąć po raz pierwszy od oddania zamku przemożnym wrogom.

Bogumił zaś zmieszał się z tłumami rycerzów swoich, którzy już dowiedzieli się o strasznej rzeczy, bo z szeregów ich padały słowa nienawiści, pogardy i żądzy odwetu na podstępnych wiarołomcach, fałszerzach, dzieciobójcach.

Nic nie było wstrętniejszego w owych czasach, gdy cnoty rycerskie nad wszystko stawiano, jak rzeź niewinnych, jak kalanie miecza krwią bezbronnych.

— Toż nam rycerskie przykazania mówią, że bronić mamy niewinnych, bronić wdów i sierót, mamy dla kobiet być opiekunami, a ci tak pogańsko sobie postępują — oburzał się Jaśko herbu Nałęcz.

— Ani jednego rycerza wśród nich niema — wyciągnął wniosek Bogumił.

— Musimy wziąść odwet, musimy — zapalali się młodzi rycerze, — na drzewach będziem wieszali, gdy się do naszej niewoli dostaną.

— Na nic lepszego nie zasługują — godzili się inni.

I rosła ochota na krew krzyżacką, rosła nienawiść przeciw gadzinie, a raczej przeradzała się w pogardę, równą obrzydzeniu.

— — — — — — — — — — — — — — —

W miesiąc potem, gdy na dalekich łąkach rozwinęły się trawy wiosenne, gdy kwiecie majowe zapachem napełniało powietrze, grzmiały już pod Świeciem kusze, warczały machiny, huczały tarany.

Chociaż był ranek, pracował już obóz krzyżacki, wysyłając ogromne kamienie na mury i belkowania zamku polskiego.

A poza szeregiem pracujących przy machinach uwijało się mnóstwo „braci zakonnych" myjąc się w rzece, nad którą stał obóz, gotując strawę dla towarzyszów i bawiąc się wesołemi rozmowami.

— Dokąd to? — spytał dowódzca krzyżacki Gunther von Schwartzburg, jadącego na koniu Zygfryda, komtura z Gniewu.

— Na polowanie — uśmiechnął się amten, wskazując na pęk sznurów, uwiązanych do siodła.

— Po zwierzynę? uśmiechnął się Gunther, wskazując na dwanaście szubienic ustawionych naprzeciw zamku.

— Właśnie — cieszył się Krzyżak.

— A potrzeba, potrzeba śmiał się Gunther — tylko dwie ofjary znalazły na razie miejsce[1]).

Po tamtej zaś stronie przewidywano ciężkie czasy. Bogumił przekonał się, że żywności nie wystarczy na dłużej, jak na miesiąc, a potem, chyba głodem przyjdzie umrzeć, lub zamek oddać wrogowi.

Straszna to była myśl, a przecież nie mogła być obcą temu, kto życie tylu ludzi wziął na swoją odpowiedzialność. To też myślał dniami całymi nad środkami złamania pierścienia krzyżackiego, który zamknął twierdzę ze wszech stron, nie dopuszczając do niej ani źdźbła trawy na pożywienie koniom, ani słowa wieści z zewnątrz.

Pozostała jedna rada: układy z Krzyżakami.

Mimo całego wstrętu, jaki czuł dla rycerzów czarnym krzyżem znaczących białe swe płaszcze, zgodził się na układy i jako skutek ich wysłał do króla posłów, prosząc o pomoc.

Gdy jednak po miesiącu minął termin oczekiwania, wezwano zamek do poddania.

---

[1]) Faktycznie przy oblężeniu Świecia Zygfryd wieszał na szubienicach chłopów, czy żebraków, których złapał na arkan.

Taki był warunek.

I chociaż woleliby zginąć wszyscy, niż w ręce krzyżackie oddawać to, czemu życiem służyli, nie było wyjścia innego, nie było ratunku, gdy Władysław Łokietek pomocy dać nie mógł.

A Krzyżacy dumnie stali, patrząc na przechodzące szeregi polskie, które nie pozdrowiły ich, jak się dzieje zwykle według zwyczajów rycerskich.

Przeszli Polacy obok nich, milczeniem swojem, odwróconemi głowami w inną stronę, dając poznać, jak bardzo pogardzają tymi, którzy rycerskie miecze na bezbronnych zdolni są podnosić.

Krzyżacy zaś z śmiechem radosnym zajęli Świcie, zatknęli na niezdobytych murach chorągiew zakonną na znak, że ich tutaj teraz panowanie i ich zaczną się rządy.

A nad tą zmianą płakała ludność cała, płakała ta ziemia krwią dla Polski zdobyta i tą krwią związana.

Tymczasem teraz ostatnia padła twierdza, ostatnia nadzieja ludności, ostatnia ostoja jej wiary, że wrócą tutaj polskie rządy, że i z Gdańska i z Tczewa i z Chojnic i Nowego ustąpią Krzyżacy, by właściwym panom oddać rządy.

Losy chciały na razie inaczej.

Dla państwa.

W jednej z komnat zamku króla węgierskiego w Wyszehradzie siedziało trzech mężów.

Najmłodszym z nich był Kazimierz, później Wielkim zwany, albo królem Chłopków, król Polski, syn Władysława Łokietka, po którego śmierci w r. 1333 dzierżył tron skołatanego wojnami państwa.

Przybył obecnie do szwagra swego Karola Roberta, króla węgierskiego, który dawniej był mu przewodnikiem i wychowawcą, gdy Kazimierz, jako młodzieniec bawił na jego dworze, a teraz stał mu się przyjacielem i bardzo potrzebnym doradcą w sprawach rządzenia państwem.

Przy królu zaś był również młody Przemysław z możnego rodu Toporczyków.

— Trzeba jednak coś postanowić — mówił Karol Robert. — Król czeski dzisiaj przyjechał, posłowie krzyżaccy są już od tygodnia, jutro zapewne zaczną się wspólne z nami narady, a my jeszcze niegotowi.

— Nie dziw się, Karolu — łamał się w sobie Kazimierz — ojciec umierając kazał mi Pomorze koniecznie odebrać, kazał morze nanowo dla Polski odzyskać, a ja, co robię teraz?

— Robisz, co musisz — z siłą przemówił Robert. Chyba wiesz, że ja przyjacielem Krzyżaków nie jestem, a jednak nic innego poradzić ci nie mogę, jak to jedno: daj im, co zechcą, byleś ty miał pokój.

— Takie to strasznie ciężkie.

— Temu nie przeczę. Ale jeśli tymczasem weźmiesz się porządnie do roboty w kraju, gdy naprawdę złączysz wszystkie dzielnice, wtedy w bogactwa wzrośnie twoje państwo i podoła przyszłym wojnom.

— A teraz nie możnaby rozgromić zakonu?—spytał Przemysław Toporczyk.

— Ej—machnął ręką Kazimierz — ani marzyć o tem nie można. Przecież Piastowie mazowieccy im pomogą, Piastowie śląscy także, król czeski wszystko wojsko im pośle, jeszcze w Anglji dla nich zaciągi będzie czynił.

— A wam kto pomoże?—spytał Karol.

— Nam? chyba wy, królu i szwagrowie naszego pana z Litwy.

— Oj, z braci Aldony, tej mojej Anny teraz od czasu chrztu, nie wiele mogę mieć pożytku—zaprzeczył Kazimierz.

— Więc kto zostaje?—pytał dalej.

— Tylko wy, królu—szeptem wymówił Przemysław.

— Widzicie. Ja wam zostaję i to jest zawsze dla was pewne. Ale skoro wiecie, że Zakon i Czechy tak się razem trzymają, więc nic wam nie zostaje, jak zaspokoić jednych i drugich, a samym wziąść się tak do pracy, by wam w potędze potem nikt nie dorównał, by nikt nie śmiał ręki na was podnieść.

Zamilkli wszyscy.

Kazimierz jeszcze pasował się z myślą, która mu mózg już przeżarła, a przecież nie mógł tego słowa wyrzec.

— Może oni nie będą żądali—podniósł nieśmiało oczy na Karola.

— Oj ty, dzieciaku,—uśmiechnął się tamten—chcesz mnie oszukać i siebie. Przecie sam nie wierzysz w to, że oni nie zażądają od ciebie zrzeczenia się praw do Pomorza.

— A jeżeli się tak zdarzy. Przecież ojciec mój pokazał im siłę. Pod Płowcami, cztery lata temu dosyć ich przecie nabił.

— Ach tak, tak, w 1331 on ich nabił, a na drugi rok oni mu Kujawy zajęli. Tak Kazimierzu nie można rozumować. Nie mówię ja, abyśmy im sami proponowali ustąpienie Pomorza, ale nie możemy chyba iść bez porozumienia na narady ogólne.

— No tak—zgodził się Przemysław.

— Więc jak postanowimy?—naglił Karol.

— No—cedził powoli słowa król Polski—niech będzie tak, jak ty mówisz.

— Nie martw się—pocieszał go Karol—teraz stracisz, ale ty, albo twoi następcy odzyskają. A mówię ci, jeżeli będziesz dobrym gospodarzem bardziej pamiętać ci będzie naród potęgę wewnętrzną państwa, niż jedną bitwę wygraną, choćby największą. Tylko gromadź skarby, tylko ucz wszystkich w moc róść i w potęgę.

W zgodzie i w zadowoleniu rozeszli się, by dnia następnego przystąpić do ostatecznej umowy.

W niedzielę 26 listopada 1335 r. nadzwyczaj uroczyście wyglądali wszyscy duchowni i rycerze, bawiący na zamku wyszehradzkim.

Po nabożeństwie w katedrze św. Stefana zebrali się wszyscy dostojni goście w największej sali królewskiego zamku, dla wysłuchania aktów zawarcia pokoju między królem polskim Kazimierzem, a królem czeskim Janem Luksemburskim i królem a Zakonem Krzyżaków.

Więc byli w tem dostojnem gronie przedewszystkiem królowie: węgierski Karol Robert, czeski Jan i polski Kazimierz, byli dalej Rudolf książę saski, margrabia Morawji, był Bolesław książę lignicki, wojewoda siedmiogrodzki, hrabia Slawonji. Z duchownych zaś byli arcybiskup strygoński i kołocki, biskupi Miśnji i Ołomuńca. Ponadto wielu zebrało się możnych panów polskich, czeskich i węgierskich, wśród których też stanęli posłowie wielkiego mistrza krzyżackiego: Henryk von Reuss, komtur chełmiński, Markward von Spaneberg, komtur toruński i Konrad von Brunenstein, komtur Świecia.

Wszyscy usiedli wokoło dużego stołu, a Karol Robert, jako gospodarz, pierwszy zabrał głos:

— Wobec was wszystkich tu obecnych, dokona się dzieło wielkie, dzieło pokoju, według nauk Pana naszego i naszego Kościoła.

Kazimierz Wielki, król polski, pragnąc dać przykład wszystkim, iż pokój i życie obywateli nad wszystko cenić należy, z wielkiemi ofjarami dla siebie i korony polskiej pokój zawiera według warunków, na jakie wspólnie zgodziliśmy się.

W tem miejscu dał znak kanclerzowi państwa węgierskiego, który stał przy nim, trzymając dwa zwoje pergaminu, opatrzone pieczęciami.

Rozwinął więc mniejszy z nich i czytał:

— My Kazimierz, król polski, zobowiązujemy się zapłacić królowi czeskiemu Janowi z domu Luksemburskiego, dwadzieścia tysięcy kop groszy praskich, z których dziesięć tysięcy zaraz wyliczamy, za zrzeczenie się praw do korony polskiej. Cztery tysiące kop groszy składamy zaraz do rąk Henryka z Lippy, na rachunek króla, sześć zaś pozostałych wypłacimy w Raciborzu, albo w Opawie na Wielkanoc roku przyszłego. Do tego zobowiązujemy się nie podnosić żadnych pretensji do Śląska ani my, ani następcy nasi.

Jeśliby wszystko nie było wykonane według niniejszej umowy, król węgierski Karol Robert, królowa Elżbieta, jego małżonka i syn Ludwik, powrócić mają akt zrzeczenia się praw do korony polskiej, uczyniony przez tegoż Jana króla czeskiego, a złożony do ich rąk".

Następnie przystąpił do czytania drugiego aktu:

„Zakon Krzyżacki i Królestwo Polskie za zobopólną zgodą przez swych wybranych pełnomocników, chcąc zatamować rozlew krwi chrześcijańskiej, pokój stanowią i zachować postanawiają na następujących warunkach:

Ziemie Kujawska i Dobrzyńska powrócą do króla polskiego Kazimierza do wolnego i dziedzicznego posiadania, podobnie jak za czasu jego przodków, wyjąwszy posiadłości, jakie Krzyżacy mieli w tych prowincjach przed wojną, z których użytek ciągnąć będą z takiemi prawami i prerogatywami, jak przedtem.

Wielki Mistrz i jego rycerze zatrzymują ziemię Pomorską w dawnych jej granicach ze wszystkiemi prawami; tę ziemię Pomorską król Kazimierz nadaje im jako jałmużnę na wieczne czasy, dla odpuszczenia grzechów swoich i poprzedników, tudzież dla pokoju świętego, zrzekając się wszelkich praw do niej, tak aby Krzyżacy mogli ją posiadać w podobny sposób, jak ziemie Chełmińską i Toruńską, nadane im przez jego przodków, zatwierdza obok tego wymienioną donację ziem Chełmińskiej i Toruńskiej, aby zakon mógł je posiadać spokojnie na wieczne czas.

Wszelkie krzywdy i urazy będą zapomniane tak ze strony Polski, jakoteż zakonu Teutońskiego; poddani jednego i drugiego kraju, którzy opuścili swe dobra podczas wojny, mogą wrócić do nich, lub sprzedać je i przesiedlić się, dokąd zechcą".

Na tem skończył kanclerz czytanie aktów, wtedy zaś Karol Robert znowu głos zabrał:

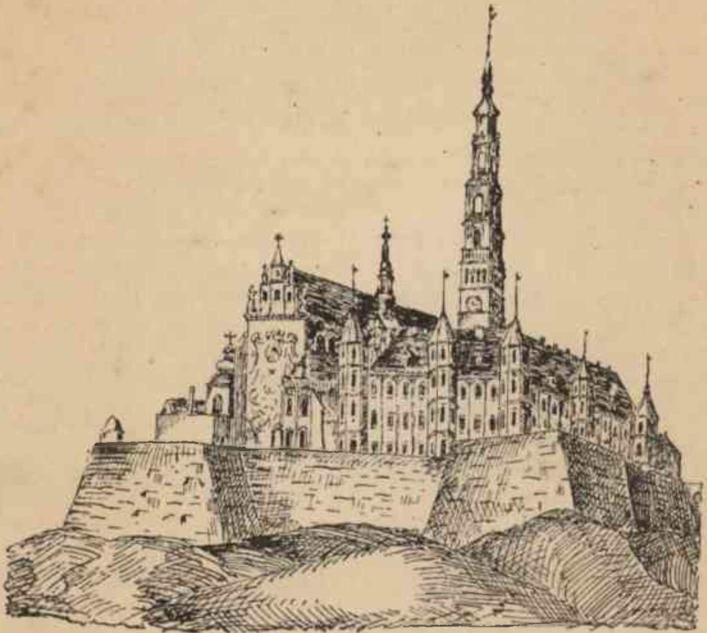
— Niechaj to zawarcie pokojów w obecności i za staraniem nas wszystkich zawarte, będzie początkiem prawdziwego rozwoju wszystkich państw, które w niem uczestniczą, niechaj przyczyni się do ugruntowania pokoju na ziemi i chwały Boskiej.

Potem zaś rozpoczęły się wspaniałe turnieje rycerskie, gonitwy i zapasy, jakich dotąd nigdy i nigdy potem nie widział Wyszehrad.

Król zaś polski, otoczony swymi poddanymi, marzył o potężnem państwie, do którego tak ciężką i tyle ofjar wymagającą drogą iść musiał.

A przecież obrał ją.

I poszczęcił mu Bóg.



Zamek obronny w stolicy Krzyżaków, Malborgu.

Pod Płowcami.

Od kilku dni już zawisła mgła nad kujawskiemi polami między Radziejowem, a Brześciem.

Nieliczne chaty wsi Płowiec tonęły w morzu białem, nad ziemią rozście'onem.

Tonęły w niem i szyszaki i zbroje rycerskie, nawet twarze trudno było rozpoznać.

I 27 września takasama była mgła gęsta, nieprzebita, nieubłagana.

— Dobrze, że bitwy niema — mówił komtur von Plauen do kolegów swoich w dowództwie nad krzyżackiemi chorągwiami komtura von Schwartzburg i komtura von Bargau.

— I Łokietek nie może ruszyć—dorzucił Wincenty z Szamotuł, były wojewoda poznański, który obraził się na Łokietka za przysłanie do Poznania syna, Kazimierza i oto teraz kalał się zbrodnią w obozie wrogim.

— No—twierdził zawsze dumny von Bargau—nie bardzo on ma też odwagę. Nieraz już doświadczył naszej siły.

— Nie bardzo przypominam sobie, byście go w bitwie zwyciężyli kiedy—szydził Wincenty.

— Jego samego nie, ale jego zamki niejedno mu opowiedzą.

— Zamki nie jedno z nim.

— Cóż to wy tak na cześć Władysława śpiewacie?—dziwił się von Schwartzburg.

— Nie wadźcie się—upominał von Plauen—będzie bitwa, zobaczymy, kto wygra. A ja przecież nie boję się ani polskich

wojsk, ani pogańskiego Litwina, który na pomoc przyszedł Łokietkowi.

— Mylicie się komturze—twierdził Wincenty — to wtedy byli Litwini, gdyście Polakom musieli po walkach odstąpić w pokoju Wyszogród i Bydgoszcz, teraz niema ich wcale.

— Napewno to mówicie?

— Zupełnie pewny jestem. Trochę Węgrów przysłał zięć Łokietka.

— Ach to król Robert wspiera dalej króla polskiego?

— Już go nazywacie królem polskim? — drwił Wincenty.

— O co wam chodzi?—nie zrozumiał tamten.

— No, dotąd nazywaliście Łokietka królem krakowskim, a polskim królem według was był król czeski, więc nie rozumiem, czyście już zdetronizowali tamtego, a temu sprzedali, czy też dali tron.

— Dziwni jesteście.

— Zły jestem przedewszystkiem—udał gniew były wojewoda—na takie zimno stać tutaj i nic nie robić, to może humor człowieka opuścić.

— Macie słuszność—zgodzili się Krzyżacy i razem zaczęli narzekać na niepogodę.

— Ot lepiej wezmę sobie Lauterberga i pójdę posmakować Brześcia — ozwął się nagle Henryk von Plauen, a ponieważ główne dowództwo miał marszałek zakonu Teodoryk von Altenberg, więc do niego udał się o pozwolenie i za chwilę ruszyło kilka chorągwi, aby według planu Henryka zdobyć Brześć.

Tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej, zakrywając się ciągle przed ziemią powłoką mgły.

Wtem szmer dał się słyszeć przed obozem niemieckim od strony, gdzie rozłożyły się polskie hufce.

— Co to jest?—zaniepokoił się Teodoryk.

— Nie rozumiem—odezwał się Otto von Lauterberg, który wraz z marszałkiem miał sprawować dowództwo naczelne nad wojskami Krzyżaków.

I znowu dał się słyszeć szmer, ale bliższy, nawet szabla jakaś szczęknęła i koń zarżał.

— Może to Polacy?—przeraził się marszałek.

— Gdzieżby wśrod takiej mgły zaczynali bitwę—uspokajał go Wincenty z Szamotuł.

— W każdym razie trzeba być w pogotowiu — i odszedł dalej, by rozkazy wydać na wszelki wypadek.

Za chwilę okrzyk rozdarł powietrze, a w ślad za nim świst szabel się rozległ i jęki napełniły obóz krzyżacki.

Gorączkowo padać poczęły słowa komendy, natychmiast wysłano posłów po komturów, którzy z częścią wojska ruszyli pod Brześć.

Ale bitwa rozgorzała już na dobre.

Z jednej strony nacierał z krakowską konnicą Prandota, kasztelan krakowski, z drugiej, kasztelan żarnowski Jakób z Szumska, a od środka bił z całej siły, mimo wieku późnego Władysław Łokietek.

I jakby na jego prośby opadać poczęła mgła powoli i odsłaniać najsłabsze strony armji krzyżackiej i ułatwiać w ten sposób otoczenie i tak nie bardzo licznych szeregów niemieckich.

Powoli półkole zataczały polskie chorągwie, a wtem popłoch ogromny powstał w szeregach krzyżackich i rozpaczny krzyk rozdarł powietrze: zdrada, zdrada.

Bo Wincenty z Szamotuł, nakłoniony przez posła królewskiego, by ojczyźnie swej wiary dochował, przeszedł ze swoimi na stronę króla, zwracając podczas bitwy oręż przeciw Niemcom.

Zamknęły się za chwilę szeregi, obejmując w straszny, żelaziwem najeżony pierścień, szeregi topniejącej braci zakonnej.

A kiedy nastał wieczór, nie było już przeciw komu walczyć. Całe krzyżactwo leżało u stóp rycerzy polskich. Jeńców było niewielu, bo taka była zawziętość przeciw krzyżackim rycerzom, że nieraz napróżno rzucali oni miecze, by o życie prosić—nie dawano życia tym, którzy łupiestwami i łamaniem przysiąg potęgę swą mnożyli.

Na drugi dzleń rano ujrzano zbliżające się nowe chorągwie.

Kiedy zaś Henryk von Plauen zobaczył bielejące na pobojowisku płaszcze nie czekał na rozkazy, nie sprawiał szyków, ale wzniósłszy się w strzemionach runął naprzód, by śmierć nieść i śmierci szukać.

Na nowo rozgorzała bitwa, nie tak długa i nie tak zaciekła.

I znowu w pierścień zwijać się poczęły nienasycone szeregi polskie i znowu groziły hufcom krzyżackim zagładą zupełną, rzezią niewstrzymaną.

Więc wybrał Henryk z Ottonem von Lauterberg ucieczkę raczej, niż śmierć na polu chwały.

A rycerstwo polskie nie rzuciło się w pogoń za resztkami krzyżackiego zakonu.

Odpoczywało po dwóch znojnych dniach, po ciężkiej, krwawej pracy.

A polski siwy wódz obchodził pobojowisko, podziwiając straszną rzeź, owoc nienawiści z jego strony słusznej i zasłużonej.

Ilekroć zaś poznał znajomą, martwą twarz, zakrywał oczy, bo żal mu było tych młodzieńców w porównaniu z nim.

Tak na jego rozkaz zniesiono pod jeden namiot chorążego krakowskiego, Żegotę z Morawicy, i Krystyna z Ostrowa chorążego sandomierskiego i dowódzcę jednego skrzydła, Jakóba z Szumska i syna kasztelana krakowskiego, Prandoty.

I pocieszali go rycerze:

— Cieszcie się królu zwycięstwem i tymi, którzy żyją, a wielu nas jeszcze, wielu.



Litwin.

(Rys. J. Stemler).

Włodzimierz w roku 1366.

Wilczek, kasztelan sądecki i Andrzej, podkomorzy króla Kazimierza Wielkiego, stosownie do rozkazu pana swojego oglądali świeżo zdobyty Włodzimierz, chcąc przekonać się, czy jego obwarowania odpowiadają tym wymaganiom, jakie wiek XIV stawiał warowniom.

Obaj byli ludźmi w sile wieku, około 50 lat liczącymi, obaj ubóstwiali wprost swojego króla, widząc w nim wszystko najlepsze i najwyższe.

— Ale to daleko zapędził nas król — udawał skargę Wilczek.

— Jednak poszlibyśmy i dalej, prawda?

— Zdaje się, że pójdziemy.

— Prawda, prawda. Słyszałem, że król jeszcze do ziemi Chełmskiej.

— A to po co? — nie wiedział Andrzej.

— Król chce i to Lubartowi odebrać.

— Oj, biją się szwagrowie między sobą [1]).

— Nie bardzo się biją, bo Lubart ustępuje. A zresztą rośnie z tego chwała naszego króla i potęga państwa.

---

[1]) Lubart, jako syn Gedymina, był rzeczywiście szwagrem Kazimierza Wielkiego, który po raz pierwszy ożenił się w r. 1325, jeszcze za życia ojca swego Łokietka, z Aldoną, córką Gedymina

— Narzekali z początku, że król zmniejszył Polskę. On zaś prawda zrzekł się praw, ale do tych ziem, które i tak, przy nas nie były. Pomorze trzymali Krzyżacy, a Śląsk był przy Czechach. Mądry jest nasz król, nadzwyczaj mądry — unosił się Andrzej.

— A co z tego urosło — wtórował mu Wilczek. Zaraz oddali Krzyżacy Kujawy i Dobrzyń, potem w. r. 1340, zajął Grody Czerwieńskie i wielkie miasto Lwów, w 1349 zdobywał dalej Łuck, Włodzimierz, Brześć i Chełm, w 1365 otrzymuje od Władysława Białego księcia Gniewkowskiego, księstwo Gniewkowskie. I czego wy więcej chcecie, czego?

Zaskoczony tem Andrzej patrzył chwilę na towarzysza, potem roześmiał się wesoło:

— Ale powiem wam, czego chcę, powiem. Chcę, żeby nasz król jak najdłużej żył i zostawił nam syna takiego, jako on sam.

Tu westchnęli obaj.

— Nie będzie tego, nie będzie.

Znikła dawna radość, zachmurzyły się wesołe niedawno oblicza, umilkły śmiechy, nawet rozmowa.

— Wracajmy do króla — zaproponował Wilczek.

Wrócili więc na zamek włodzimierski, zwyczajny, drewniany zameczek, nawet nie podobny do tego, jaki dumnie sterczał nad Krakowem potężnym, ściągając ku sobie książąt okolicznych, mieszczan i lud wiejski dla podziwu.

Zastali w komnacie króla, rozmawiającego łaskawie z Aleksandrem, księciem litewskim i Jerzym księciem bełskim.

— Dam ci, Aleksandrze w zarząd Włodzimierz i Łuck. Będziesz z nich hołd składał, rycerzy posyłał, gdy ich będę potrzebował i daninę płacił, którą naznaczymy potem. Nie pokłócimy się, prawda?

— My chyba nigdy — zawołał Aleksander, a tyle szczerości było w jego głosie, że na chwilę wątpić nie można było w szczerość tych słów.

— Tylko chcę, aby mi ta ziemia zawsze przy Polsce została, a zdaje się, że Włodzimierz nie najlepiej jest obwarowany.

— Dużo mu brakuje.

— Zresztą to nam najlepiej powiedzą Andrzej i Wilczek— tu zwrócił się król do przybyłych.

— No mów ty — zwrócił się z uśmiechem do Andrzeja — nieraz musiałeś być podskarbim zamiast podkomorzym, więc odrazu nam powiesz, czego potrzeba będzie tutaj.

— Pieniędzy nie — ozwał się Andrzej — ale robocizny dużo. Przedewszystkiem trzeba będzie kamienne mury zbudować, czego dotąd nie było.

— To dla nas dobrze — śmiał się król, który dzisiaj był w nadzwyczajnym humorze.

— Tak, nam łatwo poszło, ale aby innym było trudniej, wybudujemy kamienne mury.

— Dobrze nauczyłeś się odemnie — wtrącił znów Kazimierz.

— Od was, królu — pokłonił się Andrzej — od was cała Polska się uczy i już Bogu dzięki na chwałę waszą i dobro państwa nauczyła się niejednego.

— No dobrze, dobrze i cóż dalej trzeba zrobić?

— Trzeba zamek cały nowy zbudować, bramy porobić, a jeśli już mam wszystko powiedzieć, czego się od was, królu najjaśniejszy nauczyłem, to jeszcze jedno dodam.

— No?

— Trzeba miasto założyć. Toż Włodzimierz i taksamo Łuck to nie są miasta, ale nasze dawne grody, tylko dla obrony przeznaczone. Niema tu ani kupców, ani rzemieślników.

— Słyszysz? — zwrócił się do Aleksandra — to już będzie tylko twoja robota. Ty znajdziesz sobie zasadźcę, to jest człowieka, który ci osadników sprowadzi potrzebnych i postarasz się, aby tu dobrze było ludziom, aby tu wiedzieli, że nad nimi polski król panuje.

— Dobrze, królu, — skłonił się Aleksander.

— A co z Łuckiem? — spytał Aleksander.

— W Łucku to samo zrobisz. Zamek już tam budują, resztę będziesz sam wiedział.

— Pamiętaj — zwrócił się Kazimierz jeszcze do młodego księcia, — niechaj ludziom tutaj dobrze będzie, a tobie niech się najlepiej szczęści.

I wyciągnął do niego przyjaźnie rękę, którą Aleksander z czcią ucałował.

— A co mnie? — spytał nagle Jerzy, książę bełski, który przez cały czas rozmowy króla z Aleksandrem kręcił się, jakby chciał zwrócić uwagę na siebie.

— Nie bój się, nie bój — uspokoił go Kazimierz — i z tobą pogadamy, ale naprzód trzeba zdobyć Chełm.

— To Chełm będzie dla mnie?

— Tak — uśmiechnął się król.

— To dobrze — wyznał szczerze Jerzy.

Kazimierz zaś, który dobrze znał się na ludziach, wybrał był Aleksandra na księcia Włodzimierza i Łucka, ponieważ wiedział, że temu można zaufać, można mu dać najdalej wysunięte prowincje. Jerzego zaś chciał mieć bliżej, przynajmniej o kilka stajań i mniejszą pragnął mu dać dzielnicę, bał się bowiem jego niestałości, której też później nie boleśnie, coprawda, ale zawsze doświadczył.

Na razie jednak wesół był Kazimierz i snuł dalsze plany.

— Ot, założyłem już biskupstwo we Lwowie, jeśli i tutaj rozwinie się życie, to może w Łucku, albo we Włodzimierzu również utworzymy katedrę biskupią. Klasztorów też tutaj potrzeba i szkół. Toż tutaj ludzie Boga nie znają. Bardzo ich ta niewola tatarska przygniotła, bardzo. Pracować trzeba, pamiętaj, Aleksandrze, pamiętaj.

I zamyślił się ten król, który Polskę z drewnianej murowaną postawił, który nauki siał i wiedzę szerzył po kraju całym, a czynił to w taki łagodny i mądry sposób, że każdy przyjaciela w nim widział nie wroga.

I marzył król chłopków o bogactwie tej ziemi.

I rosło mu serce dumą, bo widział, że spełni się to, o czem myśli, że przyjdzie dobrobyt na tę ziemię, że zejdzie do chat tego ludu niewolą zmęczonego i przetworzy go przy pomocy polskiej kultury na obywateli, na rycerzy Polski.

Więc spokój był w jego sercu i błogość rozlała się na jego obliczu królewskiem.

Bakałarz.

Ranek wstawał przecudny, jasny, majowy.

Dzyń-dzyń-dzyń — rozlegał się głos dzwonka przy kościele św. Marji Panny w stołecznym grodzie krakowskim.

A w tej samej chwili ruszył się Paweł z Podgórza, wsi niedaleko Krakowa leżącej, na swojem łóżku twardem, jak jego życie znojne, a przecież kochanem, jak owe mury bursy przy kościele stojącej, w jego cień schowanej, w jego opiekuńcze, macierzyńskie ramiona chroniącej się.

— Wstawać—rozległ się jego dźwięczny, donośny głos.

— Wstawać! — powtórzył głośniej, a wołanie to skutek wywarło, ponieważ w tej chwili podniósł zaspane powieki Janek z Tarnowa, jeden z najlepszych uczniów parafjalnej szkoły św. Marji.

— Już?—spytał sennym głosem.

Lecz tego pytania nie usłyszał już Paweł Podgórski—nie mógł usłyszeć, bo pobiegł prędko odemknąć okiennice, które jasnych promieni światła nie wpuszczały do wielkiej izby, przestronnej bardzo, a przecież zbyt małej dla tych dwudziestu chłopaków, którzy pod opieką bakałarza swojego, popularnie Pawełkiem zwanego, czerpali wiedzę ze szkoły, przy kościele Marjackim utrzymywanej.

A wielka to była szkoła, jak na owe czasy.

Wprawdzie jeszcze Bolesław, Chrobrym zwany, kazał szkoły przy większych kościołach zakładać, lecz dotąd służyły

one tylko po to, by djakonów, a z nich księży kształcić dla państwa całego i w ten sposób wiedzę i wiarę równocześnie siać po całej polskiej ziemicy.

Dopiero król Kazimierz, powszechnie wielkim, a przez wielkich panów zgryźliwie królem chłopków zwany, nakazał, by szkoły takie wszędzie zakładano, by w nich kształcono przedewszystkiem mądrych i pożytecznych dla ojczyzny obywateli.

I jedną z takich była właśnie owa szkoła, w której bursie Paweł Podgórski, świeży wychowanek niedawno założonego uniwersytetu w Krakowie urząd bakałarza otrzymał i na wielkie zasługiwał sobie pochwały.

Nie byle kto do krakowskich szkół dzieci swoje posyłał. I dziwiono się nieraz, dlaczego w szkole dla wielmożów przedewszystkiem prosty człowiek z pochodzenia, jak Pawełek, wysoki urząd bakałarza spełniał.

Ale nie było rady. Upodobał sobie król w Pawełku, a właściwie nie król, jeno sekretarz jego, Janko z Czarnkowa.

Dawno ze sobą znajomość zawarli Janko z Czarnkowa i Pawełek z Podgórza.

W dżdżysty dzień jesienny, dwaj poważni mężowie spotkali dziecię płaczące na dworze. Szli pewien czas za niem i dziwili się, że młody, pięcioletni najwyżej chłopak, chociaż drobnemi piąstkami oczy zasłaniał, uważnie rozglądał się wokoło, jakby szukając czego, jakby mimo bólu, który łzy mu wyciskał z oczu, pamiętał o jakiejś rzeczy, pamiętał, że ma czegoś szukać.

Wreszcie nie wytrzymał król i zamiast dalej spokojnie śledzić, zagadnął chłopaka:

— Czemu płaczesz?

Dzieciak podniósł na niego swe jasne oczy i zamiast odpowiedzieć, zapytał:

— Gdzie mama?

Uśmiechnął się król, uśmiechnął się jego przyjaciel i sekretarz, Janko i w najlepszej zgodzie odprowadzili Pawełka do domu, który im roztropny chłopak opisał dość dokładnie.

Od tego czasu zmienił się los Pawełka.

Uczono go w szkole przy św. Marji, a kiedy w r. 1364 król akademję założył, Pawełek do najpilniejszych zaliczony uczniów i tutaj się dostał, aż wreszcie stopień bakałarza osiągnął, że zaś Janko z Czarnkowa serdecznie zajął się chłopakiem, więc to dziecię mieszczańskie dostąpiło zaszczytu wielkiego, bo powierzono mu opiekę i wychowywanie rycerskich synów, którzy do Marjackiej szkoły śpieszyli, by wiedzę zdobyć, a z nią poważanie i stanowisko na dworze królewskim.

I oto dzisiaj, w majowy, przecudny poranek, jak codziennie wstał Pawełek i swym donośnym głosem budził powierzone swej opiece dzieci, myć się im kazał, bo czystości król mu przestrzegać polecił i lekcji zadanych pytał, to z gramatyki łacińskiej, to słówek szeregu pytał młodych uczniów, jakby chciał, by po łacinie, zamiast po polsku mówili.

A widać pamiętał o swoich dobrodziejach, widocznie wiedział, jak ma się odwdzięczyć tym, którzy skarbnicę wiedzy mu otwarli i dali mu możność czerpania skarbów oświaty.

— Kto nam teraz panuje? — pytał jednego z młodych chłopaków, odłożywszy na bok tabliczkę woskową, na której przed chwilą ostrym rylcem kreślił malec niewyraźne litery.

— Kazimierz, syn Władysława Łokietka — brzmiała stanowcza, widać często powtarzana odpowiedź.

— Kiedy na tron wstąpił nasz pan?

— W roku 1333, gdy ojciec jego Władysław dla małego wzrostu Łoktkiem lub Łokietkiem zwany, rozstał się z tym swiatem.

— Co ważnego dla nas uczynił nasz król? — pytał dalej Pawełek, a oczy dziwnie mu pałały, bo ogromnie lubił on, gdy jego wychowankowie dobrze znali czyny wielkie jego dobrodzieja i ojca narodu całego.

— Założył najwyższą szkołę w Krakowie — krzyczał mały chłopak, ciesząc się, że wie, jaką dać ma odpowiedź bakałarzowi.

— A coś innego—wtrącił uwagę Janko z Tarnowa.

Chłopak żałośnie popatrzył na Pawełka, czuł się bowiem skrzywdzony przez to, iż znalazł się kolega, który może lepiej od niego znał czyny wielkiego króla.

Zrozumiał to bolesne wejrzenie Pawełek i upomniał Janka.

— Niechaj teraz Przemek odpowiada, gdy na ciebie kolej przyjdzie, będziesz mówił.

Janko spuścił oczy i słuchał opowiadania Przemka, który ucieszony z pomocy bakałarza, szybko opowiadał:

— Bardzo wielką rzeczą także było, że król nasz kazał spisać i dla wszystkich jedne naznaczyć prawa, kiedy do Wiślicy w 1347 r. wezwał najmądrzejszych ludzi ze wszystkich stron Polski. A na 7 lat przedtem t. j. 1340 przyłączył do Polski Grody Czerwieńskie, więc Przemyśl, Lwów, Halicz, które dawno już od Polski były zabrane, a teraz znowu do niej powróciły.

A chłopcy inni, wiedząc, że bakałarz lubi rozwodzić się nad czynami ukochanego króla, gromadzić się poczęli wokoło i słuchali z zajęciem, gdy po Przemku sam Paweł z Podgórza jął mówić o zwyczaju króla Kazimierza, który często przebrany wśród ludu się zjawiał, to znowu do biednych rodzin mieszczańskich zachodził i usuwał niesprawiedliwości i siał dobro, siał dobro wszędzie i szczęście.

I płynęło to opowiadanie jego barwne i piękne, a takie proste, jak owe promienie dnia jasnego, które choć dobrze znane, przecież cieszą, jak owe głosy złote, które choć proste, choć tak zwyczajne, a przecież muzyką swą cichą tak rozkosznie bawią ucho, tak bardzo uczą kochać i miłować nadewszystko ową ziemię przeświętą, ich rodzicielkę.

Zasłuchała się dziatwa w opowieści bakałarza i tak zjednoczeni trwali owi synowie chat mieszczańskich i dworków rozwijającej się szlachty, zjednoczeni wielkiem imieniem i czcią i miłością dla mądrego i swym umysłem potężnego króla, który Polskę drewnianą w mury wyposażał, który jej handel i prawa rozwijał, który ją tak potężną pragnął stworzyć, by kiedyś, za jego następców mogła odebrać stracone ziemice, stracone dzielnice.

I cieszyło się słońce z tej nauki.

I cieszyły się kwiaty świeże i skowronki młode.

I poważnie, a radośnie wtórowały jej dzwony na wieżach kościołów krakowskich.

Po chwili zaś usiedli młodzi uczniowie przy bakałarzu i, mając przed sobą tabliczki woskowe, pociągali rylcem w śladzie, zrobionym przez bakałarza.

— Jaka to litera?—pytał.

— To jest w—brzmiała odpowiedź chłopaka, który w ten sposób uczył się pisać, aby co rychlej do łacińskich przejść wierszów i pieśni i jako uczeń „trivium“ rozpocząć już właściwą naukę przedmiotów.

Początki przywilejów.

U Marcina, kasztelana poznańskiego, wielki był zjazd stanu rycerskiego w dniu św. Marcina w r. 1375.

Dom byłego kasztelana, Przecława, był nadzwyczaj poważany, tutaj odbył się zjazd w r. 1352 za króla Kazimierza Wielkiego, gdy wielmoże wielkopolscy zawarli związek braterstwa, tutaj gromadzono się przed wyruszeniem na wyprawy ruskie, wogóle dom Przecława był ogniskiem życia panów wielkopolskich i wielkopolskiego rycerstwa.

I teraz zjechało się wielu, a jak to zwykle bywało u bogatego rycerza, pokarmu było podostatkiem, piwa żytniego w bród, niekiedy miód podawano przy większych świętach, a nawet wino węgierskie, które w Polsce do prawdziwych należało rzadkości, szczególnie w domach, leżących daleko od granicy węgierskiej, od źródła tego napoju.

Przybyli panowie zabawiali się rozmową, młodzież gonitwy rycerskie urządzała, lub wyruszała na polowanie do niedalekich borów.

Tak uczynili młodzi teraz.

Opuścili starszych, zostawiając ich przy dzbanach piwa rozprawiających, sami zaś na rączych koniach, z łukami i pełnymi strzał kołczanami na barkach wyruszyli, by wesoło i pożytecznie spędzić dzień.

— Młodzi sobie pojechali, a my co? — zawołał Mikołaj z domu Nałęczów, który wśród szlachty miał sławę najdowcipniejszego.

— A my sobie z Mikołajem naszym tutaj zostaniemy — ozwał się chór głosów.

— Wiecie panowie — zaproponował Mikołaj, chodźcie lepiej na powietrze.

— A dlaczego? — oponowano.

— Bo słońce świeci — huknął raczej, niż powiedział zapytany.

— Zresztą — ciągnął innym głosem — gospodarza tem ukontentujemy, bo do najważniejszej sprawy będziemy odpowiednio przygotowani.

— Do jakiej? — zapytywano z ciekawością.

— Nie mogę powiedzieć — bronił się.

— No mówcie, sąsiedzie — mówcie, panie bracie — dopraszano się ze wszystkich stron.

— Zresztą gospodarz gniewałby się na mnie, gdybym zawczasu wyjawił ową tajemnicę.

Gdy jednak nie ustawały prośby, Mikołaj zaczął się złościć:

— Tak wyglądacie, jako żaki szkolne, którym bakałarz obiecał bajkę. Wiecie chyba wszyscy, co dla nas jest najważniejszą rzeczą.

— Pewnie jakaś państwowa sprawa.

— Może wojna.

— Może jakie przymierze.

I sypały się domysły, zawsze odrzucane przez Mikołaja. Kiedy zaś ciekawość doszła do najwyższego stopnia, zaśmiał się:

— Jedzenie, jedzenie, mości panowie, najważniejszą jest sprawą. Gdy z powietrza wrócimy — mówił już wśród śmiechu — zjemy gospodarzowi wszystko, może nawet i jego samego nie oszczędzimy.

Stało się więc, jak chciał Mikołaj i rojno i gwarno wysypał się barwny orszak szlachecki na dwór, do ogrodu, który otaczał budynek mieszkalny i w dali stojące zabudowania gospodarskie.

Gospodarz zaś znikł natychmiast, by, jak to było jego obowiązkiem, osobiście wraz z żoną ułożyć przyjęcie dla gości.

Wprawdzie sprawa ta była już dawno przygotowana, ale Marcin musiał dla formy przynajmniej to zrobić wobec gości, gdyż w przeciwnym razie uznanoby go za niegościnnego.

Tymczasem zaś szlachta rozmawiała o urodzaju, o sadzie

Marcina, wreszcie zeszła na sprawy polityczne, które szczególnie teraz były dla nich ciekawe.

Krążyły bowiem wieści, że król Ludwik węgierski, który od śmierci Kazimierza Wielkiego od r. 1370 panował, przyrzekał nadzwyczajne dochody dla najwyższych stanów, że ci, którzy do niego do Koszyc pojechali, wrócili już, że nowe prawa będą w kościołach odczytane i t. p.

Pewnego jednak nic nikt nie wiedział i stąd rosły wieści, do olbrzymich rozmiarów dochodziły przywileje, które rzekomo król Ludwik dał przedstawicielom najwyższych stanów.

Wtem zgiełk dał się słyszeć i hałas, jakby pędzącej watahy.

Kilku ze szlachty pobiegło w stronę dziedzińca, aby dowiedzieć się o przyczynie hałasu.

Właśnie wpadło tam w tej chwili kilku z młodzieży, więc przerazili się wszyscy, bo spienione konie i pospiech, z jakim jechali młodzieńcy, dawał powód do najróżniejszych domysłów.

— Co się stało?

— Nic złego, nic złego — śmiali się chłopcy. Przyjeżdżamy zwiastować ważnego gościa, którym panowie ojcowie ucieszą się zapewne.

— Kto taki? — pytano niecierpliwie.

— Za chwilę przybędzie tutaj Domarat z Pierzchna, który prawie prosto z Koszyc tutaj jedzie, by z panami ojcami podzielić się wiadomością o obradach na Węgrzech.

— Dawaj go tu, dawaj go tu — wołała uradowana szlachta.

Jakoż za chwilę wjechał, jakby tryumfator człowiek przystojny, na rosłym koniu, okryty już delją karmazynową, gdyż jak się potem okazało, spotkawszy młodzież, zatrzymał się przy niej, a ukąpawszy się w strumieniu, zmienił szaty podróżne na odświętne. Zaraz też wprowadzono go do pokoju, gdzie rozpoczęło się opowiadanie:

— Król wezwał nas do Koszyc, aby od nas wytargować pozwolenie na dziedziczenie tronu polskiego w linji białogłowskiej.

— O, to dziwo — wykrzyknął Mikołaj.

— Tak jest. Takie inowacje chciał wprowadzić.

— Aleście się panowie oparli. Słyszane to rzeczy, żeby nam kobieta przewodziła.

— A słyszane, słyszane — ozwał się jeden ze szlachty. — Przecież Wanda panowała nad Polską.

— E, to dawno było — znalazł się oponent.

— No to mniej dawno była Helena, która za Leszka Białego, wówczas dziecię, rządy sprawowała.

— Nie spierajcie się wasze moście — zabrał głos Domarat — nie o to chodzi, czy tak było, ale że tak będzie. Bo to muszę wam prosto powiedzieć, że zgodziliśmy się na to.

Przeczekawszy chwilę, jakie wrażenie wywrze ta wieść, ciągnął dalej.

— Trzeba wam bowiem wiedzieć, że racje były takie: Nasz król Ludwik nie jest Piastem właściwie. Ostatniego zabrał nam Bóg w Kazimierzu, którego słusznie Wielkim ochrzciliśmy. Ale Ludwik rodzi się z Piastówny, więc przecież przez kobietę jest Piastem i do dziedziczenia ma prawo. Temu nikt z nas się nie sprzeciwi.

— Temu nie, ozwał się Mikołaj.

— Dlaczego więc — powiada nam król — nie miałby dziedziczyć korony syn mojej córki. Wybierzcie jej — powiada męża, będą mieli oni syna, to jego głowę ozdobicie koroną Polski i wszystko będzie według waszych wymagań. Nam długo nie podobała się taka zmiana w zwyczajach naszych i prawach, ale ostatecznie zgodziliśmy się, gdyż znalazła się inna racja. Oto król zrzekł się za to wielkiej części poradlnego, które teraz mogło nas dobrze przycisnąć.

— To co innego — rozległy się radosne głosy.

— Więc ile, ile? — pytali się.

— Wiadomo wam jest, że król nakazał przedtem po 12 groszy od radła. Obecnie zaś stan nasz rycerski otrzymał prawo płacenia tylko 2 grosze z łanu. Przyznacie, że zwycięstwo jest duże i tego nie spodziewaliście się.

— Zaprawdę, zaprawdę — należy im się pochwała za to — zgodzili się wszyscy.

I nikt już nie narzekał na to, że kobieta zasiądzie na tronie polskim.

Przeciwnie, zaczęto zaraz wyszukiwać motywy, dla których lepiej nawet jest kobietę mieć na tronie, niż mężczyznę.

— Bardziej nas słuchać będzie — prawił Domarat.

— A nie żądaliście oddania Grodów Czerwieńskich z Haliczem? [1]) — spytał nagle Mikołaj.

— Nie było o tem mowy.

— To źle, to źle — zasępił się Mikołaj.

— E, naprawimy jeszcze to, co złe — odezwał się gospodarz, który w tej chwili otworzył drzwi do drugiej izby. Tam zaś dymiły się misy z jadłem, czekające na gości zgłodniałych, na młodzież zmęczoną i gościa cennego.

Przy uczcie potoczyła się żywa rozmowa, a smaczne potrawy i napoje dodały humoru i zabiły w nielicznych duszach rodzące się troski.

---

[1]) Ludwik węgierski, zostawszy królem polskim oderwał Grody Czerwieńskie i Ruś Halicką od Polski, a przyłączył je do Węgier, ponieważ kiedyś panował tam Koloman. Ziemie te zwróciła dopiero Jadwiga w 1384 r.

Święta Jadwiga.

Przybyła do Polski taka jasna, taka młoda, taka święta i życiem tchnąca.

Kiedy wznosiła białe swe, jak alabaster najczystszy ręce, zdawało się, że to promienie słońca światła sieją.

Kiedy otwierała karminowe swe usta do uśmiechu i wysyłała dźwięczny głos, zdawało się, że to perły naokoło padają kaskadą tonów przecudnych, harmonijnie dobranych.

Kiedy mówić zaczęła, zdawało się, że słowa jej, to wiew wiosenny, który łagodnie głaszcze, który wszystko koi i ciepło rodzi i pogodę sieje.

Aż oto zetknęła się z życiem.

Przeznaczył ją ojciec Wilhelmowi, księciu austryjackiemu za żonę.

Wybrało go jej serce niewinne, serce, które piękno tylko znało i tylko piękno miłować było zdolne.

Nikt jej nie uczył, że życie można oddawać komuś, kogo się nie kocha, że uczucie można zgnieść w piersi, że można je zabić bezkarnie.

On przyjechał teraz, on jest tutaj.

W chwili, gdy spełnić się miały ich obojga pragnienia stanął między nimi mur nieprzebyty—obowiązek.

— Rozważ. królowo—prosił Jaśko z Tęczyna — czy godzi ci się na naród nasz cały nie zważać i o dobro jego nie dbać, skoroś koronę naszą włożyła na skronie, by życie całe ją dźwigać.

Ona młoda, prześliczna, bezgranicznie kochająca — po co ma rozważać? Już rozważyła.

Wstrzymały ją drzwi zamkowe, gdy do Wilhelma biedz chciała.

I oto teraz w komnacie swej płacze, bezradna, od wszystkich opuszczona, zamknięta wśród ścian czterech. A tam — przed drzwiami kroki słychać—ktoś chodzi—pewnie czuwa.

Co jej ludzie mogą zrobić?

Przed lej rozkazem cofnąć się muszą — ona królową tu jest i panią!

A Bóg!

Zadrżała.

— Do Ciebie, Panie, pójdę po radę, Ty mnie oświeć, Ty daj natchnienie i powiedz, co czynić, jak czynić?

Na kolana osunęła się przed ukrzyżowanym Chrystusem, spojrzała w twarz Jego boleśnie skrzywioną i serce jej dziwnie zadrżało.

— Panie—skarży się—jam młodem sercem kochała, jam jemu życie przysięgła.

— A potem przysięgłaś je Polsce.

— To później było — broni się — to pogodzić można, on razem ze mną służyć będzie temu krajowi krwią swoją serdeczną, duszą swoją i siłami wszystkiemi.

— Rozważ, co lepsze dla Boga, dla Polski, na końcu dopiero dla ciebie.

Liczy w skupieniu, zdaje się spokojna.

— Chryste! Chryste!

I łzami się zalewa serdeczna, dobra.

A Chrystus z krzyża, zdaje się, schodzi, pochyla się nad nią w jękach wijącą się po ziemi, a ręką, zdaje się, łagodzi jej ból, uspokaja drżące ciało.

— On taki śliczny, mój jedyny— skarży się cicho—tamten nieznany, dziki, obcy.

— Z tym zyska Kościół dusz miljony, a twoje państwo drugie takie.

Łzami tylko bronić się może przed tem.

— Moc daj mi, Panie, moc wytrwania, błaga bezsilna.

— Wiarę ci dałem—słychać z krzyża.

— Tamtemu ślubować nie mogę, nie kocham go, ja go...

— Stój!

Zamilkła przerażona, tylko pierś faluje przyspieszona, tylko oddech z jękiem wydobywa się z głębi zbolałej, targanej piersi.

— Pokochaj go dla mnie—słyszy z góry.

— Pokochaj pokój swojego ludu.

— To miłuję już dawno.

— Pokochaj wielkość swej nowej ojczyzny.

— I tego pragnę.

— Pokochaj całość jej granic.

— Kocham, Panie!

— A co czynisz dla tego wszystkiego?

— Jezu, Jezu, to takie straszne!

Milczy chwilę, pasuje się z sobą.

— Panie—wybucha—życie weź moje, daj mi śmierć raczej, tego ja nie zniosę, za mało dałeś mi sił, za mało, za mało...

I łka serdecznie, przeciągle, jak dziecię małe skrzywdzone.

— Tyle dni, tyle nocy marzyłam o szczęściu naszem, tak śmiało się do mnie życie, kwieciem słała się przyszłość moja, wonnem, pachnącem kwieciem. W promieniach ciepła spędzić miałam dni moje, w blasku szczęścia i radości. A mam łzy i ból i mękę i śmierć...

— Mieć będziesz radość spełnionej ofiary, mieć będziesz dumę twórczyni potęgi, mieć będziesz rozkosz krzewicielki wiary, mieć będziesz chwałę życia, cześć narodu całego.

— — — — — — — — — — — — — —

Módl się.

— — — — — — — — — — — — — —

Ciężko podnosi się Jadwiga.

Twarz jej kredowo biała, oczy zgasłe, bez życia, jak po chorobie trawiącej, jak po męce okropnej. Do mary podobna sunie się ku drzwiom.

Jeszcze chwila.

— Nie cofnę się—już.

Otwiera drzwi.
— Jaśka z Tęczyna ku mnie! — rzuca rozkaz.
Zjawił sią starzec.
— Poślubię Jagiełłę—wykrztusiła z trudem.
A ten starzec siwy u nóg się Jej tarzał, słowa nie mogąc wymówić, jeno szatę Jej całował, nogi Jej całował, aż głos się jego wydobył:
— Święta, święta.





Zamek krzyżacki w Malborgu i sala Wielkiego Mistrza.

(Rys. J. Stemler).

Grunwald.

Polskie i litewskie wojska stanęły po długiej, uciążliwej drodze z nad Dźwiny w lesie rozległym, by spocząć chwilę, a potem pociągnąć na spotkanie z wrogiem, który bój gotował śmiertelny, wstęp do zawojowania całej Polski i Litwy, całej Rusi wielkiej. Wszystkie prawie wojska ukryły się przed skwarem lipcowego słońca w borowych cieniach, jeno pierwsze szeregi znać było. A ciągnęły się one daleko i długo, od lewej strony ograniczone jeziorem Dąbrowskiem, od prawej wodami jeziora Lubeń.

Czy to król polski chciał takiego krwi rozlewu?...

Czy z jego to jedynie woli stanęło po polskiej stronie 90.000 żołnierza, boć 90 naliczyć można było chorągwi: 50 polskich i 40 pod wodzą W. Ks. litewskiego Witołda, który przywiódł nie samych jeno Litwinów z świętą Żmudzią, nie samych też Rusinów, lecz nawet Tatarów z ich wodzem Saladynem.

Czyja to sprawa, że po przeciwnej stronie 700 białych płaszczów snuje się wśród zaciężnych rot francuskich, hiszpańskich, szwajcarskich i całego morza niemieckich i angielskich?

Kto ich tu wiódł?

Wszak patrzcie!...

Polski i litewsko-ruski król, Władysław Jagiełło, namiot kazał rozpiąć, pod którym drugiej już mszy św. słucha.

Wszak patrzcie!

Oto rycerz przybiega chełmski Hanko Ostojczyk, by coprędzej donieść królowi, że krzyżacka rozwinęła się pierwsza chorągiew, a król nie wychodzi.

Wszak patrzcie!

Drugi nadbiega rycerz, i trzeci, i czwarty, by króla wezwać do bitwy, jako już widać kilkanaście wrażych krzyżacko-germańskich chorągwi bojowych, a król nie wychodzi.

Więc kto ich tu wiódł?

Więc kto tę krew chrześcijańską kazał przelewać?

Czy ci rycerze, co znakiem krzyża się ochrzcili?!

— — — — — — — — — — — — — —

Wtem poselstwo przychodzi od Krzyżaków.

Król właśnie drugiej mszy św. słuchanie kończył.

— Chodź—mówi do Witołda—warunki pokoju niosą...

Hej!—nie warunki ci pokoju niesie butny Krzyżak...

Hej!—nie poddania się twojego on dziś pragnie ufny, ale krwi twojej żąda on gorącej, — krwi żywej, krwi drogiej...

Jakby nie dosyć miał potoków, wytoczonych już przez 80 lat i sto...

Jakby mu nie dosyć było corocznych sromów i shańbionych żon i polskich cór tysiące.

Krwi żądasz ty?

Tchórzami zowiesz nas?

Że się kryjemy przed tobą?

My,—Polski rycerze wojującej?

My,—cośmy się nie bali ćmy tatarskiej, gdyś ty się krył za nami?

My,—cośmy nad falami Worskli [1]) złożyli stos całopalenia i ofiarnych żyć tysięcy prawie sto?...

My tobie tchórze?...

I rozpacz wre wśród polskich i litewskich szyków...

---

[1]) W r. 1399 stoczyły wojska litewsko-ruskie pod wodzą W. ks. Witołda krwawą bitwę nad Worsklą, gdzie legł kwiat rycerstwa litewskiego i ruskiego, oddając zwycięstwo Tatarom.

Więc żądza żemsty za ten srom ostatni i za poprzednich niezliczony szereg...

Dwa gołe miecze przynieśli posły krzyżackie!

Jakby nie dosyć było nam tych naszych.

Na bój!

Grunwaldzki bój!

Na bój, na bój!!—rozlega się krzyk.

Jagiełło sam niemocny już nad sobą.

— Boże! Ty wiesz, żem pragnął pokoju! — zakrzyknął i spuścił buzdygan swój złocisty.

I jakby tego znaku czekano z upragnieniem, jakby on hamował dotąd wezbrane piersi gorące, piszczałki tatarskie i huczne polskie bębny.

Buzdygan spadł!

I rozległ się chór—potężny, jakby łomot skał, jak gór walenie się wysokich! I zabrzmiał dźwięk tatarskich piszczel, i rozległ się niepohamowany, jak armat, głos trąb i bębnów wojennych.

Patrz!

— Widzis ten las, tam na prawo?

— Widzis, jak porusa się on naprzód, kieby zywy, kieby dusa w niego wstąpiła, i sunie wprzód, i wali przed się cały wielki, carny las.

Ba,—bo tam dusze żywią — dusze, co tchną nienawiścią, dwieście lat karmioną, dwa wieki podżeganą... Ba, — bo tam Litwa rusza i gnębiona, ach, tak strasznie Żmudź i Tatar, co pardonu nie zna,—i Witołd, który wie, co znaczy złość i podstęp wstrętnego Zakonu.

I niczem skał walących się piekielny grzmot, niczem gór lodowych, pędzących na zatracenie, na zagładę w dolin głąb, niczem ryczących burz okropny huk, gdy runą przed się wodne na wzburzonem morzu góry i niczem poświst wichrów, ni piorunów nieustanne granie... tak zagrzmiał ten litewski huf!

A z jego szalonem wołaniem, z chrzęstem ciężkich, z stali kutych mieczów, z rykiem armat krzyżackich, z graniem trąb i bębnów polskich dudnieniem, z piskiem tatarskich fletni, z rżeniem rączych koni mieszała się poważna, z pełnych piersi pieśń: Bogarodzico, Dziewico!

Gdyś patrzał na ten las ruchomy, na te tysiące głów, co gnały tam w dolinę,—gdyś widział przeciw nim pędzącą ćmę krzyżacką, co lśniła w jasnem słońcu i grzmiała hukiem słów: Herr Je...! Her Je...!—gdyś widział to wszystko, powiedziałbyś, że tonie morza, albo przepaść straszliwa rozwarła się w dolinie i rwie za sobą stoki wzgórz, i ciągnie lasy zaludnione, przeciwne ściany skał ku sobie zbliża, jakby pragnęła w uścisku je jednym złączyć, zetrzeć, zgnieść.

A jako, gdy na morzu lodowe góry pędzą wprost na siebie, w zapamiętałym pośpiechu nie bacząc, że zginą, gdy się z sobą zetrą, jak nagle o siebie uderzywszy, wstrząsają się i rozpadają w głąb, a później już rozbite na małych części tysiące, w gromady zbiorą się i znów na siebie godzą: tak te dwie ściany żywe, te zwarte dwa mury gorących nienawiścią piersi parły przed siebie, goniły hen, hen, wprzód!

I nagle grzmot przeciągły zerwał się i głosem strasznym, okropnych ech tysiącem odbił się od wzgórz, i znów powrócił w dół i w niebo wzbił się wysoko.

To armje dwie uderzyły na się z mocą straszną, niepohamowaną.

A kiedy po skruszeniu kopji pierś o pierś uderzyła, kiedy po pierwszem starciu za miecze chwyciła brać zakonna, co dowodziła Niemcom i Francuzom, jakby duch nowy wstąpił w szeregi litewskie, jakby oliwy dolano do ognia. Buchnął bój zażarty. I jak myśliwy w ostatecznej potrzebie rzuca się na niedźwiedzia silnego, by ręką zatkać mu gardło i zdusić go w uścisku swej serdecznej nienawiści, tak zetknęły się szeregi litewskie z krzyżackimi rycerzami. I nie widziałeś tam, kto atakujący, a kto napadnięty, jeno jedna wielka powstała masa, jedna wielka masa ruchoma, co raz w jedną, to znów drugą obracała się stronę, próbując sił swych, wywierając swej nienawiści straszną żądzę, to wznosząc się w górę, to znów opadając, jak bałwany ryczącego burzą morza.

A król Jagiełło, który stał opadal, patrzał na owe zapasy z podziwem i lękiem zarazem.

— Czemu oni tylko w skórę ubrani?—spytał z żalem, patrząc na Litwinów, których ciosy gęsto odbijały się, nie uszkodziwszy nawet zbroi w stal zakutego Niemca.

— Hej, nie skórą zbrojnymi mężami bronić nam zachodu naszych granic!—zawołał po godzinie walki.

Bo spostrzegł, że pierzchała Litwa...

Bo widział, jak smoleńskie trzy wymierały pułki, rażone straszną siłą krzyżackich, ciężkich, skórę łatwo przebijających mieczów.

Bo widział, jak na rączych uciekali koniach Tatarzy, którzy, jak ongiś nad Worsklą pod Litwinami, tak teraz pod Krzyżakami konie przedewszystkiem bili. Lecz nie im mierzyć się z rycerzami zachodu! Więc pierzchła Litwa, pierzchnął Tatar zwinny, —pierwsza, litewska, bitwa przegrana...

Rycerze zaś krzyżaccy, upojeni tryumfem, nie widzieli, że lasy nie wszystkie jeszcze na nich ruszyły. Oni byli pewni, że to już cała polska siła ta, którą przed chwilą pokonali, rozbili, oskrzydlili i zmusili do ucieczki.

— Poczekaj, dumny Krzyżaku—wołał Zyndram z Maszkowic, ten, co na dwadzieścia lat przed Grunwaldem w Kamieńcu był starostą, człek odważny, jak rzadko, przemyślny, jako hetman wielki, a przysadkowaty i tuszy dość wielkiej — poczekaj, Krzyżaku, co Litwinów i Tatarów ścigasz!—wołał, pędząc na bułanku.

— A z nami się zmierzyć nie łaska?—zawołał, siedząc już na karkach krzyżackich i masakrując ich swą szablicą krzywą, jakby stado miał przed sobą, nie ludzi, stworzenia Boże.

I walił w nich, i ciął, i rąbał, i kłuł na śmierć, na zniszczenie.

A za nim tuż sunął Zawisza Czarny, herbu Sulimczyk, który, jakby posąg wykuty, siedział na koniu, od czasu do czasu tylko zwracając w prawo, to w lewo swój miecz ciężki, a każdy jego zwrot to był wyrok ostateczny na spotkanego wroga. Zaraz też następował Florjan z Korytnicy Jelitczyk, co jakby jelita jeno chciał wypruć, mieczem dźgał a dźgał i rzucał się wciąż to tu, to tam, przeszkadzając często Domaratowi z Kobylan Grzymalicie, którzy spokojnie, ale czasem i z pośpiechem walił w spotkanego Krzyżaka, a kto nawinął się pod jego miecz, padał z konia, czyniąc miejsce innym, którzy pod rękę Grzymality się dostawali, by tak samo, jak poprzednicy, mrzeć i mrzeć bez jęku nawet, tak były stanowcze ciosy tego rycerza-wielkoluda.

Ale chyba nie było bardziej rzucającego się to w tę, to w inną stronę rycerza, jak Skarbek z Gór Habdank, który nawet nie patrzał, gdzie padł jego ostatni cios, lecz już upatrywał nową ofiarę i tam się zwracał z prawdziwą furją, jakby chciał pomścić obelgę pradziada swego, którego Henryk V, niemiecki cesarz, ogromem złota chciał olśnić.

— Naści—padał od czasu do czasu jeden wyraz z jego rozgorączkowanych ust, a z pewnością za nim zaraz się rozlegał szczęk miecza o zbroicę niemieckiego rycerza i cichy jęk i charczenie, którego Skarbek już nie słyszał, bo w inną rzucał się stronę i nowe rozdzielał ciosy.

Cudów też waleczności dokazywał Paweł Złodziej z Biskupic herbu Niesobia, który, na lewej ręce mając tarczę małą, nie używał jej do zasłaniania się, lecz często w oczy nieprzyjaciela nią grzmotnął, a potem dopiero ciął mieczem straszliwie, niemiłosiernie i podnosił wtedy tarczę, nie by przed atakiem się zasłonić, lecz by go wstrętna krzyżacka krew nie zawalała.

I jako rzeka, wylawszy wciska się w najdalsze krańce wybrzeża, ba, nawet poza nie wychodzi, by otoczyć wszystko i zniszczyć swą siłą, takci oni się wciskali w niemieckie szeregi;—a pomagali im niemało: Jan Warszawski Nałęcz, co to lubił jeno w czoło walić, a w piersi tylko w ostatecznej potrzebie,—i Stanisław z Charbinowic Sulimczyk, który zwykle do niewoli brał nieprzyjaciół; lecz teraz nie mając czasu na ten proceder, walił swym długim mieczem, aż iskry sypały się wkoło; a z nim szedł w zawody Jaksa z Targowiska Lis, który osłaniając swych towarzyszy, brał naokoło Krzyżactwo i ruszał się z jednego końca na drugi, roznosząc razy niezawodne, śmiercionośne, krwawe.

Tak tam pracował pierwszy hufiec krakowski pod wspaniałem i niezrównanem dowództwem Zyndrama z Maszkowic. A tuż za nim szedł Marcisz z Wrocimowic herbu Półkoza, chorąży tego hufcu.

Wtem chorągiew chwiać się zaczęła,—a jako, gdy wielkie dzieją się sprawy, dziwne następują przejawy natury, tak teraz, gdy chorągiew królewska z białym orłem chwiać się poczęła, huk powstał straszny, nieopisany. I działa krzyżackie i polskie i hufy krzyżackie i polskie, i broń krzyżacka i polska taki

straszny wydała głos, tak głuszącym zagrała hymnem, że rycerze nie wiedzieli, gdzie się znajdują.

A Krzyżacy, pewni drugiego zwycięstwa, krzyczą:

— Heil, heil!—i z straszną siłą walą w stronę, gdzie już opadła przed chwilą polska koronna chorągiew.

Lecz jako fala, choćby największa, choćby, jak gmach, wysoka, gdy o skałę uderzy twardą, rozpryśnie się i w drobne rozpadnie krople, gdzieniegdzie tylko mały odrywając kamyk, tak i zwarte półkole piersi krzyżackich na twarde, jako skała, trafiło ramiona polskie i odbiło się od nich rozprószone, rozbite, tylko tu i ówdzie wolne zostało miejsce po zab.tym rycerzu polskim.

Ale gdy burza rozszaleje na morzu, gdy wichry rozpasają się potężne, wtedy jedna fala za drugą goni, przewala się przez nią i do falistych pędzi brzegów,— tak i Krzyżacy masami uderzali o piersi polskie, opancerzone i broniące swego najwyższego godła:—pierwszej krakowskiej chorągwi.

A gdybyś patrzał na te śmiertelne zapasy Krzyżactwa z polską siłą zbrojną, gdybyś widział to nieustanne napieranie szeregów germańskich na słowiańskich rycerzy, rzekłbyś, że to siły piekła na niebo uderzają i już, już mają je wymieść, już w swoich szponach trzymają święte godło, już ostatki sił polskich padają, a tu coraz nowe piekielne biegną moce, by wspomóc swych pobratymców Krzyżaków: gdy wtem... gdy wtem... kurzawa zasłoniła walczących...

To Litwa wraca!

To Ruś!

To Tatarzy, którzy przed kilkoma umknęli godzinami.

I jako odyniec, gdy, przestraszony strzałami myśliwych umyka, a potem nagle na pogoń się zwraca i kłami bodzie, a kłuje, a morduje, tak oni, wracając ze straszliwej ucieczki, całą złość swą wyładowywali, w tym okrutnym, krwawym boju. mścić się pragnęli nie już dwuwiekowych krzywd, ale tego chwilowego złamania, ale tej chwilowej hańby.

A jakby dla ich podniecenia wzdłuż całej linji polskiej pobożny zabrzmiał, piersią pełną nadziei śpiewany hymn: Bogarodzico Dziewico, Bogiem sławiona Marjo!

I nie pomogły już ni armatnich czerepów strzały, ni klątwy krzyżackie i niemieckie, ni zaklęcia Ulryka von Jungingen,

który pierzchających chciał powstrzymać Niemców, — on, który przed chwilą polskiego mógł zniewolić króla do pokoju z sobą, —nie pomogło nic, bo straszna rozszalała burza: — wspartych nadzieją zwycięstwa Polaków i żądnych krwi, żądnych zemsty Litwinów i pławiących się z rozkoszą w chrześcijańskiej krwi Tatarów.

A jako skały, nagle oberwane z niebotycznych gór, z tem większą pędzą szybkością, tem straszniejsze sieją przed sobą zniszczenie, z im większej spadły wysokości: tak szeregi litewskie i tatarskie z tem większą uderzały wściekłością, tem straszniejszą szerzyły rzeź, im dłuższą była ich ucieczka, im dalsze były ich szeregi. I ro ciągnęły się wszystkie wojska polsko-litewsko-rusko-czesko-tatarskie w jeden długi, ziejący strasznych przekleństw głosami szereg, w jeden straszny, długi huf, który ściskał bez litości, żgał, a bił, a kłuł, a parł, każąc wszystkim, których napotkał, mrzeć, padać, ginąć...

I rozszalała nad tą równiną, tak niedawno spokojną, straszna burza nieokiełznanych namiętności ludzkich, niewytłumaczony i chyba niewidziany w dziejach poryw zemsty za tyle krzywd, za tyle pożarów, za tyle hańby i ucisku, rozszalała straszna, pełna krwi i okrucieństwa burza...

— — — — — — — — — — — — — — —

— Maciek! kany pędzis?! Na ci capke!—jeden z ciurów obozowych, który zbliżył się zanadto ku walczącym, wołał na pędzącego galopem Maćka, czerwonego, jak płonący w nocy dom, z rozwianymi nad skrwawionem czołem włosami.

— Maciek!—zawołał jeszcze raz.

— Wdzij se som—usłyszał odpowiedź Maćka, który z ciężkim toporem gnał przed się, by zabiedz drogę wymykającym się Krzyżakom.

Poco jemu czapki? Ma w ręce straszny topór, to mu wystarczy, a czapką przecie nie będzie zakrywał wrogów...

Tak myślał Maciek i dobrze myślał, bo zaraz dojrzał Krzyżaka i, wparłszy koniowi ostrogi, które wraz z butami dostał zapewne od swego pana, dopędził Niemca, i, jako wicher pochyla szczyt sosny, tak uderzenie Maćka przechyliło jasnego rycerza.

A Maciek nie patrzał za siebie, bo oto już dojrzał trzech Krzyżaków, znikających za najbliższem wzgórzem.

— Chryste!—te bestje mi umkną...— i parł rumaka, a w tym pośpiechu i on, i koń pianą się okryli białą.

Nagle zatrzymały się trzy postaci; o jakie 500 kroków przed nimi bitwa się toczyła z uciekającym hufcem Niemców.

A Maćko rychło, korzystając z tego, z boku zajechał Szwabów i wrzasnął im nad uchem:

— Mam was, psiawiary!

I świst rozległ się w powietrzu od szalonego rozmachu topora.

A Maćko oczom nie wierzy i nie chce już więcej walki, jeno z radosnem wołaniem bieży do obozu:

— Papirzane psiawiary, papirzane rycerze!

— — — — — — — — — — — — — — —

Wtem patrz!

Tam na wzgórzu, hen, pod Tennenbergiem, tam, gdzie krzyżackie stały roty!

Patrz! tam ruch się robi...

Błyszczący huf, pancerny huf, tysiące dzielnych piersi już ruszają wprzód.

Wtem patrz!

Mikołaj Ryński, Jan Orzechowski, Mikołaj Pułkowski, chełmińscy dowódzcy trzech pułków, o ziem rzucili swej władzy oznaki. O! oni nie chcą iść! Choć z Krzyżakami wiąże ich przemocy układ, choć wśród krzyżackich stanęli szeregów,—oni nie pójdą przeciw braciom walczyć...

I, łzami płacząc gorącemi, rzucają miecze swe.

Wtem z pośród nich wysuwa się mąż.

To Juchno Szmykwałd.

— Podnieście broń!—rozkazał krótko.

— Nie splamiliście jej braterskim krwi przelewem... — rzucił im jeszcze.

A potem zwrócony ku szeregom wprzód:

— Precz w tył!—zawołał strasznym głosem.

— Precz w tył!—powtórzył jeszcze raz.

I hufce te chełmińskiej polskiej szlachty pognały wstecz, hen za wzgórze, by się nie patrzeć na los swych braci, którym nie mogli dopomóc—nie pozwalały na to zasady rycerskie, zasady wiernej służby...

Jeno się jeden wyrwał z nich.

To Szymon Pomian.

-- Ja swemu dochowam królowi wiary — rzucił i pognał w stronę walczących.

I jako szakal wpada nagle i niespodzianie na karki ludziom, tak on na szeregi spadł krzyżackie, wołając strasznym, dzikim głosem:

— Za żony mojej hańbę! — i ciął straszliwie.

— Za matki mej zniewagę!—i znowu cios.

— Za córkę!...

— Za siostrę!...

— Brata,—ojca!!...—i bił, i ciął, i strasznie raził wrogów, a ręka jego, jakby błyskawica rzuca te cięcia straszne, nieuchwytne, nieodparte.

I darmo zwracało się Krzyżactwo przeciw tem szaleńcowi, co krzycząc, a bijąc wkoło i ścieląc trupami swoją krwawą drogę, przeciskał się do polskich swoich braci, — darmo nadstawiali swe ciężkie szablice, on jednem błyskawicznem cięciem odtrącał miecz krzyżacki i jeszcze szybciej walił w hełmy lub zasłonięte piersi. A dobrą widać miał szablicę, a silną widać miał dłoń, bo każde cięcie, każdy ruch jego miecza wywoływał jęk cichy zabitego lub okrzyk zgrozy tych, co widzieli ową straszną, rozszalałą postać. On zaś z niepohamowaną pędził siłą, zgubę pisząc swą ostrą szablą wszystkim, spotkanym na drodze rycerzom zakonnym, czy hiszpańskim lub francuskim, czy zimnym Anglikom lub pewnym swej mocy Szwajcarom.

Wtem dostrzegł biały płaszcz z krzyżem, a na nim łańcuch złoty, oznakę wielkiego mistrza Zakonu. I jakby nową siłą pchnięty, rwał, sunął naprzód, aż przedarłszy sie przez dwa walczące szeregi, w tamtą skierował się stronę, gdzie Ulryk von Jungingen, obecny butny mistrz butnego Zakonu, walczył z nieustraszonem męstwem.

A goniąc w jego stronę, a pędząc oszalały żądzą zemsty, rozdzielał razy, od których marli wszyscy przedniejsi rycerze, pod Grunwaldem dla niemieckiej sprawy walczący, marli bez

słowa skargi, bez jęku, ranni w skroń, lub z przebitem sercem padając.

I stanął wreszcie przed Ulrykiem, którego napróżno starali się namówić bracia Zakonu do ucieczki z pola walki. On pozostał ponieść tu karę, na jaką zasłużył.

— Mam cię! — rzucił Szymon—i spadł, jak furja, jak wicher halny na sosny spada w Zakopanem, i ugiął jego hardy kark pod razem strasznym swego miecza.

A nagle wokół nich ciżba powstała walczących i ścierających się z sobą w strasznych, przedśmiertnych zapasach. Za chwilę opadło wszystko, lecz Ulryka nie było już widać, ni Szymona Pomiana nie zobaczyłeś już więcej.

Od tej chwili rycerstwo niemieckie koło tworzyć zaczęło, skupiać się i łączyć w jeden zwarty, około tych sześciu dębów szereg.

I jak gdy pośrodku morza czy jeziora skała powstanie, a w czasie burzy fale z wściekłą zaciętością ze wszystkich w nią walą stron, jakby pragnęły pokryć ją sobą, zanurzyć ją w swych głębiach, zniszczyć, zetrzeć, zniweczyć: tak wokół tej gromady, wokół tej resztki świetnego niemieckiego wojska zebrało się polskie rycerstwo, które na bój ten poszło, by bronić zachodnich swego państwa granic, by mścić krzywd swoich i swych zachodnich pobratymców. I z szaleństwem prawdziwem, z niezrównaną zaciekłością, z jakimś krwawym uporem, uderzały polskie szeregi w tę żelazną, twardą, może jako oni wściekłą ścianę, co jeżyła się ku nim setkami mieczów stalowych, twardych, setkami śmiertelnych cięć.

Lecz lwica nie zważa na siłę tych, co jej dzieci chcą zabrać. Ona pragnie tylko ich zniszczyć, zgryść, na śmierć zakąsać. Więc z zaciekłością lwicy rzucało się rycerstwo polskie na tę garstkę niemiecką, nie wołającą już o przebaczenie, bo wśród tego tłumu rozżartego próżne to było wołanie. I marł jeden za drugim, ginął pod razami polskiego rycerstwa, padał bez słowa, chyba jęk jakiś nieświadomy wydobył się z jego piersi, ostatnie wydających tchnienie.

A kiedy ostatni z tej gromady poległ Krzyżak, kiedy wokół widziałeś tylko zmykających Szwabów, gdy ostatnie jasnego już, radosnego słońca błyszczące promienie oświeciły grunwaldzkie pola i lasy, zdradzając, kędy uciekają Niemcy, kędy

błyszczą ich spiżowe czy miedziane hełmy, ich srebrzyste pancerze,—tam wtedy zwróciły się polskie hufce i w tamtą teraz stronę gnały zwycięskie polskie roty, roznosząc pośród łąk i lasów okrzyki zgrozy, nienawiści, walki.

Jeden zaś rycerz z pośród tych, co walczyli pod dębami, jeden z tych, co Zakonu widział zagładę ostateczną, oderwał się od swych współtowarzyszy, jakby na skrzydłach niesiony, poskoczył do obozu, na nowego siadł rumaka i pognał hen, za lasy, na południo-wschód, wołając wciąż, a krzycząc wciąż:

— Zwycięski bój! Grunwaldzki bój! Zwycięski pod Grunwałdem bój!

A lasy w wieczornej ciszy zaczęły szept modlitwy tajemniczej, jakgdyby swoim dalszym towarzyszom podać pragnęły dzieje dnia onego,—szeptały wciąż, szeptały też:

— Grunwaldzki bój! Grunwaldzki bój! Zwycięski pod Grunwaldem bój!

I pognał ów rycerz ku Polsce hen, wyglądającej z trwogą wieści o tym boju ostatecznym, o tem zmierzeniu się w otwartem polu słowiańskich sił z germańską tą przemocą, i pognał rycerz ów, roznosząc wszędzie wieść, radosną, wdzięczną wieść:

— Grunwaldzki bój! Grunwaldzki bój! Zwycięski pod Grunwaldem bój!

I taką samą pieśń śpiewało polskie rycerstwo.

Tą samą modlitwą dziękczynną kończył dzień Jagiełło.

Temi samemi słowy mówiły jego oczy do spracowanego Witołda.

— Zwycięski pod Grunwaldem bój...



Zamek wileński.
(Wilno, stolica Litwy).

(Rys. J. Stemler).

Unja Horodelska 1413 r.

Późną jesienią r. 1413 zaczęły się dawno zapowiedziane obrady zjazdu panów polskich i litewskich.

Witołd domagał się go zaraz po zwycięstwie pod Grunwaldem, a Jagiełło również pragnął bardziej zjednoczyć oba państwa i oba narody.

I stało się, jak pragnął.

Do małego miasteczka ziemi Chełmskiej ściągnęło tylu panów polskich i litewskich, że daleko poza miastem musieli się oni rozmieścić, nie mogąc znaleść miejsca w samem Horodle.

Obradom przewodniczył Władysław Jagiełło, mając przy sobie Wojciecha, biskupa krakowskiego, Ciołka, kanonika sandomierskiego i Zbigniewa z Oleśnicy, swojego sekretarza. Prócz brata jego, Witołda, była też obecną królowa Anna, którą Jagiełło w małżeństwo pojął po śmierci świętej królowej Jadwigi. Była też z nią córka jej, Jadwiga.

Niedługo trwały obrady.

— Nie będziem się spierać—mówił Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski—że związek nasz z Litwą tyle nam korzyści zapowiada, ile żaden inny. Zresztą widzieliśmy już one w rozgromionych szykach krzyżactwa i więcej nam doradców nie trzeba. Widzieliśmy, jako przed połączonemi siłami Polski i Litwy z Rusią w proch rozpadła się potęga krzyżacka i potem znowu, jako wobec polskich tylko sił zdołała obronić się poza murami swojego Malborga.

Słuszną zaś jest rzeczą, aby ci, którzy krew swoją z naszą krwią na polach grunwaldzkich zmieszali i przez to krewnymi i braćmi niejako stali się polskiego rycerstwa, tychże znaków i tych prerogatyw używali, jakimi my się szczycimy.

— I kościół święty—dodał Zbigniew z Oleśnicy—tego od nas wymaga, byśmy świętą jedność zawarli i nierozerwalnymi związkami na zawsze złączyli nasze dwa państwa. Cóż zaś lepszym może być obrazem jedności, jak złączenie się w rodzinę jedną, czego znakiem jest zbiór herbów naszych, owych zaszczytnych znaków, na których sławne czyny naszych przodków nieraz są przedstawione, a które zawsze w dowód bohaterstwa i zasług dostawali przodkowie nasi. Więc tymi herbami się podzielmy i w jedną, a ogromną złączmy się rodzinę.

Tak oni przemawiali tam, po skończonych zaś obradach, po solennem nabożeństwie, odczytano akt unji horodelskiej, zaopatrzony w mnóstwo pieczęci.

„W imię Pańskie Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Dłużnikami jesteśmy pokarmu duchowego, obowiązani podnosić kielich zbawienia tym, nad którymi pieczę sprawujemy, starając się o ich doczesne dobro, abyśmy troskliwi o potrzeby ich ciała, nieśli im zarazem ile możności naszej, pożytek zbawienny i usługując doczesności, nie zaniedbywali korzyści żywota... Słuszną przeto jest rzeczą rozmyślać i rozumem swoim badać, w jaki sposób moglibyśmy, starając się o cielesne ludzi dobro, zjednać im razem pokarm niebieski...

„My przeto Władysław, z Bożej łaski król polski, ziem Krakowskiej, Sandomierskiej, Sieradzkiej, Łęczyckiej, Kujawskiej, Litewskiej, książę panujący, Pomorza i Rusi pan i dziedzic, tudzież my Aleksander czyli Witołd, wielki książę litewski, ziem ruskich pan i dziedzic, oznajmujemy niniejszem pismem, komu o tem wiedzieć należy, ku świadectwu współczesnych i wiadomości potomnych: że jako zawdy troskliwie staraliśmy się o dobro ziem litewskich i mieszkańców ich, Litwinów, naszemu panowaniu podległych..., tak i obecnie, chcąc utwierdzić i umocnić ich w przyjętej wierze..., pragniemy jak najmocniej zasilić duchowymi dary tych, którym nieraz użyczaliśmy naszej łaski królewskiej, i z wszelką usilnością chcemy się o to starać i takowe staranie nasze skutecznie udowodnić.

„Aby więc tem swobodniej stać mogli przy swej wierze i z cnoty w cnotę wzrastać, powodowani wrodzoną nam łaską i uprzejmością, zdejmując z ich karków jarzmo niewoli, którem dotychczas byli uciskani, nadajemy im niniejszem pismem wszystkie swobody, wolności, prawa osobiste i przywileje, jakich prawowierni chrześcijanie używać zwykli, a to według treści i osnowy następującego opisu:

„... Pragnąc kraj litewski od zdrad i napaści Krzyżaków, jakoteż ich stronników i sprzymierzeńców i wszelkich zgoła nie przyjaciół, czyhających na zgubę Litwy i Polski, lepiej ubezpieczyć i pewniejszą opieką osłonić, a razem obdarzyć trwałych i wieczystych korzyści udziałem, ziemię tę, która zawsze panowaniu naszemu podlegała i którą jako własność naszą po przodkach dziedzicznie posiadamy, za radą i wspólną zgodą panów szlachty i bojarów, do naszego królestwa Polskiego ze wszystkiemi do niej należącemi ziemiami, księstwami, powiatami i własnościami przyłączamy i z koroną tegoż królestwa Polskiego na wieczne czasy trwale i niezmiennie jednoczymy.

„Nadto wszystkim Kościołom ziemi litewskiej, tak katedralnym, jako i kollegjackim, parafjalnym i zakonnym, albo w przyszłości powstać mogącym, zachowujemy i potwierdzamy niniejszem pismem wszystkie ich wolności, swobody, przywileje i prawa zwyczajowe, według praw i obyczaju, zachowywanego w królestwie Polskiem. Panowie także szlachta, bojarowie naszego księstwa Litewskiego, ale ci tylko, którzy są wyznawcami rzymskiego katolickiego kościoła i którym udzielone są klejnoty szlachectwa, mają nadanych sobie wolności i przywilejów swobodnie używać tak, jako ich używają panowie i szlachta królestwa Polskiego.

I mówił dalej akt o wolności osobistej, o prawie posiadania i sprzedawania dóbr, wydawania córek za mężów katolików, wymagał posłuszeństwa dla króla polskiego, żądał budowania zamków i dróg, obrony państwa i posłuszeństwa królowi.

Zapowiadał też stworzenie urzędów takich samych, jak w Polsce.

Wreszcie przedostatni ustęp aktu zaręczał, że ani Polska ani Litwa nigdy innego pana nie obiorą, lecz zawsze pod jedną ręką i jednymi rządami będą pozostawały.

Ostatni ustęp zawierał spis tych, którzy do polskiej szlachty zostali zaliczeni, z wymienieniem herbu, jaki każdy Litwin czy Rusin dostawał.

I dokonało się dzieło ważniejsze od zwycięstwa grunwaldzkiego, ważniejsze niźli szereg wojen zwycięskich.

Bo odtąd zaczęło się ścisłe współżycie narodu polskiego z litewskim i ruskim, zaczęło się gruntowanie i systematyczne tworzenie tej potęgi, która całą Europę piersią swą w chwilach groźnych zastawić i skutecznie ochraniać była w stanie.

Począł żyć naród z narodom.

Jeden odtąd strumień wypadków płynął w Polsce i na Litwie i na Rusi całej.

Jedna przed niemi była dola i wspólna, jasna wówczas, przyszłość.



Królewskie przyjęcie.

W drugiej połowie lutego r. 1429 cały Łuck rozbrzmiewał różnorodnemi pieśniami, pstrzył się strojami wielu narodów, jaśniał blaskiem i przepychem, jakiego nigdy przedtem, ani potem nie widział.

Nawet wspaniały zamek nad Styrem, zbudowany na rozkaz Kazimierza Wielkiego nie mógł pomieścić dostojnych gości, którzy wobec tego zajęli budynki kollegjaty, a dalej po domach mieszczańskich, nawet po wsiach okolicznych w okręgu milowym rozmieścili się panowie i książęta.

Z przepychem iście królewskim przystroił Witołd, który jako wielki książę litewski gospodarzem był na Litwie całej i Rusi, z blaskiem potężnego monarchy ubrał zamkowe komnaty, chcąc do piękna przyrody, otaczającej tę budowlę, dodać piękno wewnętrznego jej urządzenia.

Rozwiesił więc na ścianach makaty przecudne, na Tatarach w rozlicznych walkach zdobyte, podłogi wyścielił puszystymi dywanami ze wschodu, do uczt zaś podawać kazał naczynia srebrne, to znowu złote, z przedziwną sztuką wykończone.

A było kogo przyjmować, było przed kim się chwalić.

Zawitał w progi łuckiego zamku król Jagiełło z trzecią już żoną, Zofją, przybył cesarz rzymski narodu niemieckiego i zarazem król węgierski, Zygmunt, z żoną swą, Barbarą, uświetnił zjazd ten obecnością swoją król duński, Eryk VII, był też wielki książę moskiewski, Wasyl Wasylewicz, dla którego

Władysław Jagiełło i Witołd dziadkami byli, gdyż matka Wasyla córką była Witołda.

Kogo tam nie było w Łucku w onym roku 1429, jacy goście wspaniali!

Widziałeś tam i hanów Tatarów perekopskich i zawołżańskich, których pokonał Witołd, i hospodara Wołoszczyzny, który królowi polskiemu hołdował, i książąt mazowieckich, którzy za Kazimierza Wielkiego częściowo, teraz zaś coraz bardziej garnęli się do Polski, hołd z ziem swoich składając, byli książęta śląscy i twerscy i odojewscy, byli posłowie cesarza greckiego Jana Paleologa i Mistrz krzyżacki, Ruzdorf i Wielki Mistrz kawalerów inflanckich, Siegfried, a tłumu szlachty i panów polskich, litewskich, ruskich, czeskich, węgierskich i moskiewskich nie zliczyłbyś rychło.

Przy katedrze zaś biskupiej zamieszkał, jako gość biskupa Andrzeja, krakowski biskup Zbigniew z Oleśnicy i dostojny gość, legat papieski i metropolita Rusi, Focjusz i arcybiskup gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec.

Wśród takich to gości uwijał się Witołd, zapraszając, by dary jego pożywali, by czuli się wśród tych bogactw i przepychu, jak w domu własnym, jego zaś uważali za swego sługę.

Wielkie zgotować pragnął dzieło Witołd i Władysław.

— Daj Bóg, aby dobrze poszły obrady — mówi biskup Andrzej do kanclerza biskupa Zbigniewa z Oleśnicy.

— Zdaje mi się, że nic z tego nie będzie — odparł ze smutkiem kanclerz.

— Jakżeż, tak zgodnie zjechali się.

— Ale jest tutaj jeden, który przeszkodzi.

— Kto taki? — pyta zaciekawiony biskup łucki i z uwagą słucha, bo wie, że kanclerz wszystkie zna tajemnice i zna tutaj wszystkich.

— Jest cesarz niemiecki, Zygmunt. Ten wszędzie knuje tylko, a mąci. Słyszeliście pewnie o sądzie niesprawiedliwym między Krzyżakami a nami. To on właśnie był sędzią.

— Toż tutaj mówili, że to poganin jakiś tak niesprawiedliwy wydał wyrok.

Bo i poganin to jest prawdziwy, chociaż ustami Chrystusa wyznawa — oskarżał Oleśnicki. Obaczycie, że zamiast wojny przeciw Turkom, wymyśli on jakowąś wojnę między chrześcijańskimi książęty.

— Oby Bóg nie dopuścił do tego — westchnął tamten. To on jest także węgierskim królem? — pytał dalej.

— A tak i Węgrom ma przewodzić i pewnie czeską koronę pragnąłby przyjąć, skoro jej nie przyjął nasz król mimo próśb i błagań Czechów.

— Źle to się stało — nieśmiało przemówił Andrzej,

— Dobrze się stało — oburzył się Zbigniew. Nie może przecie katolicki król przewodzić odstępcom św. wiary.

W tej chwili zbliżyła się do mówiących para mężów poważnych.

Jeden z nich, w szatach biskupich, z grubym złotym łańcuchem na szyi, z pierścieniem na dużym palcu prawej ręki z zajęciem słuchał opowiadania tęgiego mężczyzny, siwego jak gołąb, z sumiastymi, potężnymi wąsami.

— Słuchajcie-no — zawołał pierwszy, zbliżywszy się do dwóch biskupów, którzy z uszanowaniem rozstąpili się, chcąc przepuścić idących — posłuchajcie, co mówi Jan z Tarnowa.

Wojewoda krakowski, on to był bowiem, pierwszy senator świecki w Polsce, zniżył głos, mówiąc:

— Dzisiaj przynieśli mi prześliczne puzderko z fajką turecką ze złoceniami, wykładane słoniową kością.

— Pewnie podarek od króla.

— Nie od króla naszego — uśmiechnął się wojewoda.

— Aha, już wiem — zawołał Oleśnicki.

— Wy zawsze wiecie, biskupie — zwrócił się do niego towarzysz Jana z Tarnowa, a zwierzchnik Zbigniewa.

Był to bowiem arcybiskup gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec, głowa kościoła w Polsce.

— Nie zgadniecie, biskupie — ozwał się Jan.

— Właśnie zgadnę. Już bowiem widziałem się z dwoma senatorami z Gasztołdem, wojewodą i Rumboldem, marszałkiem wileńskim.

— I co, co? — zaciekawił się Jan z Tarnowa.

— Powiedzieli mi, że król i cesarz Zygmunt przysłał im wspaniałe podarki.

— To coś się święci — zapowiedział Oleśnicki.

— Trzeba uważać — zgodził się Jan z Tarnowa.

Tymczasem zaś obrady, zamiast obracać się około sprawy, która była przyczyną zjazdu, około sprawy wojny ogólnej przeciw Turkom, zmieniły się w wzajemne oskarżenia, w których pierwsze skrzypce grał Zygmunt, król węgierski i cesarz rzymski narodu niemieckiego, jak brzmiał jego pełny tytuł.

Wieczorem tego dnia miał Zygmunt długą naradę z Witołdem.

Nazajutrz spełniły się obawy Jana z Tarnowa i Zbigniewa Oleśnickiego: Witołd zażądał od panów litewskich i polskich, by mu pozwolili włożyć koronę na skronie.

Panowie, bojący się potęgi, a jeszcze więcej porywczości Witołda, nie śmieli otwarcie wystąpić przeciw tej propozycji. Dopiero Zbigniew Oleśnicki, który jako kanclerz państwa musiał czuwać nad jego całością i bezpieczeństwem w te odezwał się słowa:

— Inaczej mówilibyśmy o tem, gdybyśmy z ust waszych, wielki książę, nie wiedzieli, iż myśl ta nie od was wyszła, a od Zygmunta, cesarza niemieckiego. Znaną wam jest przewrotność tego człowieka i jego niechęć, wprost nienawiść do nas. Dlatego musimy szukać w jego radzie tej samej myśli nieprzyjaznej, która kazała mu sprawiedliwość podeptać w sądzie między koroną polską, a Krzyżakami, która kazała mu intrygować wtedy, gdy wy, wielki książę, szliście w Czechach koronę zdobyć dla bratanka, Zygmunta Korybuta, tę koronę, którą Czesi wam ofiarowali. Zważcie więc przyjaźń udawaną tego człowieka. Tam wydziera wam koronę, którą naród pragnie oddać, tutaj radzi wam starać się o koronę, która wedle umów wzajemnych między panami i szlachtą obu narodów musi być i pozostać jedną i wspólną. O nic innego nie chodzi Zygmuntowi, przyjacielowi Krzyżaków, jak tylko o rozbicie związku Polski z Litwą i Rusią, z czego on i Krzyżacy duże odnieśliby korzyści. Skoro zaś rzeczy tak się mają, tuszę, że wielkie wasze serce nie pozwoli wam dłużej o tej sprawie myśleć i sami cofniecie się od tego żądania.

A chociaż po tej przemowie wszyscy byli przeciwni koronacji Witołda, on trwał w swoim zamiarze i domagał się tego nadal.

Udało się więc Niemcowi zasiać ziarno nienawiści i niezgody...

Lecz owoców z niego nie było.

Nie było też owoców zjazdu w Łucku, chyba jeno sława poszła po całym świecie, po całej wschodniej i zachodniej Europie, jak potężną jest Polska i Litwa, jakie dostatki i bogactwa w niej kwitną.

Straszna wieść.

Święta królowa, umierając w r. 1399 stworzyła dzieło ogromne — uposażyła to, co duchem swoim natchnął Kazimierz Wielki.

Akademja Krakowska nie mogła istnieć i działać, nie mając majątku. Niestety zaś Kazimierz Wielki, jej twórca w r. 1364, nie żył dość długo — aby widzieć, że tych trwałych podstaw brakuje najwyższej szkole polskiej, że ten brak może do ruiny ją doprowadzić.

To też dopiero od r. 1400, gdy Władysław Jagiełło, spełniając wolę świętej królowej, kupił dom przy ul. św. Anny i oddał go Akademji, nowe zaczęło się życie, zaczęło się promieniowanie uniwersytetu, jak sobie tego życzyła Jadwiga.

I zawsze odtąd żywo tętniła tam praca, uczyli się możni i ubodzy, siali słowa wiedzy uczeni polscy i zagraniczni.

Czasu wiosny cudownej i jesieni słotnej, podczas upałów letnich i zimy śnieżnej gwarno i rojno było w domu przy ul. św. Anny, w tak zwanej Władysławowskiej fundacji.

W pokoju Jana Ursinusa, doktora astronomji, gromadzili się często profesorowie na pogawędkę w godzinach, gdy skończyły się ich zajęcia.

Tem bardziej zebrali się u niego w zimowy wieczór roku 1444, aby na pożytecznej to poważnej, to znów wesołej rozmowie chwil kilka spędzić.

— Dobrych mamy akademików — mówił Marcin z Żórawicy, który wielkiego doznawał szacunku, jako uczony astronom — uczą się, a słuchają, jak dotąd nie zdarzyło mi się nigdy.

— Ej, toście chyba w gwiazdach to wyczytali — przekomarzał się Ursinus, kolega Marcina, również astronom — bo moi tylko o wojnie myślą.

— Różni są — zabrał głos Andrzej Grzymała, młody bakałarz artystów — jednych wojna ciągnie, inni radziby się nauce poświęcić.

— Trzeba umieć uczyć — ozwał się Piotr ze Żwanowa, profesor teologji — niechby mi który z moich kleryków myślał o wojnie, dałbym ja mu.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Nic dziwnego — twierdził Jan z Ludziska — że o wojnie myślą. Ja prawie uczyć nie mogę, tak mi brakuje środków do nauki.

— Przyzwyczailiście się do wygód w Padwie — mówił Ursinus, — poczekajcie trochę. Zapisała nam królowa Jadwiga trochę grosiwa, powoli rozwinie się i nasza uczelnia.

— Daj Bóg — westchnął Jan z Ludziska — pamiętam, że w Padwie mieliśmy na sam fakultet medyczny tyle sal, ile wy tutaj na wszystkie posiadacie.

— Ale w Padwie dawniej jest akademja, niż u nas? — spytał Andrzej Grzymała.

— Mógłbyś to wiedzieć, Grzymało — strofował młodego bakałarza Ursinus, który go nadzwyczaj lubił — że najpierw była Sorbona w Paryżu i uniwersytet w Bononji, a potem zaraz padewski.

— O to mi chodzi właśnie — bronił się tamten. Trudno żądać, aby nasza młoda szkoła miała takie bogactwa, jak tamta, która dwa wieki już istnieje.

— No pewnie, pewnie — zgodził się Jan z Ludziska, ale gdy człowiek chce, aby było jak najlepiej...

Wtem otwarły się drzwi i wpadł raczej, niż wszedł Jakób Zaborowski, profesor dekretów, czyli prawa kononicznego.

Blada jego twarz wyrażała przerażenie i ból.

— Co się stało? zerwało się kilku z miejsc.

— Król nie żyje — wyrzucił jednym tchem.

— Jak? co? mów! — otoczyli go, on zaś wzruszony do najwyższego stopnia, usiadł na najbliższem krześle i oddechał ciężko.

Wtem znowu otwarły się drzwi, znowu ukazała się sutanna i drobna postać Mikołaja z Lublina stanęła między obecnymi.

— Wiecie już? — pytał smutnym głosem

— Mów wszystko — zwrócił się Piotr z Żwanowa.

— Król nasz Władysław zginął w bitwie z Turkami...

— Boże, Boże — szepnął Piotr z Żwanowa — taki młody, dziesięć lat temu obchodziliśmy jego koronację, a tu już — śmierć.

Milczenie zapanowało.

— Ale skąd wiecie? — spytał Jan Ursinus.

— Może nieprawda — podchwycił inny.

— Niestety — poseł pewny od Jana Hunyadego.

— My osieroceni i Węgrzy w żałobie — biadał Jan z Ludziska.

— Król takiego obszaru, Polski, Litwy, Rusi i Węgier — rozmawiał z sobą dalej.

— Niepojęte są wyroki boskie — poważnie wygłosił Jakób Zaborowski. Gdy dowiedziałem się o tem, słowa przemówić nie mogłem.

Wtem dzwon się rozległ.

Jeden, drugi, trzeci.

Rozegrały się jękiem i skarga żałosna popłynęła w tę cichą zimową noc.

A głos ich wśród ciszy głębokiej, falami nizkiemi szedł po mieście śpiącem, po domach blizkich i dalekich, niepokój rodząc i strachem w serca się wciskał.

I żal roznosił na ziemie Polski, do Tatr wysokich dosięgał, by na węgierską przedostać się stronę i złączyć się z jękiem węgierskiego ludu, który od czerech lat zjednoczył się z Polską w królu Władysławie.

Krótko panował w Polsce, krótko Węgrom król Władysław Warneńczyk.

Nad Dniestrem.

Dziwił się księżyc czerwony, wyjrzawszy nocą czerwcową roku 1453 z poza chmur, które mgłą opuściły się nad Dniestrem, zimnym puchem obejmując okolicę całą.

Nie widział niczego, a dziwił się.

Słyszał bowiem szlochy i płacz głośny, narzekania i słowa pociechy nieśmiałe, ciche, niepewne.

Najbardziej zaś przejmować musiały głosy dzieci przerażonych, głodnych, zziębniętych.

— Mamo, mamo—wołała Zocha pięcioletnia, tuląc się do siostry starszej, Olgi, która dobrze pamiętała, że ojciec jej nazywa się Jazłowiecki Sulisław herbu Habdank.

Obok dwóch dziewczynek stała może dwunastoletnia Anna Potocka, która jako zupełna sierota od kilku lat znajdowała się w domu krewnych swych, Kamienieckich, którzy pod Latyczowem mieli swą posiadłość. I oto tutaj znalazła się ze Stefankiem, czteroletnim ich synkiem, który, odkąd go z domu porwano, cały czas płaczem się zanosił, aż dopiero teraz zmęczony łzami i zimnem zasnął, sparłszy jasną główkę o kolana Hanki.

— Nie płacz—prosi Hanka, zwracając się do Zochy Jazłowieckiej.

— A gdzie mama?—płaczliwie odezwało się dziecko.

— Nie płacz—prosi znowu—Stefka zbudzisz.

Dziecko spojrzało załzawionemi oczyma i przysunęło się bliżej.

— Chodź tutaj—ucieszyła się Hanka—módl się lepiej, aby król nasz przyszedł z pomocą.

— Król daleko—rozpłakała się znowu Zocha, ale już tłumiła łkania, wiedząc, że Stefek może się zbudzić.

Olga Jazłowiecka nachyliła się nad Hanką i pytała:

— A gdzie nasz król może być?

— Widzisz — szeptała Hanka — może nie król przyjdzie, rzeczywiście król Kazimierz daleko, ale pewnie załoga albo z Płoskirowa, albo z Kamieńca Podolskiego przyjdzie nam na pomoc.

— Skąd ty wiesz?

— Cicho—rzuciła nagle Hanka.

Lecz było już za późno, bo w tej chwili rozległ się świst pletni i jęk Hanki rozdarł powietrze.

Ale nikt nie ujął się za dziewczynką, którą Tatar bił nielitościwie, karząc ją za to, że śmiała rozmawiać, że ona, branka, pędzona w jassyr, odważyła się mieć twarz spokojną i drugim spokoju dodawać.

Oddalił się oprawca, a Hanka zęby ścisnęła, aby jękami znowu nie zwabiać go tutaj.

Wtem wrzask się podniósł odległy, straszny, przejmujący, a zaraz po nim świst się rozległ rozgłośnie wśród ciszy nocnej i okrzyk: Jezus, Marja!

— Nasi, nasi—zawołała nie mogąc stłumić radości Hanka Potocka.

Zbudziły się dzieci, lecz przytomna Hanka położyła ręce na ustach ich i kazała wszystkim ciszę zachowywać, by Tatarzy nie przypomnieli sobie bogatego jassyru, który nad rzeką taborem spoczywał.

Tymczasem zaś trwała wrzawa, kwik koni, jęki ludzi dochodziły z daleka--chociaż zapłonęły ognie, nic widać nie było przez mgłę, po ziemi pełzającą.

Głosy oddalać się poczęły, już tylko od czasu do czasu echo przyniosło głośniejszy okrzyk, lub jęk rannego żołnierza.

Powoli podniosła się Hanka i cicho iść poczęła, skradając się tam, skąd blask bił gasnącego ogniska.

Cały obóz poruszył się, za chwilę wysuwać się poczęły postacie kobiet, które widocznie osobno były umieszczone.

Gdzieniegdzie rozlegały się żałosne okrzyki, płacz powitań niespodzianych, gdy matka dzieci swe nagle znalazła.

I w miejsce niedawnych okrzyków wściekłości i rozpaczy, w miejsce dzikich odgłosów walki, coraz częściej słyszeć się dawały wybuchy radosnego śmiechu, coraz głośniejszem weselem rozbrzmiewał obóz tak bardzo nieszczęśliwych, tak niedawno jeszcze brańców.

Dzieci zaś, zostawione przez Hankę nie ruszały się z miejsca, chociaż Olga z trudem zachowywała pokój, chociaż bardzo pragnęła pójść za tamtą, przekonać się, czy skończyły się straszne chwile niewoli, czy zjawią się zbawcy, czy i dla niej ta chwila chwilą radości będzie.

A Hanka nie wracała.

Już tłumy całe mężów i kobiet snuły się po obozowisku, a Olga ze Stefkiem i Zochą trwać musiały do tego samego miejsca przykute, bały się bowiem ruszyć gdzieś, gdzieby ich Hanka później znaleść nie mogła.

Wtem głosy rozległy się męskie, wesołe, radosne głosy.

Za chwilę ukazała się Hanka w towarzystwie dwóch mężczyzn, pokrytych krwią, całych w rynsztunku wojennym.

— Jesteście—ucieszył się jeden, gdy Hanka poskoczyła do dzieci — jesteście, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że ja was mogę wybawić.

— Mości starosto, mości starosto—wołał zwracając się do drugiego mężczyzny, który zatrzymał się przy gromadce kobiet i dzieci, dziękujących za odsiecz — a pójdźcie do mnie, toż dzieci przyjaciela waszego.

— Wyście Jazłowieckie? — pyta mężczyzna, a oczy, świecące blaskiem ogniska odbitego, śmieją mu się radością ogromną.

— Ja Olga, a to Zocha—wskazuje dziewczynka, mężczyzna zaś obejmuje je za szyję, całuje serdecznie i spowiada się:

— Jak to Bóg łaskaw, że pozwolił mi taką przysługę oddać przyjacielowi.

I ruszają razem, a z nimi i obcy mężczyzna, który cieszy się z innymi ich radością.

— Jak to dobrze—mówi, zwracając się do znajomego Jazłowieckich—że król Kazimierz Jagiellończyk uczynił waści starostą międzybojskim.

— A tak, a tak, ale i to dobrze, że u was byłem w odwiedzinach—cieszy się starosta.

— Ale trzeba mnie do wojska—ozwał się drugi — ostrożność nie zawadzi—i oddalił się, zostawiając starostę z dziećmi.

— Kto to ten pan?—pytają dzieci.

— To Jan z Latyczowa Niemiec—człowiek złoty, nazwisko ma niemieckie, ale nasz on jest duszą i ciałem.

Zetknęli się znów z gromadką ludzi, przy których towarzysz jakiś łzy ronił, jak dziecię małe.

Starosta spojrzał mu w oczy i zaraz zrozumiał.

— Jakóbie, sąsiedzie drogi, sąsiedzie drogi—to wasze?—

— Moje, moje—śmieje się tamten przez łzy, przyciskając dwóch chłopaków do siebie—mówcie komu mogę się odwdzięczyć, a, co, każe, uczynię mu.

— Wieść o Tatarach przyniósł Jan z Latyczowa Niemiec, on zorganizował oddział mieszczan, a jak stawał, widziałem.

— Gdzie on, gdzie on? — pyta gorączkowo tamten.

— Spokoju, sąsiedzie, spokoju—kładzie mu na ramieniu rękę starosta międzybojski — naprzód klęknijcie i dziękujcie Bogu.

I na wilgotnej uklękli ziemi i do nieba słali gorącą modlitwę.

Za nimi zaś uczynili to samo inni, odkryły się głowy, zeskoczyli z koni rycerze i po podolskich trawach, rosą poranną okrytych, przy szarzejącym dniu płynął cichy, modlitewny szept, wdzięczności niewysłowionej pieśń.

A kiedy wstali mówił Matjasz, starosta do Jakóba Czerwieńskiego:

— Niewdzięczną byłaby Rzeczpospolita, gdyby Janowi z Latyczowa nie dała herbu i szlachectwa. Jestem tu starostą dawno. Czekajcie—teraz mamy rok pański 1453 to znaczy sześć lat, bo od wstąpienia na tron naszego króla jestem starostą w Międzybożu, a nie znam tu lepszego mieszkańca, jak ten właśnie.

— Ja sam herb mu dam swój — ozwał się Jabób Czerwieński.

— I słusznie uczynicie—pochwalił starosta.

— A teraz do domu, do domu.

I uszykował się pochód.

Na przedzie szła zbita, wielka, bo dziewięć tysięcy głów licząca, cała roześmiana, radosna gromada kobiet, dzieci, starców i mężczyzn, uwolnionych z jassyru, a z tyłu nieliczny hufiec, który tak wielkie spełnił dzieło, tyle zrodził szczęścia.

Witało ich wstające słońce, gdy wracali do domów swych własnych, po ciężkich, długich czterech dniach podróży.

Witały ich dzwony kościołów i cerkwi.

Witały ich roześmiane, od łez rozpaczy jeszcze mokre oczy tych, którzy zdołali ujść przedtem jassyru.

Odzyskanie Pomorza.

Świąteczny nastrój panował w domostwie Jana Bayssena w Gdańsku w sierpniu r. 1454.

W niedzielny dzień od rana zajeżdżały karoce bogate, coraz więcej przybywało mieszczan, coraz gwarniej robiło się wewnątrz.

Jan Bayssen, człowiek może czterdziestokilkoletni, chodził poważny, a dziwnie radosny, gładząc od czasu do czasu córkę swą, Gustę, to znowu do syna podchodząc, Gabryela, który w rycerskim stroju młody, przystojny, nadzwyczaj wyglądał pięknie.

— Ojcze, tam już wielu ludzi, a stryj nie da sobie rady —upominała go córka.

Posłuszny wezwaniu ucałował córkę i skinąwszy na syna, przeszedł na drugą stronę domu, gdzie w wielkiej sali zebrało się całe mnóstwo mieszczan gdańskich i okolicznych rycerzów.

Zaraz poskoczyli do niego znajomi i ściskając rękę, składali mu życzenia.

— Niechaj wam, wojewodo, dobrze się wiedzie, niechaj zawsze ma z was pociechę i województwo nasze i nasz król Kazimierz.

— Długich lat — wołali inni i radość panowała wokoło i zadowolenie.

— Uciszcie się—zawołał Jan Kolda—może wszystko opowiedzą nam posłowie.

— Niech mówią, niech mówią—ozwały się głosy.

Jan Bayssen, odprowadziwszy na stronę Wilhelma Jordana, szlachcica z pod Gdańska, pomówił z nim chwilę, poczem ten rozpoczął:

— Prosi mnie wojewoda nasz, Jan Bayssen, abym rzecz całą od początku do końca wyłożył. Uczynię to chętnie, bo każdy z radością opowiada o szczęściu swojem i drugich.

Otóż w myśl rady was wszystkich i tylu innych, udaliśmy się do króla Kazimierza Jagiellończyka, jeszcze tamtego roku, prosząc, by miasta pruskie przyjął do korony polskiej, jako dawniej polskie, a obecnie nie mogące znieść jarzma krzyżackich rządów i krzyżackiej niewoli.

— Król przyjął nas łaskawie, rozpytywał się o wszystko, ale stany nie bardzo godziły się na przyjęcie nas, gdyż, jak mi opoowiadali panowie krakowscy, bały się wojny z Krzyżakami. Jako jednak wiecie, król Kazimierz, gdy coś postanowi, to nic go nie odwiedzie od planu. Całem więc naszem szczęściem było, że królowi podobała się ta myśl. „Spełnię" powiada—„to, co jeszcze Kazimierz Wielki chciał spełnić, a nie mógł". Kiedy więc zaczął przekładać stanom zgromadzonym korzyści odzyskania tych ziem, część zaczęła ulegać i przychylać się do zdania królewskiego. Przedewszystkiem zdobyliśmy orędownika naszego w kasztelanie krakowskim, Janie z Czyżowa, który ciągłe utarczki staczał z Janem z Tęczyna. Wreszcie postanowiono zgodzić się na naszą prośbę i na rynku krakowskim przyjęto od nas przysięgę wierności. Uczyniliśmy, jakoście nam nakazali, teraz zaś wiedzcie, że nie wszyscy wróciliśmy tem, czem stąd wyjechaliśmy.

Tu zwrócił się w stronę, gdzie stał Jan Bayssen, a chociaż ten robił znaki, Jordan opowiadał dalej, śmiejąc się:

— Każe mi Jan Bayssen zamilczeć, ale ponieważ jeszcze władzy nie objął, więc nie posłucham go. Pamiętacie, panowie, jak to niektórzy obawiali się, że Polska przyśle nam swoich urzędników. W końcu i te obawy was nie odstaszyły, dlatego też myśmy wcale nie mówili o tem, że żądamy urodzonych w ziemi pruskiej urzędników, prosiliśmy tylko o zachowanie przywilejów, jakie dotąd posiadamy. Król zaś polski ze stanami sami ustanowili tak: Ziemia Pruska będzie podzielona na 4 województwa, które uczestniczą we wszystkich prawach i przywilejach Królestwa Polskiego, także w elekcji króla.

Wojewodów zaraz nam naznaczono a to: w Elblągu — Ścibora Bayssen, w Toruniu—Gabryela Bayssen, w Królewcu—Augustyna Schewe, a u nas w Gdańsku wiecie, kogo?

— Jana Bayssen—rozległ się okrzyk ze wszystkich piersi obecnych.

A tyle było w nim życzliwości i tyle radości z naznaczenia, że ani na chwilę nie można było przypuszczać, że tutaj, jak gdzieindziej, zrodzi się zazdrość i walka powstanie o urząd.

Kiedy zaś skończył mówić Jordan, potoczyła się gwarna rozmowa, a chociaż bez porządku szła ona, chociaż kilku naraz mówiło, a niekiedy cała sala grzmiała śmiechem i oklaskami, przecież nikt ich nie krępował i nikomu to nie szkodziło.

— Panowie, panowie—ozwał się głos.

— Cicho—wołał na całe gardło Rudger Birken, burmistrz Torunia.

Uciszyło się na chwilę, ten zaś począł:

— Nie chcę ja psuć wam radości, ale ponieważ nie jesteśmy dziećmi, więc pragnę pomówić o rzeczy, która oddawna mnie niepokoi.

— Co takiego?—ozwały się niezadowolone głosy.

— Trzeba pomyśleć o obronie.

Zniknął śmiech z twarzy, zgasły radością drgające oczy, a wszyscy skupili się około mówcy.

— Chyba nikt z panów nie przypuszcza, że Krzyżacy zgodzą się na to, aby Polska, ich wróg najcięższy, posiadła najcenniejszy kawał kraju, który dotąd w łupieskich swych rękach dzierżyli. Dlatego myślę, że nie będzie od rzeczy, zastanowić się nad wojną, która niezadługo wybuchnie.

— I ja myślałem o tem — poparł go drugi burmistrz, Wawrzyniec Zeitz z Chełmna.

— A ja tak myślę — mówił Mikołaj z Wolkowa, sędzia tczewski. Polska wie o tem, że Krzyżacy nie zechcą nam puścić płazem oderwania się od nich, my także wiemy. Więc niechaj nasi wojewodowie zastanowią się nad wszystkiem, niechaj ułożą plany, poślą posłów do Krakowa, cokolwiek zaś nam dla obrony każą czynić, wypełnimy. Wojewodowie doświadczeni są, a przecież pomocników, ilu zechcą, wśród nas znajdą.

To zdanie natychmiast zostało przyjęte, i za chwilę wróciła wesołość, gdy Jan Bayssen buńczucznie odezwał się:

— Znamy już miecz krzyżacki, więc nie boimy się. A z Polską razem nic się nam nie stanie.

I znów panowało wesele, a nad tem wszystkiem górowało uczucie wiary, poczucie szczęścia z odzyzkanej swobody i ta szczera, serdeczna przyjaźń dla nowej ojczyzny.



Kraków w r. 1492.

(Rys. J. Stemler).

Chrzest królewicza.

— Ja ciebie chrzczę, Fryderyku, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — mówił poważnie biskup krakowski Jan, lejąc na głowę szóstego z rzędu syna Kazimierzowego wodę święconą.

Dziecię zaś trzymał drugi dostojnik kościelny, Protazy, biskup ołomuniecki.

Po dokonanym obrzędzie ruszyli wszyscy na zamek krakowski, gdzie ucztę wystawną zastawiono dla dworzan królewskich, którzy wraz z królem niedawno przybyli z Wilna.

Więc zasiedli przy stole licznie i rozmawiali o sprawach, które wówczas zajmowały umysły polskie i posłów czeskich, na dworze bawiących.

Królowa Elżbieta, na chwilę ukazawszy się przy stole, odeszła zaraz do dzieci, zostawiając męża z gośćmi i dworzanami.

— Król mój — mówił Protazy, poseł Macieja Korwina do Kazimierza Jagiellończyka — nie wątpi, że wasza miłość użyczy swej pomocy dla poskromienia nieporządków czeskich. Jak mogą dopuścić katoliccy królowie, aby na tronie czeskim rozpierał się taki odszczepieniec od kościoła św., jak Jerzy z Podjebradu?

— Bardzo pięknie przemawiacie, biskupie — ozwał się Stanisław Ostroróg — ale cóż powiecie na to, że w czasie, gdy wy nas o przyjaźń prosicie, wasi żołnierze naszą ziemię spiską pustoszą? Odpowiedzcie, proszę.

Biskup poczerwieniał i starał się tłumaczyć.

— Eh, to nieporozumienie. Zresztą nic się nie stało, że kilku żołnierzy weszło na wasze terytorjum.

— Ładnie mi — zaśmiał się Jakób z Dębna, warownia nasza, Libnica, prawie doszczętnie zburzona i to się nazywa nic!

— To musicie nam wynagrodzić—ozwał się król.

— Z pewnością zrobimy to — mówił Protazy, kładąc rękę na sercu — tylko wyjaśni się cała sprawa, wszelka szkoda będzie wynagrodzona, a winni zostaną ukarani przykładnie.

Milczenie odpowiedziało na to przyrzeczenie wykrętnego posła wykrętnego króla.

Jan Długosz, który siedział przy stole z tajemniczym uśmiechem na ustach, zwrócił się do króla i po cichu spytał:

— A możeby się o Multany spytać?

— Spytaj się — uśmiechnął się król.

— A to pięknie — zwrócił się do węgierskiego posła Długosz — robić wyprawę na naszego hołdownika, nie porozumiawszy się nawet z nami?

— Na jakiego? — udawał Protazy.

— Na Multany, mości biskupie — obraził się Długosz.

Protazy milczał, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, wreszcie uderzył w czułą strunę:

— Ale wiecie chyba o wyroku papieskim na Jerzego z Podjebradu. Mnie, jako biskupowi, wysłanemu do was w tej sprawie to jedno leży na sercu, aby grzesznik został ukarany i aby taka głowa nie nosiła korony.

— A, zgodzę się zupełnie z wami - mówił Długosz — ale przyznacie, że nie możemy w przyjaźń wchodzić z wami, gdy Maciej nieprzyjacielsko wobec nas występuje.

— Ale tamte rzeczy można załatwić? — spokorniał Protazy.

— Można, tylko trzeba chcieć.

— Moja w tem głowa, aby król zechciał — cieszył się poseł — i zaprawdę zechce.

— Wtedy przyjdźcie do nas, a znajdziecie serca gotowe — zapewnił go Długosz.

— Słyszałem, że Krzyżacy się znów buntują — zmienił temat Mikołaj Skop z Dębowic.

— E nie — uspokoił go Kazimierz — mają dość po toruńskiej łaźni [1]).

— O przez to wzrosła Polska — chwalił Protazy.

— Bogu dzięki — mówił pobłażliwie Długosz — dość była wielka z Litwą razem i Rusią.

A w dalszych komnatach w tym czasie królowa Elżbieta karmiła nowonarodzonego syna, nucąc nad nim pieśń nabożną. Wzrokiem zaś obejmowała pieszczotliwie główki dwojga dzieci, bawiących się u jej kolan prostemi zabawkami z drzewa i szczebiocących wesoło, czteroletniej Zofji i półtoraletniego Zygmunta.

I pogoda była w sercu królowej i radość, że tyle szczęścia znalazła w tych dzieciach swych drogich, nad wszystko kochanych.

— Zosiu, chodź do mnie — zawołała.

Dziewczynka zarzuciła matce ręce na szyję i trwała w długiej pieszczocie.

A potem obie patrzyły na małego, sennego Fryderyka.

---

[1]) Tak nazwano pokój Toruński, zawarty w r. 1466, w którym Krzyżacy zrzekli się całych Prus z Gdańskiem na rzecz Polski. Było to zakończeniem wojny trzynastoletniej.

Kara.

O góry śniegiem pokryte uderzał echem grzmot salw i huk armat.

Zbudziła się cała okolica, wsi pod Żywcem mimo ciemnej nocy zabłysły małemi światełkami, które po dworach na rozkaz panów rozniecono.

A salwy następowały jedna po drugiej, a od czasu do czasu grzmot wystrzału armatniego uderzał w powietrze i straszył i przerażał.

A tam, pod murami Żywca rozkazy wydawał Jakób Dębieński z Dębian, wojewoda sandomierski i starosta krakowski.

— Tylko śmiało—tylko śmiało — mówił do oficerów nielicznej piechoty, którym właśnie rozkazał uderzyć na jedną z bram miejskich.

Poszedł atak.

Z murów silnie, bronionych rzucano belki i kamienie ciężkie, lano smołę i kipiącą wodę.

Lecz rozkaz nie pozwalał się cofnąć, a grzmiące fuzje raziły obrońców, którzy i tak zaczęli wahać się, gdy usłyszeli polską mowę i polską komendę.

Wreszcie wyłamano bramę.

I nie prędzej rozlewa się woda, zerwawszy część grobli, biegnie rączo, pokrywa zagony, topi trawy, o drzewa zaczepia, jak oni wdarli się do miasta, pokryli drogi, otoczyli domy nieliczne, z których sypano ołów z fuzji obrońców.

Za chwilę w jednem, drugiem i trzeciem miejscu języki ognia lizać zaczęły dachy, zsuwać się ku odrzwiom i powoli,

powoli pochłaniać drzewo, aż płomieniem buchnęły jasnym, zwiastując, że już zwyciężyły wilgoć, że one już zapanowały wszechwładnie.

Jasno zrobiło się, jak w dzień.

Przy świetle płonących domów przechodzili żołnierze Dębieńskiego, wkrótce zadudniły podkowy, a po pustych przestrzeniach rozniósł się daleko ich miarowy odgłos.

W ciemnych zaułkach wyłapywano resztę załogi, która nie stawiała już oporu, nie próbowała nawet się bronić, widząc przewagę po stronie wojska królewskiego, widząc płomienie, wznoszące się nad ich miastem.

Na rynku ustawiły się szeregi i na rozkaz starosty krakowskiego zaczęto gotować posiłek dobrze zasłużony.

— Teraz zaś—mówił do Jerzego Kościckiego, który spełniał funkcje porucznika jazdy—do Szaflar pociągniemy, gdzie pewnie będzie pan Komorowski.

— Bogu dzięki, że niedużo ofiar—zdawał się nie zważać na poprzednie słowa Kościcki.

— Bogu dzięki—powtórzył Dębieński.

— Nie wiesz, poruczniku,—zagadnął po chwili milczącego towarzysza—co jeńcy mówią.

— Nie badałem wcale, nie mając rozkazu.

— Przyprowadź mi jakiego znaczniejszego.

— Jest dowódzca.

— A to dobrze, daj go tu!

Za chwilę przyprowadzono człowieka starszego z siwizną na skroniach.

Piękne rysy, staranny ubiór i wyraz oczu, znamionowały człowieka inteligentnego.

— Ty Polak—waszmość Polak? — poprawił się zaraz Dębieński.

— Czechem jestem—brzmiała odpowiedź.

— I przeciw nam się biłeś, waszmość? — zdziwił się.

— Jestem w służbie pana Komorowskiego i dopóki się nie zwolnię, będę bił się z każdym, kto przeciw niemu staje.

— Mniejsza o to—machnął ręką dowódzca. — Nie wiesz, gdzie pan twój się znajduje?

— Nie wiem.

Dębieński spojrzał na niego z pod oka, potem zamyślił się.

— Na honor żołnierski, nie wiesz?— spytał nagle.

Gdy ten milczał, zdecydował się:

— Mam waszmości w ręce, więc wiesz, że mnie nie zdradzisz. A tę wojnę należy skończyć, co i sam uznasz. Powiedz więc, gdzie jest twój pan, gdyż inaczej będę musiał tak go szukać wszędzie, jak tutaj szukałem.

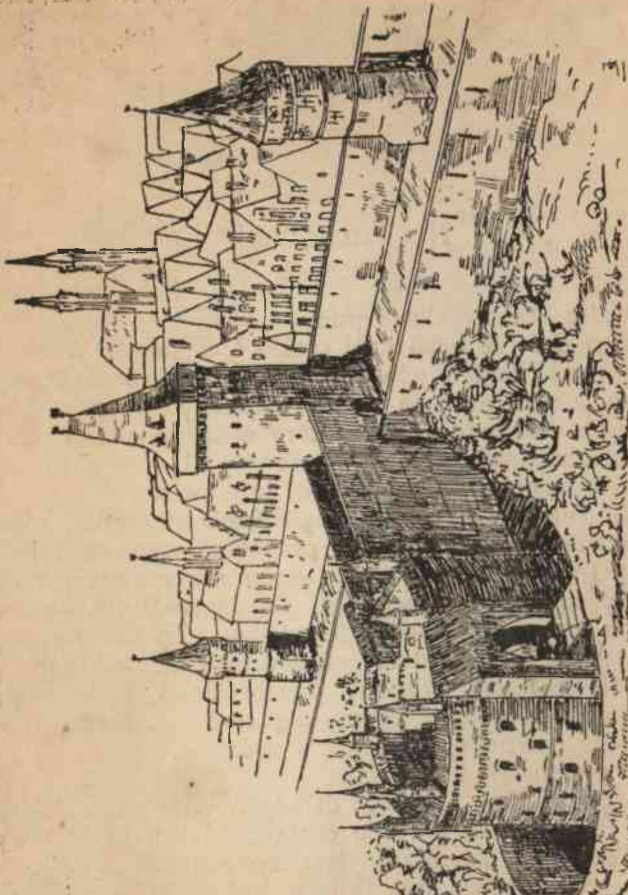
— Za co go prześladujecie?

— Za to, że złożył hołd Maciejowi Korwinowi, królowi węgierskiemu, odrywając przez to lenne księstwo żywieckie od Polski. Mógłbym waszmości na tortury wziąść, ale nie chcę tego uczynić.

— Teraz mogę mówić, bo na torturach jestem, na tej służbie u zdrajcy. Pan mój w Szaflarach, ukarajcie go za zdradę, bo słuszna to kara.

Tak rządził król Kazimierz Jagiellończyk.

A był to rok 1476.



Brama Florjańska.

(Rys. J. Stemler).

Na Turków.

Na zamku krakowskim narady.

Od kilku dni już bawi król czeski i węgierski Władysław, który sławę rodu Jagiellonów poza Karpaty zaniósł, rozszerzywszy jego władzę na całe Węgry i Czechy. Przybył też Fryderyk margrabia brandenburski, który w tej chwili i cesarza Niemiec reprezentował, starego Fryderyka III.

Obrady rozpoczął Jan Olbracht, król polski:

— Gdy Turcy w r. 1453 zdobyli Konstantynopol, zdawało się, że wszystkie państwa Europy, pospieszą wyprzeć z powrotem do Azji tego najeźdźcę, tego wroga wiary naszej świętej. Lecz niestety, stało się przeciwnie. Dzisiaj widzimy, że wróg ten całemu zagraża już chrześcijaństwu. To też na prośby brata mego Władysława, który najbardziej odczuwa tego wroga, jako król węgierski, prosiłem was bracia, i ciebie, margrabio i cesarza niemieckiego, byśmy się nad środkami obrony namyślili i coś pewnego postanowili wreszcie.

Wtedy przemówił Władysław:

— Gotów jestem, jak nasz dziadek, Władysław Warneńczyk złożyć życie swe w obronie chrześcijaństwa i państwa mojego. Jednak wiem, że niczem jest życie jednego człowieka wobec niebezpieczeństwa tylu tysięcy, ba! nawet Europy całej. Dlatego chcę połączyć siły wszystkie, jakie tylko można i dać odpór coraz bardziej naciskającym muzułmanom, którzy coprawda najbardziej zagrażają Polsce i Węgrom, ale niechaj pamiętają wszyscy, że ludzie ci kresu nie znają, że kraj zdobywszy, już o drugim i trzecim myślą. Ja naturalnie, wszelkie

siły moich państw, bo i Czechy ze mną jednego są zdania, oddam wtedy, gdy postanowimy działać.

— W tem zgadzamy się wszyscy — przemówił margrabia brandenburski—że Turcy zagrażają całemu światu chrześcijańskiemu. Lecz nie słyszę projektów, nie słyszę planów, nad którymi moglibyśmy radzić.

— Żebym był hospodarem wołoskim, miałbym sposób — odezwał się młodszy brat Jana Olbrachta, Zygmunt.

— No jaki?—spytał kardynał Fryderyk Jagiellończyk.

— Uderzylibyśmy trzej na Turka, mając pomoc Niemiec i lenników korony polskiej. Wtedy zwyciężylibyśmy na pewne.

— To jest rzeczą niewątpliwą—ozwał się margrabia brandenburski—że pomoc Wołochów bardzo jest dla Turków pożyteczną. Naprawdę—zapalał się do tej myśli,—gdyby tak na dużej przestrzeni zacząć wojnę, to Turcy nie wiedzieliby, gdzie się obrócić.

— A nasza armja mogłaby ich otoczyć, bo byłaby większą—próbował rozumować po wojskowemu kardynał Ferdynand.

— Trzebaby to jakoś zrobić—powtarzał margrabia.

— Dajcie mi wojska, ja sobie zdobędę hospodarstwo — twierdził śmiało Zygmunt. — Hospodar Stefan nie podoła mi, gdy z wojskami dużemi wkroczę.

— A jeżeli jemu przyjdzie na pomoc Turcja? — przeraził się Jan Olbracht.

— Wtedy my przyjdziemy z pomocą—ucieszył się Fryderyk brandenburski.

— A prawda, prawda—spostrzegł się Olbracht.

— Gdy zaś będziemy mieli Wołoszczyznę, wtedy i z Węgier całych wyprzemy Turków, a może nawet zupełnie z Europy—fantazjował dalej margrabia.

— Spodziewam się, że papież nie poskąpi na tę wyprawę grosza i zapewne bullą ogłosi ogólną wyprawę — rozumował kardynał.

— Ty masz tam znaczenie, zrób to—prosił brat.

— Dobrze, zrobię, ale musimy stanowczo coś postanowić gdyż na rzeczy niepewne nikt się nie zgodzi. Szkoda, że niema cesarza—żałował Władysław.

— Ja mam pełnomocnictwa — upomniał się Fryderyk brandenburski—cesarz sam nie mógł przyjechać, na wyprawę też nie pojedzie, bo za stary, ale wojsko z pewnością da i pieniędzy trochę też. Przecie i on jest katolickim władzcą.

— Zawsze jednak szkoda. Potem może powie, że nic nie wiedział o tem—bał się Jan Olbracht.

— Nie można tego przypuszczać, bo rozmawiałem z nim, zanim tutaj przyjechałem.

— I co powiedział o Turkach?

— Twierdzi, że musi się ich wypędzić, gdyż w przeciwnym razie oni nas wkrótce stąd wyprą.

— Tak źle może nie będzie, ale zawsze trzeba pamiętać— mówił Władysław — że już 41 lat, jak zdobyli Konstantynopol. To już rok 1494—gotowi zupełnie wyniszczyć zawojowane ludy, zdobyte kraje.

— Im prędzej ich wyżeniem, tem lepiej—dodał Zygmunt, a jego młode oczy świeciły zapałem.

— Więc jak postanawiamy?—pytał Jan Olbracht, patrząc na margrabiego brandenburskiego, który siedział zamyślony.

— Jak?—zbudził się tamten. Mnie najbardziej podoba się plan wasz, Zygmuncie. Naprzód trzeba zrzucić hospodara Stefana. Potem zaś uderzymy ze wszystkich stron na Turka i z pewnością nie oprze się nam.

— Więc zróbmy tak. Dla brata naszego Zygmunta zdobędziemy hospodarstwo wołoskie—dyktował Jan Olbrach. Gdyby jednak na obronę Wołoszczyzny wyruszyli Turcy, wtedy cesarz da swoją pomoc. Jeżeli następnie postanowimy wyprawę na Turków to tylko wspólnemi siłami, przy pomocy cesarza i stolicy apostolskiej i wszystkich ziem przy Polsce i przy Węgrzech leżących. Dobrze?

Zgodzili się wszyscy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy jednak Jan Olbrach poprowadził wyprawę na Wołoszczyznę, kiedy hospodar otrzymał pomoc od Turków, ani

cesarz niemiecki, ani margrabia brandenburski przyrzeczenia nie spełnili.

I po dzwieięciu latach uciążliwych rządów w Polsce umarł Jan Olbrach w r. 1501 nie pomściwszy nawet swej klęski, nie ukarawszy hospodara wołoskiego, który sprzęgł się z sułtanem tureckim na szkodę świata chrześcijańskiego.

A cesarz i margrabia spokojnie panowali, spokojnie żyli.

Nic nowego — nihil novi.

Licznie ciągnęła szlachta do województwa sieradzkiego do miasta Radomia w r. 1505.

Tutaj miał się odbyć sejm, na którym szlachecki tłum, zebrany w izbie poselskiej, postanowił domagać się wpływu na rządy w państwie przeciw możnowładzcom, zjednoczonym w izbie senatorskiej.

Po połączeniu obu izb, jak zwyczajnie rozpoczęły się burzliwe obrady, w których po raz pierwszy wystąpiła niższa szlachta zwycięsko przeciw możnowładztwu.

Lecz podstawę tej walki upatrywała szlachta nie w dążnościach swoich do władzy, a w chęci zaprowadzenia porządku w Rzeczypospolitej.

— Nie dla naszej sprawy, nie dla prywaty domagamy się zmian—przemawiał Jan Sokołowski—a dla dobra Rzeczypospolitej. W którem bowiem państwie wskażecie waszmoście na taki stan, by urzędnicy nie wiedzieli, co jest ich sprawą. U nas zaś jest tak. Marszałek nadworny prawuje się z marszałkiem koronnym o swoje prawa, kanclerz z podkanclerzym, przez co cierpi Rzeczpospolita.

Dlatego umyśliliśmy w kole rycerskiem prosić wszystkich waszmościow, aby postanowione było tak: niech marszałek nadworny sprawuje tylko te obowiązki, które służba dla osoby królewskiej za sobą pociąga, co zaś dotyczy spraw ogólnych państwa, niechaj pozostawi marszałkowi koronnemu.

Tak samo niechaj kanclerz prowadzi całą kancelarję państwa, pieczętując wszelkiemi pieczęciami, podkanclerzy zaś winien być tylko zastępcą kanclerza i tylko w razie jego nieobecności wolno mu używać wielkiej pieczęci majestatycznej.

Również namnożyło się u nas sekretarzów królewskich i każdy pisarz kancelarji już się sekretarzem tytułuje. Sądzimy tak, że jeden tylko być powinien sekretarz i tak niechaj będzie.

Sprzeciwił się temu senat, ale takie podawał racje, że sam wreszcie musiał się zgodzić na żądania szlachty.

Innego zaś dnia zabrał głos Wojciech Struś i w ten sposób domagał się zmian:

— Nie może jedna osoba, obarczona powinnościami, popowinności swoich spełniać dobrze. Jeśli na człowieka wóz siana wpakujesz, nie utrzyma go. Dlaczego więc Rzeczpospolita ma mnóstwo ciężarów zwalać na jednego. Jest Bogu dzięki dosyć ludzi w naszej Rzeczypospolitej i nie zbraknie ich zapewne, gdy porozdziela się urzędy tak, by na jedną osobę jedno tylko przypadło stanowisko.

Aby zaś to się zawsze działo, naprzód musimy postanowić, że jeśli kanclerz zostanie biskupem, gdy jest osobą duchowną, albo wojewodą lub kasztelanem, gdy jest świecką osobą, wtedy zrzeknie się kanclerstwa.

Boć w tem leży najwyższy interes państwa, aby sprawne miało sługi i zdolne do dobrego obowiązków spełniania.

Potem domagał się Jan Róża, który jakkolwiek brat arcybiskupa lwowskiego, nie popierał żądań możnowładzców:

— Tuszę, że sprawiedliwą będzie rzeczą pomyśleć i zatroskać się o skarb Rzeczypospolitej. Jeżeli popatrzymy na sprawę mennicy i danin, zobaczymy że dochody z nich takie są małe, iż na najskromniejszą część rozchodów państwowych nie starczą. Wobec tego zostają jako główne źródło dochodu dobra królewskie.

— Lecz cóż się dzieje z niemi? Oto królowie nasi w szczodrości swej niepomni na potrzeby państwa rozdają je, czy to dla nagrodzenia bohaterstwa, czy dla zjednania sobie panów senatorów. I często zdarzają się chwile, że niema w skarbie

grosza na opłacenie żołnierza zaciężnego, ba, nawet wojsko na konieczne potrzeby, na spiżę i na proch nie ma, podczas gdy w domach możnowładzców naszych złocone meble, serwisy wspaniałe, dostatek najwyższy.

— Przeto żądać musimy, by król bez zezwolenia sejmu nie mógł ani zastawiać, ani rozdarowywać, ani zapisami obciążać dóbr rządowych. Przyjmijcie to panowie, albowiem dobro pospolite tego od was wymaga.

Po tej mowie ruch wielki zrobił się pośród senatorów, zaraz też wykrzykiwać poczęli i ze sobą porozumiewać się Aleksander Jurjewicz, kasztelan wileński i Spytek z Jarosławia, kasztelan krakowski i Jędrzej Róża, arcybiskup lwowski i Jan Lubrański, biskup poznański i Wojciech Tabor, biskup wileński i Jan Zabrzeziński, wojewoda trocki i Jan Szamotulski, wojewoda poznański i wielu innych.

Z ich więc koła wystąpił Michał Radziwiłł, podstoli litewski.

— Dziwne jest żądanie—mówił on—ichmość panów z koła rycerskiego. I jeszcze dziwniejsze to, że dobrem Rzeczypospolitej się zastawiają. Nie ukrywajcie waszmoście prawdy. Nie w smak wam to, że inni dobra mają, a wy mniejsze, nie w smak wam to, że przy nas większa władza, niż przy was. Rozumiemy to dobrze, że wniosek, który czynicie, jeno przeciw senatorom wymierzony, że to przejaw tej wojny, jaką nam zapowiadacie.

— Jednak spytam ja was: czy zbożną jest rzeczą w walce przeciw nam do tego dochodzić, aby króla jegomości zupełnie krępować, aby się wdzierać do jego nawet prywatnych spraw? Przecież dobra stołowe, jakkolwiek stanowią dobra Rzeczypospolitej, jednak w prywatne rozporządzenie króla są oddane.

— I czemże zostanie wreszcie król, gdy jeszcze prywatnemi sprawami swemi wedle woli zarządzać nie będzie mu wolno?

— Zawróćcie więc waszmoście z tej drogi, bo nie dobro, a szkodę ojczyźnie robicie.

W czasie przemówienia, a szczególnie po jego skończe-

niu rozległy się śmiechy, które długo trwały mimo napomnień marszałka.

Wreszcie uciszyło się, zabrał głos Stefan Modrzewski, który wielkie miał zachowanie u szlachty i gdyby nie jego młody wiek, byłby z pewnością wybrany na marszałka koła rycerskiego.

— Zaprawdę—mówił on dźwięcznym głosem—nie wiem, czemu bardziej się dziwować, przewrotności, czy śmiałości radziwiłłowskiej. Wszak tuż obok niego stoją wojewodowie ruski Tarnowski i poznański Szamotulski, stoją też arcybiskup lwowski i biskup poznański, którzy mogli mości podstolemu litewskiemu przypomnieć przysięgę mielnicką. Toż wy, wy senatorowie przed czterema laty, coście zrobili z władzą królewską?! Czem był wasz akt w Mielniku w roku 1501? Toż wyście tam sprowadzili stanowisko króla do przewodniczenia w senacie i okrom tego odebraliście królowi wszelkie prerogatywy, nawet w mennicy kazaliście mu trzymać dwóch płatnych senatorów! I wy mówicie, że my, szlachta, chcemy og aniczyć go? Mybyśmy dali mu władzę rozległą, by was ukrócił, by Rzeczpospolitą podniósł. Ale przy waszym oporze trudno, nawet niemożliwą jest rzeczą cokolwiek dla tej sprawy uczynić.

— Zaprawdę ichmoście senatorowie zapomnieli się, mówiąc, że to my króla jegomości pragniemy ograniczyć w prawach.

— Co się zaś tyczy dóbr stołowych, to nasze ograniczenie dla was będzie ciężkiem, nie dla króla. Gdy go bowiem molestować będziecie o zapis, czy zastaw dóbr, co dla prywaty wciąż czynicie, on wam odpowie: nie mogę, bo mnie ustawa sejmowa wiąże. I będzie przez to król miał odpowiednie dochody i państwu całemu będzie z tem lżej i przystojniej.

— Dlatego wolno nam mówić, że dla dobra państwa tego chcemy, bo tak jest zaprawdę.

Mowa ta wielkie zrobiła wrażenie, zawstydziła nawet senatorów i odtąd gładziej już poszły obrady.

Ale w ostatni dzień, gdy znów przemawiał Modrzewski, przyszło do wielkiej burzy.

— Minęły już czasy—mówił — gdy szlachta niższa, jeno o domu myślała, gdy wskutek braku nauki i erudycji ledwo

podpisać się umiała, gdy jeno wtedy zajmowała się sprawami publicznemi, gdy wici [1]) szły na potrzebę wzywające. Nawet gdy posła na sejm wysyłano, to z początku robiono, jak kazali panowie z senatu. Dziś jednak inne są już czasy. I myśmy już zapragnęli nad dobrem Rzeczypospolitej własnemi radzić głowami.

— Wierzymy, że wyjdzie to na pożytek Rzeczypospolitej, gdy nie tylko waszmoście z senatu, ale i my, szlachta zwyczajna, mieć będziemy głos przy stanowieniu porządków państwowych. Przypomnijcie sobie waszmoście ów akt, który zawieźliście nowowybranemu królowi Aleksandrowi do Mielnika w r. 1501, a który król przyjął, aby koronę otrzymać, przekonacie się wtedy, iż trzeba było także głowy szlacheckie zapytać o zdanie w tych sprawach, a nie byłoby takiego zła.

— Domagamy się więc, by do konstytucji polskiej wstawiono ustęp, że na przyszłość nie może być nic nowego uchwalonem bez wspolnego przyzwolenia króla, senatorów i posłów ziemskich.

Długo i burzliwie radzono nad tem.

Senatorowie starali się wszelkiemi siłami nakłonić szlachtę, by odstąpiła od tego żądania, ale kiedy król Aleksander poparł koło rycerskie, była kwestja dla senatu przegrana.

Wówczas to wystąpił biskup wileński Wojciech Tabor, a mówił tak gwałtownie i tak obraźliwie pod adresem króla, że ten nagle, pośród posiedzenia dostał ataku apoplektycznego.

Przerwano obrady, które dopiero za dwa dni wznowiono, gdy król nieco przyszedł do siebie.

Ale nie było już wielu przemówień.

Wpisano więc po sejmie radomskim nową ustawę do ksiąg sejmowych, ustawę „nihil novi“—nic nowego.

---

[1]) Wici, był to kij zakończony słomianą miotłą, który podawano sobie z dworu do dworu na znak, że król wzywa do pospolitego ruszenia. Czasem wiciami były ognie płonące na pagórkach, co również wzywało na koń.

I odtąd coraz większy wpływ na bieg spraw państwowych zdobywała warstwa szlachecka, usuwając od urzędów bardzo powoli, co prawda, ale stale, możnowładzców.

Król zaś Aleksander, któremu danem było jeszcze rok tylko panować, cieszył sie, że zdobył sprzymierzeńców w walce z senatorami, z panami polskimi.

Nowego spodziewał się słońca, nowych, jasnych dni dla Polski.

Krzyżak u stóp króla.

— Nie przyznam nigdy — mówił Piotr Tomicki, podkanclerzy koronny — że wasz zjazd we Wiedniu w r. 1515 był dobrym. I dlatego też dziwię się, że dzisiaj, w 10 lat po tamtym, nowy i tak ważny zarządzacie u siebie.

— Dlaczego dziwisz się biskupie? — pytał Zygmunt, Starym zwany, dla poważnego wyrazu twarzy, który nadawał mu pozory starości.

— Bo to żaden interes dla Polski zawierać taki układ: że gdy wygaśnie jedna gałęź Jagiellonów, to Czechy i Węgry, gdzie ta gałęź panuje przejdą na Habsburgów.

— A cóż było zrobić? — zapytał poważnie wojewoda Gasztołd.

— Przecie położenie nie było takie ciężkie.

— Zdaje się wam, biskupie — bronił króla Gusztołd. Zakon krzyżacki prowadził wtedy układy z wielkim księciem moskiewskim, miał za sobą zupełnie cesarza, wspierał go elektor brandenburski. I po cichu namawiali się, jak to podzielą się oni zdobyczą, z kilku stron na Polskę napadłszy. Rozumiecie teraz?

— Rozumiem, że było ciężko. Ale można było inaczej rozbić to przymierze, którego jeszcze nie zawarli ze sobą.

— Jak? — spytał król.

— A dodajcie do tego, że Turcja gotowała się też z ich namowy do napadu — wtrącił uwagę siwy, jak gołąb Łukasz Górka.

— Prawda, prawda—przypomniał sobie król.

— Otóż właśnie—można było z Moskwą zawrzeć przymierze na wojnę z Turkami.

— A tymczasem byliby nam spadli na kark Niemcy i Krzyżacy z Brandenburgją.

— Zresztą mniejsza o to—podniósł głowę król — a dlaczego nie podoba się wam nowy układ z Krzyżakami?

— Nie podoba mi się on, mówił Tomicki—przedewszystkiem, jako biskupowi katolickiemu. Nie jest to rzeczą piękną, by monarcha katolicki godził się na odstępstwo od wiary zależnego od siebie człowieka. Jest to tem gorsze, że wielki mistrz krzyżacki jest krewnym Waszej Królewskiej Mości.

— Mój biskupie kochany — zastąpił króla Górka — gdy Albrecht sam zaproponował to, że przejdzie do stronników odszczepieńca Lutra, to uczyni z pewnością i bez zezwolenia króla naszego. Zresztą co kościołowi po takim wyznawcy, któremu podobne myśli się rodzą?

— To prawda – zgodził się Tomicki — ale król nie powinien zgodzić się na to. Pamiętacie, że król Władysław Jagiełło nie przyjął korony czeskiej dlatego tylko, iż Czesi byli kacerzami.

— I źle zrobił — ośmielił się Hieronim Łaski, bratanek arcybiskupa.

— Za młodyś waszmość na tę krytykę—zgromił go niesłusznie Tomicki.

— A dalej, dlaczego się wam nie podoba?

— Dlatego również, że dzisiaj, gdy Zakon jest słaby, gdy Niemcy, jego główny opiekun, są rozprzężone przez walkę zewnętrzną, a wielki mistrz stracił poparcie przez swoje zdania o religji, należałoby raczej zagarnąć całe Prusy i wszystkie kraje Zakonu, a nie pozwolić mu na zawiązanie nowego księstwa.

— Zdaje się, że biskup boi się Krzyżaków—odezwał się uszczypliwie Hieronim Łaski.

— A pewnie, że boję się ich dla Polski—powstał Tomicki z krzesła. Tyle razy pokonywaliśmy ich, pod Grunwaldem, zdawało się są w proch starci, pokój toruński z r. 1466 był zupełnem naszem zwycięstwem, a przecież oni ciągle na nas

napadali i stali się podobni do Tatarów i Turków, którzy nam spokoju nie dają.

— Wy, biskupie—odezwał się Zygmunt Stary — dziwnie o tem wszystkiem sądzicie. Boicie się niby Krzyżaków, a nie cieszycie się wcale, że już ich nie będzie. Toż właśnie należy radować się, że w ten sposób przestanie istnieć ten gad, który nas tyle wieków prześladuje.

— Wierzcie—mówił po chwili dalej—dużo ja myślę nad tem, jak potężnem uczynić państwo. Kiedy w r. 1506 obejmowałem koronę polską bardzo żywo stało mi w myśli to, co za swój poczytuję obowiązek: obronić państwo i uwolnić je od tylu wojen. Kiedy wstępowałem na tron, grały mi dzwony zwycięskie z pod Klecka, gdzie Tatarów rozbiliśmy, ale również dochodziły mnie jęki uprowadzonego jassyru, spalonych wsi i miast. I tam od wschodniej ściany największe i ciągłe nasze niebezpieczeństwo. Od zachodu zaś grozi ciągle Krzyżak. Więc trzeba chyba jednego się pozbyć.

— Skoro obu nie można—dorzucił Górka.

— A może podkanclerzy obu się pozbyć potrafi — ironizował Górka, zwracając się do Tomickiego.

— Nie przyganiajcie biskupowi—ujął się arcybiskup Łaski za zaczepionym—każdy kocha Polskę, jak umie i wedle rozumu swego radby jej pomóc.

— Pewnie, pewnie—poparł go Górka. Ale dlatego jest nas garść duża, którzy o tem bezpieczeństwie radzimy i nie trzeba tak wszystkiego odrzucać. Rozumiemy, że nie jest to najlepiej pozwalać Krzyżakom róść w siły, ale też będziemy się strzegli i chyba ustrzeżemy Rzeczpospolitą przed nieszczęściami.

— — — — — — — — — — — — — — —

10 kwietnia na rynku krakowskim, między kościołem św. Wojciecha, a Sukiennicami, ustawiono wspaniały tron na kilku stopniach, obitych szkarłatem.

Ne tronie zasiadł król Zygmunt Stary, trzymając na kolanach św. Ewangielję, przybrany w bogaty strój królewski,

lśniący złotem ciężkiem na kapie, która z ramion spływała, błyszczący mnóstwem kamieni drogich, które osadzone i ponaszywane na dalmatykę królewską, wyglądały nieśmiało, a zarazem wspaniale z pod kapy.

Oblicze królewskie jaśniało weselem i dumą.

Bo oto przed jego królewskim majestatem kornie pochylił się Albrecht, były Wielki Mistrz zakonu krzyżackiego, od dziś zaś książę pruski i lennik Polski. Lewą ręką przytrzymywał drzewce chorągwi, której dotykali się dwaj jego bracia Jerzy i Kazimierz.

Z dziecięcem zaciekawieniem patrzył na ten obraz młodziutki Zygmunt August, strojny w purpurową aksamitną sukienkę, w czapeczce wysadzanej drogimi kamieniami, trzymając w ręce długi złoty łańcuch, który król za chwilę na szyi Albrechta miał powiesić, na znak, iż sługą jego będzie książę pruski.

A na to poniżenie butnego Krzyżaka patrzyły dwa tysiące odświętnie zbrojnego rycerstwa, patrzyło dziewięciu biskupów polskich, patrzyły oczy tłumów niezliczonych krakowskich mieszczan, którzy krużganki Sukiennic i okna kamienic wszystkich oblęgli, dziwiły się poselstwa Torunia i Elbląga, bolało nad tym widokiem siedmiu najprzedniejszych rycerzów zakonnych z biskupem Pomezańskim, Erhardem, na czele.

Cisza panowała, gdy biskup Erhard przykląkł przed królem.

— Prosimy cię — mówił zwolna, blady ze wzruszenia — Zygmuncie, królu polski, wielki książę litewski, książę ruski, pruski i pomorski i t. d. i t. d., prosimy cię, racz dać słudze twemu Albrechtowi ziemię pruską w lenno.

Król skinął ręką na biskupa krakowskiego, który też zaraz odpowiedział:

— Pan mój, Zygmunt, król polski, wielki książę litewski, książę ruski, pruski i t. d., w miłosierdzu swojem nieskończonem, raczył przychylić się do prośby waszej i ziemię pruską odpuścić krewnemu swemu i słudze Albrechtowi w dziedziczne lenno.

Zawarczały bębny, ozwały się trąby, zachybotała, chyląc się chorągiew pruska.

I cisza stała się wielka i wszystko zda się oddech wstrzymało. Nawet gołębie, które przed chwilą swobodnie i wesoło fruwały, przysiadły na gzymsach okienic i one też oczy ciekawe zwróciły na obraz ten wielki, na obraz jedyny w dziejach naszych i dziejach Zakonu pruskiego i historji pruskiej.

A tam, niżej, na stopnie przed króla wstąpiwszy, ukląkł na jedno kolano Albrecht, dłoń w górę podniósł i na Ewangelji św. położył i głosem cichym, a przecież daleko słyszanym, na cały świat słyszanym, mówił:

— Ja, Albrecht, z łaski króla polskiego, Zygmunta, książę pruski, ślubuję Zygmuntowi, królowi i jego następcom i koronie polskiej, że wiecznie służyć jej będę mocną i nienaruszoną wiarą, że w razie potrzeby wojska swoje na pomoc i usługi koronie polskiej przyślę, że służbą wierną i dobrą, zachowywaniem praw, odtąd mnie obowiązujących, odsłużę koronie polskiej wdzięczność, jaką jej jestem winien. Czego, gdybym nie spełnił, niechaj mnie ściga wyrok królewski i boski. Tak mi dopomóż Boże w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci. Amen.

I klęczał chwilę, a nad nim powiewała chorągiew z białego adamaszku, z orłem czarnym ze złotymi szponami i złotą koroną na szyi, ze skrzydłami bramowanemi złotem, na piersiach zaś jego srebrzyła się litera S —początkowa litera imienia tego, który lenno Albrechtowi nadawał.

Lud zaś wszystek dech zaparł w piersi, słuchając owych słów pokornych wroga, który przez wieki długie ogniem i żelazem niszczył ziemie polskie, który kulami przeorywał niwy, jako wróg wpław przepływał graniczne rzeki polskie i po lasach zapadał, aby z nich napady czynić i zniszczenie nieść w ziemie Polski.

I oto dzisiaj, złamany leży butny Krzyżak, a król polski nogą dotknąć może jego czoła, a król polski siedzi przed nim, pokornej przysięgi słuchając, a lud polski słucha w milczeniu i z dumą w piersi przysięgi na wieczną służbę Polsce, na wierną służbę Polsce.

Aż słońce radością przejęte, promienie swe słało, chcąc ciepłem dawne rany zabliźnić, dawne boje przekreślić.

Lecz wiatr lekki chłód niósł ze sobą i szept tajemny:

- Dziwne są losów koleje, dziwne życie narodów.

Olchy Herburtowe.

W tej części Polski, która Grodami Czerwieńskimi się nazywa, jest góra wyniosła, na której szczycie sterczą zwaliska wysokich jeszcze dzisiaj murów. Dawne są ich dzieje, bo prawie XIV wieku sięgają, a koniec zamku naprawdę żałosny.

Niedaleko tej góry leży miasteczko Dobromil na zachód, a na wschód miasto Felsztyn. Oba te miasteczka należały do możnej niegdyś rodziny Herburtów, która do możniejszych należała, a nieraz podupadała, szczególnie po każdym najeździe tatarskim.

Najazdy te z reguły szły przez Ukrainę, Podole, Małopolskę z Grodaml Czerwieńskimi, a nieraz do Śląska dochodziły.

Otóż zdarzyło się w wieku XVI, że straż nad zamkiem sprawował sługa, stary już, ale zawsze żwawy i czujny, wierny Herburtom i królowi Zygmuntowi Staremu.

Nie szczęścił mu Bóg, gdyż żony dwie stracił, a Tatarzy dzieci mu zabrali, więc marząc o tem, że może Bóg pozwoli jego dzieciom dobrą znaleść opiekę, sam sierotę przyjął na wychowanie i uważał ją za za własną córkę. I na piękną wyrosła dziewczynę Halszka, lecz widząc, jak wokoło niej wszystkie dziewczęta matki mają, z któremi popieścić się mogą czasami, smutną była i najczęściej szukała samotności w borze głębokim, który na stokach góry się rozrósł, przeciągając się na wszystkie strony, aż hen na drugą górę ku północy i na inną ku południowi i dalej szedł, że nie widać było jego krańców.

Tutaj więc chroniła się biedna Halszka, a ten ból za straconymi rodzicami niemal serce w niej zabił tak, że nie wiedziała co radość, co zabawa, a wiecznie snuła się po kniei, to między ludźmi, zadowolona chyba wtedy, gdy usnęła, oparłszy głowę o pień stuletniego dębu, otoczona kobiercem ziół leśnych i wysokich traw.

— Nie zapamiętuj się, Halszko, w boleści, bo rozum stracić możesz, albo co gorsze czarta w siebie weźmiesz i zło ludziom będziesz przynosiła.

A ona milcząc całowała rękę starego wojownika i wymykała się z domu, by uniknąć dalszej rozmowy.

A nieraz rycerz dorodny, stanąwszy przy niej pytał z współczuciem głębokiem, patrząc w jej czarne oczy:

— Czemu waćpanna zawsze tak markotna?

— Bo tu dobra nijakiego niema dla mnie i nie będzie.

I odchodziła dalej.

A nieraz ksiądz staruszek, zbliżywszy się do niej, ujmował ją za rękę i napominał łagodnie:

— Bóg gniewać się będzie na ciebie, Halszko, gdy nigdy twarzy uśmiechem nie okrasisz, ani do nikogo się nie odniesiesz przyjaźnie. Nie jest zadaniem człowieka wciąż łzy lać i płakać, a pociechą winien być bliźnim. Bogu swój ból ofiaruj i żyj, jako ludziom przystało.

Lecz i to nie skutkowało, i wtedy Halszka uciekała w bór, nie słuchając żadnych napomień i żadnych wskazówek, ani ojca nawet, ani księdza.

Roku jednego groźne poczęły chodzić słuchy, iż moc ogromna Tatarów ciągnie na Polskę, niszcząc wszystko, mordując starców, a resztę ludności w jasyr okropny zabierając. I wszędzie za nimi zgliszcza tylko zostawały i trupy i jęk i płacz, tych, którzy ujść zdołali.

Więc i Herburtów zamek gotować się począł na przyjęcie nieproszonych gości.

I rzeczywiście wkrótce nadeszło potwierdzenie strasznej wieści, a niedługo przeciągać poczęły tłumy ludzi, którzy przed nawałą uciekali w pewniejsze miejsca, tam schronienia szukając i opieki.

Na zamek nie przyjmowano początkowo, lecz odsyłano zbiegów dalej, w głąb kraju. Dopiero w ostatnie dni, gdy już

łuny pożarów od południa i wschodu świeciły, dopiero w obliczu wroga, niemal w jego oczach uchyliły się bramy baszty narożnej, aby schronienie dać uciekającym i w bezpieczne przyjąć ich mury.

A stary wojownik, opatrzywszy dobrze mury, zatoczywszy na nie kusze i dwie małe armatki, które chlubą były zamku, jako rzadkie w tych czasach i prawie nieużywane, obchodził spokojnie straże, oglądając, czy gdzie naprawy nie potrzeba, lub zwiększenia liczby obrońców.

Praca wrzała za murami.

Robiono na zapas prochu moc, lano kule ołowiane, ostrzono strzały, które z łuku wysłać mieli celnie strzelający łucznicy. Zwożono też zapasy żywności, której niemało trzeba było, gdyby Tatarzy wbrew zwyczajowi swemu oblęgać chcieli zamczysko. W tych pracach pomagała nieco Halszka, lecz jak zawsze do nikogo się nie uśmiechała, z nikim nie gawędziła, jakby jej mowę odjęło. Gdy zaś skończyła pracę, wychodziła w bór głęboki i tam wśród drzew wyniosłych błądziła, wśród wiotkich macierzanek i paproci tajemniczych.

Kiedy tak jednego wieczoru idzie pochylona, trzymając w ręce samotna konwalję, wtem postacie przed nią zamajaczyły z daleka, widocznie przy świetle bladego księżyca i kłusem ku niej biec poczęły.

A ona poznała natychmiast Tatarów i wspomnieniem strasznem tknięta zmartwiała nieomal, nie mogąc ani kroku zrobić, niezdolna myśleć nawet o ucieczce.

Do niej zaś szybko zbliżają się dwaj Tatarzy i równocześnie prawie wyrzucili sznury długie, arkanami zwane, by schwytać biedną Halszkę.

Lecz gałęzie drzew zatrzymały powrozy, jakby bronić chciały tej, która im przez lat tyle i tyle wieczorów ból swój serdeczny opowiadała, w nich jeno szukając pocieszenia i w nich tylko przyjaciół i powierników swoich smętnych myśli.

Ale napróżno broniły jej drzewa. Halszka nie cofnęła się, ale nagle, jedną myślą przejęta, rzuciła się ku Tatarom, wołając strasznym, serce rozdzierającym głosem:

— Oddajcie mi matkę!

A widać tak potężnym był jej głos, tyle władnego tragizmu w nim było, iż dzicy Tatarzy, trochę jeno mowę naszą

rozumiejący, zapomnieli o swem zadaniu, nie myśieli o tem, by piękną brankę do obozu przyprowadzic, a zdziwieni pytać poczęli, czego chce.

Halszka zaś, prawie nieprzytomna, wciąż swoje powtarzała, wciąż tylko mówiła:

— Matkę moją mi oddajcie.

Wtedy zaś szatan z pomocą przyszedł Tatarom.

I stanął układ, którego ohydy nie rozumiała Halszka, i postanowiono zbrodnię, która z pokoleń hańbą idzie w pokolenia, której ani morze łez, ani tysiące uczynków dobrych nie zmyją, zmyć nie potrafią.

Aż księżyc za chmury skrył się czarne, aż bór stary zatrząsł się oburzeniem, i zajęczały trawy leciuchne, i załkała jodła i łez grad posypał się z wiotkich, młodych dębczaków. Stare zaś dęby i jesiony, i buki, pogwarem strasznym przemawiać zaczęły, nachylać swe konary aż w dół hen, jakby Halszce w uszko krzyknąć miały ostrzeżenie lub gniewu wyraz srogi. A olcha żałosna trząść się poczęła z żalu, z rozpaczy ogromnej i tak cały bór łkał nad strasznym postępkiem tej, której dotąd schronienia użyczał i jedynych chwil spokojnych.

I dotrzymała Halszka przyrzeczenia.

Za obietnicę oddania jej matki, wpuściła nocą ciemną szeregi tatarskie do zamku, wydała dzikim najeźdźcom mury wszystkie i obrońców nieustraszonych i tych ludzi dziesiątki, którzy ufni w warowny zamek tutaj schronili się przed śmiercią niechybną, lub straszliwą niewolą.

Kiedy zaś kończył się już bój, gdy tylko gromadka ze wszech stron otoczona broniła się ostatkiem wyczerpanych sił, w tej chwili, jakby za boskiem zrządzeniem nadeszła w tą stronę Halszka, jak wówczas w borze nieprzytomna i nagle padł jej wzrok na przybranego ojca. Siwe jego włosy zlepiły się w krwawo-biały, jakby wieniec, cierniami sterczący, po twarzy zwiędłej spływała krew zmieszana z potem, a w ciele to tu, to tam sterczały tatarskie pociski, jadem zaprawione.

I wtedy nagle wzbudziło się sumienie w Halszce i nie zważając na lecące strzały, nie widząc prawie błyszczących oczu tatarskich, poskoczyła ku starcowi z okrzykiem:

— Ojcze, przebacz.

Rozstąpił się nieliczny szereg i pustka powstała wokoło, on zaś, wódz, na placówce ginący, ostatnim wysiłkiem wykrztusił:

— Przeklętaś.

W tej chwili zaś strzała z daleka przeszyła serce Halszki i zabarwiła jej suknie i murawę wokoło czerwoną, jak szkarłat, wstęgą.

I tę jedną tylko miała Halszka ranę i jedną tylko miała winę, iż serce jej ból tylko znało i tylko bólem żyło.

Daleko pociągnęli Tatarzy spustoszywszy zamek i zostawiwszy z niego tylko mury wysokie, na które piąć się było niebezpiecznie. Poszli dalej siać zniszczenie, lać krew niewinną i łamać młode dusze.

Tutaj zaś, na zamku Herburtów, między Felsztynem, a Dobromilem, na górze wyniosłej, obrońcy leżeli wśród trupów pobitej czerni, a nikt z nich nie pozostał, wszyscy, jak jeden mąż padli tak, że nie było komu ich pogrzebać.

Aż lud po dniach kilku z lasów wychylać się począł i zbolały utratą chat swych i dobytku, rozżalony z powodu zdobycia tej ich twierdzy, która dotąd każdemu oparła się najazdowi, skupił się wokół leżących szkieletów, które wrony z ciał obrały, albo wokół nawpół zgniłych trupów, które wśród zwalisk leżąc robactwu za pokarm służyły, spełniał tę smutną rolę.

A przewodził wszystkim pustelnik siwy, który swoją samotnię porzucił, by miłosierny uczynek spełnić.

Kiedy zaś przyszedł do owego miejsca, gdzie dwa leżały trupy, jak z ubrania poznali, Halszki i wodza starego, złożył ręce pustelnik i tak mówił do siebie, czy do otaczającego go ludu.

— Nie umiałeś ty, wodzu stary, dziewczęcia wychować, ani serca mu dać niewieściego, pełnego cnót i zalet, które od kołyski człowiekowi wpajać potrzeba, ty zaś córko ni żyć, ni nawet trumny opłakiwanej, bo szlachetnej zgotować sobie nie umiałaś. Niechaj wam Bóg wszechmocny przebaczy winy wasze i niech was przywróci do szczęścia, gdy znajdzie się taki, który z waszego posiewu przecie dobre ziarno dobędzie i dobre spełni uczynki.

Kiedy zaś nad grobem obojga wyrosły dwie olchy kruche, wtedy wieść rozeszła się wśród ludu, iż wedle boskiego rozkazu wtedy tylko czyściec opuszczą owe dwie dusze, gdy ktoś z olch tych trumnę i kołyskę zrobić zechce i zdoła.

I dotąd wśród opuszczonych murów, wśród rozpadlin i szczelin, wśród ruin, które się więcej z upadku nie podniosły, dotąd na środku niemal dziedzińca rosną dwie olchy samotne, czekając napróżno, kto spełni rozkaz pustelnika, kto ulituje się nad temi duszami.

I dotąd opowiada sobie lud tamtejszy, jak straszną zsyła Bóg karę za zapamiętały ból, w którym zapomina się o najświętszych obowiązkach i najświętszego zadania spełnieniu.

A olchy stoją i szumią żałośnie. I odnawiają się ciągle, jakby w ten sposób prośbę swą powtarzały, poszumem głośną: Weźcie nas, weźcie nas.

I sterczą wśród gołych murów, zwracając na siebie uwagę, na naukę i odstraszający przykład pokoleń przyszłych.

Gdy zaś w cichy dzień szumieć poczynają, tak jakoś inaczej od innych drzew, takim nieśmiałym zalęknionym tonem, wtedy lud mówi:

— To Halszka płacze—albo

— To Halszka się modli.

Tak mówiono, gdy zamknął oczy król Zygmunt Stary w r. 1548, taksamo szła owa wieść, gdy rozstał się z tym światem ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August w tysiącznym pięćsetnym siedmdziesiątym drugim roku i potem, gdy Polska słabła wśród walk przy wyborze króla.

Tak mówią i dzisiaj, tak gwarzą wszyscy.

A kara trwa i trwa wciąż, choć wieki już minęły, choć lata długie przeszły.

Inflanty.

Radość panowała na zamku królewskim w Wilnie. Cieszyli się senatorowie, cieszył się Zygmunt August, cieszyli się posłowie inflanccy, a szczególnie mistrz Zakonu Gotard Kettler.

Przed chwilą wrócili wszyscy z wielkiej uroczystości, gdzie odczytano akt poddania się Inflant pod władzę korony polskiej.

Obie strony były zadowolone.

Polska rozrastała się olbrzymio, odnosiła w ten sposób zwycięstwo bez krwi rozlewu nad Danją, Szwecją i W. księstwem Moskiewskiem.

Gotard Kettler zaś uzyskał nadspodziewanie łatwo najlepsze warunki:

Król polski przyrzekł, że nie będzie czynił żadnej zmiany w wyznaniu augsbu skiem, które rozszerzyło się nadzwyczaj w Inflantach, odrywając tę prowincję od Rzymu na korzyść wyznawców Lutra.

Zgodził się także zostawić urzędników niemieckich i niemiecki język.

Za rzecz naturalną uznał Zygmunt August zachowanie wszelkich przywilejów szlachty inflanckiej, co ważniejsze, zamienił jej wszelkie dobra, które posiadała, jako lenno, na dziedziczną własność.

— Najbardziej zaś cieszy mnie — spowiadał się Kettler hetmanowi Mikołajowi Rudemu, z którym jechał na zamek — że król pozwolił mi zrzucić suknię zakonną, a Kurlandję i Estonję zostawił mi jako księstwo lenne.

— A nie smuci was odjęcie Rygi?—spytał Radziwiłł.

— A cóż to?—uśmiechnął się Kettler.—Będzie nią rządził przez senat wybrany burgrabia, który chyba przeciw mnie poczynać nie będzie.

— No, to z pewnością, ale zawsze władza wasza się ukróca.

— Ej, moja władza rośnie, gdy pod opieką króla jegomości zostawać będę.

Zadudniły koła na moście, do zamku wiodącym.

Za chwilę stanęła karoca przed bramą zamkową, która ich zaraz w gościnne progi królewskie wpuściła.

Skoro tylko ukazali się na sali, gdzie król z biskupami i senatorami rozprawiał o wypadkach dnia, przywitały ich przyjazne spojrzenia i okrzyki radości.

— Dobrze, żeś przyszedł już—witał król Mikołaja Radziwiłła, który jako brat nieboszczki królowej Barbary, więc szwagier królewski, w wielkiej zostawał zażyłości z królem.—Mam ja dla ciebie pracę.

— Pewnie znowu na moskiewskie wojsko.

— Tam już Chodkiewicz nad niem pracuje, a jako wiesz jest zawzięty w tych sprawach, więc tobie niewiele zostanie — śmiał się król.

— No, tak nie jest—protestował Radziwiłł—ale powiedzcie, jaka to ekspedycja.

— Chodzi jeno o to, byś naszą osobę reprezentował w Rydze, gdzie stany złożyć nam muszą przysięgę wierności— mówił z pewną dumą Zygmunt August.

— Wasza wola, królu—zgodził się hetman.

Więc też w kilka dni po uroczystościach wileńskich ruszył Mikołaj Radziwiłł, którego dla barwy zarostu zwano Rudym, w daleką drogę.

Nie tylko jako hetman, ale też dla wsparcia Chodkiewicza, któremu trudno być musiało w walce z Danją, Szwecją i Moskwą, wziął z sobą wojska trochę i tak w licznym orszaku, mając przy sobie nowego lennika polskiego, Kettlera, ciągnął do Inflant, obecnie już prowincji polskiej.

I znów powtórzyła się scena wileńska.

Jeno tutaj więcej było radości, więcej okrzyków i wiwatów.

Stany inflackie odetchnęły spokojnie, bo chociaż tuż pod bokiem był Iwan Groźny z całą swą potęgą, przecież teraz, gdy Polska brała tę krainę pod swoje przemożne skrzydła opiekuńcze, nie było już wątpliwości, że skończy się okres nieustannych walk i ciągłych niepokojów.

Jej bogaci mieszczanie, którzy w czasie wojen musieli zaprzestawać rozległego handlu i przez to ponosili duże straty, teraz kołysali się nadzieją, że znowu pokój nastanie, że znowu rość będą ich fortuny i bogactwo nadmorskiego miasta.

Gotowali już okręty, by całą flotę handlową po towary wysłać, które potem z dużym zyskiem oddadzą kupcom moskiewskim, połockim, nowogrodzkim.

Radością też jaśniało oblicze Kettlera, gdy złożył do rąk Mikołaja Radziwiłła swój habit krzyżacki, biały płaszcz i togę, gdy oddał mu godła swej władzy wielkiego mistrza, wielką pieczęć i złoty krzyż.

Cieszył się wraz z ludnością miasta, gdy klucze Rygi złożono do rąk hetmana polskiego.

Następnie zaś Radziwiłł z powagą prawdziwego króla ogłosił Kettlera w zastępstwie Zygmunta Augusta księciem Kurlandji i Semigalji i odebrał od nowego księcia przysięgę wierności.

I przystępowali do niego baronowie inflanccy i szlachta niższa, a każdy z radością przysięgał, jako odtąd wiernie będzie służył królowi Zygmuntowi Augustowi i jego następcom.

Serce zaś hetmana wypełniało się dumą, gdy widział tyle tysięcy dorodnego ludu, gdy widział te bogactwa ogromne, które odtąd państwu polskiemu podlegać miały i podnosić blask jego korony.

I może mniej wówczas myślał, że to właśnie jemu ten hołd składają, że to on królewską osobę w tej chwili przedstawia.

Bo szczęście i radość były w jego sercu.

I chociaż mróz siarczysty panował na dworze, jak zwykle w luty czas, chociaż śnieg dużymi płatami spadał na ziemię, w biel ją oblekając, jak pannę młodą do ślubu, przecież ciepło mu było w on dzień zaślubin Inflant z Polską.

Na wspólną wiązały się dolę z Polską, Litwą i Rusią, na wspólne walki i boje, wspólne zwycięstwa i klęski.

I nie czuł nikt chłodu, nie czuł tego mrozu przyszłych niebezpieczeństw, przyszłych ciężkich lat i długich, trudnych walk.

Zaczynał się dopiero rok 1562, zaczynała się nowa era w dziejach Inflant, odtąd inflanckiego województwa.

Bolkowy kurhan.

I nadszedł czas, kiedy Bolek dobrze już rycerską władał szablą i każdego konia śmiało mógł dosiąść. Rzekł mu ojciec wówczas:

— Bolku, nie w domu ci siedzieć teraz, ani gospodarstwa pilnować, bo ja sam dopilnuję, ani z młodszymi się bawić, bo to ich sprawa. Że zaś kraina nasza zawsze służb od nas czeka i zawsze takich wygląda, jak ty, więc dzisiaj daję ci błogosławieństwo na drogę i na oną służbę.

Tu ukląkł Bolek przed ojcem i matką, oni zaś ręce na niego włożyli, a ojciec tak mówił:

— Niechaj ci Bóg w tem strażowaniu pomoże, niechaj ci da węch i czujność psa, siłę i odwagę lwa pustynnego, a dusza twoja niechaj pozostanie czystą i nieskalaną. Jeśli zaś Bóg w łasce swej nieskończony uzna, iżeś zasłużył na to, niechaj da ci powrót szczęśliwy i życie spokojne dalsze. A jeśli inaczej postanowi, niech się dzieje wola Jego święta.

Rozpłakała się matka, popłakał się Bolek, że jednak nie było u nas zwyczaju, przeciw woli ojcowskiej nawet cieniem myśli występować, więc odrazu zaczęły się przygotowania do podróży Bolka, jak to powszechnie mówiono, na wschodnią ścianę Rzeczypospolitej, gdzie Tatarzy a Turcy wciąż granice niepokoili.

Na drugi dzień pożegnał się Bolek z rodzicami kochanymi, z młodemi siostrami i bratem najmłodszym. Wśród łez i błogosławieństw pociągnął na służbę świętą, na boje nieskończone, na trudy wojenne.

Po kilkudniowej tylko podróży, gdyż dworek ich leżał niedaleko granicy, opowiedział się Bolek pierwszym strażom. Zaprowadzono go przed porucznika, który natychmiast do szeregów go wcielił i służbę mu dał, jako innym.

Zaczęło się życie obozowe.

W rozmowach ze starymi wiarusami poznawał Bolek trudy tutejsze codzienne, wsłuchiwał się w opowiadania przedziwne, a nieraz gdy do nowej został przydzielony straży, radował się, gdyż wtedy wokoło ogniska zebrani opowiadali sobie żołnierze baśni miejscowe, podania o siłach tajemniczych, o czarach i dziwach tej ziemi.

I często po nocy bezsennie spędzonej siadał Bolek, zamiast iść spać, na murawie zielonej, otoczony oparami poranka i wzrok swój zapuszczał daleko, ku słońcu, czerwono wstającemu, jakby aż hen, na skraj nieboskłonu chciał oczyma dotrzeć, jakby poprzez mgły i opary pragnął po stepie rozległym się prześlizgnąć, lub wypatrzeć, czy stamtąd nie ciągnie jaki wróg, czy nie zacznie się zwyczajny już dla niego bój i zwyczajne krwawe nauczanie szanowania cudzych granic.

Ale cisza była, jeno trawy poruszały się lekko, jeno szum szedł w powietrzu coraz cichszy, jakby i te zioła kończyły jakąś opowieść tajemną, jakiś pacierz cichy, czy baśń ciekawą.

Rok minął cały, a chociaż nieraz tęskniło się młodemu Bolkowi za dworkiem starym, za ojcem i matką kochaną, za siostrami, które już o rok były starsze i za bratem wyrostkiem, przecie zadowolić się musiał tem, że pacholika swojego wysłał do domu z listem, sam zaś trwał na placówce, trwał wierny obowiązkowi.

W liście, który mu ojciec przysłał ostre znalazł słowa:

— Wstydź się niepomiernej tęsknoty. Wolno ci tęsknić, gdy twoja praca i twój obowiązek się skończy. Widzę, iż jeszcze mało cię nauczyłem szanować i cenić obowiązek, za co dwie świece woskowe posłałem do kościoła naszego, a wkrótce do spowiedzi pojadę, by przebłagać Boga. Ty mi zaś więcej nie pisz, iż ciężko ci na myśl o domu, bo matka i dzieci pod opieką Boga i moją bezpieczne i jeno o ciebie nas troska trawi, czyś godnym imienia naszego i godnym tej służby, którą pełnisz, o powszechne dobro się starając.

Przykre to były słowa dla Bolka, ale dobrą była ta nauka, bo odtąd mniej myślał o domu, nie tak bardzo ciężyła mu rozłąka, a bardziej harcami rycerskimi się zajął i do najpilniejszych, najlepszych wkrótce został zaliczony towarzyszów.

A czas płynął dalej, płynął, przynosząc boje i walki, tryumfy i pogrzeby smutne, przynosząc radość i wesele, to znowu smutek i żałobnych dzwonów bicie. Lecz odgłos bojów i zbliżającej się wojny wielkiej zagłuszał te codzienne kresowe wypadki. Trzeba było lud gromadzić, a cieszyć przybywających do obozu, a wzmacniać kadry obronne, bo oto z dniem każdym zbliżała się chwila, gdy stutysięczna orda miała na kraj uderzyć.

I niemal równocześnie z wieścią groźną, że już ruszyły się tysiące dziczy, przyszła z domu wieść, że siostra Bolka o rok młodsza Jagna, za mąż wychodzi, a wesele jej z wspaniałym odbyć się ma przepychem. Prosiła więc panna młoda brata, by jej drużbą był i swoją obecnością uprzyjemnił i uświętnił obrzęd.

Bolek kochał bardzo Jagnę. Wszak razem wzrośli, razem bawili się, bo Jagna nie znała różnicy w dziewczęcej czy chłopców zabawie. Temi samemi żyli oboje myślami, te same mieli pragnienia i upodobania. I oto teraz, gdy zbliżył się dzień najuroczystszy w życiu dziewczęcia, zwraca się ona do niego, do brata i przyjaciela ukochanego, by przybył, by w tym dniu z nią razem żył, by jej nie brakło go w kole wszystkich umiłowanych. Więc jak tu nie jechać? Gdyby to młodsza siostra teraz wychodziła za mąż, jeszcze mógłby nie przyjechać, bo mniej zżył się z nią, ale ta, Jagna, toć jakby połowa jego duszy. Więc bił się z myślami Bolek, wreszcie postanowił.

Trzy lata służby kresowej nauczyły go, jak nieraz jedna chwila wiele znaczy, jak nieraz odwaga i przytomność umysłu jednego oficera ocaliła losy setek ludzi i przechyliła szalę zwycięstwa... Więc nie wolno mu opuszczać posterunku, nie wolno tem bardziej, że teraz tak groźna nadchodzi chwila, tak bardzo ważna, jak nigdy mu się dotąd nie zdarzyło.

Więc tylko pacholika z listem posłał.

— Serce do ciebie mnie ciągnie—pisał do Jagny—ale tu trzyma obowiązek. Więc wybaczajcie, ale ważniejsza cała ojczyzna miła, niż choćby ty, Jaguś droga.

Ucieszył się Bolków ojciec, bo pragnął syna mieć takiego, jak stal silnego, jako marmur nieugiętego w służbie dla narodu.

By mu więc radość sprawić, do niego się wybrał z córkami i synem najmłodszym i świeżo do rodziny przyjętym zięciem.

Wielką była radość Bolka i nieskończenie miłe spędził chwile z rodziną swoją ukochaną.

Ale radość krótko trwała.

I znowu wróciły dawne czasy dawne boje krwawe i dawna, nieustanna, żmudna służba.

Z wojny, która na granicy się stoczyła, zwycięsko wyszedł Bolek i nową okrył się chwałą.

Lecz tatarska orda niewyczerpane zda się miała zapasy sił i odpędzona raz od ściany Rzeczypospolitej, po krótkim czasie znowu wracała i znowu wywiązywały się walki krwawe.

Już kończyła się służba Bolkowa, gdyż obowiązek, przez ojca włożony i zwyczajem uświęcony nakazywał mu pięć lat na służbie wytrwać. A właśnie przychodziły z domu wieści, że ojciec zachorzał, że pragnie go widzieć przy łożu swojem.

Ale natychmiast nie mógł syn pobiec ku ojcu, nie mógł rzucić służby, bo jeszcze wciąż „ruszały się trawy“, jak mówiono o zbliżaniu się Tatarów, którzy podstępnie wysokimi burzanami się otaczali, w ten sposób chcąc zwieść strażujących rycerzów.

A serce Bolka niepokoiło się, czuł, że może za późno przybyć do domu.

Już względny spokój zapanował, już miał Bolek pozwolenie porucznika swojego i uwolnienie z zaszczytnie spełnionej służby, już gotował się, by na drugi dzień ruszyć, gdy wtem równocześnie dwóch zjawiło się posłańców: jeden do komendanta, drugi z domu Bolkowego. Donosiła matka w liście, że ojciec kona, że natychmiast musi Bolek ruszyć, jeśli ojca przy życiu zastać i pożegnać pragnie.

Zasmucony siedział Bolek w pokoju swym, trzymając w rękach pismo, żałobną wieść mu niosące, gdy wszedł jeden z jego kolegów, a widząc smutek towarzysza, spytał:

— Co ci jest?

— Ojciec umiera—brzmiała odpowiedź.

— I nie pojedziesz do niego—przepowiedział towarzysz.

— Już mam pozwolenie, dziś na wieczór ruszam.

— A wiesz, jaką wieść porucznik dostał?

Bolek podniósł oczy.

— Pod Kamieńcem stoi 50.000 Tatarów, a większa jeszcze armja na nas rusza.

Młody rycerz zbladł. Przypomniały mu się chwile, gdy walczył ze sobą o prawo wyjazdu na ślub Jagny i oto teraz, gdy znowu wyjechać winien, gdy już, nie chęć uczynienia przyjemności komuś, ale święty obowiązek synowski go wzywa, w tej samej chwili zjawia się ta sama przeszkoda, tę samą trzeba stoczyć walkę.

I — został.

Chociaż krajało mu się serce, choć żal gardło mu ściskał został, by krew swą w ofierze dać, by piersią swą zasłonić kraj najdroższy przed prastarym wrogiem.

W kilka dni potem cudów waleczności dokazywał, rzucając się tam, gdzie najbardziej zbite były szeregi wroga, gdzie on ławą całą szedł, zasypując potokiem strzał opierające mu się szyki.

Wtem widzi Bolek, jak od lewego skrzydła z daleka, z traw wysokich, wynurzać się poczynają nowe postacie.

Hej—doświadczony on rycerz! Niewiele namysłu mu było potrzeba. W jednej chwili skrzyknął najbliższych towarzyszów i ile siły w koniach rzucił się na nieprzyjaciela, który spodziewał się uderzeniem w bok wygrać bitwę.

Dowódzca dopiero w tej chwili, gdy ujrzał pędzącą setkę z Bolkiem na czele, zrozumiał niebezpieczeństwo i pchnął w pomoc nową chorągiew.

Zanim zaś tamci dobiegli, już starli się rycerze z pogańskim wrogiem, już pracować zaczęły ich szablice ciężkie i trup tatarski barwić już począł posoką zielone trawy i żółte kwiaty. I cięli się wzajemnie i jeden czyhał na życie drugiego i brał je bez pardonu, gdy tylko chwilę stosowną upatrzył. Bolek zaś, jako przedtem na sam przód się wysforował i z pogardą śmierci w sercu, parł naprzód, druzgocąc przed sobą nawałę wroga, zabijając bez słowa, a przez zęby jego ściśnięte jeno piana dobywała się nazewnątrz.

Aż przyszła chwila.

Strzały tysiącami zasypywać poczęły gromadkę Bolkową, a chorągiew przysłana na pomoc, oddzielona tysiącami nowy-

mi, nie mogła dotrzeć do nich, choć pracy nie szczędziła, choć coraz mniej żywych miała przeciw sobie.

Topnieje gromadka Bolkowa, co chwilę któryś rycerz pod konia się zsunie, a reszta walczy, walczy, ostatniemi siłami pchnięcia odpiera, lecz nie ma sposobu na strzały. Już kilka miał ich Bolek, a przecie nie pomyślał nawet o odwrocie, choć szablą mógł go sobie łatwo utorować. Zaczął ojciec, dokończyły go uczyć stepy Ukrainy i ta wciąż krwawiąca ściana Rzeczypospolitej, że dla swego ocalenia nie wolno poświęcać innych, że cofać się przed spełnieniem obowiązku, ohydnem jest i nad wyraz brzydkiem.

I spełnił ten obowiązek—do końca.

Gdy szeregi hufca posiłkowego wysiekły i rozpędziły resztę Tatarów, otaczających bohaterską gromadkę Bolkową, rycerz, który ją prowadził upadł na ręce kilku towarzyszów nadbiegłych z pierwszego szeregu.

Jego twarz młodą poorały tatarskie strzały, jego męskie serce wytoczyło już wszystką krew, a teraz ostygło, jak ognisko po pracy, gdy kowal kuźnię zamknął i do dom odpocząć poszedł.

I usypano mu kurhan wspaniały, nowy do tysięcy dawnych, kurhan.

Z domu zaś wieść nadeszła iż w ten sam dzień, o tej samej godzinie, gdy ginął Bolek, zawarł na zawsze powieki jego ojciec, spokojny o syna, spokojny o dom swój cały.

Na drugi rok dziwili się ludzie, w tych stronach żyjący i rycerze, którzy nadal służbę tutaj sprawowali, jak od wszystkich mogił różnym jest Bolkowy kurhan. Oto w środku wiosny od szczytu, aż po zielone stopy okrył się kwieciem białem, jak śnieg, porósł setkami stokrótek, które chyba wiatr tutaj zasiał i w foremny wieniec ułożył.

Gdy zaś przyszła rocznica bitwy, gdy znowu jak dawniej przy rozłożonych ogniskach strażowali rycerze, niedaleko mogiły Bolkowej, dziwna jasność zwabiła odważniejszych ku niej, a tam nowe dziwo ujrzeli.

Oto obok mogiły niewiadomo skąd, nowa się wzniosła, doskonale z tamtą złączona, a obie świeciły mnóstwem robaczków świętojańskich, które tu na sejm może przybyły, albo na jakieś tajemne obrzędy.

I poszła wieść wśród ludu i rozeszła się daleko, że co roku do Bolka w odwiedziny ojciec jego przychodzi i obaj radują się z życia dobrze spędzonego, z obowiązku do samego spełnionego końca.

I co roku porasta mogiła białem kwieciem i co roku robaczki świętojańskie ją zdobią i co roku nowa koło niej mogiła wyrasta, by na drugi ranek zniknąć.

Że zaś dobrych dusz spoczywają tu ciała, więc żadnych strachów niema tu, żadnych obaw nie sieją wokół te dziwy mogiły, a przeciwnie każdy zasmucony na jej skłonie pociechę znaleść może i ukojenie.

Lud zapomniał nazwiska bohatera, nie znał nigdy go dobrze, ale już długie wieki utrzymała się pamięć Bolka-bohatera, który nad siebie i rodzinę służbę swą umiłował; i dotąd jeszcze gwarzą starzy o cudownych mogiłach.

Jeno miejsca nikt wskazać nie może—ale to niekonieczne.

Pamięć trwa.

Od Zygmunta Augusta, poprzez rok śmierci jego 1572, poprzez królów elekcyjnych, poprzez rozbiory Polski 1772, 1793 i 1795—do dziś dotrwała mogiła-kurhan Bolkowy.



Z ukrainskich kurhanów.

Wygasł ród.

— Dlaczego tak bardzo biją dzwony?—pytał Jerzy Wrocimowski, siedząc przy oknie, które wychodziło na stare osłonione budynkami podwórze.

W pokoju, który niewiele posiadał światła, siedział przy stole wielkim Paweł, ojciec Jerzyka, a dalej na kilku krzesełkach młodzi chłopacy, pracując zapamiętale pod okiem groźnego mistrza. Wprawdzie twarz pana Pawła wcale nie zdradzała tego, jakoby on rzeczywiście miał postrach siać wokół siebie, ale w całym cechu szewskim opowiadano, że nigdzie niema takiego rygoru, jak u mistrza Pawła.

— Czego chcesz Jurku? spytał ojciec odrywając oczy od pracy.

— Dlaczego dzwony tak biją?—powtórzył pytanie Jurek.

— Ty nie wiesz?—zdziwił się ojciec.

— Różnie mówią, ale wy ojcze wiecie najlepiej.

— No, a co mówią?—pytał ojciec, lecz nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Co ty zresztą możesz wiedzieć? usłyszysz od przekupek coś, ze szkolarzami urobicie bańkę i puszczacie ją w świat. A tu, młokosie, rzeczy dzieją się wielkie, o bardzo wielkie.

W tej chwili podniósł palec rozkazujący prawej ręki do góry i chciał dalej coś mówić, gdy wzrok jego padł na trzech chłopaków, siedzących z oczyma utkwionemi w mistrza.

Oburzył się pan Paweł:

— A wy, smyki, pracę rzucacie? Nie możecie to słuchać i robić zarazem. Ja wam...

Lecz gniew jego opadł, bo w tej chwili rozległo się bicie młotka, skrobanie skóry nożem i praca potoczyła się wartko.

— I co oj ze, i co?—pytał Jurek.

— Skaranie boskie z tymi chłopakami. Czeladnikiem to chciałby zostać zaraz, a do pracy napędzić go nie można.

Wyładowawszy wreszcie gniew, opowiadał:

— Wiesz synu, że umarł nasz król, ostatni z tej rodziny potomek męski, która nam długo, bo od 1386 roku panowała. Wyzionął ducha w Krzyszynie, nie zostawiając syna, któryby go zastąpił w Polsce i Litwie. Panowali nam Jagiellonowie 186 lat—a teraz Bóg wie, kto będzie. Milczał chwilę, a potem spytał syna:

— A wiesz ty, jak się nazywał nasz król?

— Pewnie, że wiem — z dumą odparł Jurek — Zygmunt August, a panował od r. 1548, od śmierci ojca swego, także Zygmunta, którego Starym nazywali.

— Dobrze, dziecko—pochwalił go ojciec i kazawszy zbliżyć się, pogładził go po głowie.

Ośmielony chłopak, pocałowawszy rękę mistrza, podniósł na niego swe synowskie, wdzięczne, czarne oczy.

— Czego chcesz?—domyślił się ojciec.

— Chciałbym się spytać, dlaczego znowu biją dzwony. Przecie już prawie pół roku minęło od śmierci króla. Pamiętam, bo wtedy Ojcowie kazali nam wcześniej przyjść do szkoły i do kościoła P. Marji poszliśmy, a w konwikcie koledzy przez tydzień pościli na intencję zbawienia króla. A teraz znowu dzwony biją i biją.

Ojciec przysłuchiwał się z przyjemnością szczebiotowi dzieciaka, który w szkole przy kościele N. Marji Panny uczył się już trzeci rok i należał do najlepszych uczniów.

Były to czasy, w których jeszcze można było przez naukę do najwyższych wspiąć się godności, nawet do senatorskich dojść szczeblów. Więc mieszczanin Wrocimowski z dumą patrzył na syna, który kiedyś szlachecki klejnot zapewne otrzyma, a może, może nawet na dwór królewski się dostanie, skąd spadnie na niego część blasku i jego starą głowę aureolą otoczy, iż chodzić będzie dumny po krakowskim grodzie i pysznić się będzie wśród swych kolegów cechowych.

I teraz znać było w oczach ojca dumę i wiarę w syna.

Chętnie więc, czyniąc zadość życzeniu dziecka, opowiadał mu i uczył go zarazem:

— Na Polskę ciężkie przyjdą teraz terminy. Król nie żyje, następcy niema i jak słyszałem, będą wybierali sobie pana.

— Kto będzie wybierał?

— A któż?—szlachta. I to wszyscy razem. Dziwno mi to, ale tak wszyscy mówią.

— A dlaczego wam, panie ojcze, dziwne to?

— Bo widzisz, przedtem, król naznaczył, kto po nim będzie—i dobrze. Tak było za poprzedniej rodziny królewskiej, za Piastów, tak samo i Jagiellonowie, którzy połączyli Polskę z Litwą i Rusią robili. Jagiełło Władysław naznaczył syna Władysława, którego-to Warneńczykiem nazwali, bo pod Warną w potrzebie tureckiej zginął, po nim już wybrali Kazimierza Jagiellończyka, po tym także wybierali, ale zawsze jego synów Jana Olbrachta i Aleksandra i Zygmunta Starego, ojca nieboszczyka naszego króla. I było dobrze w Polsce, a co teraz będzie, Bóg jeden wie tylko.

Zatroskał się stary Wrocimowski i zamilkł przygnieciony myślami niepokojącemi.

— I teraz—ciągnął po chwili—ostatni obrzęd się odbędzie. Z Krzyszyna przywieźli ciało nieboszczyka kròla Zygmunta Augusta, aby je godnie pochować na Wawelu, obok trumny ojca jego i pradziadòw. Dlatego tak biją dzwony, dlatego we wszystkich kościołach nabożeństwa się odprawiają i wszyscy modlą się za duszę zmarłego, a może jeszcze więcej błagają Boga, by nam dał dobrego dla państwa następcę.

— I my się pomódlmy ojcze — zaproponował Jurek, patrząc nieśmiało na ojca.

Ten zaś, jako to i mieszczaństwo i szlachta polska i chłopstwo byli bardzo pobożni, natychmiast zgodził się na to i dawszy znak ręką chłopcom, pierwszy ukląkł na podłodze, za nim zaś poszedł i Jurek i trzej pracujący przy warsztacie chłopcy.

Popłynęła wysoko ich modlitwa, mówiona z początku głośno, przez wszystkich razem, potem w szept przeszła nieśmiały, aż wreszcie ucichła, tylko czasem uderzanie w pierś słyszałeś, lub głębokie westchnienie pana Pawła.

A z ich prośbami płynął wysoko głos dzwonów, głęboki, żałobny głos, czasami skarżący się niebu na niedolę może

Polski, to znowu cichą, pokorną prośbą grała muzyka kościelnych wieżyc Krakowa wybuchając po chwili znowu płaczem żalu i prawie rozpaczy przejmującym jękiem.

Żałoba kładła się nad grodem prastarym, wszystko przejmowało się tą atmosferą smutku i płaczu, nawet Wisła modra powoli toczyła swe potężne fale, przybrawszy je w kir, od chmur zapożyczony.

Biadała cała Polska nad śmiercią ostatniego z Jagiellonów i ostatniego dziedzicznego króla.

W Stężycy.

Ciężkie nastały czasy w Rzeczypospolitej w r. 1575.

Obrany przed rokiem królem polskim Henryk z francuskiej rodziny panującej Valois (Walezjusze), porzucił swą nową ojczyznę i potajemnie wrócił do Paryża.

Ruszyła się na to szlachta, nie wiedziała, czy król panuje w Polsce, czy nie i wreszcie zmusiła prymasa, arcybiskupa gnieźnieńskiego Pawła Uchańskiego, by zwołał zjazd szlachty do Stężycy.

Tak się też stało.

W maju r. 1575 zaroiło się w województwie Sandomierskiem od szlachty, która nie godząc się z wolą prymasa, nie na sejm zwyczajny jechała, ale całą masą wyruszyła, ażeby wreszcie dokonać wyboru nowego króla, o ile Henryk natychmiast nie wróci i z powrotem władzy nie obejmie.

Okolica cała przybrała obraz obozu.

I tak było rzeczywiście, nawet gorzej.

Szlachta, dzieląca się na dwa stronnictwa, na austryjackie i francuskie, rozłożyła się w dwóch stronach, jakby dwa wrogie tworząc obozy, gotowe każdej chwili na siebie uderzyć.

Nad Wisłą stanął z chorągwią uzbrojoną Bartłomiej Zieliński, do którego przyłączył się Stanisław Tarnowski, kasztelan czechowski i kasztelan połoniecki, Cikowski.

Na brzegu zaś Wieprza stanął w ordynku bojowym ze swoją chorągwią Firlej, artylerję też przywiódłszy tutaj, z nim zaś wojewoda sieradzki, Wojciech Łaski i wileński, Chodkiewicz i marszałek litewski, Radziwiłł.

W obu obozach wrzało jak w ulu.

Najbardziej zaś uwijali się posłowie litewscy, Ostafi Wołowicz i marszałek nadworny litewski Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, starając się nakłonić szlachtę, by natychmiast przystąpiła do obioru nowego króla.

— Nie można—oponował Jan Zamoyski, młody sekretarz królewski z czasów jeszcze Zygmunta Augusta i starosta bełski od niedawna— nie można obierać nowego króla, gdy tamten żyje i po świecie chodzi.

— Więc dlaczego niema go tutaj? zawołały liczne głosy szlachty, skaptowanej przez Litwinów.

— Poczekajcie—ciągnął Zamoyski — mości panowie bracia. Wysłaliśmy deputację do Paryża, trzeba przecież poczekać na odpowiedź prawowitego i prawnie wybranego króla.

Stosownie więc do woli Zamoyskiego czekano niecierpliwie, trawiąc czas na dyskusjach i rozmowach politycznych.

Wreszcie po 6 dniach bezskutecznego oczekiwania 17 maja zorganizowało się koło rycerskie w sejm elekcyjny i wybrało swym marszałkiem Mikołaja Siennickiego.

Senatorowie jednak nie myśleli poddać się woli szlachty i wciąż wstrzymywali się od wyboru.

Wreszcie odetchnęli wszyscy.

Na pola stężyckie zjechał jeden z posłów, wysłanych do Henryka, Drohojewski.

— Zaprawdę—mówił on do szlachty zebranej—nie zostaje nam nic innego, jak nowego pana sobie wybrać i ogłosić. Król Henryk radby tak zatrzymać koronę polską przy francuskiej i raz u nas bawić, to znowu w swoim Paryżu. Kiedy zaś rzekłem mu, iż naród polski musi mieć króla przy sobie, inaczej bowiem król żadnych spraw załatwić nie może i żadnego stąd nie będzie pożytku, wtedy mówił mi wybrany nasz król, że on niezadługo już zabierze się do Polski, by naszej woli słuchać.

— I gdzież on, gdzie?—wyły tłumy.

— Ale to jeszcze nic, waszmoście—mówił Drohojewski.— Kiedy za dużo było nam tego zwodzenia i odkładania z dnia na dzień podróży, oświadczyliśmy, że bez króla wrócim do Polski, a wtedy nie wiemy, co się stanie. I jeszcze zaś prosiliśmy, by z nami jechał. Wtedy to, gdy król już zdawało się

pojedzie, matka jego Katarzyna Medicis, zelżyła nas, przedstawicieli narodu, przedstawicieli całego stanu szlachty rycerskiej! Stała się rzecz niesłychana u nas i tak osądziliśmy, że król złamał warunki i że my jesteśmy wolni od przysięgi.

— Wolni, wolni—zawołały tysiące.

— Przeto wnosim, byśmy niezwłocznie przystąpili do obioru nowego króla, gdyż nie może Rzeczpospolita zostawać bez głowy, jak nie można stada owiec zostawiać bez pasterza.

Podobały się słowa Drohojewskiego i szlachta tem usilniej nastawała na koło senatorskie, aby wreszcie wybrawszy króla, rozpoczęło narady z posłami zagranicznymi.

Stało się wedle życzenia szlachty.

I odtąd całymi dniami ciągnęły się narady i agitacja, to za austryjackim Maksymiljanem, to za wielkim księciem moskiewskim, a jeśli zjawiał się na mównicy znaczniejszy senator lub szlachcic, wnet cichły głosy i wszystko skupiało się wokół przemawiającego.

— Potrzeba nam—mówił senator, Jan Tęczyński, silnego władzcy, któryby swojego domu powagą nowego blasku dodał koronie polskiej, a swoim majątkiem przyniósł państwu korzyść. Takim był Henryk, książę francuski. I zda się, nie znajdziemy już lepszego, gdyż ten łączył w sobie i przymioty wielkiego ducha i szczodrobliwego pana, jak to poznaliśmy w tem, że na pacta conventa [1]) się zgodził, żadnych wstrętów nam nie czyniąc. Czy znajdziemy teraz takiego, nie wiem. Dlatego moja jest rada, byśmy po raz wtóry Henryka wybrali, gdy zaś będzie widział taką niezmienną wolę nas wszystkich, niezawodnie przybędzie do Polski i uszczęśliwi nas swoją osobą.

Tumult się podniósł na te słowa, który dopiero uciszył się, gdy na mównicę wdrapał się kasztelan trocki Ostafi Wołowicz.

---

[1]) Pacta conventa, tak po łacinie zwane, były to warunki, które musiał podpisać nowoobrany król, o ile chciał dostąpić koronacji. Nakazywały mu one nadać różne przywileje szlachcie ze szkodą jego władzy, z własnych funduszów opędzić niektóre wydatki i t. p. Był to bardzo zły zwyczaj, gdyż wyglądał na prostą zapłatę za wybór.

— Po co nam jakichś dalekich książąt szukać, aby ich nad Polską, Litwą i Rusią ustanawiać. Jest tutaj poseł wielkiego księcia moskiewskiego, Iwana Groźnego, który nam zapowiada zachowanie wolności naszych szlacheckich i wiele korzyści. Pod berłem naszego króla jest już zrzeszona część ziem ruskich, jest Kijów, Połock, Witebsk, dlaczego więc nie złączyć się i nie stworzyć ogromnego państwa, któremu równego na świecie nie będzie. Zgódźcie się, panowie bracia, na Iwana Groźnego.

Stronnicy Iwana, którzy otoczyli Wołowicza, podnieśli okrzyk, który powtarzał się kilkakrotnie, lecz widocznie nie było zgody, gdyż rozległy się ogłuszające okrzyki i trzaskanie w szable.

Tu i ówdzie wykwitły nad tłumem sylwetki mówców i kilku odrazu prawiło, zachwalając swoich kandydatów.

Dopiero pod sam koniec drugiego tygodnia nad tłumem szlachty wyrosła sylwetka Jana Zamoyskiego, który zdobył sobie nie tylko cześć, ale i miłość warstwy szlacheckiej.

On to bowiem po śmierci Zygmunta Augusta, gdy senat pragnął dla siebie tylko i dla izby poselskiej co najwyżej zagarnąć prawo wyboru króla, stanął w obronie szlachty i jemu, Zamoyskiemu, miała brać szlachecka do zawdzięczenia, że w całości swej, viritim, jak to po łacinie nazywano, zjeżdżała na każdą elekcję, by króla Polsce wybrać, nowego dać jej pana.

Kiedy więc poszedł słuch, że Zamoyski chce przemawiać, tłumy całe pospieszyły przed jego namiot, on zaś wyniosły, poważny, jasnem okiem objął zebranych i począł:

— W tak ważnej sprawie, jak wybór nowego pana i władzcy, dobrze trzeba się zastanowić i wszystko trzeba obliczyć, aby się nie pomylić w tem dziele najważniejszem, które albo lata szczęścia da Rzeczypospolitej, albo cały szereg ciężkich, niepomyślnych dni.

— Jakiego trzeba nam króla? spytajmy przedewszystkiem. Wiadomo wam, panowie bracia, iże lata ostatnie Rzeczypospolitej, to lata ciągłych wojen i niepokojów. I od wschodniej strony niepokoi Ukrainę, Podole, Wołyń, ba nawet do Małopolski przez Grody Czerwieńskie wdziera się ćma tatarska, która posiłkowana przez Osmanów nieustannie nam grozi, nieustannie spokój zakłóca.

— Tam zaś od północnej strony i od północnego wschodu każdej chwili nawała spaść na nas może, szczególnie teraz, gdy król nasz z Jagiellonów ostatni Inflanty całe pod opiekę przyjął Rzeczypospolitej, przysparzając nam miast nowych wiele i bogactw wiele, ale i niebezpieczeństwo zwiększając Polski. Trzeba nam bowiem dobrze pamiętać, że ani Szwed, ani Danja, ani szczególnie Moskwa nie pogodzi się łatwo z tem, że ta prowincja nam się dostała.

A wewnątrz państwa nieporządków jest jeszcze dużo. Wprawdzie skarb zasilił się trochę po pamiętnym sejmie elekcyjnym, kiedy to królowi Zygmuntowi Augustowi zwrócili możnowładzcy za naszem żądaniem dóbr koronnych wiele, ale to nie koniec. My szlachta tej ziemi domagać się musimy i zwiększenia majątku państwa i także zmniejszenia władzy senatorskiego stanu. Dziwną bowiem i nienaturalną jest rzeczą, aby mała liczba senatorów prym dzierżyła przed tysiącami szlacheckiego narodu.

Pomni zaś tego, że unja lubelska, ostatnie prawie dzieło króla Zygmunta Augusta, zostawione nam jakby jego testament, bo po roku 1569 jeszcze trzy tylko lata żył ten ostatni Jagiellończyk, pomni na to, że unja ta musi się utrzymać dla dobra obu narodów, staraniem naszem niech będzie takiego znaleść króla, któryby tym wszystkim zadaniom sprostał.

Postawię więc waszmościom, braci szlacheckiej takiego kandydata, a właściwie takich kandydatów, którzy temu żądaniu zadosyć uczynią.

— Nie dziwujcie się waszmoście — zwrócił się w stronę, skąd posypały się wyrazy zdziwienia z powodu kilku kandydatów—że nie o jednym mówię kandydacie, a wysłuchajcie.

— Doradzam ja wam obdarzyć koroną polską ostatnią latorośl rodu Jagiellonów. Niechaj Anna Jagiellonka dzierży berło dziadów swoich nad nami. By zaś sprostać mogła tym ciężkim obowiązkom, jakie na granicach Rzeczypospolitej czekają naszych królów, dodajmy jej jako męża Stefana Batorego, wojewodę siedmiogrodzkiego. Bitny on i odważny, a w wojnach z Turcą nabrał już sławy rycerskiej, więc godnym będzie nam królem i dobrym panem.

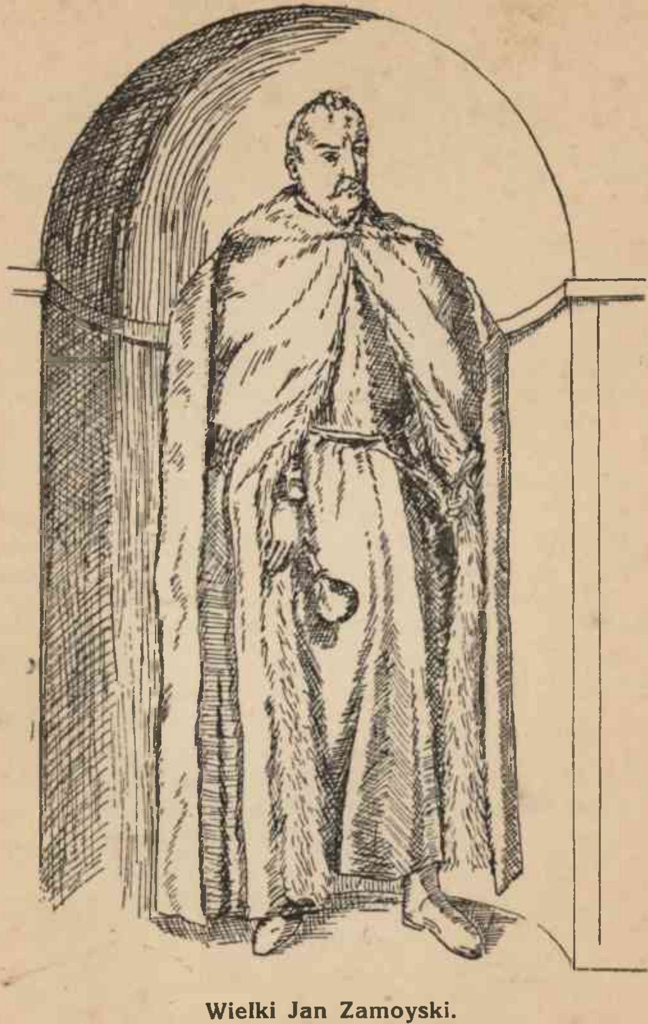
A czy to osoba mówcy takie wrażenie wywarła, czy też

kandydaci rzeczywiście tak się podobali, dość że szlachta cała jednym głosem zawołała:

— V vat Stefan Batory król.

— Vivat Anna Jagiellonka królowa.

Zamoyski zaś cieszył się w duszy, że dostanie Polska takiego władzcę, którego bardzo jej trzeba, który potrafi silną dłonią ująć ster państwa i poprowadzić je do świetlanej, pełnej trudów i pracy, ale pełnej też sławy i dobra przyszłości.



Wielki Jan Zamoyski.
(Kanclerz i hetman polny).

(Rys. J. Stemler).

Młody bohater.

— Tyle już czasu siedzimy tutaj—skarżył się młody Lew Sapieha Janowi Rywockiemu, porucznikowi kawalerji, który teraz z rozkazu Jana Zamoyskiego dowodził piechotą pod Zawłociem.

Twarz młodego rycerza jaśniała pięknością niecodzienną, jego bujne, kręte loki mieniły się barwami w promieniach słońca, które skośnie padając, żegnało się z ziemią, żegnało się z dniem znojnym.

Rywocki, stary, doświadczony żołnierz, uśmiechnął się pod sumiastym wąsem i rubasznie odparł:

— Waszmość chciałby ciągle jeno bić i bić. A toć odpocząć trzeba człowiekowi i podjeść trochę, bo w bitwie nie zdobędziesz spiży.

— Żeby przynajmniej bitwy były—jęczał Sapieha.

— To idźcie poprosić hetmana, może wam na fortel jaki pozwoli—poradził porucznik.

— A pozwoli, myślicie?

— Jeśli jaki podacie dobry plan, albo jeżeli on ma jakie, juści nie będzie wzbraniał.

Kiedy zaś, podziękowawszy serdecznie staremu, pobiegł do namiotu hetmana, jeszcze mruczał Rywocki:

— Młode to, zachciewa mu się wojny, jak tańca, jak zabawy.

I przeszedł kilka kroków, ścigając znikającą sylwetkę Sapiehy.

— Ale walny żołnierz, walny żołnierz—mruczał dalej.

Tymczasem Lew Sapieha, opowiedziawszy się strażom, wszedł do namiotu Zamoyskiego, który nad mapą schylony siedział, nie podnosząc głowy.

Sapieha stanął w milczeniu, nie śmiąc przeszkadzać w pracy.

— Czego chcesz, mów—rozkazał hetman, który Sapiehę bardzo lubił nie tylko jako krewnego, ale też dla jego dużych zalet, dla serca dobrego i odwagi niezwykłej.

— Chciałem was prosić, hetmanie, o permisją.

— Co?—zdziwił się Zamoyski—chcesz wyjechać z obozu?— i pytający wzrok skierował na Lwa.

On zaś spłonął pod tym wzrokiem i gorąco zaprzeczył:

— Za żadne skarby. Ale chciałbym też coś robić! A tutaj siedzimy tylko i siedzimy.

— A, o to ci chodzi—zaśmiał się Zamoyski.

— Ale to dziwne—mówił chodząc po namiocie—tutaj ci się dłuży, chociaż cztery dni dopiero siedzimy, a pod Połockiem, pod Wielkimi Łukami nie nudziło ci się?

— E, tamto co innego. Pod Połockiem biliśmy się ciągle, potem przyszedł Sokoł, po nim zaraz zdobyliśmy Wieliż, za kilka dni Uświatę, pod Wielkimi Łukami coprawda trochę za długo staliśmy, ale zaraz mieliśmy Toropiec, potem Rewel. A tutaj siedzimy już piąty dzień, forteca mała i żadnych bitew.

Przy ostatnich zaś słowach miał głos Lwa taki żałosny ton, że Zamoyski zbliżył się do niego i kładąc mu rękę na głowie, jak do rozpieszczonego jedynaka się odezwał:

— A małe Lwiątko nudzi się i rady sobie dać nie może, prawda?

Chłopak ucałował ręce hetmana i dalej, śmiało już, prosił:

— Pozwólcie mi wziąść żołnierzy trochę. Znienacka napadnę i dobędę zamku.

— A jak? zaciekawił się Zamoyski.

— Widziałem—opowiadał Lew Sapieha — otwór od kanału zamkowego. Nieprzystojna to rzecz tam się wciskać, ale gdyby ktoś tam wszedł, a baryłkę prochu zasadził, rozerwalibyśmy kawał muru i wdarli się do zamku.

Hetman patrzył na chłopaka, któremu świeciły się zapałem oczy i wyrywało się z nich pragnienie walki, pragnienie sławy dobrze zasłużonej. I jeszcze piękniejszy był z tym wyrazem w oczach, w tych rumieńcach na twarzy.

Przez chwilę myślał hetman poważnie, a nagle wpadł w dobry humor:

— Jeszcze mi spać nie dasz, chłopaku. Toć to taki ładny plan, że nie spocznę, dopóki wszystkiego nie zbadam.

— A permisją dacie?—pytał niepoprawny Lew.

— Jeśli będzie dobrze, dam rozkaz—zaśmiał się Zamoyski i zaraz kazał Lwu postępować naprzód, pokazać sobie to miejsce, o którem myślał młody rycerz; ten zaś przez całą drogę w gorączkowem podnieceniu opowiadał Zamoyskiemu swój plan.

Stało się, jak chciał Lew Sapieha.

Gdy rozległ się huk wybuchającego prochu, ruszył Sapieha z kawalerją, a stary porucznik z piechotą.

Załoga Zawłocia, nie spodziewająca się nowego ataku, niedługo się broniła.

I poszła w ręce polskie nowa forteca, podnosząc sławę oręża polskiego i polskiego króla, Stefana Batorego.

A rok 1579 stał się początkiem sławy młodego Lwiątka z możnego rodu Sapiehów.



Rycerz polski w XVI w.

(Rys. J. Stemler).

Wielkie plany.

Gdy Stefan Batory pod Gdańskiem zbuntowanych mieszczan do posłuszeństwa zmuszał, car rosyjski, Iwan na północne kresy Polski wyruszył i całe prawie zabrał Inflanty.

Przerażenie ogarnęło inflanckich obywateli. Słali więc gońca za gońcem, prosząc króla o pomoc, o rychłą pomoc.

On zaś, jak lew, król puszczy, powstał i potężny a groźny szedł, miecz karzący wyciągnąwszy, szedł niepowstrzymany, potężny.

I jako woda, spuszczona nagle ze stawu, ucieka, porosty zostawiając wodne, niedawno topielą pokryte, tak znikły wojska moskiewskie, zostawiając zamki swobodne i kraj cały niedawno w ich mocy będący.

Lecz nie zatrzymał się król wielki.

Nie zważa wicher na granice państwa, niczem mu są ściany domów, ani grodów mury warowne. On wszędzie, uderza, wszystko swą mocą przenika i pędzi dalej i pędzi bez wytchnienia.

Nie oparł się Stefanowi Połock potężny, padł zamek Sokoł, w proch starło polskie wojsko warownie Turowlę i Suszę, nie wytrzymały oblężenia Wielkie Łuki nawet.

A król nienasycony rękami wodzów swoich lub własnemi także dobywał coraz nowych zamków, coraz dalej szerzył władzę swoją i postrach przed sobą.

Otwarły swe bramy Wieliż i Uświat, o łaskę prosić musiały załogi zniszczonego Newla i zdobytego Zawłocia, padło przed polską przemocą Jezierzyszcze, Porchów, Opoka, Starodub.

I oto tutaj aż doszedł polski król!

— Gdzie koniec naszego pochodu, gdzie kres naszych zwycięstw?—pyta Zamoyski Stefana.

On zaś wznosząc swe dumne oblicze nie mówi ni słowa, jeno myślami poleciał gdzieś daleko, może ten kres chciał zobaczyć, może o przyszłych marzył zwycięstwach.

— Nie zostanę tutaj z tobą—pada nagle zdanie króla.

— Dlaczego?

Lecz myśl Stefana pędzi już dalej, nie zważając wcale na pytanie Zamoyskiego.

— Zostaniesz tutaj—mówi—i będziesz sam dobywał Pskowa, mnie trzeba do Wilna, potem może do Warszawy. Straszni są moi poddani. Pragnę im państwo dać potężne, a oni wciąż jeno kłody rzucają mi pod nogi i ciągle kłody.

Zrywa się z krzesła i dużymi krokami chodzi po namiocie.

— O, nie pozwolę na to, nie pozwolę — mówi raczej do siebie. Wybrali mnie królem, niechaj teraz słuchają. Na wojsko kwarciane mają dość pieniędzy teraz, stworzyłem dla Polski siłę zbrojną, jakiej żadne inne nie ma państwo, kozaków. Powiedz ty—zwraca się do Zamoyskiego — myślałeś kiedy, że z tych niekarnych, buntowniczych watah można będzie stworzyć tak doskonałe wojska?

— Wielka to waszej królewskiej mości zasługa i tego nie zapomni naród.

Batory stanął przed Zamoyskim.

— Co ty mi znów „mościujesz“—odezwał się z niezadowoleniem. Skoro ci dałem siostrę za żonę, to możesz do mnie jak do brata mówić, nie zważając na godność.

— Mówiłem waszej królewskiej mości — odparł niepoprawny hetman—że u nas i do brata mówi się często panie bracie.

— Dziwny zwyczaj. No, ale mniejsza o to. W każdym razie nie opowiadaj mi o wdzięczności narodu. Niczego nie robię dla wdzięczności i niczego dla siebie. Postawiony jestem nad Polską, by Polsce służyć, więc to robię, co dla jej wielkości jest koniecznie potrzebne.

— Wiem o tem.

— No to pomagaj tylko i nie mów. Słyszałeś o tem, że papież chce wysłać do mnie legata, może nawet już wysłał?

— Słyszałem i boję się tego.

— No dobrze, mówił Batory, siadając z powrotem. Muszę jechać do Wilna, więc chcę z tobą pogadać, co o tem myślisz.

— Dobrze królu, pogadajmy.

Między królem Stefanem, a szwagrem jego Zamoyskim Janem, był raczej stosunek, jaki istnieje międ y dwoma przyjaciółmi, nigdy zaś nie było w nim znać stosunku władzcy do poddanego. O wielkich sprawach rozmawiali ze sobą, jak równy z równym, nieraz zaś sprzeczali się zawzięcie.

— Doszły mnie słuchy, o czem już wam wspominałem— zaczął Zamoyski — że car przerażony naszemi zwycięstwami, wysłał do papieża z prośbą o pomoc w wojnie z nami.

— Jakto o pomoc?

— Poczekajcie. Car przyrzeka papieżowi jakieś ustępstwa dla Kościoła, jeżeli uda się papieżowi doprowadzić do pokoju cara z wami, królu.

— Pamiętasz moje plany?—spytał niespodzianie Batory.

— Jakie plany?

— No mówiłem ci przecież. Gdybym miał dosyć sił, zmieniłbym cały wygląd Europy.

— Aha—przypomniał sobie Zamoyski.

— Chciałbym uzyskać pomoc szlachty w tych planach. Niestety, taka ona miłująca spokój, że aż wstyd mi za nich. Boże, toż oni mogliby narody podbijać i zwyciężać, a wolą rolę uprawiać i zboże wysyłać do Gdańska. Pow edz mi, co to jest? Bo przecież, gdy do wojny przyjdzie, biją się wspaniale. Ale pobudzić ich do czynu tak trudno, prawie zupełnie nie można. Ale powiedz mi, co myślisz o tym legacie papieskim?

— Boję się, że on was, królu, będzie namawiał, byście oddali Moskwie zdobyte ziemie.

— Jakto, tak, bez niczego?

— Może wam coś dadzą, jaką jedną fortecę, ale w każdym razie nasza robota byłaby na nic, a car Iwan tryumfowałby.

Batory zamyślił się.

— A wiesz, że ja jednak zawarłbym pokój z Iwanem Groźnym.

— Jakto królu?—zdziwił się i oburzył zarazem Zamoyski.

— Tak jest—ciągnął król. Gdyby Iwan zechciał pòjść razem ze mną na Turcję i wypędzić ją zupełnie z Europy, zgodziłbym się.

— Teraz nie możecie iść na Turcję, bo z nią pokój zawarty.

— Tak—zaśmiał się Batory—pokój zawarty, a na granicy ciągłe niepokoje, ciągłe napady i bitwy.

— Ale Iwan nie pójdzie na Turcję—prorokował Zamoyski.

— Dlaczego?

— Bo on woli iść razem z Turcją na Polskę.

— Ale jeżeli zgłasza się do papieża, to chyba nie myśli równocześnie o przymierzu z Turcją?

— Właśnie, że może myśleć—twierdził Zamoyski.

— Ej, tego przypuścić nie można — mówił z odcieniem niezadowolenia Batory. Przecież to byłaby jawna zdrada! Nie, nie, tego on nigdy nie zrobi.

— Ja was przestrzegam, królu — nie cofał się hetman.— Nie znacie Iwana i dobrze go sądzicie, jako sam dobry jesteście. Jednak zważcie, byście drogo nie opłacili tej wiary i ufności.

Ale Batory już wyrobił sobie sąd, już postanowił i zadecydował. A wtedy nic nie mogło go zmienić, nawet żadna siła nie była zdolna zachwiać go w powziętym zamiarze.

— Uczynię, jak mówiłem. Jeżeli Iwan przystąpi do przymierza z papieżem i zemną przeciw osmańskiej potędze, wszystko uczynię, aby mu ten postępek ułatwić. I wtedy razem uderzymy na Turka, a z pewnością nie gorzej nam pójdzie z nim, niż teraz było nam z Moskwą. Pomyśl tylko, jak będą bili się kozacy, z jakim zapałem pójdą oni przeciw Turkowi.

Już prawie cieszył się ze spodziewanego przymierza, ze zwycięstwa nad niewiernymi, w które wierzył głęboko.

Gdy zaś Zamoyski milczał, spytał go:

— Dlaczego nie cieszysz się?

— Chciałbym królu — mówił smutno hetman i kanclerz koronny w jednej osobie—bardzo chciałbym, ale nie mogę, bo nie wierzę tak, jak wy. Przeciwnie, ciągle mam podejrzenie, że Iwan grać będzie komedję.

— Porzuć te myśli. Nie sądzę, by coś takiego zamyślał.

— Pomyślcie tylko królu, jak mógłby on zawierać sojusz z papieżem, z głową Kościoła Katolickiego na świecie, on prawosławny i naczelnik wszystkich prawosławnych. Przecież jego właśni poddani powstaliby przeciwko niemu.

— No, to w Polsce tylko poddani grożą ciągle królowi, że mu posłuszeństwo wypowiedzą. Tam niema tego—z goryczą w głosie odparł Batory.

— Ciężko wam, królu?—zatroskał się hetman.

— Pewnie, że nie lekko. Jabym chciał wam stworzyć państwo, jakiego nie byłoby drugiego na świecie, a szlachta ciągle w poprzek mi staje. Ale dość jestem silny, aby zrobić to, co możliwe, przy pomocy chociażby małej garści was. I będzie Polska silną i będzie wielką i potężną.

Pojechał król na układy z legatem papieskim.

Zawarł pokój w Jamie Zapolskim, godząc się na oddanie tylko Połocka Polsce i na zrzeczenie się pretensji do Inflant przez cara.

A Iwan—na Turcję nie ruszył, chociaż przyrzekł.



Kozak zaporoski. (Rys. J. Stemler).

Klęska najeźdźców.

— Jedzcie, jedzcie, panowie i pijcie — wołał książę Karol Sudermański do swoich wodzów i oficerów, którym ucztę wyprawiał w obozie w Blumental, niedaleko Rygi.

— Jedzmy przed walką — rzucił z ochotą Paweł Stygiel, Pomorczyk, jeden z wodzów szwedzkich.

— Lepiej pijmy, bo zimno — poprawił go obożny Krzysztof Szum.

— Szum ma rację—zgodził się generał Mansfeld. Zimny mamy październik, trzeba się rozgrzać, póki czas pozwala.

— Za to bratu królewskiemu ciepło—szepnął do Mansfelda, siedzący obok książę Luneburski.

— O, biedny Zygmuś płacze pewnie—śmiał się.

— No pewnie, stracić całe Inflanty i zamiast korony szwedzkiej dostać dekret detronizacyjny, to przecie nie jest przyjemne.

— Nasz Karolek umiał to jednak urządzić—naigrawał się dalej Mansfeld. Zygmunt prosił go o zastępstwo, a sam pojechał objąć tron polski, tymczasem Karolek na prawo i lewo zjednywał sobie sympatje, wreszcie ni stąd, ni zowąd uchwała zapada: Katolicy nie mają żadnych praw w Szwecji.

— A to urządził Zygmunta!—wykrzyknął książę Luneburski. I do tego Zygmunt taki zażarty katolik.

— O czem to panowie rozprawiacie? wmięszał się Karol

książę Sudermański, który prowadził całą wyprawę na Inflanty.

— Mówimy, że nie będzie zbyt ciężką jutrzejsza bitwa — skłamał bez zająknienia Mansfeld.

— Skończymy z nimi w godzinę — dumnie zapowiedział Karol.

— No, może tak dobrze nie będzie — mówił roztropny Witting,—ale że nie zdołają się nam oprzeć, to jest niewątpliwe. Przecież ich jest garść w porównaniu z nami.

— Czy są dokładne wiadomości?—spytał Linderson.

— Są—odpowiedział Karol.—Ich wszystkich jest najwyżej 4.000—a nas 11.000 doskonałej piechoty i 5.000 najlepszej, szwedzkiej jazdy.

— Nasza jazda gorsza od ich—mówił doświadczony Krzysztof Szum, który z Polakami nieraz walczył, nawet w niewoli u nich przebywał.

— Ale piechota nasza da im zawsze radę, a mamy też armaty, które ich nie będą oszczędzały — cieszył się nadzieją zwycięstwa Karol Sudermański.

Wtem zjawił się w drzwiach Henryk Brandt, Finlandczyk, który na pierwszą wieść o wkroczeniu Szwedów do Inflant, przerzucił się na ich stronę.

— Co jest? — spytał Mansfeld, który go pierwszy zauważył.

— Schwytano żołnierza z obozu Chodkiewicza.

— Wprowadź—rozkazał wódz.

— Kto jesteś—pytano rycerza, od stóp do głów uzbrojonego doskonale.

— Krajewski, towarzysz z chorągwi litewskiej, z roty Feliksa Niewiarowskiego—brzmiała odpowiedź.

— Coś robił koło obozu?—spytał znów Brandt, gdy opowiedział, gdzie złapano jeńca.

— Co mi kazano—mówił dumnie.

Ponieważ jednak Karol był najlepszej myśli, nie rozgniewał się, przeciwnie bawiła go harda mina i odważne odpowiedzi junaka.

— Chodkiewicz ma dużo wojska?—pytano dalej.

— Wystarczy na was.

— Ej śmiałku! — tracił cierpliwość Mansfeld, który obok księcia Luneburskiego tylko mógł sobie pozwolić na uwagi w obecności króla Karola.

— Pozwól mu się wygadać, jenerale — uśmiechnął się wódz i kazał dalej indagować.

Jednak z odpowiedzi Krajewskiego dowiedzieli się tylko, że duch najlepszy panuje w polskim obozie tem bardziej, iż otrzymano wieści, jakoby Krzysztof Radziwiłł znajdował się tuż niedaleko z całem pospolitem ruszeniem Litwy.

— Dajcie mu spokój, panowie—zakończył indagację Karol—niech się teraz posili, a my spokojnie możemy już dzisiaj rozebrać między siebie łupy.

— Dobrze, dobrze—śmiali się wodzowie.

— Tobie Lindersonie, ponieważ jesteś chciwy dostanie się pozycja naprzeciw Dąbrowy i po nim weźmiesz sobie zdobycz.

— Brawo—zatrzęsła się sala od śmiechu.

— Książę Luneburski—ciągnął dalej Karol—musi koniecznie senatorską dostać zdobycz. Więc jemu Sapiehę oddaję. Generał Mansfeld weźmie sobie Lackiego suknie, aby trochę schudł, bo nieprzystojnie rycerzowi tyle ciała dźwigać.

Znowu wybuchły śmiechy.

— A o sobie zapominasz, królu—odezwał się niezręcznie Mansfeld.

— O, nie, przepraszam, ja skromny jestem, więc wezmę tylko to, co w namiocie Chodkiewicza znajdę. On Karol, ja Karol, on zwyciężał w Inflantach, ja też będę, no i zwyciężę także jutro i to właśnie tego zwycięscę.

Humor panował doskonały.

— Ale czas już o przyszłości pomyśleć — powstał Karol i począł wydawać rozkazy, by natychmiast przesunięto wojska ku Dźwinie.

Wkrótce opustoszał namiot, a ruch począł się w obozie.

Rozszalała burza na dworze — ta burza północna, która siły od wichrów morskich zapożycza i wierzchołki drzew ku

ziemi chyli, łamiąc je z łoskotem i trzaskiem, która boki skał odrywa, by huk straszny rodzić i postrach siać po chatach przydrożnych i po wioskach górskich.

I deszcz szedł niemiłosierny, październikowy zimny deszcz, chłodem krew ścinając w żyłach i bijąc bez litości w stojące szeregi, jakby je za winy jakieś karał, jak surowy ojciec smagał.

A kiedy wstawać począł mglisty, chłodny dzień, wojsko Chodkiewicza, ukryte za pagórkiem, ujrzało nagle pędzący, co koń wyskoczy, mały, drobny oddział.

— Witajcie — zawołał Chodkiewicz, który swem bystrem okiem rozpoznał pomoc.

I rzeczywiście była to pomoc niespodziewana.

Książę kurlandzki, Fryderyk w ostatniej chwili rzucił się wpław przez Dźwinę z 300 rajtarami chłop w chłopa, których przywiódł polskiemu hetmanowi pod wodzą poruczników Reka i Eucholda.

Była już ostatnia chwila.

Chodkiewicz mimo podniecenia zachowywał sztuczny spokój i rozdzielał stanowiska.

Na czele ustawił swój pułk hetmański, z 300 husarzy złożony, pod wodzą porucznika Wincentego Wojny. Jemu to dodał przybyłych świeżo rajtarów księcia kurlandzkiego Fryderyka.

Na lewem skrzydle stanął Tomasz Dąbrowa, mając pod sobą 200 husarzy i 3 tatarskie chorągwie Ibrahama, Bohdana i Mustafy, razem liczące 250 ludzi.

Za nimi stanęli Plettenberg, Sakin i szlachta inflancka ze spiśnikami, jak również Tatarzy pod wodzą Zahara i Achmeta.

Straż tylną stanowiło stu ochotników Jana Kuleszy, Talwosza i Białłozora, pod wodzą Komorowskiego.

Prawe skrzydło zajął Jan Sapieha, który prócz litewskiej jazdy miał pod swymi rozkazami pancerną chorągiew Niewiarowskiego.

W środku za pułkiem hetmańskim stanął Teodor Lacki i Rosze z piechotą.

Z boku zaś ustawił Chodkiewicz swych ciurów.

Nagle pojawił się przed szykiem swoim.

Twarz jego jaśniała zapałem, cisawy koń dumnie podniósł głowę i zarżał, jakgdyby rozumiał, że odważnie iść trzeba, że odwagę czuć musi.

— Tam, za skałą—wskazał wódz—wróg stoi zamorski. Już od lat szeregu tratuje tę ziemię naszą, klęsk i hańby przydając ojczyźnie miłej. Przed nami dziś stanął. Nam powierzona cześć, honor i całość ojczyzny. Zanadto jesteśmy rycerzami, zanadto miłujemy ziemię naszą i jej wolność przez wroga zdeptaną, byśmy przebaczyć to mogli i we krwi wytoczonej z przybyszów nie utopić zarazy naszej, naszej hańby. W tem dziele obrony swej ziemi, w onym trudzie karania najazdu, Ty nas wspieraj Jezusie i Marjo!

— Jezus Marja!—zawołał głosem strasznym huf cały i za przykładem Chodkiewicza runął naprzód.

A skały odbiły ich głos i poniosły w szeregi szwedzkie, które, wbiwszy włócznie skośnie do poziomu, czekały spokojnie, z flegmą.

Huk salwy się rozległ, a potem jęki i krzyk zderzeniem wywołany.

Jak gdy siekierą w dębowy uderzasz pień, a ona odbija się głucho, tępy jęk wydając, tak odbijał się szereg polski, napróżno starając się przełamać mur rajtarów szwedzkich.

Wyszła i druga chorągiew, na skinienie Chodkiewicza, wypadli na drobnych, śmigłych koniach Tatarzy, a przecież ściana wciąż stała, gdyż każdą powstałą lukę, zapełniała rezerwa, której Szwedzi mieli poddostatkiem.

Wtem głos piszczałki dał się słyszeć.

Powoli zaczęły się cofać szeregi husarji, prędko powróciły watahy tatarskie, a z każdą chwilą rosła szybkość ich ruchów, z każdą minutą powiększał się ich pośpiech.

— Co to? Ucieczka? — krzyczy Plettenberg, na lewem skrzydle stojący, a rozpacz czuć w jego głosie, rozpacz, która błyskawicznie po szeregach się rozchodzi, nie rozumiejących, co się stało.

— Co to? Uciekają? — krzyczy Karol Sudermański i nie posiadając się z radości rozkaz rzuca wszystkim: w pogoń.

Dopadają ostatnich szeregów polskich, które bronią się mimo pozornego przestrachu, stawiają opór, a uciekają coraz bliżej pagórka, coraz bliżej.

Wpada rajtarja szwadzka, pociągnięta ucieczką, mięsza się konnica z piechotą i nagle tłumem ogromnym, bez porządku wyrasta przed Tomaszem Dąbrową, którego skała osłaniała dotąd, czyniąc niewidocznem całe lewe skrzydło.

Nagle zjawia się postać Chodkiewicza:

— W nich!—rzuca rozkaz i w tej chwili jakby wichr szalony pochyla setki głów i zanim piechota Szwedów ma czas się sprawić, zanim ma czas ochłonąć, już z całą masą, aż grzmot się rozległ uderzają w nich jeźdźcy i konie, łamie ich 200 husarzy, a Tatarzy iskrzącemi oczyma wpijają się w twarze rajtarskie, a krzywemi szablami gaszą życia ich młode i przedzierają się dalej i dalej, trupy ścieląc przed sobą, trupy zostawiając za sobą.

I Plettenberg i Sakin i Kossakowski w dzikim ataku rzucają się przed siebie na rzeź okropną, na rzeź straszliwą.

Pracują szable, dyszą ciężko piersi, mdleją ręce od szybkich i niszczących ruchów, a litości nikt nie zna, a czucia wszystkich zamarły.

Zrozumiał Mansfeld wszystko.

I jako wódz doświadczony, zbiera wokół siebie żołnierzy, stwarza nowy oddział, z którym wysuwa się naprzód, podczas gdy resztki piechoty cofają się w popłochu ku swoim dawnym pozycjom, na miejsce, gdzie zwycięstwo już się do nich śmiało.

Zmienia się obraz.

Obok Mansfelda, który swoich rajtarów napróżno już szukał, więc nowosformowanym dowodzi oddziałem, stają nowe, niezmęczone szeregi Wakebarta i Stywera.

W nowem zmaganiu się, w nowym paroksyzmie walki ucichły na chwilę okrzyki, zamilkły na chwilę głosy, by z nową wybuchnąć siłą, z nowym szabel szczękiem się złączyć, w świeżym rozszaleć ataku.

Oddziały szwedzkie rosną powoli, rosną z każdą chwilą.

Słychać grzmot armat, ale ten po chwili ustaje, tak zmięszały się polskie szeregi z szwedzkimi.

Wtem świst znowu słychać.

I jakby to były ćwiczenia, rozstępują się nagle szeregi polskie, a z tyłu za nimi ukazuje się oddział husarji, w pełnym rozpędzie idący pod wodzą Jana Sapiehy.

— Herr Je! — krzyczą Szwedzi w przestrachu.

Lecz oni cześć znają żołnierską. Chociaż śmierć im w oczy zajrzała, chociaż czują zimne jej ostrze, stoją, jak zaczarowani, niezdolni myśleć o ratunku własnym.

I rzeź nastała straszna, krew strumieniami spływała, barwiąc łąkę czerwono, a szable cięły i cięły.

A wtem tą samą drogą, którą książę kurlandzki pomoc przywiódł niespodzianą, w pełnym rozpędzie conajmniej pół tysiąca pędzi rozhukanych koni.

Widzą je polskie szeregi, rozpoznają już znaki najeźdźców i w tej chwili łamią się sprawnie, stwarzając nowy front, gotów na przyjęcie wroga.

Skoczył naprzód Niewiarowski, Jabłonowski, Strepkowski, skoczyli dwaj Mickiewicze, rozumiejąc, że jeśli nie wstrzymają tej watahy, w rozsypkę pójdzie piechota i cała bitwa może przyjąć niepomyślny obrót.

Jak straceńcy stanęli w szeregu, ramię przy ramieniu, a za nimi ustawiać się począł nowy szyk, tworzył się nowy oddział.

Tymczasem zaś otoczyło ich morze głów końskich, jasno stało się wokół nich od szabel, na których grać poczęło południowe słońce, wyjrzawszy z za chmur czarnych.

Jakby chciało ich duszom promienie zesłać, jakby drogę im wskazywało do nieba, gdzie przyjęcie znajdą serdeczne i nagrodę za męstwo, za bohaterską ofiarę.

Padł Talwosz i Mamocki, zginęli dwaj Mickiewicze i Milewski młody, oddali życie w tem starciu Jabłonowski, Strepkowski i Hohoł i Jurakowski—kwiat rycerstwa polskiego.

Ale wstrzymali natarcie, ale ofiar tyle zabrali za lata swe młode, że Szwedzi, przed chwilą potężni, cofać się poczęli w przerażeniu i z pola bitwy uchodzic.

Wtedy Brandtowi zdrajcy, który, jak mu kazano, z boku wpadł na Polaków, przyszedł z pomocą Linderson.

Rozszzalały walką, pędził na ogromnym koniu bez czapki na głowie, szablę trzymając jedną, uzdę drugą ręką i potężnie wsparł cofające się już szeregi.

Zobaczył go Latkowski, który wraz z Pągowskim cały czas razem się trzymał, strzemieniem strzemienia dotykając. I jedną myślą tknięci, rzucili się na jenerała, którego w tej chwili kilku jeźdźców szwedzkich oddzieliło od dwóch rycerzy.

Lecz jak szereg kłosów, które pod sierpem się znajdą, pada nagle, by nigdy nie powstać, tak samo w jednej chwili zgasiły tamtych szablice polskie.

Takie widać było przeznaczenie.

Równocześnie dwie spadły szable, jedną śmierć niosąc wodzowi szwedzkiemu.

A chociaż w tej chwili pokryła młodzieńców fala jeźdźców, z pod której nigdy nie wyjrzeli, przecież wieść poszła od końca do końca:

— Linderson padł—wódz padł.

I ucieczka poczęła się w pojedynkę, potem gromadki rzuciły się płochliwe, aż wreszcie całe wojsko szwedzkie podało tył, ratując życie drogie, zostawiając zaś zwycięstwo i sławę.

Aż do Blumentalu poprzez równinę rozległą, po długiej drodze trwała pogoń, zakończona o ćwierć mili od Rygi niedawno oblężonej przez Szwedów.

Na tej ogromnej przestrzeni 9.000 trupów szwedzkich się walało, 9.000 rycerzy, którzy na zawojowanie przyszli Inflant, a zostawili tu życie młode i sławę swą żołnierską i chorągwi 60 i dział 11, one zaś potem posłużyć miały na wielki, wspaniały dzwon.

Chodkiewicz jeden smutny chodził po pobojowisku, bo

jednak i on dosyć ludzi stracił w onej bitwie Kirholmskiej w r. 1604.

W milczeniu spoglądał na leżących bez ruchu żołnierzy.

A oni młodzi z twarzami skrwawionemi leżeli, w słońce patrząc, które im w ostatnie przyświecało chwile, wiodąc jasną i świetlistą drogą tam, gdzie wieczna panuje jasność, wieczne szczęście i wesele.

Żółkiewski.

Na dworze carów moskiewskich w 1610 roku wielki panował ruch.

Biegali pachołkowie moskiewscy i polscy, zjawiali się rycerze, wołając na giermków swych, by rychlej suknie pakowali i juki wsadzali na konie.

A w komnacie narożnej siedziało dwóch mężów, rozmawiając ze sobą.

Jeden z nich siwą swą głowę spuścił i bezwiednie obracał czapkę, którą w ręku trzymał. Jego pomarszczone, wysokie czoło przeciął jeden fałd pionowy, jak zwykle bywa u ludzi, którzy wiele myślą.

— Moje służby na nic!—mówił on do drugiego mężczyzny, znacznie młodszego niż on, mającego dużo więcej pogody w błękitnych oczach. Trzeba do dom wracać, aby tam trapić się tylu nieszczęściami.

— Nie wątpię — podtrzymywał w nim wiarę Aleksander Gąsiewski, który obecnie miał zostać w Moskwie, jako wódz polskiej załogi. Pojedźcie do Warszawy, przedstawcie wszystko stanom i królowi, a z pewnością uzyskacie, co trzeba, gdy oznajmicie im owe warunki, w jakich się tutaj rzeczy znajdują.

Żółkiewski milczał.

Jego zmarszczkami okryta twarz wyrażała ból wielki i zniechęcenie.

— Po co—mówił—będę im w oczy lazł? Król mi nie wierzy widocznie, nie ufa. A ja mu przecież życie całe służyłem. Zawsze zresztą stawałem w obronie całości i porządku Rzeczy-

pospolitej. Jeszcze za króla Stefana gromiłem Tatarów i buntujące się kozactwo, gdy Nalewajko z watahami swemi palił i rabował. Wymierzyłem mu sprawiedliwość, na pal go wbić kazałem, bo na to zasłużył.

Zamilkł na chwilę hetman i myślami gonił wspomnienia lat dawnych, lat chwały.

— A kiedy nasz król dzisiejszy, jako szwedzki królewicz, dopominał się korony dziedzicznej po ojcach, ciężkie stąd spadły terminy na Rzeczpospolitą. I posłali mnie wtedy na Szweda, a jam go gromił, pod Rewlem trupami zasłałem pole bitwy. Ciężkie wówczas były chwile. Wojsko o buncie myślało, do którego Zebrzydowski nakłaniał. Pomawiali mnie o niewierność dla króla Zygmunta III, a ja pod Guzowem rokoszan gromiłem. I w nagrodę za moje służby, miałem podejrzenia.

— Dostaliście buławę hetmańską—wtrącił Gąsiewski nieśmiało.

— Buławę dostałem, bo obowiązki, które ona niesie, spełniałem już od śmierci wielkiego Zamoyskiego. Ale z buławą nie dostałem zaufania królewskiego, którego dotąd nie mam i pewnie mieć nie będę nigdy.

— Zobaczycie, teraz zdobędziecie.

— Śmiejcie się z tego. Już ja wiem, że król nie mnie będzie słuchał, a tych, którzy mu schlebiają, tak było tamtego roku. Król oblągł Smoleńsk, oderwany od Rzeczypospolitej przez Glińskiego jeszcze, a ja z wojskiem mojem pilnowałem tutaj sprawy królewicza Władysława i sprawy Polaków. Król tymczasem kazał mi sobie na pomoc przyjść, przez co Szujski mógł siły swe obrócić na odsiecz Smoleńskowi.

— Ale nieszczęście nie wynikło z tego?—podchwycił Gąsiewski.

— Nie wynikło. Bóg poszczęścił mi pod Kłuszynem i wtedy król wysłuchał mnie raz jedyny przeciw własnej myśli. Stanąłem pod Moskwą, przeszedłem jej bramy, carów Szujskich do niewoli wziąłem i tak poprowadziłem układy z Moskalami, że ci do króla pod Smoleńsk wysłali delegację, prosząc o przysłanie królewicza Władysława, jako cara rosyjskiego. Ale cóż z tego wszystkiego? Na darmo moja praca i moje starania. Inni lepiej znają radzić.

Machnął ręką starzec i przygnębiony opuścił głowę.

Gąs ewski nie wiedział, jak go pocieszyć. Widział, że Żółkiewski ma rację, czuł, że jeśli kiedy, to taraz właśnie jest chwila połączenia polskiej korony z rosyjską, teraz, gdy sami bojarowie moskiewscy zapraszają na tron królewicza Władysława.

Jakby zgadując jego myśli rzekł hetman:

— Mówią moi nieprzyjaciele: dlaczego Żółkiewski zgodził się na zmianę wiary królewicza. A przecież starałem się ten warunek usunąć, lecz kiedy widziałem, że bojarowie to na pierwszem stawiają miejscu, musiałem się zgodzić. Zacznijmy żyć zgodnie a może i we wierze się zgodzimy. Lecz król i słyszeć o tem nie chce, jak mi opowiadają.

— Jedźcie do króla—prosił Gąsiewski — niechaj usłyszy od was, że to konieczne, niech ustąpi, bo inaczej będzie trwała wojna z Moskwą ciągle i zawsze.

— Zrobię, co można—zgodził się Żółkiewski, ale tak mi się zdaje, niczego nie uzyskam i do was tutaj wrócę, albo do siebie, do domu. Bywajcie zdrowi, czas już jechać. Bywajcie.

— Ostańcie jeszcze, słońce zachodzi, ciężka będzie podróż w nocy—namawiał Gąsiewski.

— Nie, tutaj na słońce czekać nie będę, mnie po słońce jechać trzeba, choćby przez noc ciemną.

I pojechał hetman stary.

A kiedy mijał bramy Moskwy, chyliło się przed nim słońce na zachodzie i cienie kładło długie, czarne smutne.

Chyliło się słońce Żółkiewskiego, a w jego miejsce chmury szły, z za których nie widział hetman jaśniejszego światła, nie widział radości, ni pociechy żadnej.

Zygmunt III nie usłuchał jego rad.

I w żalu żył daleko od spraw publicznych odtąd, i targało się w nim serce, gdy słyszał o buntach i grabieżach wojska polskiego w Moskwie, gdy wreszcie pokój w Dywilinie w r. 1619 oddawał Polsce ziemię Siewierską, Czernichowską i Smoleńską, a tron carów zostawiał Michałowi synowi Fiodora, nie zaś Władysławowi, królewiczowi polskiemu.

A chociaż miała Polska Chodkiewicza i Koniecpolskiego, przecież boleć musiał Żółkiewski, gdy Rzeczpospolita nie mogła dać dosyć sił na pokonanie Turkow, którzy z Multan wypędzili Mohiłów, sprzymierzeńców Polski.

Na dobitek nieszczęść straciła Polska Chocim, przez Turków zdobyty.

I nie zaznał już hetman pociechy, nie zaznał radości w swem życiu.

A kiedy w r. 1620 znowu wojna wybuchła z Turkiem o Multany hołdownicze — stanął Żółkiewski przy Koniecpolskim i wiódł rycerstwo nieliczne na strasznego wroga.

I pod Cecorą głowę swą siwą złożył i w ostatniej chwili widział straszną, ciężką klęskę Rzeczypospolitej.

Tak zaszło mu życia słońce—chmurne, krwawe.

Na Padole.

Małe było kollegjum bazyljańskie na Padole kijowskim.

Dom z czterech pokoi przy klasztorze św. Bazylego mieścił w sobie i mieszkanie rektora i sale dla nauki uczniów.

A jednak bardzo wielką czuli wdzięczność mnisi monasteru dla Halszki z Hulewiczów Łowczyny, która swój dwór z placem ofiarowała w r. 1615, by stąd nauka szła na Ruś kijowską, by tutaj chowali się ci, którzy wiarę świętą zgodnie z nauką Kościoła rzymskiego mieli siać wokoło i wiarę szczepić w wychowankach dosyć licznych.

Głośno biły dzwony monasteru 10 października 1628 r.

Bo też szczególnie dla Rusi, która swoją wiarę zachowała i zdolna była przecież z Rzymem żyć w zgodzie, wielka i ważna to była rocznica, którą papież w całym kazał czcić Kościele.

Szczególnie Ruś, ciągle niszczona przez Tatarów i Turków, modliła się gorliwie i dziękowała Bogu za zwycięstwo, jakie pod Chocimiem Chodkiewicz i Lubomirski w roku 1621 odnieśli.

Nie tylko pomścili oni wówczas śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą, nie tylko srogą wzięli karę za barbarzyńskie odcięcie głowy hetmana, ale też, położywszy około 60,000 Turków trupem — nakazali sułtanowi Polski słuchać i Polskę czcić bojaźliwie.

Więc w ów dzień nakazał rektor szkoły, Melecjusz Smotrycki, archiepiskop połocki, nie odbywać zwyczajnych nauk, dać swobodę uczniom, których około 40 znalazło pomieszczenie w monasterze i naukę w szkole.

Kiedy zaś dzwonek klasztorny zadzwonił na modlitwę poobiednią, z radością uklękli chłopcy wraz z monachami w celi, gdzie zawsze spożywano objad, bo wiedzieli, że dzisiaj rekreacji czas spędzą w ogrodzie rozległym, który się ciągnął za budynkami klasztoru, aż pod górę św. Andrzeja i pod zamek wojewodów.

I rzeczywiście.

Gdy wstali od modlitwy, usłyszeli dobrze znany, dźwięczny głos rektora:

— Do ogrodu.

Wybiegli radośnie i rozsypali się po dziedzińcu, goniąc za sobą, podstawiając nogi kolegom, pędzącym na wyścigi, a każdy upadek przyjmowany był wybuchem serdecznego śmiechu i dziecięcego naigrawania się z nieostrożnej ofiary żartu.

Szczególna zaś panowała radość, gdy udało się któremu umiejętnie przewrócić ucznia „quadrivium“, jak nazywano go poprostu „czetwertiaka“.

Ci bowiem chodzili już w długich powłóczystych szatach zakonnych, w które zaplątywali się, upadłszy, a gromadka chłopaków roześmianych otaczała wówczas nieszczęśnika i targała go ze wszystkich stron, schylając się nad nim roześmianemi twarzami.

Niedługo trwały te gonitwy.

Ukazała się na progu postać ks. Smotryckiego, który z siwiutkim, jak gołąb, ks. Hjobem Boreckim, byłym rektorem szkoły, a obecnie opiekunem gorliwym, szedł również zażyć świeżego powietrza w ogrodzie.

Zaraz też najlepsi uczniowie, Ignacy Jewlewicz i Janek Jerlicz w dwa szeregi ustawili uczniaków i poprowadzili między drzewa, które wkrótce rozbrzmiały srebrnym, dziecięcym śmiechem, okrzykami przestrachu goniących i wybuchami radości zwycięsców.

Ks. Borecki. jak zwykle, o szkole mówił:

— W monasterze peczerskim szemrają przeciw temu, że chłopcy ruscy łaciny się u nas uczą.

— A my to nie ruscy? — uśmiechnął się Smotrycki — a przecież nie zmieniliśmy się przez to.

— Oni prawosławni, to im nie w smak nasza zgoda z Rzymem — ciągnął dalej staruszek. — Dziwni ludzie, uczą

słów Chrystusa niby, a taką nienawiść czują do wyznawców tej samej wiary.

— Nie dziwię się im. Oni przecie żadnego wykształcenia nie mają, nie wiedzą, co się na świecie dzieje.

— Najbardziej to ich przejęło, że Sakowicz, który także był u nas rektorem, przeszedł na unję.

Twarz Smotryckiego spochmurniała.

— Gniewa cię to?—spytał Borecki.

Ten nie odpowiadał, a blady zatrzymał się w miejscu.

— Chociaż, co tu się gniewać — mówił Borecki, nie zważając na wzruszenie Smotryckiego, myśmy w prawosławiu zostali, a przecież wojny z Rzymem nie prowadzim i z Rzecząpospolitą żyjemy w zgodzie.

Spojrzał na Smotryckiego.

— Co wam jest?—zawołał zaniepokojony.

— Nic, nic—i ręką przeciagnął po czole zroszonem.

— Słabi jesteście?

— Et, dużo gadać.

Staruszek spojrzał na niego z troskliwością.

— Chodź do pokoju — zaproponował i zawrócił zaraz.

Za chwilę siedzieli w izbie klasztornej, urządzonej z prostotą.

— Powiedz, co cię gniecie? — spytał Borecki, siadając przy oknie, z którego widok roztaczał się na ogrody, na zieleń stoków górskich.

— Kuncewicz — padł jeden wyraz.

Milczenie zaległo pokój.

— Gdy sobie przypomnę—mówił tajemniczo Smotrycki— jego twarz bladą, gdy stanie mi przed oczyma ten straszny obraz, gdy jego do Dniepru ciągnęli, coś targa mnie w piersi i woła: Tyś zabił, tyś morderca. A ja przecież tego nie chciałem—prawie zawołał z rozpaczą.

Milczeli znowu.

Po chwili mówił Borecki.

— Można walczyć ze sobą, można się spierać, ale nie wolno mordować. To było złe, złe.

Wtem krzyki się rozległy w ogrodzie.

Pobiegli obaj do okna, a kiedy krzyk nie ustawał przywołali Jewlewicza.

— Co się tam stało?

Młody chłopak uspokoil ich.

— Nic wielkiego. Semen spadł z drzewa.

— Co sobie zrobił? — poruszył się Smotrycki.

— Trochę się potłukł, ale zdrów już i biega.

I zaraz, jak na zawołanie, wykwitła przed oknem gromadka dzieciaków 6-cio i 10-cioletnich, wśród których przewodził mały, krępy chłopak.

— Co sobie zrobiłeś? — zwrócił się do niego rektor.

— Nic — mówił śmiało chłopak. — Już nie boli!

— A wiesz, że skakać z drzew zabroniłem? — gniewał się ksiądz Smotrycki.

— Ja nie skakałem — bronił się chłopak — tylko postawiłem źle nogę na gałęzi.

— Skakałeś, nie kłam — wydał go jeden z chłopaków.

Semen zmierzył go strasznem spojrzeniem.

— Przyjdziesz tutaj — ukarał go rektor.

I za chwilę siedział chłopak w pokoju rektora, pociągając za karę gęsiem piórem po kartkach kilku, na których były wypisane litery łacińskie. W ten sposób uczył się on pisać, aż wreszcie potrafił taki sam znak postawić na białej karcie.

Tymczasem zaś dwaj rektorzy rozmawiali dalej.

I zgodzili się, że niecenie nienawiści do innej wiary, jest rzeczą najgorszą, szczególnie tam, gdzie myśl wroga bardzo łatwo w najbardziej wrogi czyn się zmienia, choćby w zabójstwo i morderstwo.

— Ale ja — kończył rozmowę Smotrycki — jestem w tem bardzo winny, bo i ja podniecałem tę nienawiść i ja uczyłem walki z Rzymem i z łacinnikami i z odstępcami unitami. Więc do pokuty trzeba mi się zabrać, do przebłagania Boga i przebłagania tego męczennika.

— Służ Bogu, jak teraz służysz, ucz dzieci, jak teraz uczysz, a najlepiej służbę spełnisz.

Przypomniał sobie Smotrycki, że już za długo trwa zabawa w ogrodzie.

Spojrzał na zachodzące słońce i zapytał:

— Może darować chłopcom kary?

— A daruj, daruj, Chocim to wielkie święto—zgodził się Borecki z uśmiechem.

Przywołał do okna Jewlewicza i Jerlicza.

— Zaprowadźcie chłopców do komnat i powiedzcie, że z okazji rocznicy zwycięstwa pod Chocimiem nie będzie w sobotę marmurka [1]). Tylko za kłamstwo kary zostaną.

I patrzył na idące parami dzieci.

I modlił się do słońca, które zachodziło.

I myślał o pokucie, którą wkrótce zaczął, zdecydowawszy się porzucić zaszczytny urząd archiepiskopa.

Poszedł na służbę prostą, lecz świętą.

---

[1]) Marmurkiem nazywała się w szkołach egzekucja, która odbywała się każdej soboty Chłopcy nieposłuszni, leniwi, lub kłamcy dostawali wtedy plagi na marmurku, któ y znajdował się przy piecu w dwóch niższych klasach.



Ratusz w Toruniu.

(Rys. J. Stemler)

Sejm religijny.

Nie zdołał Zygmunt III, aż do roku swej śmierci 1632 uspokoić walk religijnych, które do Polski z zachodnich krajów przyszły, gdy Luter podniósł buntowniczy głos przeciw Rzymowi.

Lecz Niemcy, Francja, Anglja, Szwecja innymi były krajami, niż Polska.

Tam krew strumieniami się lała, od r. 1618 w Czechach długa zaczęła się wojna, która szczególnie Niemcy wzdłuż i wszerz przebiegła, zniszczenie a śmierć wszędzie siejąc.

Wprawdzie i Polska dała się do niej wciągnąć, naprzód Lisowczyków 8,000 wysławszy na pomoc cesarzowi, potem przeciw Szwecji ku niezadowoleniu polskich stanów ruszyła. A chociaż wówczas po raz drugi mogła była powstać polska flota, jak za Zygmunta Augusta, chociaż jej początki były, przecież zapomniał naród o tem, jak bardzo polskiemu państwu siła morska jest potrzebna.

Dziwna to była rzecz.

Oświata kwitła w Polsce, ponieważ siała ją nie tylko akademja krakowska, ale i Zamoyskiego uczelnia, i akademja w Wilnie przez Batorego Jezuitom dana, i byli mężowie uczeni, którzy piórem służyli ojczyźnie, jak Kochanowski Jan, jak Mikołaj Rey, potem Łukasz Opaliński i Łukasz Górnicki i Andrzej Frycz Modrzewski i Piotr Skarga, sławny kaznodzieja i Bielski dziejopis.

A przecież na flotę nie było pieniędzy, nie było ich także za następcy i syna Zygmunta III, za Władysława IV.

Król wiedział, że niesnaski religijne tak z kościołem wscho-

dnim, któremu kozactwo służyło, jak i z odszczepieńcami od wiary św. kalwinistami i luteranami, wielkie sprowadzają nieszczęścia na Polskę. Najbardziej zaś budziły one walki wewnątrz państwa, budząc nieporządki i napady wzajemne żaków i starszych.

Więc też postanowił Władysław IV zakończyć wreszcie owe spory religijne, napady, owo nastawanie jednego Polaka na drugiego, czy to piórem, czy nawet z mieczem w ręku.

Zjechali się na życzenie królewskie przedstawiciele różnych wyznań w r. 1644 do Torunia i tam w ratuszu mieli się godzić.

— Ej—mówił Jerzy Ossoliński, kanclerz wielki koronny, który przewodniczył obradom, do Gerarda Denhofa, wojewody pomorskiego—nie będzie pociechy z tych dyskursów [1]), nikt ustąpić nie chce, więc i Rzeczpospolita korzyści nie odniesie.

— Trudno ustąpić w rzeczach wiary — bronił Denhof. — Przyznacie zaś, że przez burzenie zborów [2]), napadanie żaków, jak to zalecają księża Jezuici, nie będzie rosła zgoda.

— To pewne — zgodził się Ossoliński.—Ale ten cały zjazd wydaje mi się niepożyteczny.

Tymczasem schodzili się członkowie sejmu.

Najwięcej było Jezuitów, którzy, jako znani ze zdolności w wymowie, licznie zjechali do Torunia, by bronić swej wiary, a pognębić Arjanów, Kalwinów i Lutrów.

Dzień ten był ostatnim dniem rozpraw.

Jakoż trzech tylko wyznaczono mówców: Jerzego Tyszkiewicza, biskupa żmudzkiego, który miał bronić religji katolickiej, Zygmunta Goldensztierna, starostę sztumskiego, który od wyznawców Lutra miał przemawiać i Zbigniewa Gorayskiego, kasztelana chełmińskiego, przedstawiciela kalwinistów.

Zaraz też zabrał głos biskup żmudzki, Jerzy Tyszkiewicz, który w długiej przemowie wykazywał wyższość nauki kościoła katolickiego nad wszelką inną religją.

— Jako więc — kończył — niższą i marniejszą istotą jest człowiek, niźli aniołowie, jako nie jest on zdolny zrozumieć ta-

---

1) rozmów.
2) Kościoły dysydentów, czyli inowierców, nazywały się zborami.

jemnic boskich i jeno sercem je odczuwa a wiarą przyjmuje, taksamo najwyższą musi być ta nauka, która od Boga samego pochodzi i w Nim bierze swój początek i treść swoją. Że zaś państwa naszego królowie i rząd wszelki tej religji hołdują, przeto nieprzystojną zdaje mi się rzeczą, by inne wyznania miejsce swoje tutaj miały zachować. Obywatelowie jednego państwa, synowie jednej ojczyzny, w jednej winni wierze zostawać, gdyż inaczej walki nieuniknione się rodzą i spory wieczne.

Czas nam już te spory zakończyć.

Lecz nie chciał się zgodzić na ową wyższość religji katolickiej Zygmunt Goldensztjern, starosta sztumski.

— Dlaczego—mówił on—lepiej rozumieć ma naukę Chrystusa biskup żmudzki, niż ją rozumiał Luter? Przecie i jeden biskup i drugi są ludźmi tylko. Przeto muszę to rozumienie o religji zachować, które bardziej do mego umysłu przemawia. Bardziej zaś wierzę w to, co mówi Luter, gdyż on niczego nie dodaje ponad rzeczy, które w Piśmie św. może każdy wyczytać. Pytałem panów katolików, gdzie macie wypisane owe nauki o Matce Boskiej. I nikt mi na to nie odpowiedział, ani biskup żmudzki wcale tego nie dotknął. Dlatego nie jestem przekonany i będę trwał w tej wierze mojej, która mi się najlepszą zdawa.

Tak samo i Zbigniew Gorayski nie ustąpił niczego z zasad swej wiary, a na inną rzecz zwrócił uwagę.

— Bo to wam powiem — zwrócił się do katolików — że wiele klęsk Rzeczypospolitej w tem bierze swój początek, iż źle na różne religje patrzycie. Czyż nasz król, Władysław musiałby przed dziesięciu laty znowu Smoleńskowi z obroną śpieszyć, znowu zwycięskie wprawdzie, ale krwawe walki staczać, dobywając Drohobuża, Wiaźmy, aż pod Moskwę idąc, gdyby król Zygmunt nie był w swojej wierze tak upartym? Nie zawieralibyśmy tego pokoju z Moskwą, który nam oddał wprawdzie Inflanty, Kurlandję, Estonję, Smoleńsk, Siewierz i Czernihów, ale pozbawił nas nadziei powiększenia państwa o moskiewską koronę. Taksamo owocem sporów religijnych jest ów traktat w Sztumdorfie z r. 1635, który nam zabrał Inflanty, aż po Dźwinę. A owe kozackie walki o Kudak, Korsuń, Czehryń, czy nie mają źródła w religijnych sprawach?

Więc jedno nam tylko zostaje:

Niechaj każdy chowa taką wiarę, którą spodziewa się osiągnąć zbawienie duszy, ale państwo i rząd niech się do tego nie miesza.

Tak zakończył się sejm religijny w Toruniu.

A chociaż kanclerz Ossoliński, zamykając obrady wyraził nadzieję, że mimo niewyrównanych różnic obywatele polscy i szlachta polska potrafią utrzymać spokój i porządek w kraju i wystrzegać się będą wszyscy niepotrzebnych, a dla kraju szkodliwych zaczepek, przecież czarne stąd wstawały chmury nad Polską.

Bo mimo wszystko różnica wiary stanowiła dużą przeszkodę w zgodnem współżyciu stanów i rodziła teraz i w przyszłości miała się nieraz stać przyczyną długich, a krwawych bojów.



Ks. Augustyn Kordecki, przeor OO. Paulinów na Jasnej Górze.

(Rys. J. Stemler).

W celi Jasnogórskiej.

Ciemno jeszcze było na dworze, gdy ksiądz Augustyn Kordecki, bohater obrony Częstochowy, podniósł się z pryczy i, umywszy twarz zimną wodą, przed krzyżem stanął, na ścianie wiszącym i kornie ukląkł przed Panem.

Mała lampka, zawieszona nad obrazem Matki Boskiej, rzucała migotliwe, czerwone światło na pokój, podnosząc jego tajemniczości pełny mrok, w którym wydłużała się, olbrzymiała postać przeora.

Na twarzy jego zmarszczki siecią bogatą osiadły.

Bo też ciężkie miał życie.

Sercem całem ukochał on Polskę całą, a miłość owa rodziła w nim ból i ciągły ból.

Od roku 1648, gdy doszła go wieść, że król Władysław IV wyrusza osobiście zażegnać bunt kozacki, że może na Turków powiedzie wojska—od tego czasu nie zaznał prawie radości.

W kilka dni po tamtem radosnem poselstwie inne przyszło—hjobowe—król nagle umarł.

A chociaż elekcja bez walk się odbyła, każąc Janowi Kazimierzowi, bratu Władysława, jako trzeciemu z domu szwedzkich Wazów, włożyć na skronie koronę polską, przecież nie było wesela, nie było powodów do uciechy.

Cierniową okazała się polska korona.

— I dla mnie ciernie tylko przynosiły wieści z Polski — myśli Kordecki. — Wprawdzie po klęskach pod Żółtemi Wo-

dami i Korsuniem, po haniebnej ucieczce z pod Piławiec, po oblężeniu Lwowa, przyszła bohaterska obrona księcia Jeremiego Wiśniowieckiego w Zbarażu i układ w Zborowie, przecież nie mogłem się cieszyć. Zdrajca Chmielnicki dostawał buławę hetmańską nad kozakami i jeszcze starostwo czehryńskie.

Skurczyła się twarz przeora bolem i oczy zakrył dłonią.

— Lecz dał nam Bóg Beresteczko i wspaniałe zwycięstwo pod niem—a przecież nie poskąpił goryczy, bo oto szlachta sprzeciwiła się ściganiu zbuntowanych Kozaków i Tatarów, sprzymierzonych z nimi.

I przechodzi w myśli Kordecki szereg klęsk od czasu, gdy Chmielnicki w r. 1654 poddał się carowi Aleksemu. Prawie cała Litwa i Ruś zajęta, klęska po klęsce spada, aż tu nagle Karol Gustaw, król szwedzki napada na Polskę i najgorszą zadaje jej klęskę, powoduje zdradę własnych obywateli: Radziejowskiego Hieronima, Krzysztofa Opalińskiego pod Ujściem i Janusza Radziwiłła w Kiejdanach.

Na chwilę wypogadza się oblicze przeora.

Przypomniał Częstochowę i jej cudowną obronę w roku 1655. I z tej myśli jasnej nowe się rodzą, radosne. Widzi postać Stefana Czarnieckiego, który gromi i rozbija Szwedów pod Gołębiem, Niszkowem, Warką, i cały rok następny sławą oręża napełnia.

Lecz Szwedom przyszła pomoc.

Wyparci z Warszawy poszukali sprzymierzeńca w Rakoczym, który od południa ze swego Siedmiogrodu przez Pokucie do Polski spadł, by nowe zadać jej klęski i nowe niecić pożary.

— Dzięki Ci Panie za odzyskanie Torunia i ugodę z Kozakami w Hadziaczu—szeptają usta Kordeckiego, gdy pomyślał nad wypadkami r. 1658.

Lecz powrót Kijowa i Kozaków do Polski nową rodzi wojnę moskiewską, od której broni się Polska wszelkiemi siłami. Przez pokój w Oliwie w r. 1660, przez oddanie Szwedom Inflant i Estonji, zdobyła sobie możność spokojnego działania na wschodzie i na południu.

I jako sęp krwiożerczy spadł Czarniecki na Chowańskiego pod Połongą, Stanisław Potocki i Jerzy Lubomirski na Kozaków pod Czudnowem.

— A jednak, jednak Panie, strasznie nas karzesz. Gdy wróg za granice Polski ustąpił, wewnątrz nowy się rodzi, jak on Jerzy Lubomirski, który rokosz ośmielił się podnieść, który pod Mątwami w Kujawach królewskie wojska sromotnie rozpędził. A potem Moskwa.

— Panie, Panie—woła Kordecki padając przed krzyżem— toż Polska w owym andruszowskim pokoju Smoleńsk, Siewierz, Czernihów, Ukrainę, nawet Kijów straciła. A za to—za to odzyskała ową cząsteczkę Inflant, Połock i Witebsk.

I łzami wybucha starzec.

Bo ból to straszny dla niego, zwycięskiego obrońcy Częstochowy, dla niego, który dał początek powodzeniom oręża polskiego.

— Panie — modli się -- jam robak wobec Ciebie i nic nie znaczący sługa. Ale Tyś nieraz w łasce swej niezbadany próśb moich słuchał. Tyś pozwolił za innych się modlić i dla innych o szczęście prosić. Panie, ja błagam Cię, do stóp Twoich się ścielę, daj lepszą dolę królowi Janowi Kazimierzowi On Matkę Twoją Przenajświętszą za Królowę i Opiekunkę tego królestwa przyjął, gdy we Lwowie śluby składał, on w nabożeństwie dla Ciebie jeden z pierwszych. Okaż Swą łaskę nad nim, daj mu z nieszczęść odetchnąć.

Toż już 20 lat znosi on same nieszczęścia, wciąż jeno ból ma i łzy, a Tyś się jeszcze nie ulitował, a smagasz tylko i smagasz. Widzę ja wielkie nieprawości nasze, widzę zepsucie obyczajów i ucisk nieznośny stanów, ale ulituj się Panie dla tych sprawiedliwych, których jednak dość jest w Polsce naszej, dosyć ich jest jeszcze.

Załzawionemi oczyma spojrzał na wizerunek Zbawiciela, potem na Matkę Boską popatrzył i, jak dziecko uśmiechając się, przemówił:

— Do Ciebie Panienko Najświętsza pójdę, wyproś nam u Chrystusa lepszą dolę, wyproś grzechów przebaczenie i odwrócenie tej karzącej ręki, która nas od lat szeregu ściga.

Kurytarzem przeszedł do kaplicy, gdzie cudowny obraz się znajdował.

Własną ręką zapalił światła, własną ręką rzęsisty świetlny krąg rozniecił i krzyżem upadł przed Tą Opiekunką.

Jak ongiś modlił się żarliwie, bo czuł, że nieszczęścia nad Polską zawisły, że źle się dzieje i mroki otaczać ją zaczynają.



Stefan Czarniecki.

(Rys. J. Stemler).

Święto akademji Zamoyskiej.

Naprzeciw kościoła w Zamościu, w budynku akademji przez Wielkiego Zamoyskiego założonej, gromadzić się poczęły dziesiątki uczniów.

W skrzydle dużego, piętrowego budynku, opatrzonego na rogach silnemi podmurowaniami, zaroiło się od młodych twarzy. Byli tam chłopcy czternastoletni, byli też wąsaci już młodzieńcy, którzy od kilku lat w akademji przebywali, czerpiąc wiedzę po kolei na fakultecie artystycznym, potem na medycznym.

Tylko te dwa posiadała akademja Zamoyska — fakultet kanonistyczny, czyli prawniczy, nie istniał wówczas tutaj, na fakultet teologiczny nie było papieskiego pozwolenia.

To też akademja Zamoyska inny miała wygląd, niż Krakowska lub Wileńska. Tam nie było prawie uczniów, którzyby nie mieli święceń kapłańskich, którzy nie uważaliby studjów za początek i środek do swej karjery duchownej.

Przeważnie zamożna młodzież, jaka skupiała się w Zamościu, pragnęła tylko nabyć tu początków wiedzy, którą potem za granicą pogłębiała.

Wtem gwar się podniósł.

— To ty — wołał Adam Jurantowski, mający dziś przez bakałarza artystów powierzony sobie dozór nad szkolarami — będziesz mi przychodził na taką uroczystość w tak nieprzystojnej sukni!

Koledzy zaś przybrani w długie suknie, przepasane około bioder, wypychać poczęli i ze wszech stron zaczepiać młodego chłopaka, o jasnych blond włosach, który błagalne spojrzenia rzucał na Jurantowskiego.

— Dlaczego przyszedłeś tak ubrany?—zapytał spokojniej Jurantowski, który więcej z zapału do powierzonej sobie funkcji, niż z oburzenia tak krzyczał przed chwilą.

— Nie mam—odparł przez łzy chłopak.

— To nie chodź do akademji, a zostań w swoim stanie—zadrwił nielitościwie.

I znowu drwić zaczęli koledzy, którzy przeważnie pochodząc ze stanu osiadłej i zamożnej szlachty mieli w pogardzie mieszczan i chłopów.

— Janek z Księżycowa—naigrawali się.

— Jaśnie pan z Pustej Kieszeni.

I tym podobne wyzwiska sypały się, wywołując rumieniec na twarz biednego chłopaka.

— Weź od matuli suknię i przepasz się powrozem od waszego byczka—rzucił inny, aż koledzy śmiechem wybuchnęli, który głośno rozległ się w budynku.

Ale w tej samej chwili rzucił się Janek, który pospolicie nazywał się Jankiem z Szczebrzeszyna, na swego prześladowcę i wymierzył mu silny, gorący policzek, a potem kułakami zaczął go okładać, wołając przez zaciśnięte, błyszczące zęby.

— Tylko mi matuli nie ruchaj.

Rzucili się koledzy i rozerwali walczących.

— To coś strasznego—wołał starszy szkolar, Samuel Głuszyński—tak się bić, wstyd.

— Do rektora, do rektora—wołali inni.

I wobec decyzji Jurantowskiego, poszli na drugą stronę budynku, gdzie znajdowały się mieszkania magistrów.

Ci zebrali się właśnie w jednej sali, która się aulą zwała i rozmawiali spokojnie.

Hałas zbliżających się szkolarów, wywołał na próg rektora Bazylego Rudomira, który zaraz zawołał do kolegów:

— Oho, jakaś sprawa będzie.

Zaraz też stanął przed nim Jurantowski, trzymając za jedną rękę Janka z Szczebrzeszyna, za drugą zaś sprawcę nieszczęścia, Aleksandra Rakowskiego.

Gdy Jurantowski opowiedział zajście, rektor załamał ręce:

— To tak się sprawujecie. I to dzisiaj, gdy święto niezwykłe obchodzi nasza akademja.—Aż trząsł mu się biret, gdy

głową zaczął kiwać, bolejac nad zachowaniem się swoich uczniów.

— Dać jednemu i drugiemu 25 plag i do wieży—zaproponował gniewnie ks. Wielkowicz, który słynął ze srogości.

— Naprzód trzeba posłuchać, czyja większa wina—oparł się rektor.

— Słusznie, słusznie—przytaknęli inni magistrzy.

— To dobry chłopak—dziwił się profesor wymowy ks. Jan Rożeński, suchy bardzo, a najwyższy ze wszystkich.

— Kto dobry?—pytał rektor.

— Janek—odparł zapytany.—Niema lepszego szkolara na naszym fakultecie.

— No posłuchamy—zawyrokował rektor i zawrócił do auli, a za nim szkolarze.

Nie długo trwało śledztwo.

I Jurantowski i Głowczyński i Mikołaj Czetwertyński, powołani do opowiedzenia zajścia, zeznali zgodnie, że Janek nic nie odpowiadał na zaczepki, dopiero, gdy Sakowski kazał mu z matuli ściągnąć suknię, wybuchnął niespodziewanie.

Rektor, zamiast myśleć o wyroku, narzekał:

— To uczeń naszej akademji dzisiaj królem zostaje [1]), koronę włożono mu na głowę, a jego następcy w ten sposób się sprawują, hańbę na nas ściągając.

Ale jego wzrok dawniej srogi miękł coraz bardziej, gdy patrzył na spuszczoną nizko ku ziemi twarz Janka z Szczebrzeszyna.

Podobał mu się widocznie chłopak, bo kazał mu bliżej podejść.

— Popatrz na mnie—przemówił po łacinie.

Chłopak zrozumiał i błękitnemi oczyma objął siwą głowę rektora.

---

[1]) Michał Korybut Wiśniowiecki, obrany królem w r 1669 (po zrzeczeniu się korony przez Jana Kazimierza), był uczniem akademji w Zamościu.

— Nie masz tabardusa? [1])—spytał znowu w tym samym języku.

— Nie mam—odparł chłopak cicho.

— Dlaczego go uderzyłeś?

— Bo mu do matuli wara—zawołał po polsku.

Profesorowie uśmiechnęli się między sobą.

Wyszli szkolarze na rozkaz rektora, ten zaś zwrócił się do kolegów:

— Więc zaczniemy dzisiejszą uroczystość od sądu nad tymi dwoma?

— Zaczynajmy—śpieszył się Sebastjan Dobraszowski.

— Księdzu dam głos naprzód, bo widzę macie coś na języku.

Jakoż Dobraszewski ku ogólnemu zdziwieniu zaproponował:

— Jankowi sprawić tabardus w nagrodę, że matkę czci, nie dać obiadu dzisiaj za karę, że uderzył. A Sakowskiego wsadzić do karceru, niech o wodzie i chlebie przesiedzi tydzień za obrazę matki i za to wstrętne wywyższanie się nad niższe stany.

Naogół podobał się taki wyrok, tylko kara dla Janka zdawała się zbyt małą.

Ale w obronie stanął Jan Brudzyński, magister filozofji:

— Nie mówcie, że występek Janka zbyt wielki, bo wtedy zbrodnią chyba nazwiecie to, co uczynił Sakowski.

— Zważyć jednak musimy — odezwał się Stanisław Niewieski—że tutaj jest nie tylko naruszenie dyscypliny, ale też obraza stanu szlacheckiego. Bo Sakowski urodzony [2]), a Janek syn mieszczański.

— A wolno Sakowskiemu lżyć matkę mieszczanina? — spytał rektor.

— Wedle praw naszych właściwie wolno.

— Nie, księże dobrodzieju, mylicie się — oburzał się Ru-

---

[1]) Tabardus była to toga, używana podczas uroczystości szkolnych przez szkolarów, bakałarzy i magistrów. Bakałarze i magistrzy mieli ponadto birety.

[2]) Urodzony znaczyło tyle, co szlachcic.

domir — nie wolno mu, jeno do sądu może iść. A chociaż w tym sądzie szlachta będzie sądziła sprawę, przecież sprawiedliwości stanie się zadość. My jesteśmy szlachtą, więc także jesteśmy sądem dla tych dwóch.

I wedle wyroku księdza rektora przyjęto wniosek ks. Dobraszowskiego, podniesiono Jankowi karę z jednego dnia na dwa.

Stało się zadość sprawiedliwości, jakkolwiek w owych czasach w Rzeczypospolitej rzadko ją osiągał mieszczanin, a nigdy prawie chłop.



Ratusz w Zamościu.

(Rys. J. Stemler).

Tryumfalny wjazd.

Wrzesień był w całej pełni.

Lato ostatnimi dniami darzyło świat, wskazując pożółkłych drzew koronami, ścierniskami pól niezaoranych, że zbliża się przedzimowa pora, że nadchodzi jesień, która zieleń zabierze i barwę świeżości na długie zniszczy miesiące.

Ale przywykli ludzie do tych zmian, wiedzieli, że po nich znowu zajaśnieje słońce i znowu, jak dziś, jak ongiś, upalne przyjdą dni.

Może dlatego takie roześmiane twarze Wiedeńczyków?

Może dlatego biją tak potężnie dzwony stołecznego Wiednia?

Moze dlatego takie tłumy rojnie wyległy na ulice stolicy Austrji, zapełniły po brzegi plac św. Szczepana i wszystkie przyległe wyloty i wszystkie wyniosłych kamienic krużganki?

Zawarczały bębny...

Wzniosły się pod niebo okrzyki...

Dwa zbliżają się wojska, dwa przeciw sobie ciągną orszaki w zbroicach świetlistych, na koniach wspaniałych.

Zimno spogląda cesarz Leopold na króla Jana III Sobieskiego i ledwo uchyla czapki.

A Sobieski dumnem spogląda okiem i zdaje się słuchać okrzyków tłumu, który jemu tylko dziękuje, jego tylko wielbi.

— Obrońco, zbawco!

— Żyj polski królu.

Dumnie wznosi głowę Sobieski i patrzy stalowym wzrokiem w twarz cesarza niemieckiego.

Potem, jakby zastanowienia potrzebował, przeczekawszy chwilę, lekko ścisnął dłoń, ku niemu wyciągniętą.

On, król zwycięsca, przyjął chłodne powitanie cesarza, któremu tron obronił.

On, który setki stajań tutaj biegł, ścisnął dłoń tego, który setki stajań stąd odbiegł.

Dumnie wznosi swoje męskie czoło i przeszywający, ostry wzrok kieruje znów na pyszne oblicze Leopolda. A przy tem dziwnie pała mu twarz i duma i radość w niej jaśnieje.

Bo ma być z czego dumnym!

Kiedy przyniesiono mu wieść, że koronę polską oddali mu współobywatele, kiedy wezwano go na zaszczytną uroczystość koronacyjną, on tam pociągnął, gdzie smierć zdobywa się i rany.

I dopiero, gdy w pokoju żurawieckim odzyskał część przynajmniej Ukrainy, skoro nie mógł wszystkiej i podstepnie zabranego w r. 1673 Kamieńca Podolskiego, dopiero wtedy blaskiem złotej korony pozwolił otoczyć skroń swoją i ukochanej Marysieńki.

Skoro zaś w r. 1683 przyszła sposobność znowu bić Turków, chociaż nie na swojej ziemi, chociaż w obronie rywala swego niegdyś w ubieganiu się o koronę polską, nie zważał Sobieski na to, że Leopold do wrogów jego należy, a natychmiast ruszył na obronę wiary, na obronę chrześcijaństwa.

Nie przeraziła go niezliczona liczba namiotów tureckich, które śnieżną barwą ubieliły okolice pod Wiedniem, nie przeraził się, gdy ze szczytu Kahlenbergu patrzył na ogromną przestrzeń, którą trzystutysięczna armja Kara Mustafy zajęła.

Zaledwo piątą część tej liczby zebrał pod swem dowództwem, gdy Niemcy tylko Karola księcia Lotaryngji przysłali na obronę stolicy swojej.

W milczeniu słuchał narzekań swoich rycerzy, którzy dziwili się tej obojętności Niemców na losy swojej stolicy, napróżno szukali cesarza Leopolda, który z Wiednia wyjechał— lecz w przeciwną stronę, niż byli obrońcy.

Król polski milczał.

A kiedy przyszedł czas, kiedy uznał, że już pora z sokołami swymi na karki spaść tureckie, nie zawachał sie ani chwili.

I pierwszą wypuścił swoją jazdę.

I pierwszy atak skierował tam, gdzie najsilniejsze, lecz najczulsze także było miejsce wroga.

I zażarty zawiązał się bój tam, gdzie sam wielki wezyr, Kara Mustafa trzymać nad sobą kazał cudowną dla Turków chorągiew Mahometa. W zieloną jej barwę wpatrzony Muzułmanin, nie wierzył, że może myśleć o zwycięstwie wojsko niewiernych, wojsko giaurów.

Nie starczy często jeden dzień górnikom, gdy do pokładów podziemnych starają się dostać. I drugi i trzeci i dziesiąty nieraz dzień ryją się pod powierzchnią ziemi, aż wreszcie pracą zmęczone ręce natrafią na pożądaną bryłę, a wtedy niemasz końca radości, a wtedy z przyspieszeniem biją kilofy, zdobywając łup upragniony.

I znowuż na drugi dzień, skoro tylko słońce wstawać poczęło kazał Sobieski rycerzom swoim ryć się w szeregach janczarów [1]), łamać ich szyki, zagłębiać swą linję aż ku namiotowi wezyra.

Ma z czego być dumnym król polski.

Jego talent sprawił, że największa świętość Turków, chorągiew proroka, dzisiaj wśród łupów polskiego wojska się znalazła.

Odwagą swoją i zapałem natchnął swe karne szeregi, by bez opamiętania gromiły wrogów chrześcijaństwa, trupami ich daleko, daleko zaścielejąc pole wiedeńskie.

I dzisiaj, kiedy ludność stolicy uwolnionej od przemożnego wroga, który w oblężeniu trzymał miasto i groził mu zupełnem zniszczeniem, gdy ludność Wiednia szaty całowała Sobieskiego, jej pan właściwy dumnem spogląda okiem na polskiego przybysza, na polskiego króla.

Lecz Sobieski nie czeka na podziękowania.

— Dziękuję Bogu, że nie jesteś moim rycerzem — zdaje się mówić jego zimne wejrzenie.

I powoli, poważnie przejeżdża mimo Leopolda wódz polskiej armji, nie ogląda się nawet za władzcą tego miasta, któremu dał ratunek.

---

[1]) Janczarowie, była to doskonała piechota turecka, wychowana z brańców, którzy w dziecięcym wieku dostali się do niewoli tureckiej, a wychowani w fanatyzmie, walczyli nieustraszenie

— Przede mną jeszcze służba — mówi w myśli mściwy dziedzic Żółkiewskich i Daniłłowiczów.

— Wróg jeszcze nie starty do szczętu — marzy potomek bohaterów, Pan na Żółkwi, Olesku i Złoczowie.

I chociaż nie prosili go, on władzę w swoje ujął dłonie i powiódł szeregi na dalsze boje, na nowe zwycięstwo pod Parkany, nowy tryumf chwalebny, który uwolnił Węgry od półtorawiekowej niewoli tureckiej.

A zrobił to wszystko polski wódz, polski król.

A zrobił to bohaterstwa swojego ogromem i krwią wiernych wojsk swoich.

Na chwałę narodu, dla tryumfu krzyża.



Posłowie cesarza niemieckiego Leopolda, błagają Sobieskiego o pomoc.

(Rys. J. Stemler).

O zachodzie.

Nad rozległemi równinami Wielkopolski świeciło zachodzące słońce, ostatni bój tocząc z cieniami, które potężnie już od lasów szły i kładły się długim czarnym śladem na polach rodzajnych, na skoszonych niwach.

Wiatr cicho szeptał wśród gałęzi leśnych, a odpowiedź tajemną niosły mu wody Warty, chłonąc w siebie światło, odbijając je w falach przeczystych, starając się cienie z promieniami złączyć, tak nieraz łączyły odbicie cieniów czarnych i złote promienie zachodu.

I dziwiły się temu trawy nadbrzeżne, z powątpiewaniem kołysząc wiotkiemi głowami, śmiały się prawie skrzypy, na piaskach gęsto rozsiane.

— Nie pogodzisz światła z cieniem — szeptały graby, pochyliwszy się nad nurtami rzeki i jakby pouczyć ją chciały w strapieniu, muskały miłośnie gałązkami jej spokojne fale.

— Nie pogodzisz światła z cieniem, nie pogodzisz szczęścia z bólem—poważnie mówiły dęby wiekowe, drogę, do grodu wiodącą, obsiadłszy.

— Nie pogodzisz światła z cieniem, nie pogodzisz życia z śmiercią—mówiły szeptem cichym sterty zbóż, na ścierniskach władnie rozłożone.

Cichy był ten szept, ledwo słyszalną była ta rozmowa usypiających traw i drzew, prawie śniących kropli wód, a prze-

cież taka w niej była moc, taka tajemnicza siła, że nie śmiał przerwać tego spokoju dziwnego orszak, który właśnie wysunął się z głębi boru na równinę, na której krańcu znaczyły się kontury wież poznańskich.

Do stolicy województwa zdążali.

Z dalekiej snać ciągnęli drogi, gdyż kurzem okryły się ich szaty, sczerniały ich twarze i zmęczone pochyliły się głowy.

Jeden tylko mąż bladem świecił obliczem.

Długie, białe włosy spadały na jego szyję, pokrytą fałdami zmarszczków.

I on coś szeptał do siebie, a szept ten, jak poruszanie liści drzew, dziwnie godził się i jednoczył z owym hymnem wieczornym, z ową pieśnią tajemną, którą podawały drzewa zbożom, zboża trawom, a te wodom je niosły w dal.

— Nie zmieniłem traktatu andruszowskiego, nie zmieniłem, nie.

— Co ojcu — nachylił się do niego młodzieniec, który tuż przy nim jechał, strzemienia strzemieniem dotykajac.

Spojrzał na ojca troskliwie i słuchał, czy odpowiedź da mu starzec.

Lecz ten milczał, jakby nie czuł, że syn przy nim jedzie, ze bije przy nim serce kochające.

— Czernihowskie, Siewierskie, Smoleńskie i Kijowskie — szeptały znów wybladłe usta.

— Co ojcze?—spytał znowu syn.

Starzec podniósł na niego wzrok i jakby dopiero teraz go zobaczył, uśmiechnął się.

— Nic, synu — uspokoił go.

Ale już nie spuścił głowy. Rozglądał się po trawach, po ścierniskach słał wejrzenia tęskne, przed siebie wyglądał, jakby znajomych szukał i ze znajomymi się witał.

I znowu spojrzał na syna.

— Pamiętaj—zaczął i urwał.

— Co mam pamiętać? – dopytywał się tamten.

Ale starzec znowu umilkł, znów zamknął się w sobie.

Jechali czas jakiś w milczeniu.

— Już Poznań—przerwał ciszę młody.

Starzec podniósł głowę, przeciągnął ręką po czole zmarszczonem i szeroko otwartemi oczyma spojrzał na syna.

Przyglądał mu się przez chwilę, coraz jaśniej świeciły jego oczy, wreszcie głośno sie ucieszył:

— Rycerską masz postawę, Stachu.

Stach w odpowiedzi ucałował rękę ojca.

Ten zaś, jakby sobie przypomniał przyczynę smutku, który go nurtował, chwycił się za pierś. Może zdusić chciał ból, może pragnął zdławić smutek.

Po chwili przemógł się:

— Gdyby mówili—zaczął powoli—że Grzymułtowski winien, nie wierz.

— W co nie mam wierzyć, ojcze?

— W to, że ja taki pokój zawarłem.

— Z Moskwą?

— Tak.

— Dziękuję wam, ojcze, że przynajmniej tyle powiedzieliście mi. Jedziemy ze sobą już ze cztery tygodnie, a dzisiaj pierwszy raz rozmawiamy, ale wdzięczny wam jestem za to dzisiaj.

Stary położył rękę na ramieniu syna i tak wsparty jechał, przypatrując się młodemu.

Przemógł się wreszcie i opowiadał:

— Kazał mi król za wszelką cenę pokój utrzymać z Moskwą. Wymawiałem się, że za stary jestem, że mnie, jako wojewodzie poznańskiemu nie należy układać się z Moskwą, że to winien który z wojewodów litewskich lub ruskich ziem zrobić—kazał król, musiałem. I nie dało się zmienić nic z pokoju Andruszowskiego. Tylko tamten był tymczasowy, ten jest wieczysty.

Zwiesił głowę, lecz po chwili nagle ją podniósł i wyrzucił ze siebie.

Wszysto przepadło. Ale trudno, król chce mieć pokój z Moskwą, aby spokojnie mógł zawojować dla synów Wołoszczyznę i Mołdawję, kazał zawrzeć pokój, nie patrząc na warunki. Ot, co jest.

— Stany sejmowe nie zatwierdzą tego — ozwał się po chwili Stach.

— Myślisz, że uchwalą wojnę?

— Straszne, straszne—jęknął młody.

I jechali odtąd w ciszy, ani słowa do siebie nie mówiąc, jakby za trumną jechali drogą.

A za nimi czerwone stało się słońce.

Za nimi zachodziło słońce dnia, zachodziło słońce sławy Rzeczypospolitej.

I noc rodziła się na ziemi.

I noc wstawała w duszach ich.

— Nie pogodzisz światła z cieniem—szeptały trawy.

A nad ziemią wschodziła noc, czarna, ciemna noc.



Ratusz w Poznaniu.

(Rys. J. Stemler).

Chłopska dola.

— Ojca mi ubili, ojca ubili — jęczał młody, może najwyżej 12 letni chłopak, idąc przez Biskowice i zanosząc się od płaczu.

— Ojca mi ubili -- leciał jego głos płaczliwy, wywołując na progi chat kobiety z dziećmi małemi i dziewuchy młode.

Wkrótce zebrała się garść ludzi i zaczęli wypytywać chłopaka o szczegóły.

Wawrzon Kielich był jego ojcem. Chatę dostał po ojcach, na gruntach dworskich, jak wszystkie w Biskowicach, majątku szlachcica z dziadów pradziadów jaśnie wielmożnego Skrzyńskiego.

Szedł teraz biedny Jasiek do matki swojej, która w chacie przy małym braciszku została, szedł do niej się pożalić i ratunku szukać.

Ludzie wysłuchali opowiadania, pokiwali głowami; kobiety, bardziej czułe w takich wypadkach, popłakały i wszyscy zaczęli się rozchodzić, by przy ogniskach swoich przetrawiać ową wieść straszną.

Wtem ukazała się karoca na drodze, za nią druga, w cztery wspaniałe konie zaprzężona każda.

Przez drzwiczki pierwszej wyglądała twarz młodej dziewczyny, za którą ukryła się staruszka może siedmdziesięcioletnia, siwa, z koronkowym czepkiem no głowie.

— Słyszysz, babciu płacz?—spytała dziewczyna.

Staruszka wychyliła również głowę, a widząc Janka, zasłaniającego twarz rękoma, przywołała go. Stangret zatrzymał powóz.

— Dlaczego płaczesz?—pytała staruszka.

— Ojca mi ubili—jęczał chłopak.

— Kto?—zawołały naraz obie.

— Panicz—wybuchnął chłopak i jeszcze bardziej zaniós' się od płaczu.

Dziewczynka zbladła.

— Panicz Zygmunt?—przeraziła się staruszka.

Chłopak dopiero teraz podniósł oczy na pytające, a przyjrzawszy się im, krzyknął strasznie:

— O Jezu! — i pognał, ile siły w nogach.

— Przyprowadzić? — spytał stangret usłużny.

— Nie trzeba. Do domu—padł rozkaz.

Potoczyła się kolasa szybko i za chwilę zajechała na dziedziniec przed dworek, strzechą słomianą kryty.

Opodal stały budynki gospodarskie, koło których kręciło się kilku ludzi, jak zwykle w roboczy, znojny dzień.

W tej chwili zjawił się na ganku młodzieniec, któremu wyraźnie już czerniały wąsy i z uśmiechem poskoczył do przybyłych.

— Już z miasta?

— A już—odparła staruszka i poszła naprzód, a wnuki tuż za nią.

Zrzuciwszy suknie wierzchnie usiadły w pokoju, zaopatrzonym w zwyczajne meble, stół dębowy i krzesła, tylko na ścianie naprzeciw okien lśniła pysznie makata, zdobycz dziada pana Skrzyńskiego z pod Chocimia.

— Co to się stało tutaj?—spytała staruszka.

— Nic, babciu—odparł spokojnie wnuk.

— Ależ, Zygmuncie—niecierpliwiła się babka—z Wawrzonem co się stało?

— A, Wawrzon, nie żyje — wymijająco odparł młodzieniec.

— Przez kogo?

W tej chwili wszedł do pokoju pan Skrzyński, człowiek już w podeszłym wieku, średniego wzrostu, bez lewej ręki.

— Co to się stało, Samuelu?—spytała staruszka.

Mężczyzna ucałował pokornie jej rękę, przywitał się z córką i odpowiedział:

— Nieszczęście, matko, Wawrzon zabity, a co najgorsza zabójca jest tutaj.

Zygmunt milczał.

Pod wzrokiem siostry i babki nie schylił głowy, nie zarumienił się nawet, tylko odwrócił się do okna, w które zaczął uporczywie się wpatrywać.

Staruszka zaś nie wypytywała o szczegóły.

Jej twarz pokryła się chmurą, zgarbiła się i postarzała w jednej chwili.

Zygmunt popatrzył na nią.

— Nie smućcie się, babciu—prosił—zapłaci się Kielichom i będzie wszystko dobrze.

— Wstydź się — krzyknęła staruszka — groszami nie wskrzesisz umarłego, od kary pieniądzmi się nie wykupisz.

— Przecież żadnej innej kary nie poniosę — zdziwił się chłopak. — Jestem szlachcicem, więc za chłopa zapłacę.

— O zgrozo!—wołała staruszka—w tobie za granicą serce zabili zupełnie i sumienie wydarli.

— A gdyby tak było, jak pan Modrzewski [1]) żądał — wtrąciła przez łzy siostra Zygmunta, która przez cały czas cicho szlochała.

— Mniejsza o pana Modrzewskiego—mówiła staruszka— ale przecież prócz sądu ludzkiego, jest jeszcze inny sąd, a Bóg nie będzie patrzył, czyś ty szlachcic, czy nie.

Zapadło grobowe milczenie.

— Samuelu — odezwała się staruszka po długiej chwili namysłu — trzeba zająć się Kielichami, a tego panicza nie chcę na oczy widzieć.

I wyszła z pokoju.

A w chacie Kielichów jęki się rozlegały i płacz wdowy.

Chciała przesiedlić się z Biskowic, ale sąsiedzi wytłumaczyli jej, że od 60 lat, a był wówczas rok 1692 — nie wolno chłopu bez pozwolenia pana przesiedlać się. Może tylko raz w rok za zezwoleniem pana i to jeden tylko członek rodziny opuścić wieś.

---

[1]) Andrzej Frycz Modrzewski był pisarzem XVI-go wieku. Pisał dzieła polityczne. On to domagał się prawa: „śmierć za śmierć“, bez względu na różnice stanowe. Dotąd tylko za śmierć szlachcica mogła nastąpić kara śmierci.

Jeszcze radzili nad dolą swą nieszczęsną, gdy przed chatę ich nizką zajechała staruszka, matka nieboszczki pani Skrzyńskiej.

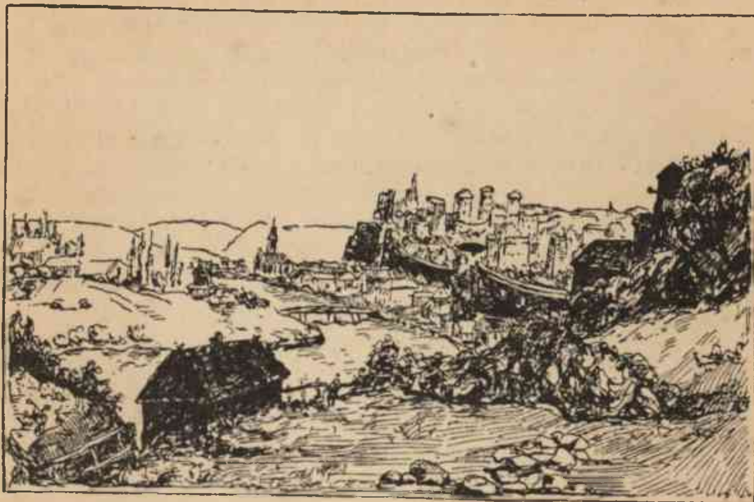
— Będziecie na folwarku mieszkali — zawiadomiła ich a dziećmi ja się zaopiekuję, tylko nie przeklinajcie, nie przeklinajcie.

I rozpłakała się staruszka, dotąd silna, dotąd ze wszystkich najmężniejsza.

Bo jej serce nie mogło znieść widoku sierot, widoku tych najbardziej skrzywdzonych, nie mogących nigdzie nawet szukać sprawiedliwości.

A chłopka odczuła mecierzyńskie serce i do nóg chyląc się pani, szeptała:

— Niech mu Bóg przebaczy.



Kamieniec Podolski,

odzyskany za Augusta II Sasa w r. 1696 na podstawie pokoju Karłowieckiego, który był wynikiem wojny z Turcją, prowadzonej przez Niemcy i Polskę (Wiedeń).

(Rys. J. Stemler).

Niepewność.

Mieszało się światło oliwnej lampy z niepewnymi jeszcze promieniami słońca, które nieśmiało, niepewnie wysuwało swą tarczę wspaniałą nad murami Warszawy, nad wodami królowej rzek, wciskało się przez okiennice do zamku królewskiego.

W pokoju jeden tylko siedział człowiek.

Wzrok jego padał na listy, przed nim rozłożone, to znowu podnosił się na obrazy, które ze ścian spojrzenia rzucały surowe, poważne.

Od strony pokojów królewskich rozległy się kroki.

Jan Jabłonowski, obecnie wielki kanclerz koronny z woli Stanisława Leszczyńskiego, podniósł swą piękną głowę i słuchał zdziwiony.

— Jeszcze nie śpi?—zdziwił się.

W tej chwili otwarły się drzwi za nim i na progu stanęła postać kobieca. Siwe jej włosy wysuwały się z pod czepka na wyniosłe czoło, oczy czarne, mające jeszcze świeżość młodzieńczą, dziwnie odbijały od twarzy zmarszczkami pooranej, a przecież sympatycznej, chowającej jeszcze ślady piękności.

Kanclerz powstał z fotelu, skórą wykładanego i zbliżył się do przybyłej, której rękę w pokorze ucałował.

— Nie śpisz jeszcze?—spytała.

Stali naprzeciw siebie.

Ona, jak wieczór wspaniały, on w pełni sił, z śladami siwizny na czarnych włosach, które tylko przy skroniach zgubiły barwę hebanu.

— Nie śpię — odparł, odwdzięczając się jej spojrzeniem przyjaznem za jej słowa troskliwe.

Usiedli na kanapie, która pod ścianą stała.

— Czekam na Ponińskiego.

— Na podkoniuszego?

— Tak. Powiem ci, siostro, z czem ma on przyjść do mnie.

Anna Leszczyńska, matka króla Stanisława, który w roku 1704 na wezwanie szlachty i króla szwedzkiego Karola XII-go przyjął koronę, zdartą z głowy Augusta II Sasa, przeniosła się niedawno na zamek królewski w Warszawie, a jako siostra kanclerza Jabłonowskiego i jako kobieta wykształcona, nieraz rozmawiała z bratem o sprawach, syna jej tyczących.

— Spać nie mogę, Janie—spowiada mu się.

— Przyślę ci medyka—troska się brat.

— Oj, tu nie medyka potrzeba—rzuca Anna tęskne spojrzenie w dal—odpędź troski, one to sen zabierają i niepokój rodzą. Ale nie mówmy o tem, ja niczem teraz jestem wobec spraw, które się toczą. Z czem ma przyjść Poniński?

— Posłałem go do Aleksandra Sobieskiego.

— Czy domyślę się po co? — pyta Anna. — Zapewne w sprawie karty Stanisława.

— Tak, w sprawie tej nieszczęsnej karty — mówi z westchnieniem Jabłonowski.

— Jak to dobrze, że Stacho ma ciebie przy sobie—patrzy matka królewska z wdzięcznością na brata.

On zaś w myślach pogrążony, mówi dalej:

— Ciężka to sprawa. Ale ten Stacho twój nierozsądnie postąpił, dając taki zapis. Bardzo to szlachetne z jego strony, ale to zarazem obraża Karola. Gdyby król szwedzki wiedział o tem, niezawodnie gniewałby się srodze.

— To on o wszystkiem musi wiedzieć?—dziwi się kobieta.

— Musieć nie musi, ale może się dowiedzieć. Bo i powiedz sama jak to wygląda. Tu przyjmuje koronę, a równocześnie daje ważne przyrzeczenia na korzyść Jakóba Sobieskiego, który przecież przy elekcji w r. 1692—po śmierci Sobieskiego Jana wyraźnie był odrzucony przez szlachtę. Przecież postanowiono nawet uchwałą, aby Piasta [1]) nie wybierać.

---

[1]) Przy elekcjach w Polsce nazywano Piastem każdego kandydata polskiego w odróżnieniu od zagranicznych.

— Ale widzisz—broni syna Anna--Stacho zachwalał podczas elekcji Jakóba, nie kogo innego. Więc skoro nadeszła chwila, gdy przeciwnik Jakóba, August II Sas został usunięty z tronu, powinien był swojemu elektowi dochować wierności.

— Kiedyż Sobieski nie był już elektem — irytuje się Jabłonowski. — On był wówczas niczem. A takie dawanie zapisu, że Stach uważa przyjęcie korony polskiej za czasowe dzierżenie jej w zastępstwie Jakóba i gdy ten będzie uwolniony z więzienia [1]), odda mu ją, to przecież dziecińśtwo, tak nie postępuje mężczyzna.

Twarz matki królewskiej posmutniała.

— Dziwne to—zaczęła po chwili—teraz nazywa się dziecińśtwem to, co stare, co bardzo dawne. Mnie się zdaje, że ten postępek Stacha, to zwykły czyn uczciwego człowieka i wiernego stronnika.

— Ale zrozum to, Anno, że skoro Stach zgodził się na życzenie zwycięskiego króla Karola przyjąć koronę polską, to od tej chwili musi liczyć się z tym swoim opiekunem, który go wyniósł na tron Jak to wygląda? Tutaj koronę przyjmuje, tam oddaje ją innemu.

Zamilkli oboje.

— Zresztą—przypomniała sobie Anna—był inny jeszcze powód. Przecież wówczas, gdy konfederacja warszawska oddawała tron Stachowi, nic nie było pewnego. Car Piotr był przecież przyjacielem Augusta II, mógł wydać wojnę Stachowi, a gdyby wygrał, byłby Stacho czysty.

— No, Anno, byłby czysty przed Sobieskimi, ale nie przed Sasami i carem moskiewskim.

— Ale dzisiaj to już przeszłość—ciągnął dalej.—Po tamtegorocznym pokoju w Altranstädt. po zrzeczeniu się korony polskiej przez Augusta II, sprawa Stacha jest pewna. I dlatego rozpocząłem teraz dopiero kroki o wydobycie tej karty, a przynajmniej o zmniejszenie jej znaczenia.

— A sądzisz, że Sobieski nie będzie się opierał?

---

[1]) Po obraniu Augusta II Sasa, Jakób Sobieski, jako jego przeciwnik, dostał się do więzienia w Koenigstein wraz ze swym bratem. Trzeci Sobieski, Aleksander, zdołał uniknąć smutnego losu.

— Przypuszczam, że będzie. Ale w końcu musimy go przekonać. Wynagrodzimy go jakoś.

— Jak to dobrze, żeś ty kanclerstwo przyjął — powtarza swą myśl Anna.

Już dniało na świecie. Dzwony kościołów warszawskich ozwały się dźwiękiem radosnym, witając dzień nowy, witając słońce jasne, promienne.

I z jego blaskami zstępowała w serca rodzeństwa Jabłonowskich pogoda wewnątrzna i spokój. Jeszcze silniej czuli w tej chwili, że los ich pupila, króla Stacha, coraz pewniejszym jest, na coraz silniejszych staje podstawach.

I tak mogło im się zdawać.

August II, pokonany w swojej własnej Saksonji, zrzekł się praw do tronu polskiego, a ten, który mógł mu dać pomoc, car Piotr, tracił dla niego sympatję, szczególnie po pokoju altransztadzkim, nawet skłaniał się do zawarcia ugody z Leszczyńskim.

Więc tem bardziej starał się Jabłonowski o ugruntowanie władzy królewskiej swego siostrzeńca, o zdobycie prawnych podstaw dla niego.

— Gdy zgodzi się Sobieski—spowiadał się siostrze—trzeba będzie do papieża odnieść się o uznanie Stacha.

— Byle tylko panowie szlachta nie zmienili się. Pomów ze Stachem—prosił Annę—niechaj da sobie spokój ze swemi myślami o doli chłopów i mieszczan. Opowiadał mi, że ich położenie jest nieznośne, że będzie starał się zmienić je. Niech pamięta, że znacznie gorzej jest za granicą, a przecież ludzie żyją i dobrze im z tem.

— Mnie o czem innem mówił — zdziwiła się matka. — Opowiadał mi, że liberum veto [1]) chciałby znieść.

— No, no, niech da sobie spokój z tem. Gdyby z takim wnioskiem wystąpił, zaraz odstąpiliby go wszyscy.

— Żeby się znalazła rada na przekupstwa panów braci—

---

[1]) Liberum veto był to zwyczaj, który dawał każdemu posłowi prawo zerwać obrady sejmu. Wtedy jednemu człowiekowi musieli się poddać wszyscy. Pierwszy raz zerwał sejm Siciński w r. 1652 za Jana Kazimierza. Za Sasów ciągle zrywano sejmy.

uśmiechnął się ironicznie Jabłonowski—nawet wtedy nie wiem, czybym ją wprowadził, bo bałbym sie oporu ze strony szlachty.

Tak popsuły się stosunki w Polsce.

A już najgorszą rzeczą było to, że rządzili w Polsce obcy wedle swojei woli, nie zważając na naród wcale.

Karol XII oddał koronę Leszczyńskiemu, a odebrać mu ją miał Piotr rosyjski, aby wrócić władzę swemu przyjacielowi, Augustowi II z domu Sasów.

Chmury zbierały się nad Polską,

Kulig.

Jasny ogień płonął na kominku w domu pana Matuszewicza w Jelnej, w parafji kamienieckiej województwa Brzeskiego.

Przed kominkiem siedział pan Matuszewicz w wygodnym fotelu, oparłszy nogi o podnóżek wygodny, który mu podał syn Stefan, ubrany, jak ojciec, odświętnie, w kontusz barwny, tylko o tyle różnił się od ojca, że karabeli nie odpasał, a przeciwnie pieścił ją, dotykając co chwilę rękojeści, w której drogich rubinach i djamentach tysiącem iskier rozsypywał się odblask ognia.

— Nie udał się waćpanu elew—mówił do Kaliksta Hornowskiego, patrząc na Stefana.

— A dlaczego?—spytał Hornowski, mężczyzna około czterdziestoletni, któremu pan Matuszewicz polecił wychowywanie swojego syna, Stefana i młodszego Władysława.

— Waszmość taki senzat, wiecznie w księgach siedzisz, aż czuć cię bibułą, a Stefek — popatrz waszmość, z szabelką rozłączyć sie nie może.

Uśmiechnął się ojciec, uśmiechnął się syn, tylko Hornowski zachował dawny wyraz twarzy.

Rzeczywiście patrząc na jego wybladłą twarz, na nizką, jakby zasuszoną postać, odrazu można było poznać, że człowiek ten nie wiejską zajmuje się gospodarką. Z oczu zaś jego zamyślonych, głębokich, natychmiast odczytałbyś, że przyjaciółmi jego są książki, a zajęciem nauka.

— Czegóż waszmość milczysz?—spytał rubasznie pan Matuszewicz, a jego tłusta twarz drgała w uśmiechu.

— Bo mi ciężko zaprzeczyć—przyznał się uczony.

— No, nie bój się, na rękę cię nie wyzwę, bo za stary jestem na to—śmiał się gospodarz — a na dywanie cię nie rozciągnę, bo go przegrałem do Stefka.

— A na ziemi mnie waszmość nie wygrzmoci, jako iż jestem szlachcic—śmiał się Hornowicz.

Zaśmiali się wszyscy i gospodarz i jego żona, z córkami dwiema opodal siedząca i Stefek, rozweselony żartami ojca i ksiądz Giżycki, który do przyjaciela swego z lat dziecinnych przybył z wieścią o śmierci króla Augusta II.

Jeden tylko ksiądz Giżycki nie śmiał się.

— Wesoło wam jest—strofował obecnych — a tam króla na marach złożono.

— Trudno, ojcze dobrodzieju—ozwał się gospodarz—Bóg dał, Bóg wziął,—a w zapusty weselić się trzeba.

— No, nie Bóg dał nam króla Augusta — odezwała się Krysia Matuszewiczówna.

— A to i waćpanna tu jestes? — obrócił się do niej ojciec.

— Jesteśmy wszyscy—zastąpiła ją matka.

— Patrzcie i ten dzieciak do rozmowy się miesza. A widzisz, kanoniku, moja córa politykować chce. Dalibóg, udaj się do niej, a więcej ci nagada, niż ty mnie.

— A waści tylko żarty w głowie—śmiał się ksiądz.

— Chciałbyś, żebym płakał?

Ale ksiądz Giżycki nie zważał na pana Matuszewicza, a zaciekawiony odezwaniem się panienki, pytał.

— A któż to dał nam króla Augusta, jejmościanko?

— Przecie wiadomo wszystkim, że car.

— Tak?—z pewnem niezadowoleniem spytał ksiądz, który należał do zagorzałych zwolenników Augusta i jego opiekunów.

— Zapewne—mówiła śmiało dziewczyna. Po klęsce Karola pod Połtawą, przywrócił tron Augustowi.

— Mówi waćpanna, jakby lekcję wyuczoną. Czekać trzeba tylko, jak zaczniesz mówić, kiedy to było, w którym roku, we dnie, czy w nocy.

— Że było w r. 1709 to wiem, ale czy we dnie, czy w nocy to chyba—przerwała nagle, jakby cofnęła się przed jakiem obraźliwem powiedzeniem.

— To chyba ciebie, kanoniku miły spyta—podjął ze śmiechem pan Matuszewicz, a wszyscy obecni rozweselili się tą szermierką na języki.

— Mógłbyś waszmość szanować moją suknię duchowną—obraził się ksiądz—i córkę lepiej uczyć poszanowania dla mnie!

— Widzisz, kochanie, to tak zawsze bywa, gdy politykować zaczynamy. Nie lepiej to miodu się napić, jak Pan Bóg przykazał, a pogawędzić o sprawach sąsiedzkich, zagrać w kości, co? —mówił szlachcic i w tej chwili klasnął w dłonie, wzywając hajduka.

Dał rozkaz i za chwilę pogodzeni gąsiorem siedzieli w przykładnej zgodzie przy sobie.

Wtem wpadł hajduk.

— Goście jadą.

— Dużo?—ożywił się Matuszewicz.

— Kilka sań, zdaje się kulig.

— Pogasić światła—z tryumfem rzucił gospodarz i kazał synowi przynieść sobie karabelę, by w pełnym stroju przyjąć przybywających.

Stosownie do obowiązującego zwyczaju w całym dworze pogaszono światła, jak gdyby nikogo w nim nie było,

Kiedy jednak pan Matuszewicz posłyszał głos swego przyjaciela, Wapowskiego, rozlegający się silnie wsród ciszy nocnej, chciał zaraz biec, otworzyć drzwi i wpuścić miłego gościa.

— Stój waszmość—krzyknęła tłumiąc głos pani Matuszewiczowa—chcesz waszmość zaraz go wpuścić! A toż ukarać go trzeba, że dzisiaj dopiero przybywa, wstyd, zostało nam ledwo poniedziałku kilka godzin i wtorek.

— A jejmość lubisz, jak się Wapowski do ciebie zaleca—również szeptem odpowiedział Matuszewicz.

— To idź, idź—oburzyła się żona.

— O nie, teraz nie pójdę, ukarzę raz w życiu moją panią—śmiał się staruszek.

Wreszcie po półgodzinnem dobijaniu się, znalazł się pan Wapowski w ogromnej sieni dworu w Jelnej i zrzuciwszy szu-

bę, przyjmował już, jakby gospodarz, przybyłych wraz z nim gości.

Wysiadło z sań kilka par, aż ludno zrobiło się w sali gościnnej, którą teraz nie tylko kominek oświecał, ale i dwanaście świec, płonących w żyrandolu srebrnym, zwisającym u powały.

— Gość w dom, Bóg w dom — witał pan Matuszewicz przybyłych.

Znalazła się w jego domu cała prawie rodzina Wapowskich, więc przedewszystkiem stary pułkownik Michał, jego syn Kazimierz z żoną, dwiema córkami i synem, też Michałem, przyjechali i Kurnatowscy młodzi i Narębski, niedawno owdowiały z córką i trzema synami, chłopakami, jak dębczaki.

Witali się wszyscy kordjalnie, jak zwykle, ciesząc się ze sposobności do zabawy.

— Bogu dzięki, że uważasz mój dom za swój—śmiał się gospodarz, wprowadzając pułkownika w uniformie wojskowym, mężczyznę już dobrze po pięćdziesiątce, ale czerstwego jeszcze, pełnego życia i humoru.

— Pewno, że mój to dom, skoro mi go ofiarujesz — rozkładał ręce Wapowski.

— Chciałbyś?—mrugał wesoło Matuszewicz.

— Pewno—nie dorobiłem się na mojem pułkownikostwie majątku, więc przynajmniej od przyjaciela, dworek jaki taki dostanę.

— Ale za to godności dorobiłeś się, której umiesz bronić Niech ci ktoś w tytule opuści jedno słowo, a zaraz krzyczysz „nie pułkownik Jego Królewskiej Mości, ale pułkownik JKM cudzoziemskiego autoramentu w wojsku litewskiem“ i w tej chwili wyzywasz go na szable. Prawda księże kanoniku?— zwrócił się do ks. Giżyckiego, który zanosił się od śmiechu.

— Nie zagaduj, duszeńko, że darowałeś mi dom —śmiał się pułkownik, nie zagaduj. Wiedz tylko, że musisz mi słomę na gonty zmienić, bo inaczej nie przyjmę.

— Tyś już przyjął, gości u progu tyś przyjmował, nie ja.

— No więc dobrze, dobrze, opuszczę ci już ten dach, tylko siadaj spokojnie.

— Siądę, siądę—uspokajał go gospodarz—ale wszystkich tu obecnych biorę za świadków, jako uważasz się w moim domu, jakby w swoim, raczej jako gospodarz, niż jako gość.

— Naturalnie, że tak, a że ciebie cierpię, to trudno, takie już są prawa naszej gościnności.

— Oj, coś mu gotujesz waszmość—śmiał się kanonik, podejrzewając, że pan Matuszewicz, jakąś krotochwilę obmyślił przeciw swemu przyjacielowi.

— Nie boimy się, nie boimy — dumnie odparł Wapowski.

— Ja zaś waszmości 25 na dywanie wypiszę, jak się patrzy — zmienił ton pan Matuszewicz, aż wszyscy zdziwieni zatrzymali się.

— To ty myślisz, że ja ci to przebaczę — wołał szlachcic. W ten sposób postępować będziesz?!

— Co się stało? — strwożyła się pani Matuszewiczowa.

— Pomyślcie waszmoście, co mam uczynić z tym człowiekiem, grubjaninem. Toż dzisiaj koniec zapustów, a on dopiero sobie przypomniał o mnie!

I powiódł zgorszonem spojrzeniem po obecnych.

— Przynieść dywan — rzucił jeszcze, gdy wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Goście podzielili się na grupy.

Pani Matuszewiczowa z Kazimierzową Wapowską wyszły, by zająć się przygotowaniami do wieczerzy, panienki z młodzieżą w jednym końcu salonu usiadły, a mężczyźni z ks. Giżyckim utworzyli koło przy kominku , jasno płonącym.

Od grona młodzieży odłączyli sie Stefek Matuszewicz i Michał Wapowski.

— Dlaczego tak późno przyjechaliście — czynił wyrzuty Stefek.

— Nie moja wina, ale przecie do piątku przeciągniemy tańce i zabawy.

— Aha przeciągniemy, nie widzisz księdza?

— To nieszczęście. Ej Stefku, musimy coś poradzić na to, przecież to już jutro w nocy miałby być koniec! — wykrzyknął przerażony.

— Wiesz co?—wpadł na pomysł. Uprosimy twego ojca, aby do spisku przystąpił przeciw księdzu. Już on znajdzie radę.

I zaraz wywołali z koła starszych pana Matuszewicza, który też niedługo się zastanawiał.

— Mam, moiście wy, mam—krzyczał uradowany. Zrobimy naszego dobrodzieja nieszkodliwym. Będzie leżał jak nieżywy, a wy sobie potańczycie.

Chłopcy dorozumieli się zaraz i ucieszyli się.

— Ale będzie, jak kłoda, dobrodzieju? — upewniał się jeszcze młody Wapowski.

— Verbum nobile [1]) — dumnie, podnosząc głowę, odparł Matuszewicz.

Kiedy zaś zbliżył się do swego koła, pułkownik zaśmiał się:

— Nasz gospodarz lat chce sobie ująć, z młodzieżą chce się bawić. Chodź tu cześniku, chodź, człowiek po sześćdziesiątce, jak ty, nie powinien chodzić dużo.

— O, to waszmość cześnikostwo dostałeś? — chciał winszować pan Narębski.

— To tylko ten dygnitarz taki łaskaw na mnie — śmiał się Matuszewicz,—chciałby sam jakiś urząd dostać, więc o innych tak samo trzyma.

— Patrzcie, waszmoście, jak mnie ten człowiek krzywdzi. To ja, zaślepiony, jak tylko przyjaciel potrafi, darzę go urzędem, chociaż na Boga klnę się, do niczego to nie zdolne, nawet konia nie oczyści porządnie. I to ladaco zamiast cicho tu siedzieć a gdy będziemy w cztery oczy do nóg mi upaść, jeszcze zęby na mnie szczerzy i język ostrzy. Taka to wdzięczność na świecie tym naszym—udawał zasmuconego.

— Takie to głowy do pozłoty w świecie naszym szlacheckim—przedrzeźniał go Matuszewicz, wskazując palcem na siwą głowę pułkownika.

---

[1]) Zaręczam słowem honoru.

Wesoło płynął im czas wśród żartów i dowcipów obu najstarszych w tem gronie.

Przy uczcie zaś w dalszym ciągu dokuczał jeden drugiemu, czasem zaś obaj zwracali ostrze swych języków przeciw księdzu Giżyckiemu.

— Daj mu spokój — hamował raz Wapowski przyjaciela, gdy ten po łacinie drwił z kolegi —- on przecie tego języka nie zna.

— Cicho, mości pułkowniku, którego na dywanie wkrótce rozciągną, a ja dyscypliny [1]) dostarczę —odezwał się kanonik.

— Dziękuję, że mi przypomniałeś—ucieszył się Wapowski i zwrócił się do obecnych.

— Słyszeliście, waszmoście i cne dobrodziejki, jako obecny tu urodzony, a mnie wielce miły cześnik Józef Matuszewicz, przyrzekł na kobiercu 25 wyliczyć za to, iż w ostatni dopiero dzień zapustów do niego przybyłem. Poddałbym się tej karze, ale przyznać się muszę waszmościom, iż nie mogę, gdy taka ręka ma mnie karać. Co to bowiem za ręka? Wiedzcie wszyscy obecni, że ten oto szlachcic z rodu tą swoją prawicą uderzał o moją dłoń w takim układzie: Jeśli nie przyjedzie do mnie na dzień nowego roku w dziesiątek sań z muzyką, z dzwonkami i bębenkami i miłem towarzystwem, wypłaci mi na stół tyle czerwonych złotych, ile wskaże liczba obecnego roku. Płać więc waszmość 1733 czerwonych złotych—zwrócił się do Matuszewicza—albo milcz o egzekucji nademną.

Kiedy zaś przebrzmiały śmiechy, Matuszewicz zerwał się z krzesła:

— Stefan, każ osiodłać konie i jedź choćby do samego Brześcia po medyka. Czego stoisz? Czego patrzycie się wszyscy? Toż nie słyszeliście? Rozum zepsował się pułkownikowi. Nie byłbym jego przyjacielem, gdybym go nie poratował w tem nieszczęściu.

---

[1]) Rózgi.

I znowu trzęsła się sala i pokładano się od śmiechu.

Matuszewicz zaś zwracając się w stronę, gdzie siedziała młodzież, mówił poważnie:

— Pamiętajcie kawalerowie i jejmościanki, przepraszam, ekskuzuję się, jejmościanki i kawalerowie, nie pożądajcie zbytnio złota, bo oto do takiej mizerji dojdziecie, jak ten oto człowiek, ongi nawet porządny, dziś zupełna ruina i, jak ostatecznie widzicie „mente-captus“ co znaczy za głowę schwycony.

I rzeczywiście złapał go za głowę, łagodząc w ten sposób żart, który kiedyindziej mógł być za przykrym.

Po uczcie zaś usunięto stoły, w rogu umieszczono Icków t. j. żydków, którzy z instrumentami przygotowanymi czekali we dworze i zaczęły się wesołe pląsy, w których i starsi, nawet pan Wapowski i Matuszewicz wzięli udział.

Stało się, jak przypuszczała młodzież, jak przyrzekł poprzedniego dnia gospodarz.

Wieczorem rozpoczęto dyskusję polityczną.

Wapowski wygłaszał mowy pochwalne na cześć króla Stanisława Leszczyńskiego, który od r. 1710 bawił za granicą i nawet królestwo Lotaryngji osiągnął za staraniem swego zięcia, króla francuskiego Ludwika XV, podczas gdy tron polski przy pomocy cara Piotra wrócił do Augusta II.

Obecnie po śmierci Sasa, przypuszczał Wapowski, że naród powoła tego, któremu raz już koronę oddał.

— To nie naród oddał mu ją — przerwał ks. Giżycki,— a Szwedzi. Przez niego tę nawałę szwedzką musieliśmy znieść i w końcu mieliśmy tylko głód, nędzę i dżumę.

Nie wiedział zaś biedny kanonik, że, podczas gdy inni pili zwykły miód, jemu z dobrze omszałej butelki nalewał Stefan, uśmiechając się przytem znacząco.

I dopiął swego, gdyż nawet w piątek wieczorem po kolacji, kiedy znów biegła młodzież do sali, gdzie tańczono zwykle do białego rana, otworzyły się drzwi, gdzie spodziewano się przyjemnie spędzić ostatki.

Ale w rogu pokoju ujrzeli postać, przybraną w białą komżę, z wspaniałym pasem słuckim, przewieszonym przez szyję.

Postać miarowo kołysała się, trzymając w rękach deskę z napisem: Wielki post.

Tak skończyły się ostatki w gościnnym domu państwa Matuszewiczów.



Ruiny zamku Hurburtów w Ziemi Przemyskiej (zabór aust.).
(Do obrazka: Hurbertowe olchy).

(Rys. J. Stemler)

Sprawa paradyska.

Sejm 1740 r. zapowiadal się dobrze.

Król August III Sas cieszył się, że może wreszcie w siódmym roku jego panowania dojdzie ten sejm—pierwszy—do skutku i nie będzie tak, jak poprzednie, zerwany. Spodziewał się tego on, spodziewała się żona, i izba senatorska tak sądziła, i w izbie poselskiej utrzymywało się to przekonanie.

Po pierwszych dniach, kiedy, jak nakazywał zwyczaj, obie izby, wybrawszy marszałków, udały się do króla, u którego odbyło się „witanie poselskie" — przemowa marszałka do króla i senatu i po odpowiedzi kanclerza w imieniu króla, ucałowanie ręki królewskiej, po tych pierwszych dniach, obradowały izby przez kilka zaledwo dni razem. Wysłuchano propozycji tronu, wybrano członków do rady przybocznej królewskiej i do komisji kontrolujących, wypowiadali mowy posłowie cudzoziemscy i wreszcie izby rozeszły się, aby osobno obradować nad poszczególnemi sprawami.

29-go października, a więc w 26-ty dzień po rozpoczęciu sejmu, jak zwykle, zapełniła się izba poselska, zaroiła się postaciami w różnobarwnych kontuszach, stosownie do barw poszczególnych województw.

Pogodnie uśmiechnięty zasiadł przy swoim stole marszałek izby, Karwowski, stolnik i poseł ziemi Brzeskiej, który dla swojej powagi i uprzejmości zdobył sobie głosy wszystkich posłów.

Z uśmiechem zwrócił się do starszego może od niego, posła z Lidy, Rudzińskiego.

— Panowie bracia spokojnie w tym roku obradują.

— Nie mów, marszałku—wzniósł obie ręce do góry Rudziński—gotóweś w złą godzinę wymówić.

— Broń Panie Boże—przeraził się—a toż byłoby znów nieszczęście. Nie strasz mnie, waszmość, nie strasz.

— Ale dlaczego to nie zaczynamy jeszcze?—zbliżył się do stołu marszałkowskiego Lassocki, poseł Gostyński.

— Nie bój się, waszmość, rozpoczniemy zaraz—zapewnil go marszałek i podszedł do biskupa poznańskiego, księcia Teodora Czartoryskiego, który w tej chwili zbliżył się do stołu.

Na niego widocznie czekał marszałek, gdyż w tej chwili, wróciwszy na swoje miejsce, uderzył laską marszałkowską w posadzkę, dając w ten sposób znać, że posiedzenie otwiera.

Kiedy zaś uciszył się rumor, sprawiony zajmowaniem miejsc, w te słowa przemówił sędziwy marszałek:

— Skoro zakończyliśmy obrady nad wnioskami tronu, słuszną będzie rzeczą i tuszę, że nie zaprzeczą mi tego waszemoście panowie posłowie, byśmy zajęli się sprawą, która wielu obywatelów dotknęła, obraziła Kościół, a dla Rzeczypospolitej żródłem jest hańby niezwykłej i krzywdy.

Znaną jest waszmościom sprawa paradyska, którą dla ichmość panów posłów litewskich i koronnych, jeszcze niedość z nią obznajomionych, pokrótce opowiem.

Początek swój bierze ona w tem dziwnem zamiłowaniu, jakie zdradza król pruski i elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm I do żołnierzów rosłych, stwarzając sobie gwardję olbrzymów. Bardzo skarżą się na to prowincje nasze pruska i poznańska, z których rze-zony król porywa rosłych ludzi, aby ich do tej gwardji wcielić. W tym roku porwał Fryderyk Wilhelm sołtysa z dóbr klasztoru Paradyż w Wielkopolsce, opodal miasta Międzyrzecz. Opat klasztoru, ksiądz Józef Gorczyński schwycił w odwet dwóch mieszczan brandenburskich z miasta Cylichowy, by w ten sposób uwolnić sołtysa. Lecz król pruski zamiast naprawić krzywdę, powiększył ją, wysławszy zbrojne oddziały pod porucznikiem Gröbenem, który klasztor splądrował i sprofanował, dając w kielichach z ołtarzów wziętych, pć wino i wódkę, rozbijając skarbiec, który zabrał, niszcząc kościół i klasztor.

Tak wielka zniewaga religji św. i podeptanie wszelakich

praw i swobód obywatelów naszej ojczyzny, choćby nizkiej kondycji, nie może zostać bez protestu ze strony Rzeczypospolitej i nie może zostać bez kary.

Przeto proszę ichmość panów posłów, by raczyli swój sąd o tem wypowiedzieć i wskazać, jak sądzą należałoby Rzeczypospolitej zażądać zadośćuczynienia za to bezprawie i doprowadzić wreszcie króla pruskiego, by nie śmiał na przyszłość podobnych dopuszczać się ekscesów i strasznych krzywd.

Natychmiast podniosła się wrzawa, krzyżowały się zdania, co widząc marszałek, jako człowiek w sejmowaniu doświadczony, uciszył krzyczących, uderzywszy laską o podłogę.

— Nie wszyscy naraz, nie wszyscy—zawołał.

Poskutkowało napomnienie. Wśród spokoju już mówił pan Tyzenhaus, poseł wileński:

— Nie będę ja mówił o samej sprawie, jako ją niedość znający, to jednak muszę wyrazić zdziwienie, że książę brandenburski, który winienby respekt mieć dla króla i Rzeczypospolitej, jako od niej posiada dobrodziejstw tyle, dziwnie sobie poczyna. Niedawno słyszałem o obrazie, jaką nam wyrządził przez zatrzymanie dwóch księży i szlachcica Szulborskiego pod flinty.. Dość często dochodzą nas wieści o zabieraniu i małych i wielkich ludzi z ziem Rzeczypospolitej; teraz zaś opowiedział nam JM marszałek zajście, które już wszelkie wyobrażenie przechodzi. Jak my to ścierpieć możemy, aby w czasie pokoju wkraczały w sposób nieprzyjacielski wojska książęcia brandenburskiego i takich bezeceństw się dopuszczały, od których włosy na głowie stają. Dlatego upraszam JMość pana marszałka, aby prosił króla JMości o naznaczenie z rezydentem brandenburskim konferencji i o skuteczną w tem satysfakcję.

Taksamo ostro przeciw księciu brandenburskiemu przemawiał biskup chełmiński, Załuski, wielki kanclerz koronny. Mowę swą zakończył on tak:

— Aby położyć koniec ustawicznym skargom na pograniczu, należy ustanowić sędziów, którzyby zastąpili niedbalstwo starostów, mających z prawa ten obowiązek, lub też przypomnieć ponownie tymże samym starostom regułę przepisaną prawami, które ich pouczają, jak sobie mają postępować na pograniczu.

Szmer pochwały rozległ się, gdy biskup skończył mowę, widocznie jego rada trafiła do przekonania posłom.

Szerzej ujął tę kwestję biskup kujawski, Grabowski.

— Nie o jednej prowincji pamiętać musimy — mówił — a o wszystkich, którym krzywdy od postronnych potencji dzieją się. Wszak prawie codziennie zachodzą skargi, mianowicie od województw, wielkopolskich, pruskich, podolskiego i bracławskiego, na krzywdy bezkarnie dotąd im czynione. Gdy zaś one coraz częściej się dzieją, hańbą byłoby tej naszej Rzeczypospolitej, abyśmy nie zażądali satysfakcji i ukarania winnych.

Przeto sądzę, należy zrobić konferencję z ministrami tych potencji, które są winne, aby komisarze mieli sposobność wymiarkowania, co ze strony Rzeczypospolitej uczynionem być winno.

Atmosfera na sali robiła się coraz gorętsza.

Od czasu do czasu, gdy który poseł opowiadał o wypadku krzywdzącym, rozlegał się okrzyk:

— Na szable ich!

— Na pal z nimi!

Przez kilka dni ciągnęły się rozprawy nad tem.

W ostatni dzień przemawiał pan Siemieński, poseł lwowski.

— Przemawiali tu ichmoście panowie posłowie i różni różne przepisywali rady. Ja zaś zapytam waszmościów: jaki będzie skutek owych komisji, owych konferencji? Nie zdaje mi się bowiem, aby było słusznem to, w co niektórzy z nas wierzą, a o czem szeroko mówił rezydent brandenburski, pan Hoffmann, że książę Fryderyk Wilhelm zachowuje przyjaźń dla Rzeczypospolitej. Zważcie waszmoście jego zachowanie się, które od lat szeregu krzywdę wyrządza ludności polskich województw. Dla mnie owa przyjaźń jest podejrzana, a sąsiedztwo szkodzące. I dlatego zaprawdę nie będę wotował za żadną z propozycji waszmościów, jeśli nie dodam tego, co mnie się wyda koniecznem i jedynie zbawiennem. Tutaj nie czczych słów potrzeba, ale innej rady. Według mojego chudopacholskiego rozumu postępki książęcia brandenburskiego nie będą inaczej wstrzymane, jak tylko zbrojnemi radami, jak tylko siłą wojska naszego. Daleki jestem od zakłócania spokoju Rrzeczypospolitej,

ale tak sądzę, że jeśli waszmoście postanowicie nie komisarzów, nie starostów i nie konferencje postawić na granicy Brandenburgji, a silne i dobrze uzbrojone wojsko, wtedy ustaną krzywdy, ustaną napady, ustanie porywanie ludzi.

Skończył Siemieński, ale nikt nie dał mu oklasków, nikt nie krzyczał radośnie.

Wśród takiego też milczenia przemawiał podczaszy koronny Dąbski, poseł sochaczewski.

— Przy tej sprawie rozważyć nam trzeba wszystko, zanim cokolwiek postanowimy. Bardzo słusznem wydaje mi się to, co mówił JMość pan poseł lwowski, gdyż naprawdę hańbą to jest dla Rzeczypospolitej, aby takie zniewagi, takie praw nieposzanowanie znosiła przez dziesiątki lat. I może rzeczywiście najsłuszniejszą rzeczą byłoby zbrojną ręką odpowiedzieć na krzywdy książęcia brandenburskiego. Ale jeśli, Boże broń, zaweźmie się na powszechny w Europie pożar? Któż da odpór, kto się zastawi wojskom, przechodzącym z ruiną kraju Rzeczypospolitej? Czyż ta mała garstka wojska, za którą się wstydzić na tak obszerne królestwo potrzeba. Pomyślcie tylko waszmoście! Tyle województw, tyle ziem w Koronie, na Litwie i Rusi, i tego wszystkiego ma bronić 18,000 żołnierza, którego nawet w tej liczbie doliczyć się nie można! Naprawdę wstyd mi na czoło występuje, gdy o tej rzeczy mam mówić.

I rzeczywiście zarumienił się poseł sochaczewski, który widział, że śmiesznie małe są siły Rzeczypospolitej, aby sprostać tym ciężarom, tym niebezpieczeństwom, ze wszech stron czychającym.

Gdy jednak zaczęto mówić o „aukcji wojska“, o powiększeniu liczby stałej armji przynajmniej do 60,000, taka podniosła się wrzawa, jakgdyby conajmniej kawał Rzeczypospolitej został zajęty przez wroga.

12 listopada kończył się piąty tydzień obrad sejmowych. Według obowiązujących ustaw jeszcze tylko tydzień mieli posłowie radzić, a jedynie w tym wypadku dozwolone było przedłużenie obrad sejmu zwyczajnego, jeżeli wszyscy posłowie zgodzili się na to. Uzyskanie zaś jednomyślności było rzeczą trudną.

W dzień ten zimny, pochmurny, szli ulicą, owinięci w gru-

be płaszcze dwaj posłowie, zmierzając do budynku zamkowego, gdzie odbywały się posiedzenia sejmowe.

— A może jednak — mówił Lassocki—zgodzą się posłowie na przedłużenie sesji.

— Nigdy —zapewniał go Podoski.—Dziękujmy Bogu, że udało się osiągnąć jednomyślność we wszystkich sprawach dotąd. Byleby do końca dojechać i wciągnąć do ksiąg uchwały, a i tak będzie za co pomodlić się w kościele.

Deszcz smagał ich po twarzy, drobny, mroźny, jesienny deszcz.

Przyśpieszyli kroku, by czem prędzej znaleść się w sali obrad.

Zaraz zaczęło się posiedzenie, lecz tym razem szło niespokojnie. Co chwilę powstawały szmery, wyrywały się okrzyki.

Wreszcie marszałek Karwowski, powstawszy z krzesła, zwrócił się w stronę, skąd podnosiły się okrzyki niezadowolenia i przemówił:

— Proszę waszmościów nie przeszkadzać w obradach. Wszyscy jesteśmy równi i każdemu dana jest możność wypowiedzenia, co mu się nie podoba i jakiej żąda zmiany, albo, co chciałby usunąć.

Wówczas ozwał się jeden z posłów litewskich, nizki, gruby szlachcic Sosnowski:

— Wszystko trzeba zmienić, bo krzywda stała się prowincji litewskiej.

Zdziwieni zwrócili się ku niemu posłowie.

— Jaka krzywda? — spytał niespokojnie marszałek, który przeczuwał jakieś nieszczęście.

Szlachcic zaś, nabierając odwagi, skarżył się:

— Panowie koroniarze stale pomijają Litwę i uciekają od niej, jak od zapowietrzonego kraju. Skoro jednak konstytucje krajowe postanawiają, by sejm jeden odbywał się w Warszawie, drugi w Piotrkowie, a trzeci w Grodnie, przeto ja protestuję przeciw jego odbywaniu się obecnie znów w Warszawie, zamiast w Grodnie. Ja protestuję—powtórzył z mocą.

Kiedy zaś wszyscy patrzyli na niego w osłupieniu, nie mogąc słowa wymówić, poparł go Horain.

— I ja również protestuję.

Wtedy podbiegł Tyzenhaus.

— Na miłość Boga—prosił—nie róbcie tego. Przecież ja też z Litwy jestem, a znoszę tę krzywdę, bo dla dobra Rzeczypospolitej naszej zapomnieć o tem trzeba.

I inni też prosili, zaklinali ich, przyrzekali, że dwa sejmy następne odbędą się w Grodnie, że osobną uchwałę w tej sprawie poweźmie izba cała — nic nie pomagało. Litwini obaj uparli się.

— Szlachcic jestem—powtarzał Horain.

— Nie pozwalam! Veto!—wołał Sosnowski.

Koło powstało wokół nich, lecz perswazje nie przydały się na nic.

— Tu coś innego jest — szepnął Tyzenhauz do Siemieńskiego.

— Ten robak złoty—gorzko potwierdził tamten.

I rozszedł się sejm, niczego nie zrobiwszy.

Rozszedł się, jak tyle już poprzednich.

A na dworze słota była jesienna i łzawemi kroplami padał deszcz nad stolicą chylącej się Rzeczypospolitej, nad tą krainą coraz bardziej słabnącą.



Stanisław Staszic.

mieszczanin z Piły, w Wielkopolsce, jeden z najoświeceńszych ludzi w Polsce w XVIII w. Żądał on w swych pismach wzmocnienia państwa przez zmianę ustroju społecznego, podniesienia mieszczan i chłopów do rzędu obywateli panstwa, chociaż nie równych szlachcie, ale mających w Polsce pewne prawa. Te prawa rodziłyby miłość do Polski i dałyby dużej armji, której się słusznie domagał, dzielnych żołnierzy.

(Rys. J. Stemler).

W Collegium nobilium.

W wielkim refektarzu konwiktu OO. Pijarów w Warszawie na Żeliborzu zebrali się ojcowie na naradę.

Miło było w tej sali, zacisznie jakoś i ciepło. Kiedy zaś spojrzałeś na zamarznięte szyby okien, jeszcze przyjemniej ci się robiło, gdyż czułeś tutaj ciepło, które od pieca dużego rozchodziło się po całym pokoju.

Wokoło dużego stołu dębowego zasiedli OO. Pijarzy, wychowawcy pańskiej młodzieży.

Więc na pierwszem miejscu siedział Stanisław Konarski, człowiek bardzo uczony, który po odbyciu nauk za granicą, szczególnie we Włoszech, wrócił do kraju i swoją wiedzę jemu oddał. Za jego staraniem i pod jego światłem kierownictwem powstało z łacińska nazwane collegium nobilium, szkoła dla szlachty. Tuż przy nim siedzi O. Florentyn Potkański, dalej Augustyn Orłowski, ulubieniec młodzieży, podobnie jak Konarski i Mikołaj Stadnik, i Sebastjan Michałowski, na samym zaś końcu stołu siedział poważny, w pełni sił jeszcze O. Antoni Wiśniowski.

— A toż do papieża możemy się zwrócić--wołał O. Stadnik, a na twarz wybiegły mu rumieńce oburzenia.

— A jeśli Ojciec św. weźmie stronę Jezuitów?—podsunął wątpliwość O. Orłowski.

— Nie bójcie się—zapewniał O. Wiśniowski—papież za nimi nie stanie, gdyż nauka fizyki jest wykładana także w Rzymie i nikt nie boi się tam Kopernika [1]).

— Jabym radził—odezwał się O. Michałowski—raczej zaprzestać tych wykładów, a nie narażać się Jezuitom. Oni mają duże wpływy, mogą nam bardzo poszkodzić.

— A ja wam, mili bracia—zaczął Konarski—co innego poradzę: Ważniejszą rzeczą jest korzyść ojczyzny, aniżeli wasze wygody. Widzicie przecie, że zaledwo dziewięć lat minęło od chwili założenia naszego Collegium, a dzisiaj już po całym kraju, jak długi i szeroki istnieją szkoły dla szlachty, dla stanu, którego oświecenie największe dobro sprowadzi na naszą ziemię. Jeżeli ten stan będzie naprawdę oświecony, wtedy będzie umiał zaradzić złemu położeniu państwa i będzie umiał naprawić wszystko. I chyba niema ani jednego pośród nas, któryby się nie zgodził z tem, że dla dobrego wykształcenia potrzebna jest dobra i prawdziwa nauka.

— Ale zważcie—upierał się ks. Michałowski—że pisma Kopernika zostały spalone za wyrokiem papieskim.

— To prawda—zgodził się Konarski—ale prawdą także jest to, że dzisiaj i papieże już nie tylko pozwalają na tę naukę, ale też popierają ją, pozwalając w szkołach duchownych na uprawianie jej. A nie uważacie pewnie Jezuitów za wyższych od stolicy apostolskiej.

— Broń Boże!—zawołał z oburzeniem opozycjonista.

— Więc chcecie tylko dla ich przyjemności poświęcić prawdziwe wykształcenie młodzieży?—pytał Konarski.

— I to nie—odparł Michałowski—ale chcę zgody.

---

[1]) Mikołaj Kopernik, ksiądz z Torunia, dokonał w XV w. za panowania Kazimierza Jagiellończyka epokowego odkrycia w nauce, mianowicie stwierdził, że nie słońce obraca się naokoło ziemi, a przeciwnie, ziemia naokoło słońca.

— To zamknijmy nasze szkoły — zaśmiał się ks. Orłowski.

— Ja jedno powiem—przemówił ks. Potkański—pracujemy wedle przykazań bożych dla pożytku narodu i ojczyzny. Praca nigdy nie była łatwa, szczególnie zaś nie będzie łatwa nasza praca, skoro chcemy naprawiać to, co było złem. Więc nie trzeba się dziwić, że spotykają nas przykrości, że przeciw nam występują i walczą. My idźmy swoją drogą, a będzie dobrze.

— To mi jest racja—zawołał ks. Orłowski i roześmiał się pełną piersią.

— A ja czuję, że zwyciężymy — mówił ks. Wiśniewski. — Pamiętacie, jak baliśmy się, że to O. Konarski obcina łacinę, a wprowadza nasz, polski język. I przecież przyjęło się to, bo dzisiaj przynajmniej w parwie i infimie wszędzie wykładają po polsku. Potem znów, kiedy nam nasz Konarski czytał „O naprawie błędów wymowy“, krzyczeliśmy, że to hałasu narobi i nic więcej. A ono rzeczywiście narobiło hałasu, ale z tego hałasu dobre są owoce, bo już zaczynają myśleć o tem, ażeby na teatrum [1]) w szkołach przygotować sztukę w polskim języku, już tłumaczą obce utwory na naszą mowę, ba nawet i w polskim stylu piszą. Będzie dobrze, będzie dobrze, jeno nie bać się i nie ustępować.

Księża słuchali w milczeniu mowy ks. Wiśniewskiego i widocznie trafiła im ona do przekonania, bo poweselały ich poważne oblicza i uśmiechy pojawiły się na nich.

— Ks. Wiśniewski już zwycięstwo widzi — odezwał się O. Michałowski — a tu jeszcze go nic nie zapowiada.

— Abyście wiedzieli, że widzę je—z młodzieńczym zapałem przemówił zaczepiony.—I wy też moglibyście je widzieć, albo przeczuwać przynajmniej. Kiedy cóż, do wygód przyzwy-

---

1) W każdej szkole odbywały się co pewien czas, przynajmniej raz do roku, przedstawienia, na których odtwarzano utwory uczniów tej szkoły lub nauczycieli.

czajeni chcielibyście, aby wszystko ścieliło wam się pod nogi. Przez życie nie przejdziecie, jak zdolny chłopiec przez parwę i infimę [1]).

Roześmiali się wszyscy i nastrój zapanował pogodny, jak po burzy, gdy słońce jasne zaświeci.

— Swoją drogą—cieszył się ks. Orłowski—nasz Konarski ma szczęśliwą rękę, bardzo szczęśliwą.

— A to dlaczego?—uśmiechnął się Konarski.

— Jak-to dlaczego? Co tylko zaczniesz—mówił mu „ty", gdyż jego siwe włosy dawały mu zupełne do tego prawo — wszystko idzie ci, jak z płatka. Ledwo założyłeś collegium nobilium, już zaraz zaczęli naśladować cię i wszędzie zakładać szkoły dla paniąt i szlachty.

— Ale też wydziwiali na mnie dosyć—wtrącił Konarski.

— E, wydziwiali, wydziwiali, a gdzieżeś-to widział, aby nie wydziwiali na tego, kto innym błędy wykazuje. Ludzie nie anioły, więc niema się czemu dziwić. Ale poczekaj—nie tutaj koniec twoich powodzeń. Dostałeś pozwolenie od papieża, pojechałeś naprawiać szkoły pospolite. I ja ci powiem, że w tem może więcej zasługi położyłeś, niż w tamtem. Bo to pomyśleć tylko, że nie rozkazami, a radą, nie gwałtem, a spokojnie, w całej prowincji naszej zmieniłeś szkoły dla maluczkich, dla mieszczan i trochę chłopów.

— No, chłopów, to już najmniej — zaoponował Wiśniewski.

— A to dlaczego?

— Bo chłopi nie mogą posyłać dzieci do szkoły. Ledwo to sześć lat ma, już musi pańszczyznę odrabiać, albo do dworu idzie na posługi.

---

[1]) Parwa była to najniższa klasa, gdzie uczono czytać i pisać, potem szła infima, gramatyka, syntaxis, poetyka i wreszcie retoryka. Po zreformowaniu szkół przez Konarskiego dołączono do każdej z tych klas do dawnego programu, obejmującego tylko łacinę, jaszcze polski i francuski język, jeografję, historję, prawo (i fizykę gdzieniegdzie).

— Nie można mówić, aby wszędzie tak było. Wprawdzie zamiast odrabiać 1 dzień w tygodniu, odrabiają ich po 2 i 3, a nawet trafi się pan, który i do czterech dni bezprawnie ich zmusi, ale przecież tak źle nie jest, aby cała rodzina do roboty szła od najmłodszych lat. Zresztą, moiście wy, za granicą jeszcze gorzej jest, niż u nas.

— Tak, tak, rozmaicie bywa u nas, rozmaicie i za granicą—zgodził się ks. Wiśniewski.

— A przecież—ciagnął dalej ks. Orłowski—przynajmniej mieszczanie wszyscy korzystają z dobrodziejstw naszego Konarskiego. I to ja uważam za największą jego zasługę. Boć nie szlachta tylko mieszka w Polsce.

— Widzicie—tłumaczył się Konarski—robili mi i robią jeszcze zarzuty, że jedynie o paniętach pamiętam, że nawet dla całej szlachty nie mam serca, że prę się do możnych, a ja nie ustanę w tej pracy dla szkół możnowładczych. Bo nie tylko chodzi mi o wychowanie i nauczenie dzieci, ale też o coś innego, trwalszego, ważniejszego.

— Wiem, wiem—przerwał mu Orłowski—chcesz wychować panów, którzy Polskę zmienią. Nie bardzo w to wierzę, ale daj ci Boże. Źle dzieje się u nas. Bawią się tylko, piją, nowe mody wprowadzają, a o Rzeczpospolitą nie dbają zupełnie. Czy jednak twoja szkoła zmieni to wszystko? Bardzo wątpię.

— Odrazu nie, ale powoli zmieni—wierzył Konarski.

— Ależ— mój kochany—ja nie powstaję przeciw tobie. Wierzysz w to, daj ci Boże owoce zobaczyć. Ja dla ciebie tyle mam szacunku za tę wiarę i za tę stałość w pracy. No, no mały—bronił się staruszek—nie próżne pochwały ci mówię, a prawdę serdeczną.

I głaskał głowę Konarskiego, który, jak syn, schylił się do ręki starca i z pokorą ją całował.

— Przecież tego wszystkiego dokonałeś sam, bez pomocy niczyjej, gdy w kraju anarchja jest i bezrząd srogi. Szczęść ci Boże w tej robocie owocnej.

— No—podniósł się Konarski—tego nie mówcie ojcze, że bez niczyjej pomocy dokonałem dzieła reformy. A wy wszyscy, a cały nasz zakon—przecież stanęliśmy razem, jak żołnierze w ordynku i razem pracujemy.

— A prowincja litewska?

— Litewscy nasi bracia nie przyjęli jeszcze reformy, ale i oni przyjmą—i oni.

— Ta wiara twoja, ta wiara! — wykrzyknął ojciec Orłowski i patrzył w twarz Konarskiego, która promieniała szczęściem i tem uczuciem pewności i niezachwianej mocy, która mówiła wyraźnie, że z drogi obranej nie ustąpi, że na niej zwycięży.

A w szkołach Konarskiego kształciło się rzeczywiście wielu, którzy do sejmu w r. 1788 jako posłowie weszli.

Może w tej chwili czuł zapowiedź tego Konarski.

A może tylko czuł ten spokój nieziemski, jaki daje służba ciężka, a zbożna, a szczęśliwie poczęta.

Gody weselne.

Dom Hoszkiewiczów w Wilnie pełen był gwaru, śmiechów i hałasu.

Przed jego pięknie ozdobioną bramę zajeżdżały jedne sanie za drugiemi, wyrzucając z wnętrza pięknie strojne mieszczanki, poważnych ławników i rajców, ktorzy rozpinali łańcuchy złote, spinające na piersiach ich bogate futra i chronili się natychmiast w gościnnie rozwarte podwoje domostwa.

Nawet młodzież męska szybko przebiegała przestrzeń niewielką, dzielącą ich od domu, jak gdyby bała się tego mrozu, który ściął w twarde powłoki warstewki śniegu, szczelnie przylegającego do gałęzi drzew, do płotów i dachów.

I słusznie nawet młodzież uciekała przed zimnem.

Bo też zima tego roku 1758 ciężką była. Ani za panowania obecnego króla, Augusta III Sasa, ani za jego poprzednika nie pamiętano w Wilnie tak siarczystego mrozu.

Na szczęście jednak wszystkie sanie zajechały dość prędko i państwo młodzi wraz z drużbami, drużkami i gośćmi weselnymi przechodzić poczęli z sieni do komnaty, wspaniale przybranej w dywany i makaty.

Na progu stał szpakowaty już ojciec z żoną Zofją.

Stanęli przed nimi państwo młodzi.

Córka cała w bieli, jak ów śnieg, który za oknami skrzył się. Jedyną jej ozdobą jasną, promienną, były oczy, łzami świecące. Nie włożyła żadnych swiecideł, ani złota, ani pereł, chociaż ojciec jej, jeden z najbogatszych kupców wileńskich mógł jej podostatkiem dostarczyć tych świecidełek. Nie wło-

żyła ich dzisiaj, gdyż zwyczaj nie pozwalał. Mówili starzy, że perły w dzień ślubu włożone znaczą płacz, a drogie kamienie—życie pełne niebezpieczeństw i przygód.

Przy niej, wysmukłej, jak wiosna pięknej, jaśniał młody Grondzki, syn powszechnie szanowanego kupca, który nie tylko dla swej powierzchowności zdobył serce Marysi, ale i dla szlachetności i dobroci, która go wyróżniała z pośród zepsutej młodzieży bogatych mieszczan wileńskich.

Wyciągnęły się ręce ojca i matki.

Na tacy leżał bochenek chleba i sól.

— Rozkroić—wydał rozkaz stary Markiewicz, który jako przyjaciel domu spełniał dzisiaj rolę starosty.

Spełniono rozkaz i w tej chwili posypały się po tacy jasne, świecące dukaty.

— Patrzcie, patrzcie – ozwali się goście, na których widok stosu złota zrobił przecież wrażenie, chociaż to wszystko byli ludzie bogaci.

Tylko Kazik młody nie rozpromienił się, jak inni. Pobożnie schylił się do ręki matki, podczas gdy Marysia ojca serdecznie całowała.

Doskonałą harmonję tworzyły te schylone cztery głowy, ubrane w cztery różnej barwy włosy. A przecież najjaśniejsze, jak len świeży, miała Marysia, potem ciemniejsze nieco Kazimierz, matka była szatynką, a ojciec zamiast dawnych czarnych, czarno-białe dzisiaj już posiadał.

— Daj wam, Boże, wszystko dobre — mówił wzruszony, całując głowę jedynaczki i nowego syna.

Oni zaś odpowiadali pocałunkami tylko, bo w poczuciu ogromu szczęścia nie mogli się zdobyć na słowa.

Ale za to goście weselni, a szczególnie młodzież, podchwytując życzenie ojców, krzyknęli, aż ściany domu się zatrzęsły.

— Vivat! vivat! Niech żyją.

Cofnęli się rodzice od drzwi, odsłaniając wspaniały stół, zastawiony już potrawami dymiącemi.

I zaraz poczęli wchodzić goście weselni.

Zebrała się w domu Hoszkiewiczów cała konfraternja kupiecka. Był tam więc wódz jej i naczelnik, siwy jak gołąb Purzycki Tomasz, który prowadził matkę pana młodego, panią

Grondzką, dalej szli Miśkiewicz Paweł z Anną Głębocką, Goczkowski Andrzej z Heleną Kuleszową i Zaborski też Andrzej z Kozłowską Olgą i Kulesza Stefan, który odwdzięczając się Gorzkowskiemu jego małżonkę prowadził i Głębocki Rafał z Miśkiewiczową Wilhelminą, na samym zaś końcu, już poza młodymi, którzy również w dziesięć przeszło par się ustawili, sunął stary Markiewicz, najstarszy ze wszystkich i zarazem mający najwięcej humoru i werwy.

— No siadajcie, siadajcie—zapraszał.

— A ty tu czego? — krzyknął na starego Hoszkiewicza, który od stołu odszedł, zbliżając się do drzwi pokoju, gdzie służba przygotowywała dalszą część uczty.

— Uczyniliście mnie starostą, to słuchajcie teraz — i delikatnie obrócił Hoszowskim i pchnął go w kierunku stołu.

— A czego dobrodziejka się kręci?—zwrócił się znowu do pani Hoszkiewiczowej.

— Pozwól dobrodzieju—prosiła go—my oboje sobie będziemy gospodarowali, a oni niechaj się przy stole zabawiają.

— Dla jejmości wszystko zrobić jestem gotów — ukłonił się grzecznie starosta, a zrobił przy tem tak wesołą minę, że nie mogli obecni wstrzymać się od śmiechu.

— A cóż to, myślicie, że tylko młodzi mogą się zalecać i uśmiechać?—oburzył się na śmiejących.

Ukazały się na srebrnych półmiskach gęsi, a służba zaczęła ustawiać kieliszki i roznosić w złotych puharach wino.

Pomruk podziwu rozległ się wokoło.

— No, no—mówił Kozłowski, że też mimo wszystko Hoszkiewicz tyle jeszcze bogactw zachował.

— Cóż wielkiego? Bogacz był i zostanie.

— Ba, ale inni przez te przemarsze wojsk rosyjskich dobrze musieli nadszarpnąć swoje fortuny.

— Oj, to nieszczęście nasze—rozległ się chór—widocznie te przemarsze obcej armji przez Polskę, która za czasów Augugust III od r. 1740 prawie bez przerwy trwały, musiały porządnie nadwerężyć majątek kupców.

Zaraz też opowiadać o tem począł Chrapicki, jak to wojska obce, przechodząc przez Polskę na pomoc Prusom przeciw Austrji naprzód w 1748, potem w 1756 i następnych, niszczyły kraj, a szczególnie mieszczan.

— Masz zboże?—mówił Chrapicki—pyta żołnierz. Mówię mu cenę. A ten zabiera nie pytając, komendant siedzi opodal na koniu, spogląda i ani słowem nie odzywa się, kiedy go o pomoc proszę.

— A Zahorskiemu skóry zabrali, zapłaciwszy czwartą część przypomniał Kulesza.

— Wam niby nic nie zabrali?—odezwał rię tamten.

— Zabrali, ale zawsze przynajmniej połowę zapłacili. Gorzej mieli się ci, którym w Elblągu i w Toruniu przyszło dostarczyć zboża i chleba wojskom pruskim.

— A skądże tam wojska pruskie się wzięły?—dziwili się młodzi, którzy tymczasem zbliżyli się od koła ojców.

— Moiście-wy—odpowiedział wszystkim stary Markiewicz—Rzeczpospolita dzisiaj to jak karczma zajezdna. Prowadzi wojnę z Austryjakiem Prusak, prowadzi sobie wojska przez nasze kraje, idzie wojować Rosja z Prusami, czy z Turcją, znów przez całą Litwę i Ukrainę ciągną jej sołdaty, A wewnątrz kraju, co się dzieje?

Posmutnieli wszyscy, bo rzeczywiście smutnej słuchali opowieści, tem smutniejszej, że nie było w ich mocy zaradzić złemu stanowi. Mieszczanie nie mogli poprawić Rzeczypospolitej, gdyż nigdzie nie dopuszczano ich do głosu.

Pierwszy Markiewicz spędził chmurę z czoła:

— Waszmoście. zapominamy się, przecież dzisiaj wesele.

— Wesele, wesele—zakrzyknęli wszyscy.

— Dalejże—skinął na służbę.

Napełniono kielichy i zaraz też starosta, jak to było powszechnie przyjętym zwyczajem, uderzył trzonkiem od noża w kielich, chrząknął kilka razy i kiedy zupełna już nastała cisza, rozpoczął:

— Gdy nowy, jasny wstaje dzień, cieszą się ludzie. O ileż więcej cieszyć musimy s ę dzisiaj wszyscy, gdy nie jeden dzień, a życie całe jasne, wesołe i oby jak najszczęśliwsze zaczyna młoda para. Ja, wiekiem pośród was najstarszy zapewne, który patrzyłem na wiele skojarzonych związków, nie tylko życzenia chcę wam złozyć. Przecie niema wśród nas ani jednego,

któryby wam co innego życzył, jak ja. Ale doświadczenie moje dało mi dużo wiedzy i pośród tych podarków ślubnych, które wasze oko bawią, ten wam chcę dać jeszcze, nie dla zabawy, nie dla schowania, a dla zapamiętania go i używania w każdym dniu waszego życia. Pamiętajcie oboje, że świat nie jest rajem, a ludzie nie są aniołami. Macie oboje zalety, a ma z was każde i wady. Dlatego zdarzą się w latach przyszłych w waszym domu dni chmurne, będą wypadki, gdy mąż będzie winny wobec żony i naodwrót. Pamiętajcie wtedy, że przez gniew nie naprawia się zła. Nie krzywcie się na siebie nawzajem, a porozmawiajcie spokojnie o przewinie popełnionej. Naprawdę usuniecie w ten sposób wiele nieporozumień i potraficie sobie stworzyć spokojne i pogodne życie, które może nawet w raj się przemieni. Łzy da wam świat, wy sami dawać sobie macie tylko pogodę i śmiech szczęścia. O tem pamiętajcie i to spełniajcie zawsze.

To mówiąc wychylił do dna kielich, a następnie ucałował w czoło młodą Grondzką i jej męża, pokornie do ręki starego się chylących.

Tak rozpoczął się szereg toastów.

Więc Skorzkowski pił zdrowie konfraternji kupieckiej, Kulesza zdrowie ławników miejskich, młody Grondzki wychylił toast na cześć mieszczanek-Polek.

Rozochociła się młodzież, rozochocili się starzy, a Markiewicz nie żałował napojów, których w piwnicy starego Hoszkiewicza było podostatkiem.

Pod koniec zabrał głos Paweł Miśkiewicz:

— He, he—śmiał się, podkręcając białe wąsy — piliście różne zdrowia, tak że, jeśli Bóg wysłucha was, to he, he, będziemy wszyscy po sto lat jeszcze żyli, co daj Boże Amen. Ale ja—spoważniał nagle i wyprostował się wspaniale — do innego zmierzam. Z tych wszystkich życzeń wnoszę nie bez słuszności, że jest między nami coś, co nas łączy i w jedną jednoczy rodzinę. Krótko mówiąc, dobrze nam z sobą i kochamy się wzajemnie. Jako zaś koło musi się obracać, jeśli ma iść naprzód, tak samo uczucie nasze nie może stanąć na jednem miejscu i musi się rozwijać, musi coraz nowe kręgi

zataczać. Daj Boże, aby z wami to samo było. Do czego zaś zmierzam? Oto mało jest, że w Wilnie kochają się między sobą bractwa kupieckie, mało jest, że kochają się w Warszawie, w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu. Muszą się one wzajemnie pokochać tem bardziej, że Rzeczypospolitej potrzeba takiego stanu mieszczańskiego, któryby jej sił dodał i nieznośne, stosunki wewnątrz państwa i poza niem zmienił. Że zaś dzisiaj nam nic nie wolno w tem państwie naszem, to przyczynę upatruję w tem, iż niema miłości wzajemnej w Polsce i niema wzajemnego zrozumienia się między pojedynczymi Polakami. Kiedyś z pewnością nie będzie myślała szlachta tytko o zabawach, ani mieszczanie tylko o gromadzeniu pieniędzy dla siebie. Znajdą się wtedy ważniejsze rzeczy, jako zawsze z miłości najwznioślejsze powstają dzieła. Więc piję toast kochajmy się tak, by złączył się cały stan mieszczański w Rzeczypospolirej, by z nim złączyły się także wyższe stany.

Następnie rozbiło się towarzystwo na trzy części.

Najgłośniej naturalnie zachowywała się młodzież, dla której usunięto stoły, umieszczono w kącie kapelę, więc wkrótce rozpoczęły się ochocze tany.

Matki usiadły pod ścianą na krzesłach dębowych słanych i nowych fotelach i kanapach, obijanych adamaszkiem, zabawiając się podziwianiem panien, to znów opowiadając starej Hoszkiewiczowej, jak córka jej płakała przy ślubie, jak jasno paliły się świece w kościele, co wszystko brano za dobrą wróżbę dla państwa młodych na ich przyszłe życie.

Starzy zaś usunęli się do dalszego pokoju i tam bądź to grali w marjasza solizowanego, bądź w pikietę.

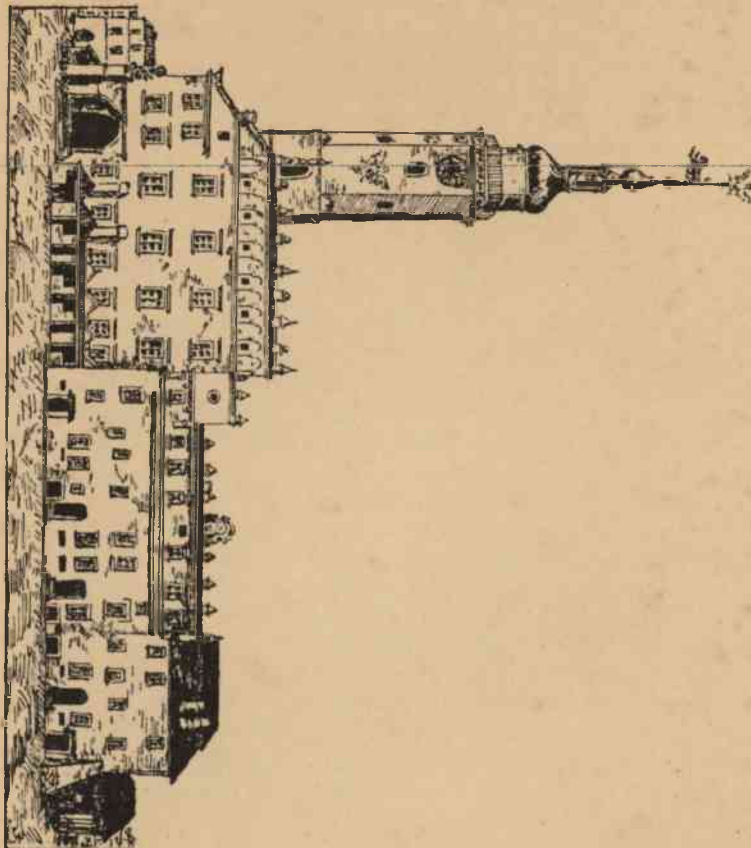
Stary zaś Hoszkiewicz, przystąpiwszy do Miśkiewicza, śmia się z niego:

— Za wcześnie urodziliście się, dobrodzieju. Za jakie tysiąc lat może będzie w Rzeczypospolitej tak, jak wyście chcieli, ale teraz nie będzie szlachcic kochał mieszczanina, ani mieszczanin szlachcica. Toż nam nawet ziemi kupować nie wolno tutaj, a znacie pewno to prawo, które dopiero dzisiaj wydaje się dziwnem, że gdyby szlachcic zajmował się kupiectwem, traci szlachectwo. I jakże przy takich stosunkach mówić o miłości.

— A ja wam powiadam—upierał się Miśkiewicz, że prędzej czy później musi się to zmienić. Może my nie będziemy oglądali tego, ani ty, ani ja, ale czy nie zobaczą innych stosunków wnuki, nikt z nas nie zaręczy.

Tak wierzył Miśkiewicz, tak wierzyła część mieszczaństwa, ale na razie źle było w Polsce ich stanowi, gdyż był on zupełnie pozbawiony praw.

A świt—dalekim był jeszcze.



Ratusz lwowski w XVII w.

(Rys. J. Stemler).

Konfederaci w Częstochowie.

Nadzwyczaj wcześnie wstała wiosna nad Polską w tym ciężkim tysiącznym siedmsetnym siedmdziesiątym pierwszym roku pańskim, a siódmym roku panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Zaledwo marzec był, a już spłynęły śniegi ze wszystkich wzgórz Częstochowy, a na rozległych równinach tylko tu i ówdzie bieliły się jego szczątki, zresztą czarna ziemia, przepojona wilgocią ukazała się, gdzieniegdzie zielenią świeżą pokryta, zapowiedzią zbóż i pastwisk.

Mimo radosnych ziół, wesołych ptaków i jasności słońca, smutek panował w szeregach konfederatów.

— Prawda, marszałku—zwrócił się do Paca starosta Ziołowski—przegrana już nasza sprawa.

— Dlaczego?—oponował Pac.

— Dlatego, że z sowy nie zrobisz sokoła.

— Jak to waszmość rozumiesz?

— Ano po prostu. Minęły już czasy, gdy szlachta z zapałem się biła, gdy w obronie religji i ojczyzny ochotnie siadała na koń. Po klęsce pod Stołowiczami nic nam już nie zostaje, jeno broń złożyć.

W tej chwili przysunął się do rozmawiających człowiek młody jeszcze, może czterdziestoletni i z uprzejmą miną zapytał:

— O publicznych sprawach waszmoście gawędzą?

— A tak, mości pośle—odpowiedział Pac.—Starosta sądzi, że konfederacja już nie ma co robić.

— No nie—żywo zaprotestował przybyły.

— Widzisz, starosto, skoro taki dyplomata, jak obecny tu poseł nie uważa sprawy za przegraną, to chyba nie będziesz uważał, że twój chudopacholski rozum wyższy od jego bystrości.

— Tego uważać nie będę, ale dajcie mi racje.

— Racjami zaraz waszmości służę — ofiarował się Feliks Łojko, który zażywał wielkiego szacunku wśród konfederatów barskich, jako były poseł dworu polskiego we Francji, Anglji, Neapolu i Sycylji.

— Otóż przedewszystkiem—zaczął Łojko, podparłszy się pod boki—nie jest jeszcze nasza sprawa stracona, ponieważ szlachta zaczyna coraz liczniej do nas przystępować, a co najważniejsze, przystąpił już hetman Ogiński. To jest rzecz bardzo ważna, bo w ten sposób wojska koronne pójdą z nami.

— Dużo mi tych wojsk—drwił Ziołowski—ma być ich aż 12,000, a zdaje się jest 7,000. I cóż nam z tego przyjdzie, kiedy Rosja już wprowadzila blizko 30,000 żołnierza, wiadomo, że najwyższa władza narodu, król Stanisław August, jest razem z nimi.

— Ale za to Austrja i Prusy staną w naszej obronie — spodziewał się Pac.

— Tego nie będzie—zaprzeczył Łojko.

Nawet Ziołowski się zdziwił.

— Jak to, przecież i Pułaski Kazimierz tam jeździł i waszmość byłeś w Austrji—i wy mówicie, że stamtąd pomocy nie uzyskamy?

— A nie. I to wam radzę, byście Austrji nie wierzyli. Nawet powiem wam nowinę, od której zimno was przejmie i rozpacz może się zrodzić. Austrja i Prusy nie tylko nie pójdą przeciw Rosji, ale przeciwnie, zgodzą się z nią pod warunkiem, że każde z tych państw zagarnie sobie kawał Polski. I w ten sposób ta sama Austrja, która nam miała pomoc dać, pójdzie przeciw nam.

Zamilkli wszyscy, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć na tę pełną zgrozy zapowiedź, która przychodziła najniespodziewaniej ze strony Łojki, dotychczasowego wyraźnego sprzymierzeńca Austrji.

— W głowie mi się to pomieścić nie może — mówił po chwili Pac, zwracając się do Łojki — toż przecie nie kto inny, jak waszmość zapowiadałeś, że ks. Kaunitz, austyjacki minister, zapewniał was o przychylności Marji Teresy dla Polski; jako królowa Austrji i Węgier gotowa jest posłać wojska swoje do Polski, gdy tego zajdzie potrzeba. Jak połączyć jedno z drugiem—tam wojska posyła—tu grabieżą grozi.

— Taki już jest ten świat—odrzekł Łojko —A że Austrja nas zdradza, na to nie potrzeba dowodów. Przecież zaraz po wprowadzeniu wojsk rosyjskich do Polski prosiliśmy o pomoc, odmówiła nam. Po klęsce pod Stołowiczami ponawialiśmy prośbę, znowu odmówiła. Nie można jej wierzyć, tak samo, jak Prusom.

— Toby jednak coś strasznego było — odezwał się Ziołowski—gdyby zechcieli nam zabrać część Polski. Chryste ratuj.

— Dajmy wojska, a nie będzie jej—poradził Łojko.

Zapanowało milczenie.

— Ach, ci Czartoryscy—przerwał nagle Pac—przyrzekali reformy, które państwo zbawią, a tu reform żadnych. Zachwalali Poniatowskiego, zachwalali przymierze z Rosją, a tymczasem, co się okazuje? Było źle i jest i Bóg wie, jak dalej będzie to wyglądało.

Z za węgła muru, przy którym stali rozmawiający, wysunęła się nowa postać. Wzrostu średniego, pięknej twarzy, o oczach, w których stanowczość mieszała się z wyrazem kobiecej prawie łagodności, stanął przy rozmawiających, którzy natychmiast uchylili czapek z szacunkiem.

— Witam was—mówił Pułaski Kazimierz—zjawiam się niespodzianie i niespodzianie zniknę. Złe przynoszę waszmościom wiadomości. Najważniejsza nasza twierdza, Lanckorona...

— Co—na miłość Boską—przerwał Pac—poddała się? — i przerażone oczy zwrócił na naczelnika konfederatów barskich.

— Nie poddała się—uspokoił go Pułaski—ale oblężona, a Bóg jeden wie, czy potrafi obronić się.

— I tak nasze dzieło zaczyna chylić się, aż wreszcie będziemy musieli ustąpić—zawyrokował Ziołowski.

— Jeśli ustąpimy—mówił spokojnie Pułaski—to w każdym razie nie z hańbą. I nikt nam nie powie, ze naprózno przele-

waliśmy krew. Stanęliśmy w obronie praw naszych, których nie chciał szanować król, nie chcieli szanować jego przyjaciele z Katarzyną II na czele.

— Ba, piękna mi pociecha—narzekał Ziołowski—mieliśmy prawo bronić religji i wolności, tego nam nikt nie zaprzeczy, ale jaki skutek naszych wysiłków?

Nie umiał odpowiedzieć Pułaski.

Więc milczenie trwało ciężkie, a twarze wszystkich posmutniały, bo czuli cały ciężar stosunków, które żelaznym łańcuchem omotały Polskę całą, oplątały też konfederatów, niezdolnych już po trzech prawie latach walki do stworzenia sił potrzebnych.

— Grób tylko przed nami, tylko grób—zakończył Ziołowski swe czarne myśli.

Jakby nagle zbudził się Pułaski.

— Ej, waszmość starosto, skrzeczysz nam, jak puszczyk, a ja ci mówię, że dzieło nasze nie przejdzie bez dobrych skutków. Na nie poczekać trzeba, a chociażby nam przyszło głowy położyć, przecie dobre było nasze ziarno i z niego dobre przyjdą owoce. Najważniejszą naszą zasługą to to, iżeśmy pokazali szlachcie, że czas już przestać się bawić, przestać się upajać myślą o potędze Rzeczypospolitej, która w samej rzeczy słabą jest i niezdolną oprzeć się wrogowi. A gdy się zbudzą sumienia, wróci także nasza moc i wewnątrz państwa i będziemy zdolni nazewnątrz ugruntować swoje znaczenie. Na koń nam siadać, a nie w pieleszach domowych szukać spokoju i wywczasów. Na koń powtarzam.

Zaróżowiły się jego policzki i promienie szły z jego pięknych oczu, aż wszyscy temu czarowi ulegli i spędzili smutek z twarzy.

— Dobrze mówi—zwrócił się Pac do Łojki—jako nasz ksiądz Marek—jeno tamten kazał wiary strzedz, a ten korda. Ja zaś myślę, że wiara z szablą dokażą przecież owych cudów, jakich wciąż czekamy.

— A ja myślę—dodał Ziołowski — że szkoła rycerska, założona przez króla niedawno, powinna rozrodzić się po całym kraju. Wychować nam po żołniersku młodzież i nauczyć ją tego, w co wierzymy, a nie trzeba będzie obawiać się żadnych podziałów.

— To już słyszeliście—domyślił się Pułaski.

— Tak—potwierdził grobowym głosem Pac.

— Nie martwcie się, nie martwcie — pocieszał Pułaski— jeszcze nic zdecydowanego niema, a zanim przyjdzie straszna przyszłość, możemy jeszcze niejeden wał obronny usypać.

Tak oni rozmawiali, myśląc o smutnych dniach przyszłości Rzeczypospolitej.

A przyszłość ta czarno się rysowała, smutnie.

Wojska nie polskie gospodarowały w państwie, jak w swojej prowincji.

Posłowie zagraniczni rządzili królem, jak podwładnym swoim.

Kiedy zaś sejm chciał ograniczyć liberum veto i postanowił, że sprawy skarbowe i wojskowe przechodzą większością głosów — uchwała ta została zniesiona przez dwór rosyjski i pruski.

A wewnątrz państwa bezrząd panował i kłótnie.



Kazimierz Pułaski.

(Rys. J. Stemler).

19 lutego 1772.

Zima srożyła się na ulicach Wiednia.

Śnieg dużymi płatami leciał wciąż na ziemię i w dziwnych zakrętach taniec wiódł, to wznosząc się, to opadając, jak gdyby nie był zdecydowany, czy paść na ziemię, czy też jeszcze nad nią bujać.

A z śniegiem od górnych stron nadlatywał powiew mroźny, który wciskał się wszędzie i pod płaszcze przechodniów na ulicach i do chat mieszczan wiedeńskich i do pałaców, które naokoło Burgu [1]) się rozłożyły.

A jednak w pokoju na I-em piętrze, gdzie były prywatne pokoje Marji Teresy, która nie tylko nad Austrją, lecz także nad Wegrami dzierżyła władzę, jednak w pokojach jej miły panował nastrój, ponieważ wszyscy śmiali się i z wesołemi minami obsiedli nieduży stół, na trzech kręconych nogach wsparty.

Pewnie—było im ciepło, więc śmiali się.

Jeden tylko ks. Lobkowitz nie śmiał się. Jego sucha twarz drgała od czasu do czasu nerwowym ruchem, lecz nie zanosił się od śmiechu, jak ks. Kaunitz, który ciągle musiał poprawiać swą karbowaną perukę i białą kokardę pod szyją, gdyż wskutek ciągłego ruchu, wywołanego śmiechem, co chwilę przechylała mu się peruka na prawą, a kokarda na lewą stronę.

— Zostaw perukę, książę—odezwała się Marja Teresa—

---

[1]) Burg jest to pałac cesarski w Wiedniu, do dziś dnia istniejący. Burg znaczy po polsku zamek.

pozwalam ci w mojej obecności nawet na tę niedokładność w stroju. Przecież niemało jestem ci winna.

— Ach to nie mnie—złożył ręce i schylił glowę, że prawie nosem swym dużym dotykał stołu.

— Tobie, tobie, ministrze kochany—upierała się cesarzowa—i miłemu gościowi. — Tu zwróciła się do mężczyzny, sztywnie siedzącego w fotelu i gładzącego duży lok peruki, który zwisał na lewe ucho zachodząc. Na piersiach jego pysznił się order i szeroka szarfa, biegnąca od prawej ku lewej stronie.

Podniósł swoje wyniosłe czoło i z dworskim gestem, nizko ukłonił się Marji Teresie.

— To jednak nie moja zasługa—zaśmiał się.

— Cóż za skromność—drwiła ona.

— Nie skromność, a prawda. Wszak pamiętacie, najjaśniejsza pani o wizycie ks. Henryka pruskiego u naszej najmiłościwszej pani.

— Ah, prawda, prawda—słyszałam nawet, że ks. Henryk dopomina się o specjalny akt, że to on jest twórcą tego projektu cudownego.

— Możebyśmy jednak kończyli targ—zaproponował nagle ks. Lobkowitz.

Milczący dotąd następca Marji Teresy, przyszły cesarz Józef II zwrócił na niego swoje łagodne, prawie szlachetne spojrzenie i ze zdziwieniem spytał:

— Śpieszy ci się, książę?

— Nie mnie, ale ministrowi Paninowi. On radby co rychlej posłać wiadomość swojej pani, a zapewne też śpieszy się jemu i nam wszystkim do objadu.

— Ah, w tem rzecz—zaśmiała się Marja Teresa.

I za nią zaśmiali się wszyscy, tylko minister Katarzyny II siedział nieporuszony.

— Boję się tylko zaburzeń w zajętych częściach—odezwała się Marja Teresa.

— Zaburzeń wielkich, zdaje mi się nie można się bać, ale — przemówił hr. Panin — lepiejby było zostawić Polakom i Kraków i Lwów. Państwo nie wiecie tego, ale ja znam tamte stosunki lepiej. Otóż trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że miasto Lwów miało zawsze dla Polski wielkie znaczenie. Od czasów niepamiętnych przechowywano tam akty szlacheckie,

tyczące się dóbr i własności, tam zawierano umowy i t. d. Dlatego uważam zachowanie Lwowa dla Rzeczypospolitej za rzecz konieczną.

— Byłabym gotowa zgodzić się na to — rozłożyła ręce Marja Teresa — nawet mogę nic nie brać, ale dajcie mi hrabstwo Glatz z częścią Śląska Górnego. Niechaj mi to dadzą Prusy, a w zamian niech sobie zabiorą z Polski, co chcą. Ja przeszkadzać nie będę.

— Pewnie, pewnie - uśmiechnął się Panin—ale czy wie wasza cesarska mość, czego zażądałyby Prusy?

— No?

— Przynajmniej Gdańska i Torunia, o ile wogóle zechciałyby mówić o tem. Fryderyk Wielki ciężko rozstaje się z tem, na czem swoją rękę położył.

— Ależ rozumiem to—mówiła Marja Teresa, żywo gestykulując—czy jednak nie zrobiłby on dobrego interesu oddając mi mały kawał ziemi, a biorąc za to takie dwa miasta znaczne i bogate z wybrzeżem morskiem. Zróbcie to, hrabio, a zasłużycie na moją prawdziwą i szczerą wdzięczność.

Panin spojrzał na Marję, jakby z ciekawością.

— Najwyższem mojem pragnieniem—mówił, kładąc rękę na szarfie przez pierś biegnącej—jest zasłużyć sobie na względy wasze, miłościwa pani i zaskarbić sobie waszą przychylność, i Bóg jeden widzi, jak pracuję dla tego, jednak tamto żądanie przechodzi moje siły.

— Dlaczego?

— Bo moja monarchini nigdy nie zgodzi się na to, by Polska straciła Toruń i Gdańsk. Przecież nie chcemy zupełnie osłabić tego państwa, a bez Gdańska ono nie byłoby nic warte. Przecież bez wyjścia do morza, jego handel i tak mały, upadnie zupełnie.

Marja Teresa milczała.

Lecz przyszedł jej z pomocą syn.

— Dajcie w takim razie Fryderykowi co innego — zaproponował Józef.

Panin nie wiedział, jak wybrnąć, a nie chciał z miejsca przeciąć sprawy odmową. Wreszcie uciekł się do zwykłego wybiegu dyplomatycznego.

— Przedstawię tę sprawę w stolicy, jak zadecyduje moja Monarchini, tak będzie.

— Poproście ją—przymilała się Marja Teresa—gdy zechcesz, hrabio, potrafisz ją przekonać. A wówczas licz na moją bezgraniczną wdzięczność.

Panin skłonił się w milczeniu.

— Więc ja będę pisał, dobrze?—spytał znów Lobkowitz.

— A dobrze — zgodził się Panin — ja powiedziałem już wszystko, zgoda zdaje się jest, więc tylko napisać, podpisać, a ja wyślę kurjerem do Petersburga.

Lobkowitz natychmiast zabrał się do pisania, a Marja Teresa, zbliżywszy się do Kaunitza, spytała:

— Czy jednak jesteś pewny, książę, że nie będziemy mieli wojny z tego?

— Iii—niechętnie odparł zapytany.

A Panin roześmiał się.

-- Kto tam będzie wojnę wzniecał? Konfederaci barscy wywiezieni, a reszta—machnął ręką.—Zresztą porozumcie się z Fryderykiem, on pieniądze tam sypał i wie, jak wygląda ta sprawa—śmiał się złośliwie.

— Więc nikt się nie znajdzie taki?

— Nikt, jak nikt. Ale znacznych nie będzie. Z listu Salderna [1]) mogę wam opowiedzieć trochę o nich. Któż tam jest: prymas Podoski wciąż potrzebuje pieniędzy, a ponieważ jest największym wrogiem króla, więc z tym wiele roboty niema. Biskup wileński, Massalski, zarozumiały, próżny, czeka tylko upadku Czartoryskich, więc jest zupełnie w naszych rękach. Wojewoda podlaski, Godzki, bierze od nas pensję, wojewoda kaliski, Twardowski, to największy tchórz, wielki kanclerz koronny i biskup poznański Młodziejowski sprzeda się temu, kto więcej da, a wiadomo Rzeczpospolita jest uboga, taksamo biskup kujawski, Ostrowski. Wielki kuchmistrz koronny, Poniński, to człowiek, z którym za pieniądze wszystko zrobimy i te-

---

[1]) Saldern był posłem rosyjskim w Warszawie tuż przed Stackelbergiem, który przeprowadzał pierwszy rozbiór. Saldern zachowywał się wobec Stanisława Augusta w sposób bezwzględny, podobnie jak przedtem Repnin.

raz bierze od nas pensję, więc mu zawsze można buzię zatkać, tosamo marszałek litewski, Gurowski.

Skończył tę litanję Panin, a wszyscy milczeli.

Ks. Lobkowitz zagłębił się w fotelu i wodził oczyma po obecnych, trzymając palce wskazujące obu rąk złożonych w krzyż, na bladych wargach.

— Skończyłeś, książę?—spytał Józef.

— Tak.

— No to posłuchajmy—zaproponowała Marja Teresa.

Monotonnym głosem czytał Lobkowitz:

— Jego królewska mość król pruski i Jej Cesarska Mość Cesarzowa wszech Rosji, mając prawa i pretensje do kilku województw i ziem Polski, równie, jak my z naszej strony — dla uniknięcia wszystkiego, coby mogło zrodzić trudności w tym względzie i naruszyć przyjaźń i dobrą zgodę, szczęśliwie panującą między nami – przyrzekamy wiarą i słowem naszem cesarskiem, niniejszym aktem ręką naszą podpisanym, iż jakiebykolwiek być mogły rozciągłość i granice naszych pretensji wzajemnych—wynikające z ich nabycia, w zupełności równe naznaczyć się mają tak, by udział jednego państwa nie przechodził udziału drugiego i żo nie tylko nie będziemy stawali na drodze środkom, któreby zostały uznane za słuszne do urzeczywistnienia naszych pretensji, lecz wspomagać się będziemy wzajemnie z dobrą wiarą dla ułatwienia skutku, obowiązując się do jak najściślejszej tajemnicy co do tego wspólnego zobowiązania naszego. Co własną ręką podpisujemy. Wiedeń d. 19 lutego 1772.

— Pięknie—pięknie—rzekł Józef—oddając pióro matce.— Podpisze jeszcze tylko wasza cesarska wysokość i już będzie wszystko załatwione.

— Spodziewam się—dodał—że wkrótce będziemy szukali praw do nowych, innych województw—cieszył się Józef.

— W to wątpię—zaprzeczył Panin.—Raczej nadajmy pozostałej części Rzeczypospolitej siłę i wewnętrzną wagę, aby stała się dość silnem mocarstwem pośrednikiem i zaporą wieczną od tarcia między naszemi trzema państwami.

— Ej, Fryderyk chyba o tem nie myśli—zdradził się Józef.—Jemu nie wystarczy mały kawałek.

— My zaś—podtrzymywał swój sąd Panin—nie możemy

dopuścić do znłszczenia Polski. Wtedy schodziłyby się nasze granice, musiałyby nastąpić starcia interesów i prędzej czy później nadwerężyłoby to dobre stosunki między nami A przecież lepiej żyć w zgodzie.

— Ja myślę też, że w zgodzie zostaniemy— wierzyła Marja Teresa.

— Daj to Boże—westchnął ks. Golicyn.—Dość już mamy wojen, a Fryderyk, który zakosztował pokojowej polityki, nie zechce jej zapewne porzucać.

— Tem bardziej—śmiał się Kaunitz—że Polska dobrze mu za pokój płaci.

— No—powstał Józef—ale chodźmy na objad.

— Prawda—zaśmiała się Marja Teresa—po pracy należy się nam uczta i odpoczynek. Proszę panów.

I poszła naprzód, a za nią goście.

Poszli ucztować, umówiwszy się co do pierwszego kroku, który we wrześniu tego roku miał się stać straszną dla Polski rzeczywistością.

A za oknami mróz panował i zamieć śnieżna.

I z poza gór lodowych j zwalisk śnieżnych nie znać było słońca, nie czuło się jego ciepłych promieni.

Zima panowała wszechwładnie na dworze, zima na świecie i zima w sercach.



Czorsztyn.

(W przecudnej okolicy tatrzańskiej, w dzisiejszym zaborze austryjackim, stoją ruiny zamku czorsztyńskiego. Czorsztyn stoi na granicy Małopolski i Ziemi Spiskiej, którą w r. 1771 austryjacy bezprawnie zajęli, dając w ten sposób przykład rozbiorów).

(Rys. J. Stemler).

Obchód zwycięstwa.

Wspaniale wyglądał kościół akademicki w Wilnie.

Tysiące świec paliły się, zalewając światłem jasnem ponure zwykle wnętrze świątyni, siejąc wokoło blaski, wywołując promienie, od złotych krzyżów biegnące i srebrnych zdobień lichtarzy i lśniących części ołtarzy.

A na środku kościoła wznosiła się wspaniała kolumna tryumfalna. Nad nią u samego szczytu wzlatał orzeł polski, trzymając w szponach buńczuk turecki i wielkiego wezyra namiot, którego rozwinięte ściany osłaniały ogromny posąg Marsa. Bóg wojny surowem obliczem zwracał się ku drzwiom głównym kościoła, a na prawej ręce trzymał tarczę niezwykłej wielkości, na której jaśniał portret króla Jana III Sobieskiego, przybrany w laurowy, zwycięski wieniec. U nóg zaś Marsa leżeli, jak w prochu, jeńcy tureccy. Wszystko to spoczywało na postumencie z kolumn 12 stóp wysokim, 18 szerokim, a otaczał go płot lśniących bagnetów. Na każdym rogu stało 4 grenadjerów przy baterji armatniej, otoczonej piramidami kul czterdziestofuntowych.

Malcy szkół wileńskich stawali z otwartemi ustami, podziwiając ogromną kolumnę, ciesząc się blaskiem bagnetów, wojowniczemi minami grenadjerów, starając się napróżno odgadnąć, kto był Mars. Tylko portret króla Jana III dobrze znali, bo pokazując go palcami, szeptali:

—. O, o, król Jan.

Za młodzieżą ze szkół parafjalnych i akademickich, wysypała się młodzież akademji wileńskiej, poprzedzana przez se-

nat w urzędowych strojach, z beretem na głowach, z insygnjami uniwersyteckiemi, które nieśli pedele.

Rozległ się dzwonek od drzwi zakrystji.

Wyszedł długi korowód księży z biskupem ks. Massalskim, dziekanem katedry wileńskiej na czele, z ks. Kossakowskim, biskupem inflanckim, a całe szeregi prałatów, sufraganów i duchowieństwa klasztornego postępowały poważnie za celebrującym dzisiaj mszę ks. Massalskim.

Ucichły szmery, cały kościół pogrążył się w modlitwie gorącej, która na skrzydłach pieśni biegła przed tron boski.

Kiedy zadzwoniono na podniesienie, pochyliły się wszystkie głowy i siwych starców, i kędzierzawych chłopaków, i dziewcząt, które stanęły po jednej stronie ławek, nie mogąc znaleść już w nich miejsca.

Na kazalnicy ukazał się ksiądz Michał Karpowicz.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen—rozpoczął poważnym, dźwięcznym głosem.

A tłumy, jakby oczarowane tymi tonami, zwróciły się ku niemu i skupiły się około miejsca, skąd słowa zaczęły padać.

— Stuletnią pamiątkę z dziękczynieniem Bogu obchodzim dzisiaj, pamiątkę czasów, kiedy naród nasz był sławny i pełen chwały, kiedy ojczyzna nasza była w powadze i poszanowaniu całej Europy, kiedy królestwa naszego przymierza były pożądane wszystkim sąsiedzkim mocarstwom i monarchjom, kiedy bohater zwycięsca i niezwyciężony król nasz Jan III obronił Wiedeń, ratował ginące niemieckie cesarstwo i ocalił mężną ręką swoją i szablą rodaków naszych, Polaków, całe prawie chrześcijaństwo od jarzma i miecza nieprzyjaciół wiary Chrystusowej.

— Kiedy to wspomina teraz cnotliwy obywatel, czyli nie doznaje w duszy swej owego miłego uczucia i rozpłynienia niejako serca z pociechą i radością połączonego, że to przodkowie nasi niedawni tak wielkich i chwalebnych rzeczy dokazowali, że to ojcowie ojców naszych życiem swem i krwią swoją chrześcijaństwu wybawienie, a narodowi nieśmiertelną chwałę zyskali i zostawili? Czyż nie przejmuje nas dumą wspomnienie, że to król, Polak rodowity, którego przed 95 laty to stołeczne miasto Wilno w murach swych z największą pociechą przyjmowało i witało, że to on trzykroćstutysięczne wojska

Turków i Tatarów rozgromił i rozegnał od Wiednia i obrońcą chrześcijaństwa od całego prawie świata został nazwany?

— O! z jaką radością serca cnotliwych obywatelów i we sto lat nawet pamiątkę jego sławną dziś obchodzą. Patrzą pierwsze ojczyzny domy na tensam wspaniały obchód i z radością przyjdzie każdemu na myśl: jakże to cnotliwi i szczęśliwi byli ich przodkowie, którzy z ochotą dla sławy narodu życie i krew swoją na tych wojnach ofiarowali pod tak walecznym ze krwi ich królem. Patrzą rycerstwo nasze i żołnierze na te znaki tryumfów swoich przodków Polaków i wzdychając do sławy podobnej, oczy na dół dla wstydu nieledwie ze łzami spuszczają!

— Gdzież się to sława wojska naszego podziała? Gdzież owo męstwo i waleczność, która stutysięczne wojska szablą swą rozpraszając. niemieckie od zaguby ochraniała obozy?!

Zamilkł kaznodzieja, a w kościele taka była cisza, takie milczenie ponure, jakgdyby ludzie oddech nawet wstrzymali, przytłoczeni tych słów ciężarem.

I po chwili, nie tak już bolesnym głosem, a pełnym, żywym, mówił:

— Patrzy z radością i ciekawością na tę wspaniałości wojennej wystawę młodzież krajowa, zapalona jakąś wewnętrzną pociechą i radością i wzruszeniem niezwykłem, zadziwia się, porównywując to, co o narodzie swym słyszy, z tem, na co teraz w narodzie patrzy.

Przy ostatnich słowach znów złamał się głos ks. Karpowicza i znowu bolesnym się stał, znowu nerwy targał:

— Gdzież jest ta ręka, której samego zamachu postrach rozpraszał potężne nieprzyjaciół wojska? Gdzieżeście dusze wspaniałe, które miałyście moc w sobie i państwo samo wspaniale urządzać i wrogów jego poskramiać i jeszcze innym nieść skuteczną pomoc?

— Zaprawdę targa się serce w każdym obywatelu cnotliwym, w każdym młodzieńcu szlachetnym, gdy zestawi to jedno tylko: w tysiącznym sześćsetnym ośmdziesiątym trzecim roku cała Europa przed nami kornie chyliła czoła, a w roku tysiącznym siedmsetnym siedmdziesiątym drugim trzy państwa po ziemi kawałku nam odjęły, bez jakiejkolwiek wojny, bez sprzeciwienia się naszego.

— Panie! — wołał kaznodzieja, zwróciwszy twarz do ołtarza — Panie, za co nas tak srogo doświadczasz?

I zakrył twarz dłońmi, a w tej chwili szlochanie rozległo się zrazu ciche, wstydliwe, potem coraz liczniejsze słychać było głosy płaczących, że zdało się, cały kościół płacze, cały kościół szlocha.

Długą chwilę trwał płacz, wreszcie ks. Karpowicz otarł załzawione powieki i cichym z początku głosem dalej przemawiał:

— Smutnem stało się dla nas święto dzisiaj obchodzone. I zamiast radości ze zwycięstwa, łzy na naszych twarzach zajaśniały. Lecz nie dla łez tutaj przyszliśmy, nie dla szlochania nad naszą niedolą. Te wspominania prowadzą do nasycenia się duchem obywatelskim, duchem patrjotyzmu cnotliwego, który ma nas i młodzież naszą uformować na użytecznych i dobrych, a więc szczęśliwych obywatelów. Ten to jest zamiar Prześwietnej Komisji Edukacji Narodowej [1]) w nakazaniu dzisiejszej uroczystości, które to nakazanie mówi, aby zgromadzenia szkolne z jak największą okazałością sławną tę pamiątkę obchodziły. Uczcie się, młodzi Polacy, uczcie się synowie tej polskiej ziemi, jak przodkowie wasi sławę imienia polskiego po całym roznosili świecie, nie słowem to robiąc, a czynem.

— Lecz, aby takich dzieł dokonywać potrzeba umieć u siebie się rządzić, potrzeba mieć zdolność praw zachowywania i szanowania, bo bez praw zachowania próżna miłość ojczyzny, a pewny upadek, bo bez cnoty i obyczajów, próżny w narodzie patryjotyzm.

— Więc tego się uczcie od pradziadów waszych i to na

---

[1]) Komisja Edukacji Narodowej powstała w Polsce w r. 1773 na tym samym sejmie, który pod grozą bagnetów musiał stwierdzić akt rozbioru pierwszego. Na wniosek Joachima Litawora Chreptowicza, kasztelana nowogrodzkiego, uchwalono przeznaczyć dochody z dóbr klasztoru Jezuitów, zniesionego przez ówczesnego papieża, na oświatę w Polsce. Dla zarządu szkołami stworzono tę właśnie Komisję, w której najwięcej pracowali Chreptowicz, ks. Czartoryski, jenerał ziem podolskich, Zamoyski, Ignacy Potocki. Komisja ta przeprowadziła reformę wszystkich szkół i uczyniła je z kościelnych narodowemi. Było to pierwsze na całym świecie ministerjum oświaty.

przyszłość zachowajcie, byście przez życie całe owe zasady szanowali, że wtedy ojczyzna będzie szczęśliwa, gdy dzieci jej będą dobre, a szlachetne.

— Proście Boga, by moc wam dał wychowania się w takich zasadach, moc uczynienia ojczyzny waszej wielką, szczęśliwą i sławną.

I ukląkł kaznodzieja, a z nim cały kościół pochylił się i na klęczkach błagał o zmiłowanie, o dolę lepszą, o czasy lepsze.

Może nie o taką sławę prosili, jaką Sobieski zdobył, ale o to, by nie było tylu złych w Polsce ludzi, tylu nieczułych dla ojczyzny obywateli.

Modlili się długo, żarliwie, przerażeni ogromem nieszczęść.

Bo—może już za późno?

Pawłów.

Uroczystość przypadała wprawdzie 10 marca, ale ponieważ zawsze rocznicę uwłaszczenia włościan w Pawłowie obchodzono w niedzielę, więc i w tym 1792 roku postanowiono ją wedle dawnej tradycji urządzić.

I tak się stało.

Kaplica, stojąca tuż obok starego dworu, otoczonego grabami wyniosłymi, zapełniła się po same brzegi ludźmi, którzy nic mogąc się pomieścić wewnątrz, przylgnęli do ścian, zimnem poprzednich miesięcy wiejących i z odkrytemi głowami słuchali Mszy św.

Przy ołtarzu, rzęsiście oświetlonym, odprawiał nabożeństwo sam dziekan ks. Paweł Ksawery z Ligęzów hr. Brzostowski, przybrany w skromny ornat i świeżutką albę [1]), która zgadzała się doskonale z włosami kapłana, już starca.

Ale głos jego był świeży, pełny, prawie młody.

Miejsce przed ołtarzem zajęły władze gminy, więc Izba wyższa, składająca się z Rady i dziedzica i Izba niższa z urzędnikami. W blaskach wiosennego słońca lśniły się guzy mosiężne ich katanek z białego sukna, odbijały się promienie w ładownicach, przez pierś przewieszonych, ześlizgiwały się po czapkach z czerwonymi wierzchami i bokami z czerwonego ba-

---

[1]) Alba jest to biała koszulka, którą ksiądz wdziewa przy nabożeństwie, a na nią wkłada ornat.

ranka na posadzkę kościoła, jakgdyby głaskały i pieścić chciały owe władze chłopskiej, samorządnej gminy.

A dalej za stallami w rzędy stanęły dzieci, z odkrytemi lnianemi główkami, które ku ołtarzowi się zwracały, to znowu na organy spoglądały, tak cudnie dziś grające.

Za dziećmi stanęły dwa szeregi gwardji bezpieczeństwa, złożonej z parobczaków wiejskich, którzy przez białe katanki przewiesili strzelby, tem tylko różniąc się od władz wiejskich.

A dalej rozsypał się barwny tłum wiejski, po jednej stronie kobiety, po drugiej młodzi parobczacy i siwi mężczyźni.

Właśnie śpiewał ks. Brzostowski ostatnią część nabożeństwa, gdy rozległ się turkot i z kolaski, w dwa konie zaprzężonej, wysiadł mężczyzna już podeszły w latach, w stroju duchownego.

Zrzuciwszy szubę, wysiadł przed kościołem i pieszo obszedł kaplicę, aby wejść do niej przez zakrystję.

W malutkiej, ciemnej zakrystji przybyły ukląkł w kącie i modlił się. Nie powstał, gdy ks. Brzostowski po odprawionem nabożeństwie wszedł tutaj, dopiero gdy zdjął z siebie szaty liturgiczne, wstał nieznany gość z klęczek i podchodząc do staruszka, wyciągnął do niego rękę.

Ks. Brzostowski patrzył chwilkę, przypominając sobie twarz, potem uśmiechnął się i całując go w ramię, jak zwykle czynią księża, rzekł:

— Nie poznaję, ale laudetur Jesus Christus [1]).

— Mam lepszą pamięć, — odpowiedział tamten, oddając pocałunek—in saecula saeculorum amen [2]).

— Ale kogóż dał mi Bóg powitać u siebie?

— Staszic jestem.

— Ach—wykrzyknął ks. Brzostowski—ale zmieniliście się, księże bracie, okropnie, nigdybym was nie poznał.

— Ha, trudno, życie ryje się śladami nie na duszy tylko, a także na twarzy.

I rzeczywiście na twarzy jego wyryło się ono śladami głębokich zmarszczek, które w różnych kierunkach biegnąc pra-

---

[1]) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
[2]) Na wieki wieków amen.

wie siatkę wyrysowały na wybladłych policzkach ks. Stanisława Staszica.

— Chodźcie, chodźcie — wziął go za ramię gospodarz — odrazu dziękuję wam bardzo za gościnę w taki dzień.

— A jaki to dzień?—zdziwił się gość.

Wyszli przed kaplicę, a stamtąd skierowali się do dworu, przechodząc obok tłumu włościan, zebranego na dworze. Wojsko zaprezentowało broń, a włościanie strojni w katanki z białego sukna z czerwonemi obszyciami szli za księdzem.

— Widzicie — objaśniał przybyłego ks. Brzostowski — w moim Pawłowie dzisiaj święto, jak co roku. Dwudziesty trzeci rok mija od chwili założenia przeze mnie tej nowej gminy. Nie uwłaszczyłem ja włościan, jak wy w Hrubieszowszczyźnie, ale osadziłem ich na gruntach wiejskich i dworskich za opłatą czynszów, pozwoliłem im się samym rządzić i bardzo im dobrze z tem. Oni zadowoleni i ja też, nawet nie potrafię wam powiedzieć, kto z nas bardziej.

Weszli do pokoju obszernego, gdzie przy długim stole obstawionym krzesłami nie zastali nikogo.

— To jakieś posiedzenie gotuje się?—spytał ks. Staszic.

— A tak—odpowiedział gospodarz, prowadząc go przez pokój i wskazując ręką dalsze drzwi. Proszę was na śniadanie, a potem pójdziemy razem na to posiedzenie z ludem wiejskim.

Zaraz podano im śniadanie, smaczną kawę, chleb i masło. Jedli, milcząc, widocznie spieszyło się im, gdyż słyszeli szuranie nogami w sąsiednim pokoju odsuwanie krzeseł, gwar głosów ludzkich.

— Już są—przemówił ks. Brzostowski.

— Kto?—spytał gość.

— Ach, prawda, muszę wam opowiedzieć organizację. Otóż tutaj zbierze się najwyższa władza mojej wsi. Rada, która składa się z 12 członków, jako dwunastu było apostołów. Dobrze, że będziecie ze mną, bo w ten sposób unikniemy fatalnej trzynastki—śmiał się z zabobonu.

— A cóż robi ta Rada?

— Ona naznacza podatki i ściąga je, utrzymuje szkołę, wojsko, lekarza i aptekę.

— To wspaniale, wspaniale—podziwiał ks. Staszic dzieło, jakiemu rownego nie było w Polsce i na Litwie.

— Właśnie dzisiaj—objaśniał dalej ks. Brzostowski—odbędzie się po trzech latach komisja między mną, jako dziedzicem, a Radą, jako przedstawicielką włościan. Bardzo się cieszę, że przyjechaliście, Wmość księże bracie i dobrodzieju, bo z blizka przyjrzycie się wszystkiemu.

Ks. Staszic milczał.

— No, chodźmy—zaproponował gospodarz, gdy widział, że gość nie chce już wziąść od podającego sługi ani kawy, ani chleba ze stołu i masła.

Weszli do tej samej izby, przez którą przechodzili niedawno.

Wygląd jej zmienił się.

Na długim stole stał snop zboża, a pod ścianami zebrali się pawłowscy gospodarze, wszyscy siwi, wszyscy prawie czerstwi, mimo zmarszczek rumiani.

Chórem powitali wchodzących.

— Niech będzie pochwalony—i cisnęli się do rąk księży, a potem, gdy ci zasiedli obok siebie, i oni na wyraźne zaproszenie odsuwać poczęli krzesła i sadowić się na nich.

— No zacznijmy- zwrócił się ks. Brzostowski do wysokiego barczystego chłopa, którego białe włosy spływały falami na opalony kark, łącząc się prawie z białą katanką.

Był to naczelnik Rady, Michał, którego po ojcu Palukisem zwano.

Skinął na najmłodszego zapewne w tym pokoju mężczyznę, który pod pachą trzymał oprawną w skórę książkę.

— Przeczytaj Janku za trzy lata wszystko.

— Raz za trzy lata—odezwał się jeden.

— Boicie się, że za długo będzie? — uśmiechnął się dziedzic.

— E, Bogać tam,—machnął ręką Palukis, rachunki to i za sto lat niedługie są.

Ksiądz Staszic patrzył z zadowoleniem i tajoną radością na ten stosunek dziedzica do chłopów, tak różny od tych, którym dotąd się przypatrywał. Nie mówił nic, tylko słuchał tej swobodnej rozmowy.

— Więc jeden dym przybył za trzy lata?—spytał ks. Brzostowski, przerywając czytanie cyfr.

— Tak—odpowiedział naczelnik—teraz jest ich 158.

— Więc jaka ogólna suma za trzy lata?

— Ktoby tam za całe trzy lata zliczał—odparł Janek, który jedyny ze starszych gospodarzy umiał czytać i pisać, więc jemu powierzono prowadzenie rachunków gminy. Za każdy rok obliczam, a co zostanie, leży sobie złożone w zamku i dokumentnie można wyliczyć wszystko—objaśniał.

— Więc powiedz, ile zostało za każdy rok — zażądał dziedzic.

— Za 1789—czytał Janek—450 złotych, za 1790 zostało dużo 2353, za 1791—2959.

Ks. Staszic nie mógł się powstrzymać od uwagi.

— To wyście bogacze!

— Dziękować Bogu—dumnie pogładził się po piersi Palukis—trochę grosiwa uzbierało się, a i po chałupach niezgorzej się dzieje z łaski księdza dziedzica, jaśnie wielmożnego księdza hrabiego, naszego pana i dobrodzieja.

Ks. Brzostowski uśmiechnął się nieznacznie, słysząc ten szereg tytułów.

— A juści, pieniędzy nie tracim—dorzucił inny.

— A teraz—zaczął naczelnik — chcielibyśmy poradzić się jaśnie pana dziedzica i księdza hrabiego dobrodzieja, bo to zamysły różne chodzą ludziom po głowach. Ale wprzód trzebaby nam dowiedzieć się, jako rzeczy w ojczyźnie naszej stoją, w Warszawie co się dzieje.

— Może tamto przy uczcie, jako zwykle bywało — zaproponował ks. Brzostowski—młodzi będą się zabawiali, a my sobie pogwarzym poważnie.

— To swoją drogą, a to swoją — nie zgodził się naczelnik—uczta będzie po zgromadzeniu gminy, a tam trzeba przyjść z gotowem—wskazał ręką w stronę zameczku, który wznosił się niedaleko na pagórku, a w którym z pozwolenia ks. Brzostowskiego odbywały się coroczne lub w miarę potrzeby częstsze zgromadzenia gminy, to znaczy wszystkich gospodarzy.

— A cóż to wy gotowego macie? — spytał zaciekawiony ks. Brzostowski, który dopiero wczoraj przyjechał z Wilna po

dwuletnim pobycie poza Pawłowem i nie wiedział, co tuta się dzieje.

Naczelnik podrapał się w głowę, nie wiedząc, jak odpowiedzieć, ale zastąpił go Janek.

— Myby chcieli uznać, czego potrzeba teraz w Polsce.

— Oj, moiście wy — westchnął ks. Brzostowski i zamyślił się.

Ks. Konarski nachylił się do niego.

— Lepiej opowiedzmy im wszystko, to rozumni i dobrzy gospodarze, kryją coś, ale coś dobrego zdaje się.

Ks. Brzostowski nie namyślał się dłużej.

— Wiecie—rozpoczął — że w maju 1791 roku ogłoszono nową konstytucję, która stanowiła, że króla nie będzie się obierało, a będzie syn po ojcu następował z rodziny saskich książąt, ze w sejmie będą przechodziły uchwały te, na które więcej niż połowa posłów się zgodzi, a nie będzie wolno jednemu zrywać sejmu, że będą przypuszczeni do obrad mieszczanie, postanowiono też w owej konstytucji, że chłopi mają prawo skarżyć niedobrych dziedziców, gdy ci ich skrzywdzą i wreszcie postanowiono zwiększyć liczbę wojska do stu tysięcy ludzi. Ale co dobre, nie zaraz się przyjmuje, tak i teraz znaleźli się ludzie, którzy pojechali do cesarzowej Katarzyny II i z nią układają konfederację, która gdy się zawiąże, wezwie wojska rosyjskie na pomoc, dla przywrócenia dawnych praw [1]).

— O Chryste!—wykrzyknął Janek, to będzie wojna.

— Będzie, albo nie będzie, to jedno pewne, że mimo przyjętych ustaw o zwiększeniu wojska, mało go jest i stan jego nie najlepszy. Gdyby więc przyszło do wojny, to niewiadomo, jak ona wypadnie.

---

[1]) Do carowej Katarzyny II wyjechali naprzód Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski do Jass. Potem pojechali do stolicy Rosji i wtedy w marcu przybył Ksawery Branicki. Potocki był jenerałem artylerji wojsk polskich, Rzewuski hetmanem polnym, Branicki hetmanem wielkim. 14 maja 1792 roku podpisali oni akt konfederacji w Targowicy, gdzie oświadczali, że konstytucja 3-go maja nakłada kajdany na naród i dlatego oni powstają przeciw niej, wzywając pomocy Katarzyny II. Do konfederacji Targowickiej przystąpiła wielka część szlachty, która nie obawiała się wtargnięcia do Polski wojsk rosyjskich.

Smutek przytłoczył wszystkich.

Po chwili Staszic odezwał się:

— Na razie jeszcze nic się nie stało. Wyjechało kilku możnowładzców do Rosji, a niech sobie jadą, skoro nie chcą służyć ojczyźnie, niechaj służą obcym. My zaś musimy się przygotować na wszystko. I tak spodziewam się, że nie zastanie nas wojna nieprzygotowanych.

Chłopi popatrzyli na siebie i jakgdyby się porozumiał ze swoimi, zaczął Palukis.

— To już widzę, że nasza myśl nie pójdzie na marne. Słysząc tamtego roku, że sejm zajął się losem naszym, chcieliśmy jakoś odwdzięczyć się panom i pokazać, że i my do słuzby gotowi. No ale teraz to już dla prostej potrzeby kraju trzeba nam będzie to zrobić.

— A cóż chcecie zrobić?—spytał ks. Brzostowski.

— Chcemy—mówił powoli naczelnik — kupić dwa działa trzyfuntowe dla wojska.

Kiedy zaś nikt nie przerywał milczenia, ciągnął dalej:

— Obliczaliśmy już, ile to będzie kosztowało i widzimy, że starczy nam pieniędzy, a jeśliby co, to weźmiemy z każdej chaty po kilka złotych chociażby i jakoś się ojczyznę poratuje.

Ksiądz Brzostowski taksamo po prostu odpowiedział mu, jak po prostu ten chłop, od niedawna obywatel Polski, swojej gminy ofiarę wnosił:

— Zróbcie tak, będzie dobrze.

Pozostali w izbie sami z ks. Staszicem.

— Z tych porobić nam obywatelów — odezwał się ks. Brzostowski, a nie byłoby tylu nieszczęść, w jakie pogrążyła się nasza Rzeczpospolita.

— Oj to, to. Cóż kiedy nasza szlachta wzięła w swoje ręce rządy i sądzi, że ona jedna wolność ocalić potrafi.

— I jak oni tę wolność rozumieją? Swoją drogą, gdy byłem młody, zdawało mi się, że wolność, to liberum veto, to wolna elekcja. Dziś inaczej sądzę, a wasza książka, księże bracie, też duży wpływ wywarła [1]).

---

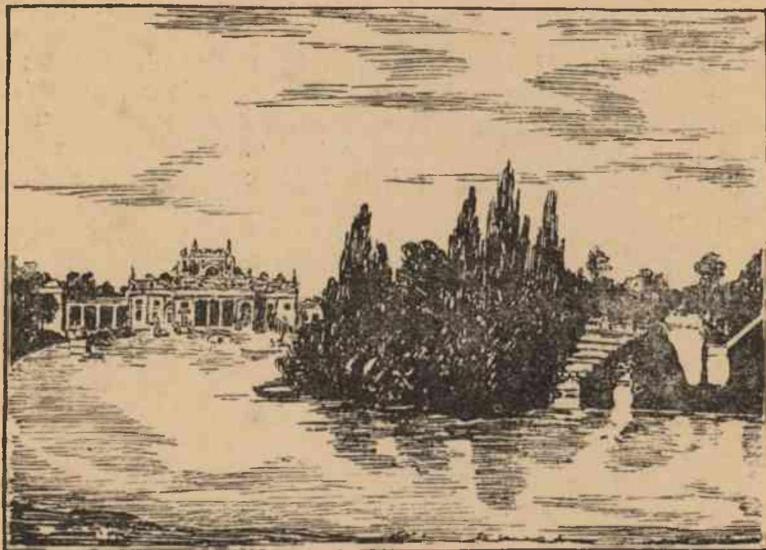
[1]) Staszic wydał książkę p. t. „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego." Książka ta powstawała przeciw nieporządkom w Polsce i żądała reformy obowiązujących ustaw. Wyszła z druku w r. 1785 i wywarła duże wrażenie.

— Boję się ja—mówił Staszic, nie zważając na pochwałę-— aby szlachta nasza nie stała się przyczyną tego, że Polska będzie owym jedynym nikczemnym ludem, który bez sposobu ratunku, bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli będzie czekał.

— Tego bać się nie potrzebujecie — podniósł głowę ks. Brzostowski. Macie przecież konstytucję z tamtego roku, a kto ją stworzył, jak nie szlachta. A ja również mego szlachectwa się nie zapieram, a zdaje mi się, że mój Pawłów jest już dużym krokiem naprzód.

— Nie gniewajcie się—pocałował go w ramię Staszic — ale ból i troska o ojczyznę nieraz już pomieścić się nie mogą we mnie, a teraz, gdy słyszę o przygotowywanym spisku na Konstytucję i przygotowywanym przez ludzi, którzy z urzędu i urodzenia mają bronić Polski, to myśleć o tem nie mogę spokojnie.

Zamilkli obaj. Zapanowała troska wszechwładnie nad nimi, nad tymi dwoma księżmi, z których jeden szlachcic z rodu, drugi mieszczanin, a przecież obaj to samo dzieło stworzyli pierwsi w Polsce—wolnych uwłaszczonych włościan.



Łazienki.

(Rys. J. Stemler).

Cześć i chwała wam!

Gwarno i rojno było w izbie poselskiej w dniu 3 go Maja 1791 roku.

Posłowie, zebrani wokoło dużego stołu mieli miny nadzwyczaj rozpromienione, obok tronu senatorowie stali, w odświętnych szatach swych województw, z karabelami przypasanemi, na których ręce trzymali, jakgdyby w gotowości będąc do boju. Na balkonie, który otaczał salę posiedzeń poruszały się żywo strojne postacie pań i szlachcianek polskich—a wszystkie twarze drżały jakiemś uczuciem niecierpliwości, jakby na coś czekano, jakby się spodziewano czegoś, co radość da, czy też smutek zrodzi głęboki.

Wtem ruch poczyna się wśród posłów.

— Co to będzie?—pyta Zofja Janikowska, zwracając się do brata w kontuszu, który stanął za jej krzesłem na balkonie; górując swą piękną postacią ponad tłumem zebranym.

— Posiedzenie zacznie się zapewne.

— Oh, jak to dobrze—wykrzyknęła uszczęśliwiona i poprawiła się na krześle, jakby to było potrzebne dla lepszego słyszenia.

Wtem doszły jej uszu słowa:

— Obrót kolei pomyślnych z niepomyślemi przeplatany bywa; dostrzegamy, jak potężne mocarstwa do upadku, a słabe do podźwignienia się przychodzą. Polska sama przykładem najwidoczniejszym się staje. Wyobrażamy ją sobie przed trzema wiekami świetną i wyrównywającą innych mocarstw potędze, została potem własnych błędów i obcych zaborów smutną ofia-

rą; kraj padł łupem, obywatele wzgardą okryci, własność ich ku wzgardzie obcej służyła; niech nieba odwracają od nas klęski, które nam i teraz grożą! Deputacja interesów zagranicznych doniesie wam, Rzeczypospolitej stany, wypadki teraźniejsze w okolicznościach politycznych, do której odwołuję się.

Na to zabrał głos poseł krakowski, Sołtyk:

— Najokropniejszy, najsmutniejszy odgłos po całej Rzeczypospolitej rozszerzył się, drętwieją usta do wymówienia, co za nieszczęścia przygotowane dla naszej ojczyzny! Doświadczenie winno w nas wzbudzić tę gorliwość do jej ratowania, która w sercu wiernego Polaka głęboko jest wyryta; nie tobie to, miłościwy królu tajemnicą, co zawierają w sobie wiadomości, które otrzymała deputacja zagraniczna; oprócz tych i ja miałem z wielu miejsc od krewnych i przyjaciół zagranicą bawiących doniesienia, że nam grożą rozbiorem nowym kraju; przychodzi ostatnia chwila zaradzenia silnego ojczyźnie; proszę z miejsca mego, żeby wiadomości, jakie ma deputacja, były nam doniesione; wtenczas przyjdzie moment zapału, gdzie okażemy, czy ojczyznę szczerze kochamy, że zaś mieliśmy przykład przytomności sędziów tam, gdzie o jedno miesto Gdańsk chodziło, tem bardziej tu, gdzie o cały kraj idzie, upraszam i zaklinam, aby wszyscy sędziowie przytomni byli.

Na galerji poruszenie stało się wielkie, rozlegały się szepty i pytania:

— Jakie nieszczęścia?

— Jakie zabory znowu?

A Zofja, zwróciwszy się do brata, pytała:

— Dlaczego, Janku nic nie mówiłeś mi o tem?

— Przypomnij sobie tylko, przecież byliśmy razem z Jurkiem Prądzyńskim u pana Naruszewicza i po wizycie u niego opowiadałem ci, że Naruszewicz i wszyscy, którzy na objadach czwartkowych [1]) się zbierają, są poruszeni groźnemi wieściami o spisku, jaki znów gotuje się na Polskę.

---

[1]) Stanisław August, ceniąc bardzo wysoko oświatę i literaturę, opiekował się szczególnie tymi, którzy ojczyźnie piórem i wiedzą swą służyli. Urządzał też dla literatów objady czwartkowe, gdzie dyskutowano o różnych sprawach polskich. Na jednym z takich objadów powstała myśl napisania

— Prawda. tak było—przypomniała sobie Zofja.—Ale co to się dzieje?—zawołała wychylając głowę poza balustradę.

A tam na dole scena dziwna przedstawiała się oczom patrzących.

Na środku sali, wymachując rękami, krzyczał raczej, niż mówił poseł kaliski, Suchorzewski:

— Już od kilku dni szerzyć się zaczęła wieść, że do tej izby wchodzić mają projekty straszne na wolność, dla których uskutecznienia przedsięwzięto wystawienie depesz zagranicznych, nieomylnie nam wróżących podział kraju. Nie dość na tem, że widoki nieszczęścia krajowego chcą nam wystawić, a tem przymusić nas do projektu szkodliwego wolności, a jeszcze rozsiana jest wieść, jakoby była zmowa na nas, sprzeciwiających się temu projektowi, żeby zabić, a swoje zrobić. Chcę ojczyzny bronić, dla tego, żem wolny, ale jeżeli będzie łożem despotyzmu, gardzę nią i oświadczam się nieprzyjacielem Polski; ratować ją.....

Tu powstał ogromny tumult i wrzawa wskutek słów Suchorzewskiego. Ze wszystkich stron wołano:

— Dość już, dość już.

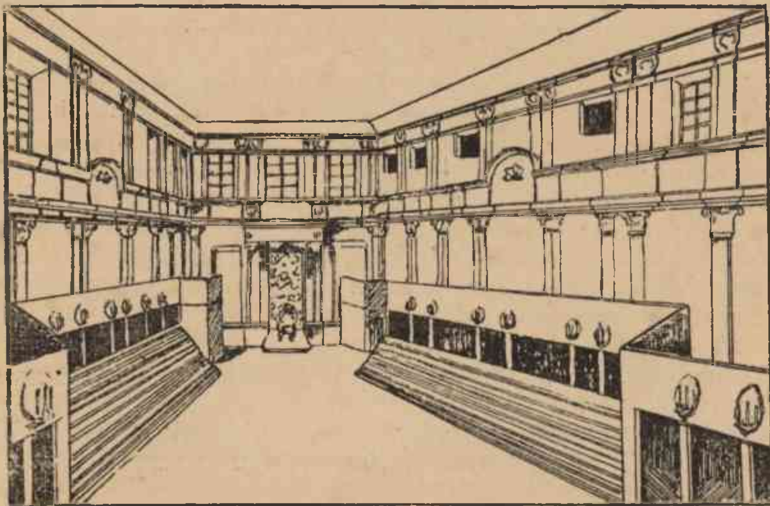
— Fora z nim, za drzwi.

Zgiełk powstał, który napróżno starał się opanować marszałek Stanisław Małachowski. Posłowie rzucili się do Suchorzewskiego i za ramiona chwyciwszy, wciągnęli go pomiędzy dalsze szeregi, w ten sposób odbierając mu możność dalszego mówienia.

Wówczas zaś p. Matuszewicz imieniem delegacji zagranicznej odczytał depesze, które rzeczywiście niewosoło brzmiały dla tych ludzi, trzeci już rok radzących nad naprawą stosunków Rzeczypospolitej.

---

historji Polski, którą z polecenia króla urzeczywistnił częściowo przynajmniej Adam Naruszewicz. Tutaj też bywał Bogusławski, twórca teatru polskiego i autor wielu dramatów. Najlepszym poetą w tym czasie był Ignacy Krasicki, biskup warmiński. Obok niego odznaczał się talentem czciciel Katarzyny II, Trembecki, pisał dość dobrze Feliński, piękne wiersze dawał Franc. Karpiński, Kniaźnin i t. d. Z pisarzów politycznych najważniejsi byli wówczas ks. Hugo Kołłątaj i mieszczanin ks. Stan. Staszic.



Sala posiedzeń sejmowych.

(Rys. J. Stemler).

Na galerji panie płakać poczęły, jako mniej wytrzymałe na ból.

— Mówiłeś, że szczęsne wieści usłyszymy — skarżyła się Zofja — a tu same nieszczęścia, samo zło tylko słychać zewsząd.

— Nie płacz — uspokajał ją Janek, kładąc rękę na jej głowę, jak ojciec troskliwy — po złych wieściach dobre przyjdą. Zobaczysz.

Ale ona nie mogła się uspokoić, zasłoniła oczy chusteczką, a pierś jej falowała nieregularnie.

A tymczasem, jak balsam kojący, padały słowa marszałka litewskiego, Potockiego:

— Tak mniemam, że po danej sprawie od deputacji do interesów zagranicznych, wasza królewska mość, pan mój miłościwy, prześwietne Rzeczypospolitej stany, z całą przytomną powszechnością przekonani jesteście, że rzecz między nami nie o żadne prywatne, ale o ojczyzny zabójstwo toczy się. Darujcie, prześwietne Rzeczypospolitej stany, że przez uszanowanie głosu zacnego posła zapytany, co o rozsianej wieści, jakoby wymierzone na mnie zabójstwo być miało, powiem, co czuję: znam naród polski, moich współziomków, znam szlachetność ich duszy, przeto żaden odgłos o podłym i zdradzieckim postępku, przystępu do mojej myśli nie ma. Z drugiej strony na śmierć bez trwogi patrzę, a gdyby ta w osobie mojej ojczyźnie potrzebną być miała, śmierci pragnę, jeżeli kiedy, to na dniu dzisiejszym. Przytomne nam być powinny słowa Lwa Sapiehy, który za przykładem Rzymian nieraz w życiu swojem doradzał, zostawiać niechęci w przysionku rad publicznych świątyń. Ostrzeżeni, jak koniecznie, jak nagle ojczyznę ratować przychodzi, dążmy do zgody, dążmy najprostszą drogą, która do tego doprowadza celu. Równość, w której od urodzenia żyjemy, rozciągamy nietylko do prawa, ale nawet do mniemania, iż jeden drugiemu w chęciach ku ojczyźnie nie powinien ustępować. Trudno więc mniemać, aby przy największej cnocie jeden obywatel łatwo zyskał prędko powszechną i nieograniczoną wiarę w materji poprawy i odmiany rządu. Lecz, prześwietne Rzeczypospolitej i skonfederowane stany! Mamy wyższego nad równość króla, mamy go wyższego nad innych osobistemi rozumu i nauki przymiotami, mamy wyższego cnotami. Do-

zwoleniem bowiem na mianowanie za życia swego następcy okazał, że interes ojczyzny nad swój i swoich przekłada. Twojego światła, twoich cnót wzywam, najjaśniejszy panie, abyś nam odkrył widoki twoje ku ratunkowi ojczyzny; ty do tej usługi pierwsze masz prawo, chęć i zdolność niewątpliwą.

Po krótkiej chwili powstał król.

Oblicze jego jaśniało dziwną radością, jak gdyby wcale nie przejęły go grozą depesze zagraniczne. Łagodnem okiem objął zebranie i dźwięcznym głosem zaczął:

— Dopiero słyszany głos ministra jest dla mnie mówienia powodem. Jak zawsze, tak i dziś z największą szczerością i otwartością będę wynurzał myśli moje sejmującym stanom, a tem śmielej, że mam sumienie i Pana sumienia świadkiem, że inaczej czynić nie pragnę, tylko w chęci służenia ojczyźnie.

Spuścił na chwilę głowę, jakby się zastanawiał nad tem, co dalej powiedzieć i nagłym ruchem podniósł ją znowu i tak mówił:

— Słyszane dziś raporty z zagranicy dziś dochodzące, rodziły we mnie, jak we wszystkich, którzy byli informowani, coraz większe przekonanie, że przeciąganie ustawy rządu, jak dla nas jest szkodą, tak dla obcych korzyścią, którzy przemagać nad nami będą bez wymówki gwałtu, spuszczając się na samą naszą niezgodę. Zastanawiałem się od miesięcy kilku nad sposobami, których się jąć należy. Powiem na pochwałę dobrych obywatelów, iż byłem od wielu zachęcany, zaklinany, abym przedsięwziął kroki skuteczne, a prędsze, niż dotychczas. Wspólne porozumienie w ufności obywatelskiej podało myśli do tych celów zgodne, urodził się projekt, który od wielu przedsięwzięty jest do wykonania; gdy ten zostanie przeczytany, spodziewam się, że dziś będzie przyjęty i życzę, żeby był przyjęty, bo zaradzimy sobie tem, a za dwie niedziele może już nierychło byłoby. Czyli wojna, czyli pokój, wszystkich jest zamiarem, aby nas w niedołężności utrzymać, aby nam pochlebiać w tych rzeczach, które dawne przesądy uczyniły świętemi, a są nam nader szkodliwe, że przez nie prawie w liczbę narodów nie jesteśmy policzeni. Gdy w tych projektach znalazłem rzecz, której się lękać nie powinienem, chyba za wolą sejmu, to jest

sukcesję tronu [1]), przeto przyjmując ten cały projekt, w tym jednym punkcie zastanowiłem się, póki nie zajdzie wola narodu. Proszę, mości panie marszałku, aby ten projekt był przeczytany.

Król skończył, a w tej chwili rozległy się oklaski i okrzyki:

— Vivat król, niech żyje król!

Długo czekano na chwilę, kiedy sekretarz począł czytać ustawę.

A na galerji dyskutowano.

— Czy chłopami zajmowały się nasze prawa?—pyta Zofja Janikowska brata.

— Tak, w r. 1520 postanowiono, że mają odrabiać jeden dzień pańszczyzny w tygodniu.

— A przecież u nas więcej robią.

Janek milczał, ale przyszedł mu w pomoc jakiś szlachcic obok siedzący.

— Pozwól, waszmościanko, wyjaśnić sobie, iż po r. 1532, kiedy postanowiono, że chłop jest przywiązany do roli i nie może jej opuszczać bez pozwolenia pana, od tego czasu stał się on własnością szlachcica i robił, ile mu pan kazał.

— To jednak niesprawiedliwie—zauważyła Zofja.

— Naprawdę, to straszne — przyłączyła się Chrzanowska Jadwiga, przyjaciółka Zofji, która nagle z twarzą uśmiechniętą zjawiła się obok niej.

— A ty skąd tutaj?—porwała się Zofja z miejsca i całować zaczęła przyjaciółkę.

— Cicho, Zosiu—upominał ją brat, który oddawna już zwrócił znowu oczy na izbę poselską.

— Dlaczego?

— Bo tam opozycja rośnie.

— Co? przeraziła się i trzymając Jadwigę, usiadła z nią razem przy balustradzie.

— Kto sprzeciwia się? — zwróciła Jadwiga czarne oczy na Janka, który zaraz usłużnie ją objaśniał, wskazując osoby oponentów.

---

[1]) Sukcesja tronu oznacza tron dziedziczny, przechodzący z ojca na syna, a w Polsce dotąd był elekcyjny, t. zn. każdego króla wybierano.

— Oto poseł kaliski, Suchorzewski, tam podolski Złotnicki, ów z przekręconą peruką, to Ożarowski, a ten piękny kanonik, to książę Czetwertyński z Przemyśla.

— Ciszej waszmość, bo nie dosłyszę—upomniał niezadowolony sąsiad.

— Posłuchaj—zwrócił się do siostry, nie zważając na życzenie sąsiada—ten poseł pięknie mówi. To pan Zakrzewski z Poznania.

Elekcji królów nigdy nie znał, nigdy nie doświadczał naród—mówił on—lecz tylko możnowładzcy w narodzie; tych to dziełem, tych to pastwą, aż wnuki ich tuczącą, były elekcje królów. Nie stosując mojej opinji do dzisiaj panującego króla, miłością narodu przechodzącego własną miłość, rozumiem, iż król elekcyjny zgubą jest wolności i całości narodowej, a kraj elekcyjnemu tronowi podległy nigdy nie będzie wolny od wpływów i zagnieżdżenia się obcej przemocy. Rozumiem i mniemam, że król elekcyjny musi być wdzięczny i obowiązany ulegać obcym mocarstwom, któreby zawsze gnieździć musiały swój wpływ bądź dla utrzymania utworzonego dla siebie króla, bądź dla zabezpieczenia się przeciw jego najlepszym chęciom, gdyby on był zdolnym zabezpieczyć rząd, siłę i prerogatywę narodu. Wystawiły nam depesze różnostronne bardzo krótki przestwór między przedsięwzięciem, a dopełnieniem rozbioru kraju. Czyliż, królu! doczekiwać bedziesz powtórzenia tej epoki haniebnej przez rozbiór kraju! Czyliż dosyć nie możesz widzieć, narodzie, że mocarstwa jedne zemstą, drugie korzyścią i chęcią wzmocnienia sił swoich przejęte, usiłują z nierządu naszego korzystać i kraj rozbiorowi poddać?! Jestem nadbrzeżnych województw obywatelem i posłem, w najpierwszym rozbiorze kraju naszego jestem podległy zniszczeniu zupełnej egzystencji mojej, jestem przyległy mocarstwu pruskiemu, które już powiększenia sił swoich we wnętrznościach swojego kraju uczynić nie może; stykają sią województwa moje z monarchą takim, który zaboru kraju potrzebując, z żadnej strony, tylko z polskiej ten mogłby mieć. Wolnym Polakiem być chcę!

Rozgorzała jego twarz, w zapale oratorskim wysunął się naprzód i stał gorejący, potężny przed kolegami swymi i przed publicznością, i podnosząc rękę w górę, wołał:

— Cnocie i ojczyźnie więcej winien jestem, jak względom

na moją osobistą egzystencję; wolności republikańskiej nie zasadzam na przywileju stanowienia praw i obierania urzędników, a bezpieczeństwo tej drogiej wolności widzę jedynie w rządzie mocnym i w silnem praw przestrzeganiu. Tron elekcyjny zgubą nazywam narodu.

Tu zwrócił się w stronę króla i ukląkłszy ręce do niego wyciągnął i błagalnym prawie głosem modlił się:

— Królu miłościwy, już czasu ani ty, ani ojczyzna miła nie ma, ażebyś się wahać miał, co istotną, a co pozorną jest wolnego narodu prerogatywą, czas jest tylko zgubić lub zbawić ojczyznę, przeto proszę cię, błagam i jak litości wzywam, podnieść rozkaż projekt o konstytucji narodowej.

Czekano na zdanie króla, on zaś siedział nieporuszony, podparłszy stroskaną głowę. Bo oto byli posłowie przeciwni projektowi, pamiętał on, że przysięgał w paktach konwentach na utrzymanie tronu elekcyjnego.

Więc inni zaczęli go prosić posłowie i pan Linowski, poseł krakowski i liwski pan Kiciński.

Atmosfera stawała się coraz bardziej zgodną, coraz bardziej podniosłą.

Wreszcie poseł podolski, Rzewuski, zażądał głosu:

— Zaprawdę w takich znajduje się nasza Rzeczpospolita warunkach, że bez rychłej reformy snadnie upaść może, może się stać ofiarą polityki sąsiednich państw. A jako nam powierzone jest jej dobro, więc ratujmy ją, więc nie odkładajmy tego dzieła. I ty, najjaśniejszy panie, przyłóż swą łaskawą rękę i daj swój głos za tem. Zgódźcie się panowie wszyscy, niechaj wielki i potężny stanie gmach Rzeczypospolitej naszej. Na Boga klnę się, nie wyjdę z tej izby, dopóki konstytucja przyjętą nie zostanie. A najlepiej, ty Panie, który królewską nad nami przyjąłeś koronę, wezwany zaufaniem narodu, wykonaj przysięgę cywilną na tę konstytucję, a przebóg, wszyscy obywatele, kochający ojczyznę za tobą pójdą, wszyscy, wszyscy pójdą.

I wrzawa uczyniła się i krzyk.

— Pójdziem, pójdziem!

— Prosimy!

Wówczas powstał król.

— Mości panowie! Jeżeli komu, to mnie należy się nad tym projektem zastanowić. Idzie mi o miłość i ufność narodu,

ten najszanowniejszy klejnot, który z sobą do grobu zanieść pragnę. Widzicie, że nie dla siebie, nie dla krwi mojej czyniłem zamiary, ale gdy widziałem skłonnych na oddalenie tych niebezpieczeństw, które bezkrólewiu towarzyszyć muszą, sam przychyliłem się do tak myślących i rozumiem, że powinienem lepiej być dzisiaj usłuchanym, niżeli był usłuchany król, co cierniową nosił koronę, ale zasłużył na opinję, że był cnotliwym. I Jan Kazimierz radził dla pomyślności kraju wcześniej opatrzyć tron, ale go nie usłuchano. Zmartwiony porzucił ten tron w roku 1668, po 20 ciężkich latach cierniowego królowania, a kraj spotkały rzeczywiście nieszczęścia, które on zapowiadał. Ja wiem, że sobie gotuję przykrości, ale sądzę powinnością moją, gdy słyszę, iż wielka część sejmujących pragnie ustanowić silny rząd i usunąć bezkrólewia, skłonić się do ich żądania. Dodać jeszcze powinienem, że w tych samych dniach pomiędzy zagranicznych potencji ministrami, którzy tu czuwają w rozmaitych postaciach, było powiedziano: będziemy się starali różnymi sposobami oddalić sejmujących od tego kroku, aby Polska potrzebowała zawsze podpory, przymuszona była obawiać się ustawicznie, gdy nie będzie miała silnego rządu, uniżać się i kłaniać obcym. Nawet jeden z tych przyznał się, że „to, co czyni Polska, jest złe i przeciwne naszych dworów interesom. Ale gdy to uczyni, zaraz my sami będziemy musieli więcej dla nich mieć poważania". Mogę mówić, że od kilku miesięcy ten projekt był mnie komunikowany, wahałem się długo, ale gdy teraz widzę ostatnią decyzję losu, gdy usłyszałem zdania ministrów, przychylam się do woli będących za tym projektem...

Tu okrzyki radości przerwały mowę króla, lecz jak nagle wybuchły, tak w jednej chwili zagasły, na widok wzniesionej ręki królewskiej.

— Przychylam się do woli będących za tym projektem— powtarzał król uroczystym głosem—i mówię: kto kocha ojczyznę, powinien żądać dokończenia tego projektu, do czego chciej, imci panie marszałku sejmowy, dzielnością swoją prowadzić i mnie i całą powszechność, abym wiedział, czy mam kłaść dzień ten między szczęśliwymi, czy mam zapłakać nad ojczyzną. Kto z waćpanem trzyma, niech mi da poznać wolę narodu.

Wówczas marszałek zaproponował, aby ci, którzy są za projektem zostali w milczeniu, ci zaś, którzy mu się sprzeciwiają, uczynili oświadczenie.

Początkowo milczenie zapanowało, ale potem tu i ówdzie odezwały się głosy protestu.

Jednak kilku członków opozycji uratowało sytuację.

Książę Sapieha, marszałek konfederacji litewskiej, przeszedł z opozycji do partji konstytucyjnej, po jego zaś oświadczeniu przemówił poseł inflancki, Zabiełło.

— Byłem sam przeciwny nieumiarkowanej władzy królów, którą znajdowałem w dzisiejszym projekcie; widzę jednak, że w tej mierze poczynione są odmiany, więc jestem sam za tym projektem. Zaklinam was, prześwietne stany, abyście tę nową konstytucję przyjąć raczyli. Ciebie zaś, najjaśniejszy królu, proszę, abyś najpierwszy na przyjęcie jej wykonał przysięgę, a my wszyscy za tym pójdziemy przykładem.

Wówczas zaś, jakby jakaś siła niepohamowana pchnęła wszystkich posłów w kierunku, gdzie król stał i szli, wyciągnąwszy ręce i błagali go, by przysięgał.

On zaś, blady ze wzruszenia, skinął na księcia biskupa krakowskiego, na znak, że chce przysięgę złożyć.

I nagle pochyliły się postacie wszystkie i nagle uciszyli się wszyscy, i galerja cała, przepełniona, i sala poselska już zgodna, a król powoli, wyraźnie powtarzał słowa biskupa.

Nie było świec jarzących—lecz świeciło im słońce.

Nie grały organy kościelne—lecz biły wzruszeniem serca wszystkich.

A nad nimi wznosił się duch wstającej ojczyzny.

A otaczała ich atmosfera bohaterów, którzy na ołtarzu ojczyzny składali swe wyłączne panowanie w Polsce i przypuszczali do współrządów mieszczan i przyrzekali prawną opiekę chłopom i wyrzekali się swawoli w czasie elekcji i poddawali się pod silny rząd z dziedzicznym królem na czele i pragnęli stworzyć wielką armję, która zdolna będzie bronić wielkiej ojczyzny.

I jasno się stało w ich sercach.

I jasność stała się w Polsce całej.

I jasną rysowała się przyszłość — chociażby przez chmur zasłonę, chociażby daleka po burzach długich.

Bo wstał narodu duch — tak świetlany, potężny i zdrowy, jako owo słonko przecudne, jak ów poranek w odradzającej się wiosną Polsce.



Stanisław Małachowski, marszałek Wielkiego Sejmu.

(Rys. J. Stemler)

Ustawa rządowa.

W imię Boga, w Trójcy Świętej Jedynego.

Stanisław August z Bożej łaski i woli narodu Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflancki, Smoleński, Siewierski i Czernihowski. Wraz z stanami skonfederowanymi w liczbie podwójnej naród Polski reprezentującymi.

Uznając, iż los nas wszystkich od ugruntowania i wydoskonalenia konstytucji narodowej jedynie zawisł, długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady, a chcąc korzystać z pory, w jakiej się Europa znajduje, i z tej dogorywającej chwili, która nas samych sobie wróciła, wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć, mimo przeszkód, które w nas namiętność sprawować mogą, dla dobra powszechnego, dla ugruntowania wolności, dla ocalenia ojczyzny naszej i jej granic z największą stałością ducha, niniejszą konstytucję uchwalamy i tę całkowicie za świętą, za niewzruszoną deklarujemy, dopókiby naród w czasie, prawem przepisanym, wyraźną wolą swoją nie uznał potrzeby odmienienia w niej jakiego artykułu. Do której to konstytucji dalsze ustawy sejmu teraźniejszego we wszystkiem stosować się mają.

I.

RELIGJA PANUJĄCA.

Religją narodową panującą jest i będzie wiara święta Rzymska Katolicka ze wszystkiemi jej prawami. Przejście od wiary panującej do jakiegokolwiek wyznania jest zabronione pod karami apostazji. Że zaś taż sama wiara święta przykazuje nam kochać bliźnich naszych, przeto wszystkim ludziom, jakiegokolwiekbądź wyznania, pokój w wierze i opiekę rządową winniśmy i dlatego wszelkich obrządków i religji wolność w krajach Polskich, podług ustaw krajowych, warujemy.

II.

SZLACHTA ZIEMIANIE.

Szanując pamięć przodków naszych, jako fundatorów rządu wolnego, stanowi szlacheckiemu wszystkie swobody, wolności, prerogatywy pierwszeństwa w życiu prywatnem i publicznem najuroczyściej zapewniamy, szczególniej zaś prawa, statuty i przywileje temu stanowi od Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełły i Witolda, brata jego, Wielkiego Książęcia Litewskiego, niemniej od Władysława i Kazimierza Jagiellończyków, od Jana Alberta, Aleksandra i Zygmunta Pierwszego braci, od Zygmunta Augusta ostatniego z linji Jagiellońskiej sprawiedliwie i prawnie nadane, utwierdzamy, zapewniamy i za niewzruszone uznajemy. Godność stanu szlacheckiego w Polsce za równą wszelkim stopniom szlachectwa gdziekolwiek używanym przyznajemy. Wszystką szlachtę równymi być między sobą uznajemy, nie tylko co do starania się o urzędy i o sprawowanie posług ojczyźnie, honor, sławę, pożytek przynoszących, ale oraz co do równego używania przywilejów i prerogatyw, stanowi szlacheckiemu służących, nadewszystko zaś prawa bezpieczeństwa osobistego, wolności osobistej i własności gruntowej i ruchomej tak, jak od wieków każdemu służyły, świątobliwie, nienaruszenie zacho-

wane mieć chcemy i zachowujemy, zaręczając najuroczyściej, iż przeciwko własności czyjejkolwiek żadnej odmiany lub ekscepcji w prawie nie dopuścimy, owszem najwyższa władza krajowa i rząd, przez nią ustanowiony, żadnych pretensji pod pretekstem jurum regalium i jakimkolwiek innym pozorem do własności obywatelskich bądź w części, bądź w całości rościć sobie nie będzie. Dlaczego bezpieczeństwo osobiste i wszelką własność, komukolwiek z prawa przynależną, jako prawdziwy społeczności węzeł, jako źrenicę wolności obywatelskiej szanujemy, zabezpieczamy, utwierdzamy i, aby na potomne czasy szanowane, ubezpieczone i nienaruszone zostawały, mieć chcemy, szlachtę za najpierwszych obrońców wolności i ninjejszej konstytucji uznajemy. Każdego szlachcica cnocie, obywatelstwu i honorowi jej świętość do szanowania, jej trwałość do strzeżenia poruczamy, jako jedyną twierdzę ojczyzny i swobód naszych.

III.

MIASTA I MIESZCZANIE.

Prawo na teraźniejszym sejmie zapadłe pod tytułem: „Miasta Nasze Królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitej" w zupełności utrzymane mieć chcemy i za część niniejszej konstytucji deklarujemy, jako prawo wolnej szlachcie polskiej dla bezpieczeństwa ich swobód i całości wspólnej ojczyzny, nową, prawdziwą i skuteczną dające siłę.

IV.

CHŁOPI WŁOŚCIANIE.

Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość, ludzkość i obowiązki chrześcijańskie, jako i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany, pod opieką prawa



Ks. Hugo Kołłątaj,

jeden z najczynniejszych ludzi podczas Wielkiego Sejmu. Konstytucja 3-go Maja jest w wielkiej mierze jego zasługą. Przyczynił się do niej nie tylko układaniem jej, ale też przygotowaniem narodu do jej przyjęcia Zebrał mianowicie około siebie szereg ludzi, gorąco Polskę kochających, którzy pismami swemi szerzyli w narodzie poczucie konieczności reform. Ludzie ci stanowili tak zwaną „Kuźnicę Kołłątajowską“

(Rys. J. Stemler).

i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc, iż odtąd jakiebykolwiek swobody, nadania, lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyliby te swobody, nadania i umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu zawartego w takowych nadaniach i umowach, pod opiekę rządu krajowego podpadający. Układy takowe i wynikające z nich obowiązki, przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nie tylko jego samego, ale i następców jego, lub prawa nabywców tak wiązać będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. Nawzajem włościanie jakiejkolwiekbądź majętności od dobrowolnych umów, przyjętych nadań i z niemi złączonych powinności usuwać się inaczej nie będą mogli, tylko w takim sposobie i z takimi warunkami, jak w opisach tychże umów postanowione mieli, które, czy na wieczność, czy do czasu przyjęte, ściśle ich obowiązywać będą. Zawarowawszy tym sposobem dziedziców przy wszelkich pożyczkach od włościan im należących, a chcąc, jak najskuteczniej zachęcić pomnożenie ludności krajowej, ogłaszamy wolność zupełną dla wszystkich ludzi tak nowo przybywających, jako i tych, którzyby, pierwej z kraju oddaliwszy się, teraz do ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece, że każdy człowiek do państwa Rzeczypospolitej nowo z którejkolwiek strony przybyły, lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi Polskiej, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce, wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, jak i dopóki się umówi, wolny jest osiadać w mieście lub na wsiach, wolny jest mieszkać w Polsce, lub do kraju powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął.

V.

RZĄD, CZYLI OZNACZENIE WŁADZ PUBLICZNYCH.

Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu. Aby więc całość państw, wolność obywatelska i porządek społeczności w równej wadze na zawsze zosta

wały, trzy władze rząd narodu Polskiego składać powinny, i z woli prawa niniejszego na zawsze składać będą, to jest władza prawodawcza w stanach zgromadzonych, władza najwyższa wekonawcza w królu i straży i władza sądownicza w jurysdykcjach, na ten koniec ustanowionych, lub ustanowić się mających.

VI.

SEJM CZYLI WŁADZA PRAWODAWCZA.

Sejm czyli stany zgromadzone na dwie izby dzielić się będą: na izbę poselską i na izbę senatorską pod prezydencją króla. Izba poselska, jako wyobrażenie i skład wszechwładztwa narodowego, będzie świątynią prawodawstwa. Przeto w izbie poselskiej najpierwej decydowane będą wszystkie projekty. 1-mo. Co do praw ogólnych, to jest: konstytucyjnych, cywilnych, kryminalnych i do ustanowienia wieczystych podatków, w których to materjach propozycje od tronu województwom, ziemiom i powiatom do roztrząśnienia podane, a przez instrukcje do izby przychodzące, najpierwsze do decyzji wzięte być mogą. 2-do. Co do uchwał sejmowych, to jest: poborów doczesnych, stopnia monety, zaciągnienia długu publicznego, nobilitacji i innych nagrod przypadkowych, rozkładu wydatków publicznych, ordynaryjnych i ekstraordynaryjnych, wojny, pokoju, ostatecznej ratyfikacji traktatów związkowych i handlowych, wszelkich dyplomatycznych aktów i umów, do prawa narodów ściągających się, kwitowania magistratur wykonawczych i tym podobnych zdarzeń, głównym narodowym potrzebom odpowiadających, w których to materjach propozycje od tronu, prosto do izby poselskiej przychodzić mające, pierwszeństwo w prowadzeniu mieć będą. — Izby senatorskiej, złożonej z biskupów, wojewodów, kasztelanów i minis rów, pod prezydencją króla, mającego prawo raz dać votum (głos) swoje, drugi raz paritatem (równy podział głosów) rozwiązywać osobiście lub nadesłaniem zdania swego do tejże izby, obowiązkiem jest: 1-mo. Każde prawo, które po przejściu formalnem w izbie poselskiej natychmiast przesłane być powinno, przyjąć lub wstrzy-

mać do dalszej narodu deliberacji, opisaną w prawie większością głosów. Przyjęcie moc i świętość prawa nadawać będzie. Wstrzymanie zaś zawiesi tylko prawo do przyszłego ordynaryjnego sejmu, na którym, gdy powtórna nastąpi zgoda, prawo zawieszone od senatu przyjętem być musi. 2-do. Każdą uchwałę sejmową w materjach wyżej wyliczonych, którą izba poselska senatowi przysłać natychmiast powinna, wraz z tąż izbą poselską wiekszością głosów decydować, a złączona izb obydwóch większość, podług prawa opisana, będzie wyrokiem i wolą stanów. Warujemy, iż senatorowie i ministrowie w objektach sprawowania się z urzędowania swego bądź w straży, bądź w komisji, votum decisivum (głos decydujący) w sejmie nie będą mieli i tylko zasiadać w ten czas w senacie mają dla dania eksplikacji na żądanie sejmu. Sejm zawsze gotowym będzie: prawodawczy i ordynaryjny. Rozpoczynać się ma co dwa lata, trwać zaś będzie podług opisu prawa o sejmach. Gotowy, w potrzebach nagłych zwołany, stanowić ma o tej materji, do której zwołanym będzie, lub o potrzebie, po czasie zwołania przypadłej; prawo żadne na tym ordynaryjnym sejmie, na którym ustanowione było, znoszone być nie może. Komplet sejmu składać się będzie z liczby osób niższym prawem opisanej, tak w izbie poselskiej, jako i w izbie senatorskiej. Prawo o sejmikach na teraźniejszym sejmie ustanowione, jak najistotniejszą zasadę wolności obywatelskiej uroczyście zabezpieczamy. Jako zaś prawodawstwo, sprawowane być nie może przez wszystkich, i naród wyręcza się w tej mierze przez reprezentantów czyli posłów swoich dorowoinie wybranych, przeto stanowimy, iż posłowie, na sejmikach obrani, w prawodawstwie i ogólnych narodu potrzebach, podług niniejszej konstytucji, uważani być mają, jako reprezentanci całego narodu, będąc składem ufności powszechnej. Wszystko i wszędzie większością głosów zdecydowane być powinno, przeto liberum veto, konfederacje wszelkiego gatunku i sejmy konfederackie, jako duchowi niniejszej konstytucji przeciwne, rząd obalające, społeczność niszczące, na zawsze znosimy. Zapobiegając z jednej strony gwałtownym i częstym odmianom konstytucji narodowej, z drugiej, uznając potrzebę wydoskonalenia onej, po doświadczeniu jej skutków, co do pomyślności publicznej, porę i czas rewizji i poprawę konstytucji co lat dwadzieścia pięć na-

znaczamy. Chcąc mieć takowy sejm konstytucyjny ekstraordynaryjnym podług osobnego o nim prawa opisu.

VII.

KRÓL, WŁADZA WYKONAWCZA.

Żaden rząd najdoskonalszy, bez dzielnej władzy wykonawczej stać nie może. Szczęśliwość narodu od praw sprawiedliwych praw skutek od ich wykonania zależy. Doświadczenie nauczyło, że zaniedbanie tej części rządu nieszczęściami napełniło Polskę. Zaw row wszy przeto wolnemu narodowi Polskiemu władzę praw sobie stanowienia i moc baczności nad wszelką wykonawczą władzą, oraz wybierania urzędników do magistratur, władzę najwyższego wykonywania praw królowi w radzie jego oddajemy, która to rada strażą praw zwać się będzie. Władza wykonawcza do pilnowania praw i onych pełnienia ściśle jest obowiązaną. Tam czynną z siebie będzie, gdzie prawa dozwalają, gdzie prawa potrzebują dozoru egzekucji, a nawet silnej pomocy. Posłuszeństwo należy się jej zawsze od wszystkich magistratur; moc przynaglania nieposłuszne i zaniedbujące swe obowiązki magistratury w jej ręku zostawiamy. Władza wykonawcza nie będzie mogła praw stanowić ani tłumaczyć, podatków i poborów pod jakiemkolwiek imieniem nakładać, długów publicznych zaciągać, rozkładu dochodów skarbowych przez sejm zrobionego odmieniać, wojny wydawać, pokoju ani traktatów i żadnego aktu dyplomatycznego definitive (ostatecznie) zawierać. Wolno jej tylko będzie tymczasowe z zagranicznemi prowadzić negocjacje, oraz tymczasowe i potoczne dla bezpieczeństwa i spokojności kraju wynikające potrzeby załatwiać, o których najbliższemu zgromadzeniu sejmowemu donieść winna. Tron Polski elekcyjnym przez familje mieć na zawsze chcemy i stanowimy. Doznane klęski bezkrólewiów, perjodycznie rząd wywracających, powinność ubezpieczenia losu każdego mieszkańca ziemi Polskiej, i zamknięcie na zawsze drogi wpływom mocarstw zagranicznych, pamięć świetności i szczęścia ojczyzny naszej, za czasów familji ciągle panujących, potrzeba odwrócenia od ambicji tronu obcych, i możnych

Polaków zwrócenia do jednomyślnego wolności narodowej pielęgnowania, wskazały roztropności naszej oddanie tronu Polskiego prawem następstwa. Stanowimy przeto, iż po życiu, jakiego nam dobroć Boska pozwoli, elektor dzisiejszy Saski w Polsce królować będzie; dynastja przyszłych królów Polskich zacznie się na osobie Fryderyka Augusta, dzisiejszego elektora Saskiego, którego sukcesorem do lumbis z płci męskiej tron Polski przeznaczamy, Najstarszy syn króla panującego po ojcu na tron następować ma. Gdyby zaś dzisiejszy elektor saski nie miał potomstwa płci męskiej, tedy mąż przez elektora, za zgodą stanów zgromadzonych, córce jego dobrany, zaczynać ma linję następstwa z płci męskiej do tronu Polskiego. Dlaczego Marję Augustę Nepomucenę, córkę elektora, za infantkę Polską deklarujemy, zachowując przy narodzie prawo, żadnej preskrypcji podpadać nie mogące, wybrania do tronu drugiego domu, po wygaśnieniu pierwszego.—Każdy król, wstępując na tron, wykona przysięgę Bogu i narodowi, na zachowanie konstytucji niniejszej, na pacta conventa, które ułożone będą z dzisiejszym elektorem Saskim, jako przeznaczonym do tronu, i które tak, jak dawne, wiązać go będą. Osoba króla jest święta i bezpieczna od wszystkiego. Nic sam przez się nie czyniący za nic w odpowiedzi narodowi być nie może. Nie samowładcą, ale ojcem i głową narodu być powinien i tym go prawo i konstytucja niniejsza być uznaje i deklaruje. Dochody tak, jak będą w paktach konwentach opisane, i prerogatywy tronowi właściwe niniejszą konstytucją dla przyszłego elekta zawarowane, tkniętemi być nie będą mogły. Wszystkie akta publiczne, trybunały, sądy, magistratury, monety, stemple pod królewskiem iść powinny imieniem. Król, któremu wszelka moc dobrze czynienia zostawiona być powinna, mieć będzie ius agratiandi na śmierć skazanych, prócz in criminibus status. Do króla rozrządzenie najwyższe siłami zbrojnemi krajowemi w czasie wojny i nominowanie komendantów wojska należeć będzie, z wolną atoli ich odmianą za wolą narodu, patentować oficerów i mianować urzędników podług prawa niższego opisu, nominować biskupów i senatorów podług opisu tegoż prawa, oraz ministrów, jako urzędników pierwszych władzy wykonawczej jego będzie obowiązkiem. — Straż czyli rada królewska, do dozoru, całości i egzekucji praw królowi dodana, składać

się będzie: 1-mo z prymasa, jako głowy duchowieństwa polskiego i jako prezesa komisji edukacyjnej, mogącego być wyręczonym w straży przez pierwszego ex ordine biskupa, którzy rezulucji podpisywać nie mogą; 2-do z pięciu ministrów, to jest: ministra policji, ministra pieczęci, ministra belli, ministra skarbu, ministra do spraw zagranicznych; 3-tio. z dwóch sekretarzy, z których jeden protokół straży, drugi protokół spraw zagranicznych trzymać będą; obydwaj bez votum decydującego. Następca tronu, z małoletności wyszedłszy i przysięgę na konstytucję wykonawszy, na wszystkich straży posiedzeniach, lecz bez głosu przytomnym być może. Marszałek sejmowy, jako na dwa lata wybrany, wchodzić będzie w liczbę zasiadających w straży, bez wdawania się w ich rezolucję, jedynie dla zwołania sejmu gotowego w takiem zdarzeniu, gdyby on uznał w przypadkach koniecznego zwołania sejmu gotowego wymagających, rzetelną potrzebę, a król go zwołać wzbraniał się, tedy tenże marszałek do posłów i senatorów wydać powinien listy okólne, zwołując onych na sejm gotowy i powody zwołania tego wyrażając. Przypadki zaś do koniecznego zwołania sejmu są tylko następujące: 1-mo. W gwałtownej potrzebie, do prawa narodów ściągającej się, a szczególniej w przypadku wojny ościennej. 2-do. W przypadku wewnętrznego zamieszania, grożącego rewolucją w kraju lub kolizją między magistraturami. 3-tio. W widocznem powszechnego głosu niebezpieczeństwie. 4-to W osierociałym stanie ojczyzny przez śmierć króla lub niebezpiecznej jego chorobie. Wszystkie rezolucje w straży roztrząsane będą przez skład wyżej wspomniany, decyzja królewska po wysłuchanych wszystkich zdaniach przeważać powinna, aby jedna była w wykonywaniu prawa wola; przeto każda ze straży rezolucja pod imieniem królewskiem i z podpisem ręki jego wychodzić będzie, powinna jednak być podpisana także przez jednego z ministrów, zasiadających w straży, i tak podpisana do posłuszeństwa wiązać będzie, i dopełnioną być ma bądź przez komisje, bądź przez jakiekolwiek magistratury wykonawcze, w tych jednak szczególnie materjach, które wyraźnie niniejszem prawem wyłączone nie są. W przypadku, gdyby żaden z ministrów zasiadających decyzji podpisać nie chciał, król odstąpi od tej decyzji, a gdyby przy niej upierał się, marszałek sejmowy, w tym przypadku, upra-

szać będzie o zwołanie sejmu gotowego; i jeżeli król spóźniać będzie zwołanie, marszałek to wykonać powinien.—Jako nominowanie wszystkich ministrów, tak i wezwanie z nich jednego od każdego administracji wydziału do rady swojej czyli straży króla jest prawem. Wezwanie to ministra do zasiadania w straży na lat dwa będzie z wolnem onego nadal przez króla potwierdzeniem. Ministrowie, do straży wezwani, w komisjach zasiadać nie mają. W przypadku zaś, gdy większość dwóch trzecich wotów sekretnych obydwóch izb złączonych na sejmie ministra bądź w straży, bądź w urzędzie odmiany żądała, król natychmiast na jego miejsce innego nominować powinien. Chcąc, aby straż praw narodowych obowiązaną była do ścisłej odpowiedzi narodowi za wszelkie onych przestępstwa, stanowimy, iż, gdy ministrowie będą oskarżeni przez deputację, do egzaminowania ich czynności wyznaczoną, o przestępstwo prawa, odpowiadać mają z osób i majątków swoich. W wszelkich takowych oskarżeniach stany zgromadzone prostą większością wotów izb złączonych odesłać obwinionych ministrów mają do sądów sejmowych po sprawiedliwe i wyrównywające przestępstwu ich ukaranie lub przy dowiedzionej niewinności od sprawy i kary uwolnienie. Dla porządnego władzy wykonawczej dopełnienia, ustanawiamy oddzielne komisje, mające związek ze strażą i obowiązane do posłuszeństwa tejże straży. Komisarze do nich wybierani będą przez sejm do sprawowania urzędów swoich w przeciągu czasu, prawem opisanego. Komisje te są: 1-mo. edukacji. 2 do. policji. 3-tio. wojska. 4-to skarbu. Komisje porządkowe wojewódzkie na tym sejmie ustanowione, równie do dozoru straży należące, odbierać będą rozkazy przez wyżej wspomniane pośrednicze komisje, respective co do objektów każdej z nich władzy i obowiązków.

VIII.

WŁADZA SĄDOWNICZA.

Władza sądownicza nie może być wykonywaną ani przez władzę prawodawczą, ani przez króla, lecz przez magistratury na ten koniec ustanowione i wybierane. Powinna zaś być tak

o miejsc przywiązana, żeby każdy człowiek blizką dla siebie nalazł sprawiedliwość, żeby przestępny widział wszędzie groźną nad sobą rękę krajowego rządu. Ustanawiamy przeto: 1-mo. Sądy pierwszej instancji zawsze będą gotowe i czuwające na oddanie sprawiedliwości tym, którzy jej potrzebują. Od tych sądów iść będzie apelacja na trybunały główne dla każdej prowincji być mające, złożone równie z osób na sejmikach wybranych. I te sądy tak pierwszej, jako i ostatniej instancji będą sądami ziemskimi dla szlachty i wszystkich właścicieli ziemskich z kimkolwiek, in causis iuris et facti. 2-do. Juryzdykcje zaś sądowe wszystkim miastom podług prawa sejmu teraźniejszego: O miastach wolnych królewskich. 3-tio. Sądy referendarskie dla każdej prowincji osobne mieć chcemy w sprawach włościan wolnych, dawnemi prawami sądowi temu poddanych. 4-to. Sądy zadworne, asesorskie, relacyjne i kurlandzkie zachowujemy. 5-to. Komisje wykonawcze będą miały sądy w sprawach do swej administracji należących. 6-to Oprócz sądów w sprawach cywilnych i kryminalnych dla wszystkich stanów, będzie sąd najwyższy, sejmowy zwany, do którego przy otwarciu każdego sejmu obrane będą osoby. Do tego sądu należeć będą występki przeciwko narodowi i królowi, czyli crimina status. Nowy kodeks praw cywilnych i kryminalnych przez wyznaczone przez sejm osoby spisać rozkazujemy.

IX.

REGENCJA.

Straż będzie oraz regencją, mając na czele królowę, albo w jej nieprzytomności prymasa. W tych trzech tylko przypadkach miejsce mieć może regencja: 1-mo, w czasie małoletności króla. 2-do, w czasie niemocy, trwałe pomięszanie zmysłów sprawującej. 3 tio, w przypadku, gdyby król był wzięty na wojnie. Małoletność trwać tylko będzie do lat 18 zupełnych; a niemoc względem trwałego pomięszania zmysłów deklarowaną być nie może, tylko przez sejm gotowy większością wotów trzech części przeciwko czwartej izb złączonych. W tych przeto trzech przypadkach prymas Korony Polskiej sejm natychmiast zwołać

powinien, a gdyby prymas tę powinność zwłóczył, marszałek sejmowy listy okólne do posłów i senatorów wyda. Sejm gotowy urządzi kolej zasiadania ministrów w regencji i królowę do zastąpienia króla w obowiązkach jego umocuje. A gdy król w pierwszym przypadku z małoletności wyjdzie, w drugim do zupełnego przyjdzie zdrowia, w trzecim z niewoli powróci, regencja rachunek z czynności swoich oddać mu powinna i odpowiadać narodowi za czas swego urzędowania tak, jak jest przepisano o straży na każdym ordynaryjnym sejmie, z osób i majątków swoich.

X.

EDUKACJA DZIECI KRÓLEWSKICH.

Synowie królewscy, których do następstwa tronu konstytucja przeznacza, są pierwszemi dziećmi ojczyzny, przeto baczność o dobre ich wychowanie do narodu należy, bez uwłóczenia jednak prawom rodzicielskim. Za rządu królewskiego sam król z strażą i wyznaczonym od stanów dozorcą edukacji królewiców wychowaniem ich zatrudniać się będzie. Za rządu regencji taż z wspomnianym dozorcą edukację ich powierzoną mieć sobie będzie. W obydwóch przypadkach dozorca, od stanów wyznaczony, donosić winien na każdym ordynaryjnym sejmie o edukacji i postępku królewiców. Komisji zaś edukacyjnej powinnością będzie podać układ instrukcji i edukacji synów królewskich do potwierdzenia sejmowi, a to, aby jednostajne w wychowaniu ich prawidła wpajały ciągle i wcześnie w umysły przyszłych następców tronu religię, miłość cnoty, ojczyzny, wolności i konstytucji krajowej.

XI.

SIŁA ZBROJNA NARODOWA.

Naród winien jest sobie samemu obronę od napaści i dla przestrzegania całości swojej. Wszyscy przeto obywatele są

obrońcami całości i swobód narodowych. Wojsko nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu. Naród winien wojsku swemu nagrodę i poważanie za to, iż się poświęca jedynie dla jego obrony. Wojsko winno narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej, słowem winno być jego najsilniejszą tarczą. Aby przeznaczenia tego dopełniło nieomylnie, powinno zostawać ciągle pod posłuszeństwem władzy wykonawczej, stosownie do opisów prawa, powinno wykonać przysięgę na wierność narodowi i królowi i na obronę konstytucji narodowej. Użytem być więc wojsko narodowe może na ogólną kraju obronę, na strzeżenie fortec i granic, lub na pomoc prawu, gdyby kto egzekucji jego nie był posłusznym.



Książę Józef Poniatowski,

bratanek króla, po rozbiorach Polski wziął udział w wojnach Napoleona i wytrwał przy nim do samego końca W bitwie pod Lipskiem w r. 1813 zginął w falach Elstery, przeprawiając się z swym oddziałem na drugi brzeg rzeki.

(Rys. J. Stemler).

Ostatnia wojna przed rozbiorem.

Ignacy Potocki wszedł do sali.

Przed oknem, oparty o framugę, stał wysoki Fryderyk Wilhelm II, król pruski.

Oddawszy dworski ukłon według obowiązującego ceremonjału, podał Potocki list, poczem przemówił:

— Jego królewska mość Stanisław August, król polski, wielki książę litewski, książę ruski, pruski i t. d., i t. d. przysyła mnie do ciebie, najjaśniejszy panie, z żądaniem i prośbą, byś raczył przysłać nam w pomoc twoje mężne wojska. Przed dwoma tygodniami Rosja wydała nam wojnę i wtargnęła w granice państwa naszego. A jako ty sam, najjaśniejszy panie, byłeś pierwszą pobudką do zerwania przez nas stosunków z Rosją, tak nie wątpimy, teraz pierwszy staniesz w obronie Rzeczypospolitej przeciw temu państwu, które z tobą walczyło, gdy Austrji twój poprzednik odbierał Śląsk.

Król pruski milczał. Jego sucha twarz, bez wyrazu, nie zdradzała myśli, tylko w oczach znać było pewien niepokój, jakieś zakłopotanie.

Wreszcie przerwał Fryderyk milczenie.

— Kiedy Rosja wypowiedziała wojnę?—spytał.

— Poseł rosyjski przy dworze naszym, Bułhakow, wręczył ministrowi spraw zagranicznych Chreptowiczowi deklarację z wypowiedzeniem wojny 18 maja.

Fryderyk Wilhelm począł się przechadzać po sali.

— Co zrobić, co zrobić?—udawał zakłopotanego, zatrzymawszy się przed Potockim.

— Dac nam pomoc—odparł Potocki.

— Nie łatwa to rzecz, wojska moje zajęte.

— Czem?

— No, niewyćwiczone, nieprzygotowane, niewyekwipowane należycie—wymawiał się Niemiec.

— Sądzę—rozpoczął polski poseł, czując, że król pruski chce zdradzić Polskę—że wasza królewska mość nie odmówi nam swej pomocy wtedy, gdy jego rada na złe się dla nas zaczyna obracać. Rzeczpospolita była w dobrych stosunkach z Rosją, dzisiaj jeśli niema przymierza polsko-rosyjskiego, to jedynie dzięki wpływowi waszej królewskiej mości. Więc nie przystoi pomocy nam odmówić.

— Co sądzisz o tem, Schulemberg?—zwrócił się Fryderyk Wilhelm do człowieka siedzącego w kącie sali przy stoliku, na którym leżały jakieś papiery.

Potocki dopiero teraz zauważył go i zaraz zwrócił się do niego, jako do dobrze znajomego człowieka:

— Poprzyj nas, ministrze kochany, a zaskarbisz sobie wdzięcznośc naszą prawdziwą.

— Moi pomocnicy i ministrowie—zwrócił się dumnie Fryderyk—mnie tylko popierają i tych, których ja chcę.

W Potockim poczęła grać krew:

— Ja w godziwej sprawie o poparcie proszę!

Ale zamilkł. Pohamował się, gdyż tutaj szła sprawa o Polskę całą, może o jej byt niezawisły.

A Schulemberg, przerażony słowami króla i Potockiego wykrztusił, łamiąc się w ukłonie:

— Będzie, jak wasza królewska wysokość zechce.

— Eh, ty zawsze masz świetne rady—złościł się Fryderyk Wilhelm. Widzi pan—zwrócił się do Potockiego—jakże ja mam tak natychmiast się zdecydować, gdy na mnie cięży odpowiedzialność za losy mojego państwa.

— Wasza królewska mość—odparł Potocki—rzeczywiście zastanawia mnie. Sądziłem, że nie będę musiał przypominać przymierza, jakie łączy Polskę z Prusami, przymierza, którem zaręczyłeś nam, królu, pomoc wojskową wtedy, gdy Polska będzie napadnięta. Teraz to właśnie zachodzi, Rosja wtargnęła w nasze granice, więc mamy prawo twej pomocy królu czekać, mamy prawo nie prosić o nią, a żądać jej.

Fryderyka twarz zmarszczyła się.

Milczał chwilę, potem tak mówił:

— Mylisz się, szanowny panie pośle, przymierze to nie przewidywało waszej konstytucji, z powodu której jest wojna.

Potocki poczerwieniał. Zrozumiał, że zdrada już jest dokonana, ale nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia gorzkich słów prawdy. A może, może spodziewał się, że Fryderyk Wilhelm cofnie się.

— Jakto—mówił gorąco—przymierze było przecież zawarte, gdy Sejm Wielki się zebrał, gdyśmy radzili nad naprawą Rzeczypospolitej. I tyś wiedział, królu, że konstytucję chcemy zmienić. Teraz zaś mówisz, że ta konstytucja zwalnia cię od obowiązków sprzymierzeńca?! Wszak nie kto inny, jak wasza królewska mość wraz z Anglją, podjąłeś się pośredniczyć między nami a Austrją o zatwierdzenie konstytucji. Więc nie tylko tyś ją przyjął, ale jeszcze drugich do tego skłaniałeś. Postąpiłeś wtedy, jak winien był postąpić sprzymierzeniec. A teraz? Teraz wymawiasz się, królu, od dania nam pomocy, na co przysiągłeś przecie?

Fryderyk milczał.

Nie znalazł słów na usprawiedliwienie, nie znalazł wykrętów wobec tak jawnej zdrady, tak jawnego wiarołomstwa i złamania poprzysiężonego traktatu.

* * *

W mieszkaniu kanclerza ks. Hugona Kołłątaja zebrało się kilku ludzi. Był tam Ignacy Potocki, Stanisław Małachowski, ks. Maciej Radziwiłł i kilku innych.

Dyskutowano gorąco.

— Co nie ma się udać wojna—twierdził ks. Radziwiłł—musi się udać, ks. Józef Poniatowski cofa się wprawdzie teraz, ale nie bójmy się, potrafi on zaskoczyć wroga.

— Prawda i to—dodał Małachowski—że ma przy sobie tęgie głowy. Taki n. p. Kościuszko, bohater z wojny Stanów Zjednoczonych Ameryki, to i jenerał i żołnierz nielada.

— Mnie zaś—twierdził Naruszewicz—najbardziej cieszą objawy sympatji, jaką cieszy się wojna w społeczeństwie.

— Ah, tak, tak—przerwał mu Kołłątaj—oddają srebra rodzinne, drogie kamienie i co najważniejsze, zarówno szlachta, jak proste mieszczaństwo śpieszy, by ojczyznę z opresji ratować. Żywie jeszcze duch w Rzeczypospolitej.

— Mamy wśród siebie jednego godnego ofiarodawcę — zaczął Potocki — ks. Maciej...

— No, no, dajcie pokój—bronił się Radziwiłł.

— Pozwólcie, książę—zapalił się Potocki—nie dla waszej to chwały mówię, ale dla tego, aby ludzie nie śmieli mówić, że Rzeczpospolita pozbawiona jest obywateli dobrych. Toż słuchajcie, waszmoście, całą milicję, wszystkie działa, amunicję, rynsztunki i zbroje, jakie znajdą się w Białej, Ołyce, Nieświeżu i Słucku, nawet same zamki, gdyby Rzeczpospolita tego potrzebowała, oddał książę państwu. Czy jest gdziekolwiek przykład równy temu.

— Zaiste niema — odpowiedział za wszystkich Naruszewicz.

— Ale są wyższe, waszmoście — zwrócił się do nich zaczerwieniony Radziwiłł—więcej dla mnie znaczą ofiary takie, jak kamerdynera królewskiego Russo, który 100 dukatów ofiarował, albo Albertrandi'ego, który przysłał wszystkie swe ozdoby i nawet pierścień królewski z portretem króla jegomości. Zaprawdę te ofiary, większe od moich.

— Chwalebną jest skromność w. książęcej mości — odezwał się Kołłątaj, ale zasługa zasługą zostanie, a dla mnie szczerość serca najwięcej znaczy. I kiedy widzę panów dających dużo, mieszczan składających dary, albo takiego kowala, który wozy przez się zrobione oddaje na użytek artylerji, rośnie we mnie serce i widzę, że zaprawdę moc dobra mieści w sobie nasza ojczyzna i nie zdoła go zadławić owa złość, jaka przeciw nam powstaje.

— Daj Bóg, aby tak było—spuścił głowę Potocki—daj Bóg, bo zaprawdę ciężko jest strasznie i chmury nad nami.

* * *

Do namiotu ks. Józefa Poniatowskiego wchodzili oficerowie jeden za drugim, że aż ciasno zrobiło się w nim.

Doszedłszy do Kurowa zatrzymał się książę, ażeby tutaj stawić czoło nieprzyjaciołom, lecz niestety—odebrano mu moc i przekreślono w jednej chwili jego wysiłki, przez cały przeciąg tej kampanji poczynione.

Marsowe twarze wojaków wieją smutkiem i zimnem. Tylu ich tutaj się zeszło, a cisza wśród nich panuje i ten chłód, który w dzień wczesnej jesieni nagle i niespodziewanie nadleci i wszędzie się wciśnie i wszystko zmrozić potrafi.

Wśród oficerów pierwsze miejsce zajęli jenerałowie: Kościuszko, Wielhorski, Zajączek, Mokronowski. Ci otoczyli księcia i usiedli na prostych krzesłach, reszta zasiadła dalej, albo stała, oparta o ściany domku, za namiot służącego.

Wobec księcia nie śmieli młodsi oficerowie rozmów prowadzić widocznie, a może przejął ich ten chłód, tutaj panujący, a może i oni, jak jenerałowie, ciężkie mają myśli i smutne dusze.

Czekają wszyscy na księcia.

Rozeszła się po obozie straszna wieść, ale dopóki nie potwierdził jej książę Józef, jeszcze jest iskierka nadziei, jeszcze się łudzą: Może to nieprawda...

Powstał książę.

— Zwołałem panów—zaczął swym dźwięcznym, tenorowym głosem—aby podzielić się z wami ową wieścią, która od dwóch dni obiega nasz obóz. Otrzymałem rozkaz zawieszenia działań wojennych przeciw Rosji.

Zamilkł.

Nastało grobowe milczenie.

I nikt nie śmiał go przerwać, nikt słowa nie przemówił, tylko westchnienia słychać było głębokie, ciężkie.

— Król — ciągnął powoli — przystąpił do konfederacji targowickiej.

Nagle podniósł głowę:

— Oświadczam panom oficerom wszystkich wojsk, pod moją komendą stojących, że żadne tumulty nie mogą mieć miejsca. Wolno nam służyć ojczyźnie i czyniliśmy to dotąd. Wśród walk, wśród klęsk początkowo i cofania się podjęliśmy sztandar wojny, dzisiaj, gdy go nam odbierają, nie będziemy dopuszczali do tego, aby przez rozruchy w wojsku, w jeszcze większe nieszczęścia pogrążać ojczyznę naszą.

Młody oficer, Hauman, który od pierwszej chwili przemówienia księcia zbladł, jak ściana, o którą się oparł, teraz nagle wystąpił przed księcia i odpinając krzyż „Virtuti militari“ drżącym głosem mówił:

— Dziękuję waszej książęcej mości za tę odznakę honorową, którą otrzymałem w tej wojnie. Nie chcę z niej mieć żadnych pamiątek, tem bardziej zaszczytnych, gdy nam hańba jedna została. I rozpłakał się młody oficer, nie mogąc opanować żalu.

A książę podniósł swą łagodną twarz i kładąc rękę na ramieniu Haumana, radził:

— Żal opanować trzeba. Order był zasłużony męstwem i to na pamiątkę trzeba schować i dzieciom swoim przekazać w spuściźnie. Czuwajcie, waszmoście—mówił już do wszystkich—bo widzę ciężkie chwile na ojczyznę naszą idące, w których, gdy zabraknie nam męstwa i odwagi, zmarnieje ta Rzeczpospolita, a z nią wszystko, co dobre.

Następnie wziął papier ze stołu i podając go Kościuszce, powiedział:

— Chcę, by ten rozkaz był jutro odczytany wojskom.

— A nam wolno teraz?—spytał Kościuszko.

— Proszę—pozwolił ks. Józef.

— Walczyliśmy—czytał Kościuszko—za swobodę umiarkowaną dla sławy narodu i za prawdziwe interesy kraju; była to wojna święta, bo wojska nasze nie podtrzymywały widoków arbitralnego despotyzmu, tylko prawa, któreśmy wzięli po przodkach puścizną i za całość ognisk domowych. Ambicja kilku ludzi zniszczyła najzbawienniejsze zamiary. Nie będąc zwyciężonymi, zostajemy rozprószeni, tułaczami, zmuszeni dla sławy szukać służby poza granicami. Objawiam śmiało mój sposób widzenia, prześladowaniami pogardzam, a zemsty, jaką wywrzeć może na mnie tylko szlachetniejsza dusza, czekam, nie cofając kroku. Przykład niesubordynacji, jaki nam daje strona przeciwna, nie splami umysłów naszych. Polecam wam, drodzy towarzysze, po raz ostatni tę cnotę, zapewniając was na zawsze o mojem przywiązaniu i szacunku. Józef ks. Poniatowski.

Ks. Eustachy Sanguszko, który z grona młodszych oficerów wysunął się naprzód, zwrócił się do wodza:

— Pozwólcie, wasza książęca mości, spytać, ale mnie tutaj niejasne wydają się pewne słowa.

— Które?

— Tak wygląda ten rozkaz, jakby żegnanie się z nami, co to znaczy?—a w głosie jego słychać było zaniepokojenie.

Książę spuścił głowę i milczał.

— Co to znaczy?—podchwycił pytanie jenerał Wielhorski, który stał tuż przy ks. Józefie.

Wtedy książę powiódł jasnemi oczyma po zebranych i głosem stanowczym oświadczył:

— Nie mogę zostawać przy wojsku. Dlatego wniosłem dzisiaj pismo do króla z dymisją.

— Jak? Co? — posypały się pytania, a potem nagle ucichły.

Ale książę już nie krył wzroku, nie spuszczał głowy. Twarz jego nabrała kolorów, a głos brzmiał silnie:

— Król przystąpił do Targowicy wraz z wojskiem. Ja do Targowicy nie przystąpię. Nie po to ofiarowywałem służby ojczyźnie, by je cofać potem. A konfederacja targowicka, która wojskom rosyjskim, przeciw nam idącym, dała przewodników, nie ojczyźnie naszej służy. Ja tam nie pójdę.

— I my nie pójdziem.

— Ani ja.

— Ani ja—posypały się zaraz oświadczenia.

A wówczas znowu książę przemówił:

— Nie czyńcie mi waszmościowie krzywdy, bunt wzniecając w wojsku królewskiem. Znieśliśmy w tej wojnie klęski od Rosji, gdyż mimo naszych chwilowych powodzeń musieliśmy się wciąż cofać i cofać, wobec przewagi nieprzyjaciela zachowaliśmy umysł spokojny, niechaj więc i nadal karność zostanie w wojsku. Za służbę podziękować mi wolno tem bardziej, że jak widać z przystąpienia króla do konfederacji, niepotrzebna ona ojczyźnie, ale bunt wzniecać, to przeciw przepisom i przeciw honorowi rycerskiemu.

A w tej chwili Kościuszko się odezwał:

— Więc i ja proszę o dymisję.

A za nim Wielhorski.

— I ja również.

— Skoro wychodzą jenerałowie, więc i oficerowie nie przydadzą się na nic — zawołał jenerał-major Karwicki.

Ale pohamował ich książę:

— Proszę panów nad tem naprzód zastanowić się, a dopiero potem prośbę napisaną przynieść. Dymisji ja udzielać nie będę. Uczyni to król, który z woli sejmu jest najwyższym wodzem.

— Ja zaś—zmienił głos książę—z serca całego dziękuję waszmościom za służbę pod mymi rozkazami i za te dobre chwile, które z wami przeżyłem.

A wówczas płacz stał się w izbie, jakgdyby ciało ukochanej osoby wynosić miano.

Bo naprawdę pogrzebny był to dzień, dzień żałoby po straconej wolności, po straconej sławie.

I coraz czarniej, coraz ciemniej było w Rzeczypospolitej.



Tadeusz Kościuszko.

(Rys. J. Stemler).

Rok 1794.

Drogą polną, na zwykłym chłopskim wózku, leżąc, jechał Tadeusz Kościuszko.

Obok wózka szedł pieszo Sierakowski, za nim Kniaziewicz, a po drugiej stronie wózka Kopeć, który ręką przytrzymywał białą sukmanę, okrywającą naczelnika sił zbrojnych powstającej Polski.

Przed nimi i za nimi błyszczały bagnety.

— Żyw będzie?--pyta Sierakowski Kopcia.

— Jeśli nie zamrze z upływu krwi, będzie—szepnął tamten i znowu spojrzał na bladą twarz Kościuszki.

Nie spuszczał z niego wzroku i tylko domyślał się, przeczuwał, kiedy podtrzymać należy wózek, aby nie trząsł rannym.

Był zimny październikowy dzień. Słońce uciekło za chmury, które drobnym deszczem padały na świat zbłocony, na skrwawione pola Maciejowic.

— Co z Niemcewiczem?—spytał Kopeć, zwracając się do Kniaziawicza.

— Żyw, ranny w rękę, jedzie z tyłu.

Na rozkaz zatrzymali się.

Wkrótce do wozu Kościuszki przyprowadzono i Niemcewicza, zjawił się prowadzony jenerał Kamieński.

Smutno powitali się wszyscy.

— Padła sława—odezwał się Kopeć.

— Nie—zaprzeczył Kniaziewicz—sława przy nas, przeciw przemocy nie poradzim. Bogu dzięki, że ten żyje.

— Wszystko mi jedno—machnął ręką zrezygnowany Sierakowski.

— Co z nim zrobią?—wskazał Niemcewicz głową na chorego, który w tej chwili otworzył oczy i lekko się uśmiechnął.

Zamknął je zaraz.

Twarz jego została pogodną. Może zdawało mu się, że jest w swoim obozie, wśród przyjaciół.

Wtem zbliżył się szereg oficerów rosyjskich.

— Fersen idzie—rzekł Kamieński—i Daszkow—wykrzyknął, ucieszywszy się, że zobaczył znajomego wśród oficerów rosyjskich.

— Czyż sztab do nas na narady?—drwił Sierakowski, który nie mógł opanować bolu. — Myśmy swoje skończyli, teraz niech z nami skończą, byle prędzej.

Nikt mu nie odpowiedział, bo w tej chwili nadeszli zwycięscy i zasalutowali.

Na twarzach Polaków znać było zdziwienie, lecz zaraz odpowiedzieli po żołniersku na powitanie.

Fersen zbliżył się do wozu, gdzie leżał Kościuszko.

— Czy ciężko ranny?—spytał.

— Dożyje, dożyje, nie bójcie się—odpowiedział zgorzkniały Sierakowski.

Fersen popatrzył zdziwiony, lecz tymczasem Kopeć zaprzątnął jego uwagę.

— Zrobiliśmy opatrunek, jak można—mówił—lekarzem nikt z nas nie jest, ale zdaje się nie ma ciężkiej rany naczelnik, same lekkie, ale za dużo.

Fersen zamyślił się.

— Dzielnie walczył—pochwalił Kościuszkę.

Podniósł głowę i patrząc w oczy Polaków mówił:

— Dopóki panowie zostajecie u mnie, traktować was będę z należnem poszanowaniem. Potem zrobię, co każą mi. Cokolwiek będzie wam potrzebne, przyślę.

I zasalutowawszy oddalił się wraz ze sztabem.

— Mieliśmy wizytę—uśmiechnął się Sierakowski.

Milczenie odpowiedziało mu.

— Żebyśmy byli więcej kosynierów mieli — nagle wypowiedział swą myśl Kopeć.

— Toby dopiero trupów leżało pod Maciejowicami—naśladował jego ton Sierakowski.

— Jenerale—zwrócił się do niego Niemcewicz—wszystkich nas równo boli klęska. Wiemy, że przez tę bitwę, może nawet całe powstanie padnie. Ale rozpaczać nie trzeba, bo tem losu naszego ni swojego nie poprawisz.

A ten odwrócił się plecami i posłał spojrzenie na te pola, gdzie niedawno armaty grzmiały, gdzie spodziewali się wolność zdobyć i odzyskanie zabranych ziem.

Milczeli wszyscy, milczała ziemia.

Jeno deszcz drobny padał na nich.

Jeno wiatr jęczał nad dolą ich i dolą całej Polski

Modlitwa.

Przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Ś.... jarzą się światła świec.

Na posadzce kościelnej leżą krzyżem trzy osoby, a obok grupka dzieci klęczy z matkami.

Cisza zaległa kościół—pustki wokoło, tylko ta grupka żarliwie się modli, tylko te dusze serdecznie Boga proszą.

Jedna z postaci poruszyła się.

Ciężko, powoli podparł się prawą ręką Kazimierz Czerwiński i zaczerwienione oczy podniósł na obraz święty. Jakby z niego sił nabrał, ukląkł i na klęczkach posunął się przed sam ołtarz.

Skinął ręką, a wtedy podbiegł ku niemu najstarszy syn, Stefek, czternaście już wiosen mający i spytał:

— Co każecie, ojcze dobrodzieju?

— Tu wszyscy—szepnął pan Czerwiński.

Stefek zaniósł odpowiedź matce, która zaraz wzięła dwoje młodszych za ręce i na palcach stąpając zbliżyła się do męża. Tosamo zrobiły dwie inne kobiety i tak gromadka dzieci i trzy matki otoczyły pana Czerwińskiego.

On złożył ręce i patrząc na obraz zaczął głośno:

— Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna...

A za nim powtarzał chór:

— Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna...

Pan Chodorkowski i Zaborowski, którzy też krzyżem leżeli, podnieśli głowy.

I w miarę słów słyszanych podnosili się w górę, aż uklękli i na kolanach przysunęli się bliżej do grupy.

Przyłączyli swe męskie głosy do chóru i płynęła ich modlitwa przed jasny ołtarz, przed cudami słynący obraz.

— Zlituj się nad nami i nad ojczyzną naszą udręczoną— mówił pan Czerwiński—a dzieci, nie znając takiej modlitwy zamilkły.

— Zlituj się nad koroną, którą Ci król Kazimierz w katedrze we Lwowie oddał i spraw, by to, co podzielone, zrosło się z powrotem, by wróciły lata chwały i własnych rządów. A jeśli za grzechy nasze i przodków naszych karać nas chcesz, to weź nam domy nasze i dobytki nasze, weź ojców dzieciom, weź—tu zatrząsł się głos jego—weź dzieci nasze...

I rozpłakał się, aż łzy padały na jego sumiaste wąsy, a łkania wstrząsały wielką, szlachetną piersią.

Wtem dziecięcy głos się rozległ:

— Mamo, myśmy nigdy się tak nie modlili.

A pani Zaborowska pogłaskała swą czteroletnią Marysię po głowie.

— Cicho—szepnęła.

— Ja nie umiem tego pacierza—skarżyła się mała.

I rozpłakała się pani Zaborowska, a za nią dzieci jej własne i pani Chodorkowskiej.

I płacz się stał ogólny.

— Wyjdźmy—szepnął Bohdan Zaborowski do sąsiada.

Podeszli do pana Czerwińskiego.

— Chodźmy, waszmość, nie przystoi nam płakać.

Tamten nie długo opierał się.

Wzięli go między siebie dwaj sąsiedzi, powstawszy z klęczek.

Tosamo zrobiły panie, które przed sobą prowadziły gromadkę dzieci, kierując się do drzwi kościoła.

Wyszli.

Na dworze ciemno się już robiło.

Wiatr jesienny dął silnie, sypiąc w oczy śnieg z deszczem, przejmując wszystkich zimnem.

— Nie płacz, waszmość—pocieszał Chodorkowski. nie płakać nam, bo łzami nie wskrzesimy przeszłości. Została nam

ziemia, zostały te pola i lasy, zostały dzieci, o które dobrze zatroszczyć się trzeba i dobrze wychować.

— Po co?—przez łzy spytał Czerwiński.

— Aby odzyskawszy, nie straciły tego, co my—silnie wyrzekł Chodorkowski.

Nic nie odpowiedział Czerwiński.

A wiatr wył strasznie.

A śnieg sypał wciąż i siekł idących powoli ku plebanji. Siekł ich, jak los, ścigał zimnem i beznadziejnie czarne chmury spędzał zewsząd nad tę nieszczęsną ziemię.

A był to rok 1795—rok ostatniego podziału Rzeczypospolitej między Rosję, Austrję i Prusy.



Śpiący rycerze.

Śpiący rycerze.

Prawie tuż pod ścianą Giewontu w Zakopanem postawił sobie chatę stary baca.

— Tak lepiej—tłumaczył sąsiadom — widę, kiej chmury psychodzą, owce niedaleko mi gnać, hań blizko mam hale. Wygodnie człekowi.

I żyło mu się dobrze, kozy chowały mu się, dając mleko dla niego i dzieci, owies nawet dojrzewał, późno co prawda, ale zawsze było z czego placek zrobić, a resztę pożywienia miało się z ziemniaków, z rzepy, na święto zaś zawsze coś upolował ze swej fuzji, sznurkami powiązanej.

Tak dożył późnej starości.

Doczekał się wnuków gromady całej, doczekał się szacunku ogólnego i poważania. Najlepsze wino z Węgier jemu przynoszono na znak czci.

— Powiedzcie o tej grocie królewskiej—prosił go wieczorem późnym zimowym jeden z sąsiadów, gdy przy ognisku usiedli, z kubkami wina w rękach.

— O śpiących rycerzach?—poprawił go baca.

— A ino, ino—potwierdził.

Nie długo dał się prosić stary.

— Jest w Tatrach—zaczął—góra najwyższa, skąd całą Polskę dojrzysz, jeśli masz oczy dobre. Jeno trzeba wyjść w piękną pogodę, bo kiedy wicher przyjdzie, strąci cię w przepaść, a kiedy chmury są, tak cię skryją, że ani na krok nic nie ujrzysz i aby nie spaść, musisz przesiedzieć, dopóki mgła nie ustąpi. Czy był kto na tej górze nie wiem. To ino pewne, bo od dziadów i ojców wiadome, że ona jest, a od niej wązkie prowadzi wejście jakby brama jaka w podziemie.

Idzie się długo, długo wązkim korytarzem, aż dojdziesz do miejsca, gdzie nagle światłość cię oślepi, tak błyszczy tam złoto i brylanty przeróżne. Jak wejdzie tam człowiek uczciwy, to może se gospodarować, kieby w chałupie u siebie. Ale

niechbyś, złym będąc, tam się dostał, zaraz ślepniesz i padasz prawie nieżywy.

A kiedy rozejrzysz się w grocie, widzisz ogromne drzwi z żelaza, czy z czego innego, a przy nich stoi człek jakiś, od stóp do głów zbrojny, z rękawicami żelaznemi i na klamce ciągiem rękę trzyma.

Musisz mu odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Nie wiem pewnikiem, o co pyta, ale tak mi mówili starzy, że każe sobie opowiedzieć, co się w Polsce dzieje. Mówisz mu, co teraz, a on się ciągiem pyta, a przedtem, a przedtem, aż do czasów Bolesława Chrobrego dojdzie, a wtedy mówi:

— To wiem, sam byłem.

I otwiera ci drzwi i wpuszcza do ogromnej, wielgachnej izby.

Patrzysz się, a tu po lewej ręce pod ścianą złocisty tron stoi, na nim zaś dwaj siedzą mężowie, jeden trzyma w ręce krzyż, a drugi miecz wysoki.

Naprzeciw ciebie i po prawej stronie śpią takie same jak ci dwaj, olbrzymy, wszyscy w stal zakuci, wszyscy z głowami spuszczonemi śpią cicho, spokojnie oddechając.

Mówisz:

— Pochwalony Jezus.

Ale cisza panuje, nawet echo ci nie odpowie, tak tam wszystko, jakby zamarłe.

W ścianie, która naprzeciw ciebie się znajduje, widzisz drzwi, a właściwie otwór od powały samej aż do podłogi kamiennej.

Idziesz tam, zakręcasz na lewo i widzisz znowu blask, że aż oczy bolą i huk jakiś niezwykły. Nie możesz wydziwić się, takie tam piękne kowadło stoi, a przy niem kowal z ręką wzniesioną, jakby chciał bić w żelazo młotem ogromnym, który w ręce trzyma.

Lecz on cicho stoi.

A ognisko pali się wciąż, a miech rusza się sam, jakąś nieznaną siłą w nieustanny ruch wprawiony.

Niewiadomo, kiedy ten kowal pracuje. Ale widzi się koło niego już gotowe miecze, które lśnią, jakby niedawno je oczyścił po wykuciu, leżą przy nim pancerze ze srebrnych łusek i inaksze, a wszystko takie przecudne, takie śliczne, aż ci się serce raduje od tego patrzenia.

Ale, jeśli za długo patrzysz, kowal powoli obraca twarz ku tobie i młotem wskazuje, byś wyszedł. A taką moc ma jego wzrok i wola, że choćbyś nie wiem, jak chciał zostać, nogi same zawracają i uchodzisz, kieby cię siła jaka stąd przecz ciągnęła.

I nadarmo posyłasz wzrok w dalsze komnaty, które widzisz rzędem długim na przestrzał otwarte i jaśniejące zbroicami mężów—nie twoja moc wyrwać się i tamte obaczyć dziwowiska.

Jakaś tajemna siła pędzi cię przez salę, gdzie dwaj królowie siedzą i uciekasz, kieby wichrem gnany. A na górze halny wiatr cię porywa i znosi precz na dół.

Takie to są tam dziwy.

Ale raz w rok, gdy znajdziesz się niedaleko onego miejsca, huk słyszysz i uderzanie młota w kowadło i szum jakiś wewnątrz ziemi i ciężkie miarowe stąpanie.

Starzy ludzie mówią, że to Bolesław Chrobry się przebudził i na ćwiczenia wiedzie wojska swoje.

— Tak, tak—mówił już do siebie starzec—dziwy tam się dzieją z temi wojskami śpiącemi, z owymi królami, którzy na godzinę czekają.

A ona godzina dotąd nie przyszła.

Mówią, kiedy nadejdzię czas, wyprowadzi król Bolesław swoich rycerzy, aby ostateczny bój stoczyć o odzyskanie wolności swoich ziem.

A stanie się to wówczas, gdy nad całą ziemią polską wstanie jasne słońce, gdy śniegi z naszych hal zestąpią i wrzosy zakwitną w pełni, gdy zewsząd słuch pójdzie: Czas Polsce wstać, czas Polskę wskrzesić.

I przyjdzie huf rycerzy, a na czele jego iść będzie Mieszko I w zbroicy, zamiast miecza krzyż dzierżąc złocisty, po jego zaś prawicy, jak on poważny, iść będzie Bolesław Chrobry z mieczem swym ogromnym, zupełnie do Szczerbca podobnym.

Staną owe wojska na wielkiej równinie, czekając, kiedy przyjdzie pora rozstrzygnąć bój, który o Polskę toczyć się będzie.

Nie rzucą się zaraz na wroga.

Poczekają chwilę długą, jako już do czekania przyuczeni lat setkami. Będą patrzyli spokojnie na ginące tysiące, na ścierające się szczepy, aż wreszcie wzniesie Chrobry nowy swój Szczerbiec i powiedzie swe rycerze.

A walka ich będzie zwycięska.

A bój ich będzie granicą między niewolnymi, a wolnymi rokami Polski.

By jeno ten słuch się rozszedł, że czas już wstać, by jeno szczepów wiele na bój stanęło.

A dopóki to się nie stanie spać będzie Chrobry, spać będą jego rycerze w Tatrowych ukryci głębiach.

— A skąd wy to wiecie?—padło pytanie.

Stary podniósł krzaczaste brwi i spojrzał na śmiałka.

Chwilę milczał, patrząc na młodego gazdę, który fajeczkę pykał, aż głos swój podniósł:

— Młodyś, toć odpuszczę to pytanie. Ale to wiedz na przyszłość, że tajnych wyroków nie opowiada się na wiatr. Jak mówię, to wiem.

Zaległo milczenie chatę, jeno sosnowe gałęzie, rzucane co chwilę na ogień, trzaskały w płomieniach i wydawały przeciągłe syczenie, gdy żywica z nich ściekała.

— Tajne są nasze losy—zaczął po chwili baca—nie zbada ich nikt i nie pozna swoim jeno rozumem. Jako nieznany nam jest sposób zbudzenia przez nas Chrobrego, nieznany sposób sprowadzenia tych losów, które sen jego długi przerwą.

A przecież przyjdzie to wszystko i wstanie król i wstaną z nim rycerze i na pole walki ruszą.

A wówczas powrócą dawne czasy i skończy się okres cierpień i udręki polskiego narodu. Nikt z nas nie wie kiedy, a przecież tak będzie.

Bo od dziadów pradziadów to mówią.

Widać we krwi naszej to jest, a co we krwi, to prawdą być musi, a nie zmyś eniem. I zresztą jak Polska długa i szeroka mówią ci o tem. Przyjadą tu w zakopiańskie strony pany z Warszawy, alibo od Krakowa, przyjadą od Poznania i Wilna, z jak najdalszych stron, wszędy chodzą, a szukają onej groty. Więc nie wymyślenie to jest żadne, a prawda święta. Tak gadali ojce nasze, tak gadamy my i daj Bóg, byście wy ono gadanie skończyli, a na jasne hufy Chrobrowe patrzyli własnemi oczyma.

— Kiedy po całej ziemi pójdzie słuch: czas Polsce wstać, czas Polskę wskrzesić — powtarzał, jakby modlitwę stary góral.

SPIS RZECZY.

SPIS RYCIN.

Na tem kończymy historji Polski część I-szą—historję Polski niepodległej.

Z powodu trudności technicznych niemożliwą rzeczą było opracować całość dziejów naszych. Dlatego część II-gą odłożyliśmy do czasów — wierzymy — niedalekich, gdy znikną owe ciężkie warunki, utrudniające przedstawienie wyczerpującej całości naszych dziejów do dni dzisiejszych.

Opóźnienie to będzie miało za sobą tę dobrą stronę, że część II-ga będzie stanowiła odrębną całość, zamkniętą epokowemi zdarzeniami, których czekamy, w które wierzymy i które niezawodnie się staną.

UHMA TADEUSZ.

Odbito w tłoczni „DRUKARNIA POLSKA" w Kijowie, pod zarządem Jana Danielaka. Składali: T. St, K. Skorodziński, K. Ciesielski. Odbijał P. Pozarski. — — — Kierownik Jan Gniewkowski. — — — — — Nakładem Leona Idzikowskiego. — —

Печатать разрѣшается военной цензурой.

Pol-

yło
ożу-
owe
ało-

, że
owe-
nie-